

JADWIGA KIWERSKA

ŚWIATOWE PRZYWÓDZTWO AMERYKI W XXI WIEKU



Instytut Zachodni

ŚWIATOWE PRZYWÓDZTWO
AMERYKI W XXI WIEKU

Publikacja dofinansowana przez Collegium Da Vinci



JADWIGA KIWERSKA

ŚWIATOWE PRZYWÓDZTWO AMERYKI W XXI WIEKU



Instytut Zachodni
Poznań 2015

Recenzenci: *Prof. dr hab. Andrzej Mania*
Prof. dr hab. Bogdan Koszel

Redaktor: *Hanna Różanek*

Opracowanie graficzne: *Ewa Wąsowska*

© Copyright by Instytut Zachodni

ISBN 978-83-61736-58-5

ISSN 0860-2913

INSTYTUT ZACHODNI

61-854 Poznań, ul. Mostowa 27A

tel. (61) 852 76 91

fax (61) 852 49 05

e-mail: wydawnictwo@iz.poznan.pl

www.iz.poznan.pl

WYDAWNICTWO I DRUKARNIA UNI-DRUK s.j.

62-030 Luboń, ul. Przemysłowa 13

tel. (61) 899 49 49 do 52

Spis treści

Wstęp	7
1. Od izolacjonizmu do zaangażowania	13
2. Wyzwania końca wieku	31
3. Ameryka w walce z terroryzmem	43
4. Nowa konstelacja geopolityczna	71
5. Odbudowa wizerunku Ameryki	93
6. W poszukiwaniu „partnerów w przywództwie”	103
7. Ameryka i kryzysy regionalne	119
8. Kolejne skazy na wizerunku	157
9. Wobec nowych wyzwań na Bliskim Wschodzie	169
10. Konflikt ukraiński – test przywództwa	187
11. Co dalej z rolą Ameryki?	219
Bibliografia	235

„Ameryka, tak jak swego czasu Rzym, Wenecja czy Imperium Brytyjskie, jest głównym kreatorem współczesnego świata, mocarstwem popychającym go naprzód, siłą decydującą o równowadze i stawiającą tamę anarchii” – tak jeszcze w 2003 r. pisał o Stanach Zjednoczonych jeden z czołowych amerykańskich analityków politycznych Robert D. Kaplan. Odnosił się on do niemal utwierdzonego w myśleniu społeczności międzynarodowej przekonania o wyjątkowej randze Stanów Zjednoczonych w świecie, o roli Ameryki jako lidera zdolnego zjednoczyć wokół siebie partnerów i skutecznie oddziaływać na bieg spraw lub nawet „na własną rękę” kształtować porządek światowy.

Można zapytać, czy dzisiaj, a przecież minęło zaledwie nieco ponad dziesięć lat, teza Kaplana może się obronić. Czy Stany Zjednoczone zachowały swój status dominującego mocarstwa na arenie międzynarodowej, bez którego woli i zaangażowania niewiele w świecie może się wydarzyć? Czy ich wpływ na rozwiązywanie kluczowych problemów globalnych pozostał równie wielki, jak był jeszcze kilkanaście lat temu? A może Ameryce ciąży już sprawowanie przywództwa w świecie i nie ma na to ochoty? Na te pytania nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Natomiast jedno nie ulega wątpliwości, kwestia amerykańskiego przywództwa w świecie stanowi kluczowy temat współczesnych debat i sporów, toczonych zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie. Dyskutuje się o charakterze tego przywództwa, jego skali i skutkach, wreszcie stawiane są fundamentalne pytania o kres wyjątkowej roli Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, a także prognozuje się ewentualne tego konsekwencje.

Zresztą spory o politykę amerykańską nieustannie towarzyszą wszelkim rozważaniom o świecie i stosunkach międzynarodowych. Wynika to z prostego faktu – od ponad 70 lat Stany Zjednoczone dominują na scenie światowej. Taka rola tradycyjnie rodziła różne pokusy, wymagała i wymaga od Ameryki zaangażowania sił i środków na ogromną skalę, stwarzała zagrożenia i zmuszała do podejmowania wyzwań, których sposób przezwyciężenia miał i ma kolosalne następstwa dla porządku międzynarodowego, bezpieczeństwa oraz przyszłości świata. Stąd też ta wyjątkowa rola Stanów Zjednoczonych poddawana była często krytycznej ocenie – z jednej strony budziła ona podziw i akceptację, z drugiej zaś – wywoływała niechęć i wrogość.

Ale równocześnie ten wielki zakres odpowiedzialności USA za sytuację w świecie, kosztowny i wymagający nierzadko poświęcenia, wyzwał tradycyjną wśród Amerykanów skłonność do ograniczenia zobowiązań, wręcz wycofania się ze sceny międzynarodowej i skoncentrowania na wąsko pojętych własnych, żywotnych interesach. Bez większej przesady można powiedzieć, że po każdym okresie nadzwyczajnej aktywności Ameryki na arenie międzynarodowej, takim jak I oraz II wojna światowa, amerykańska interwencja w Wietnamie, ostra konfrontacja ze Związkiem Radzieckim, wreszcie wielka krucjata przeciwko terroryzmowi, znaczna część amerykańskiej opinii publicznej, a także wielu polityków różnych opcji życzyło sobie większej wstrzeżności Stanów Zjednoczonych w działaniach globalnych, a czasami wręcz powrotu do izolacjonizmu.

Także niepisaną regułą w dziejach Ameryki było to, że jej złej koniunkturze gospodarczej towarzyszył przyływ izolacjonizmu – tak było na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. i podobne tendencje pojawiły się wraz z załamaniem finansowym i gospodarczym w 2008 r. A więc cechą charakterystyczną postawy Amerykanów było często miotanie się między izolacjonizmem a zaangażowaniem, podważaniem sensu sprawowania przez USA roli światowego lidera a dowodzeniem, że jest to w interesie Stanów Zjednoczonych i stanowi ważny czynnik ich bezpieczeństwa.

Nie ma też przesady w twierdzeniu, że debatę o roli Stanów Zjednoczonych w świecie podejmowano w różnych momentach najnow-

szej historii. Ostro spierano się po I wojnie światowej i po zakończeniu II wojny światowej. Taka dyskusja pojawiła się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, po runięciu „muru berlińskiego” i upadku Związku Radzieckiego. Wówczas pytanie dotyczyło tego, czy w tym nowym, pozimnowojennym porządku, „bez historii” – jak pisał Francis Fukuyama – czyli w świecie wartości liberalnych i demokratycznych, bez konfliktów i wojen, obecność Ameryki na dotychczasową skalę jest potrzebna. Czy taki świat nie jest już wystarczająco bezpieczny i nie wymaga amerykańskich gwarancji?

Jednak dynamika wydarzeń na początku lat dziewięćdziesiątych, w tym wojna o Kuwejt i konflikty na Bałkanach, szybko zweryfikowała tezę Fukuyamy. Stany Zjednoczone, chcąc nie chcąc, jako jedyne supermocarstwo przyjęły funkcję quasi-„światowego żandarma”. Zresztą rola ta nie podlegała dyskusji, wydawała się wręcz imperatywem pozimnowojennego porządku międzynarodowego, jego nieodzownym elementem i czynnikiem. Jakkolwiek pojawiały się głosy, że nie musi to być rola wieczna, to jednak nie przewidywano kresu *Pax Americana*, nawet w odległej perspektywie.

Dzisiaj, w drugiej dekadzie XXI w. coraz częściej pojawia się pytanie, czy nie staliśmy się świadkiem kresu amerykańskiej dominacji w świecie. Świadczyć o tym może słabnąca zdolność Ameryki kreowania sytuacji międzynarodowej i rozwiązywania problemów globalnych, ale też jej coraz mniejsza gotowość podejmowania wyzwań i ograniczona skuteczność działania. Pisze się wręcz o bliskim już poamerykańskim świecie, w którym do głosu będą dochodzić nowe alternatywne potęgi i siły, najczęściej konkurencyjne wobec Stanów Zjednoczonych i zdecydowanie osłabiające ich pozycję.

O tym wszystkim mowa jest w niniejszej publikacji. W sposób syntetyczny, ale nie statyczny przedstawiono w niej obraz amerykańskiego przywództwa w świecie. To przywództwo przechodziło bowiem różne fazy, stawiane było przed coraz to nowymi wyzwaniami, doświadczało okresów rozkwitu i momentów, gdy mówiło się o jego załamaniu, działało w różnych warunkach i zmieniających się okolicznościach. Bardzo często było krytykowane i podważane, gdyż albo Ameryka nie spełniła pokładanych w niej nadziei, albo zbyt silnie wpływała na scenę

międzynarodową, krępując lub ograniczając ambicje innych mocarstw, a nawet stając się powodem kolejnych zawirowań. Mimo to Stany Zjednoczone przez ostatnie ponad 70 lat utrzymały swą dominującą rolę w świecie, jedynie zmieniając czasami charakter lub styl sprawowania przywództwa, ograniczając lub rozszerzając jego skalę, wykorzystując do realizacji swoich celów nowe narzędzia i środki.

Koncentrując się na opisie amerykańskiego prymatu w świecie pozimnowojennym, a szczególnie akcentując jego funkcjonowanie w XXI stuleciu, starano się także przedstawić wcześniejsze fazy przywództwa Ameryki. Nie zapomniano o jego zewnętrznych, zmieniających się uwarunkowaniach. Zwracano uwagę na czynniki, które w ostatnich kilkunastu latach oddziaływały na amerykańską strategię wobec świata i kształtowały reakcję Waszyngtonu na różne międzynarodowe problemy. Zadano też sobie pytanie o perspektywy rozwoju amerykańskiej potęgi, czy i w jakich warunkach Stany Zjednoczone mogą utrzymać pozycję lidera na arenie międzynarodowej. Jakie skutki może mieć deprecjacja roli Ameryki w świecie i czy byłby to proces korzystny dla bezpieczeństwa globalnego i porządku międzynarodowego?

Zakres tematyki, a także sposób jej ujęcia spowodowały, że książka ta – siłą rzeczy – stała się syntetyczną wykładnią amerykańskiej strategii zewnętrznej, zarysowaniem jej głównych kierunków i opisem sposobów oddziaływania na bieg spraw międzynarodowych. Z uwagi na to, że w systemie amerykańskim rola prezydenta w kreowaniu i realizacji polityki zagranicznej jest trudna do przecenienia, podobnie zresztą jak w kształtowaniu polityki wewnętrznej, charakter i zakres przywództwa Stanów Zjednoczonych w świecie pozostaje silnie uzależniony i uwarunkowany predyspozycjami oraz działaniami kolejnych gospodarzy Białego Domu.

Z tych względów prezentowana praca, formą przypominająca raczej rozbudowany esej niż hermetyczną rozprawę naukową, kierowana jest do tych wszystkich, którzy politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, kwestię rangi i znaczenia Ameryki w świecie, a także osobowości jej prezydentów uczynili przedmiotem swojej szczególnej uwagi naukowej i eksperckiej lub zwykłych zainteresowań hobbystycznych. Adresowana jest zatem do doświadczonych już badaczy problemu i anali-

tyków, młodych adeptów nauki i ekspertów, do studentów i uczniów, wreszcie do każdego czytelnika ciekawego najnowszej historii świata i jego współczesnego obrazu. Zainteresowanego problematyką międzynarodową, a polityką amerykańską w szczególności, wyzwaniem i zagrożeniami towarzyszącymi naszym czasom. Chciałabym bardzo, aby dla nich wszystkich stała się ona zajmującą lekturą.

Poznań, we wrześniu 2015 r.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, potęga Ameryki i jej wyjątkowa rola w świecie wydają się immanentną cechą porządku międzynarodowego. W dość powszechnym przekonaniu zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w skali globalnej jest czynnikiem jakże często przesądzającym o kierunku przemian w świecie, wpływającym na spory i konflikty międzynarodowe, stwarzającym nowe zagrożenia i problemy. Z drugiej strony również często mamy do czynienia z próbami ograniczenia i zakwestionowania amerykańskiej roli w świecie, a w samych Stanach Zjednoczonych – nawet z próbami powrotu do izolacjonizmu.

Nie należy bowiem zapominać, że izolacjonizm stanowił i stanowi – obok zaangażowania – charakterystyczny sposób podejścia Amerykanów do świata i jego problemów. Izolacjonizm jest niemal tak stary, jak brytyjskie osadnictwo na kontynencie północnoamerykańskim, wyznaczała go geografia Ameryki Północnej – stosunkowo bezpieczne położenie, oraz jej historia – pełna determinacji wola budowania przez przyszłów lepszego życia w Nowym Świecie. Wyrażony najlepiej przez George’a Washingtona w słynnym *Farewell Address* z 1796 r., izolacjonizm oznaczał pełne uniezależnienie rozwoju Stanów Zjednoczonych od ambicji, rywalizacji oraz celów państw europejskich, które wówczas stanowiły centrum światowej polityki. Pierwszy prezydent pytał: „Po cóż wiązać nasz los z losem jakiegokolwiek części Europy, oddając nasz pokój i dobrobyt na pastwę europejskich ambicji, rywalizacji, interesów, humorów i kaprysów?”¹ A więc zamknięcie się

¹ R.D. Heffner (ed.), *A Documentary History of the United States*, New York 1976, s. 68.

w kręgu własnych spraw i uniknięcie w ten sposób potrzeby wikłania się w skomplikowane problemy Europy/świata wydawało się najlepsze dla amerykańskich, żywotnych interesów (*vital interests*). I tej właśnie zasadzie Amerykanie byli wierni przez cały XIX w.

Wiele się zmieniło, gdy Ameryka finalizowała proces budowy potężnego państwa. Osiągnięcie przez Stany Zjednoczone pozycji mocarstwa, a następnie supermocarstwa było procesem długim, wyznaczonym tak ważnymi momentami i etapami, jak zakończenie wojny secesyjnej, która dla państwa amerykańskiego przyniosła zmiany o charakterze fundamentalnym, po niej przyszedł burzliwy rozwój gospodarczy przełomu XIX i XX w., następnie były I oraz II wojna światowa, z których Ameryka wyszła „z tarczą” i niezwykle wzmocnionym autorytetem, wreszcie Stany Zjednoczone odniosły zwycięstwo w konfrontacji zimnowojennej. Rozważmy więc po kolei te etapy kształtowania się światowej rangi Ameryki.

I tak początek ubiegłego stulecia to czas wielkiego przyływu amerykańskiego optymizmu, którego podstawę stanowiły dynamizm gospodarczy i nagromadzenie bogactw. Stany Zjednoczone w przededniu I wojny światowej to już potężne mocarstwo zarówno pod względem gospodarczym, jak i politycznym. Doskonale funkcjonowała demokracja, czyniąc z Ameryki kraj wręcz modelowy. USA cieszyły się pozycją czołowego producenta w wielu kluczowych sektorach gospodarki, zwłaszcza w produkcji stali. Zasoby znajdujące się w bankach amerykańskich w 1916 r. przewyższały łącznie aktywa banków wszystkich finansowych potęg europejskich. Owo poczucie siły ekonomicznej rodziło potrzebę ekspansji, nie tylko gospodarczej, w celu pozyskania rynków zbytu i zwiększenia możliwości eksportowych oraz inwestycyjnych, ale i politycznej, realizującej filozofię posłannictwa amerykańskiego.

Propagatorem tezy o posłannictwie amerykańskim był prezydent Thomas Woodrow Wilson – polityk o niezwyklej osobowości. Amerykanie – twierdził Wilson – mają do spełnienia specjalną rolę, niejako misję historyczną, wynikającą z faktu, że USA stanowią kraj wyjątkowy, bastion wolności, demokracji, równości. Ameryka powstała po to, aby ludzkość była wolna. Cywilizacyjną rolę Stanów Zjednoczonych prezydent Wilson widział w służeniu ludzkości przez promowanie wolności,

sprawiedliwości i demokracji, a nie tylko w dążeniu do potęgi i dobrobytu². W rzeczywistości jednak owo oddziaływanie moralne Ameryki łączył Wilson z naturalną potrzebą ekspansji ekonomicznej i wolą uzyskania dominacji politycznej w świecie. To, co mogło wydawać się idealistycznym posłannictwem, skrywało więc partykularne interesy narodowe i wyraźnie skalkulowane dążenia Stanów Zjednoczonych: pomnażanie dobrobytu i zwiększanie możliwości rozwoju, a także umacnianie rangi w świecie³.

Nie ma więc wątpliwości co do tego, że decydując o przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Wojny w 1917 r., prezydent Wilson kierował się w dużej mierze względami interesu amerykańskiego: gospodarczymi, politycznymi i militarnymi. Jednak uzasadniając swoją decyzję, odwoływał się do argumentacji moralnej i przekonania o dziejowej misji Ameryki wobec Europy. Rezolucja o stanie wojny umotywowana została sentencją, że „sprawiedliwość jest cenniejsza niż pokój”⁴. Wydawało się, że nadając amerykańskiej polityce wyraźny odcień idealizmu, bliskiego prostemu człowiekowi z Oklahomy czy Idaho, łatwiej będzie pozyskać szerokie poparcie społeczne dla zerwania z izolacjonizmem, stanowiącym dotąd imperatyw amerykańskiej polityki zagranicznej.

Zaangażowanie się USA w wojnę na kontynencie europejskim było więc wydarzeniem bez precedensu. Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych żołnierze amerykańscy przekroczyli Atlantyk, aby wziąć udział w konflikcie europejskim, przed czym tak gorąco swego czasu przestrzegał ich prezydent Washington. Co więcej, zaangażowanie Ameryki w Europie nie miało ograniczyć się tylko do czasu wojny. Realizując amerykańskie posłannictwo, ową misję „walki o demokrację, o prawa i wolność dla wszystkich narodów, o ostateczny pokój”⁵, prezydent Wilson poświęcił się niemal bez reszty uporządkowaniu

² Zob. H. N o t t e r, *The Origins of the Foreign Policy of Woodrow Wilson*, Baltimore 1937, s. 653.

³ Zob. J. K i w e r s k a, *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem. Europa w polityce Stanów Zjednoczonych od Wilsona do Roosevelta*, Poznań 1995, s. 20-23.

⁴ *A Day of Dedication. The Essential Writings and Speeches of Woodrow Wilson*, New York 1965, s. 299.

⁵ Tamże.

spraw w Europie i zaprowadzeniu na kontynencie trwałego ładu. Po raz pierwszy w swych dziejach Ameryka kreowała się zatem na przywódcę wśród mocarstw. I cokolwiek powiedzieć o różnych błędach popełnionych podczas konferencji paryskiej, to idealizm prezydenta Wilsona odcisnął wówczas trwały ślad nie tylko na zapisanym w traktacie wersalskim porządku międzynarodowym, ale też na wizerunku Stanów Zjednoczonych i ich polityki w świecie.

Na straży nowego ładu międzynarodowego zaaprobowanego w Wersalu miała stać Liga Narodów, w której demokracja rozciągnęłaby się na dziedzinę polityki zagranicznej i dyplomacji i w której Ameryka odgrywałaby niepoślednią rolę. Fundamentem Ligi Narodów była zasada bezpieczeństwa zbiorowego, czyli zagwarantowania członkom organizacji pomocy na wypadek zagrożenia. Idea bezpieczeństwa zbiorowego była przyczyną sporu między Białym Domem a Kongresem. W sporze tym chodziło nie tyle o tradycyjne animozje występujące między władzą ustawodawczą, w której większość stanowiła opozycja, a wykonawczą, co o różne koncepcje amerykańskiej polityki zagranicznej i kwestię amerykańskiego przywództwa w świecie.

Otóż decyzje Wilsona o zaangażowaniu w wojnę i wysłaniu amerykańskich żołnierzy do Europy oraz o udziale Ameryki w utrzymaniu pokoju na kontynencie europejskim nie zostały zaakceptowane w USA. Większość Amerykanów sceptycznie oceniała idee głoszone przez prezydenta o konieczności ratowania Europy i umacniania tam pokoju. Zwłaszcza nie chcieli oni, aby Stany Zjednoczone angażowały się w Starym Świecie. Tymczasem stworzony podczas konferencji paryskiej – przy zdecydowanym udziale delegacji amerykańskiej – nowy porządek polityczny w Europie i świecie zakładał wydatny udział Stanów Zjednoczonych w jego utrzymaniu. Zasada bezpieczeństwa zbiorowego zobowiązywała USA do solidarnego wraz z innymi krajami europejskimi występowania w obronie integralności terytorialnej każdego zagrożonego państwa, a ponadto do ingerencji w najróżniejsze spory międzynarodowe. Byłoby to istotne ograniczenie amerykańskiej suwerenności i przekazanie Lidze Narodów części uprawnień przysługujących prezydentowi i Kongresowi. Takiej sytuacji wolne społeczeństwo amerykańskie nie może zaakceptować – twierdzili przeciwnicy Ligi, traktatu wersalskiego i samego Wilsona. Zresztą Amerykanie pragnęli

korzystać z owoców pokoju i spokojnego życia z dala od świata, bez zbędnego ryzyka, zwłaszcza płynącego z nadmiernego zaangażowania się na arenie międzynarodowej.

Zasadniczy spór o kształt i zakres amerykańskiego zaangażowania w świecie rozegrał się więc na forum Kongresu. Jego finałem było odrzucenie w 1920 r. traktatu wersalskiego oraz stanowiącego z nim integralną całość Paktu Ligi Narodów. W rezultacie Stany Zjednoczone zrezygnowały z członkostwa w Lidze Narodów, odmówiły przyjęcia na siebie zobowiązań zapisanych w Pakcie LN, odstąpiły od udziału w forsowanym przez Wilsona systemie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. Było to równoznaczne z tym, że USA wracają do zasady izolacjonizmu⁶. I to pomimo że główne mocarstwa europejskie: Francja i Wielka Brytania nie szczędziły wysiłków, aby pozyskać USA dla Ligi Narodów, Europy i jej problemów. Przewidywano, że bez współpracy Ameryki wszelkie próby podejmowane przez państwa europejskie na rzecz utrzymania ładu i bezpieczeństwa mogą się okazać nieudane. Wręcz życzo no sobie amerykańskiej obecności, choć może nie jej przywództwa.

Ale Amerykanie wówczas jeszcze nie akceptowali roli, jaką w powojennym świecie przewidywał dla nich prezydent Wilson. Nie pragnęli zaszczytu bycia liderem wśród mocarstw za cenę podejmowania zobowiązań międzynarodowych. Uważali, że jest to sprzeczne z potrzebami oraz interesami powojennych Stanów Zjednoczonych. Wybrali kolejnego prezydenta – Warrena G. Hardinga, który swą listę zadań dla kraju sprowadził do hasła: „Przede wszystkim Ameryka” (*America First*). Oznaczało to, że pozostając w bezpiecznym otoczeniu, należy się skupić na pomnażaniu własnego dobrobytu, rozwiązywaniu wewnętrznych problemów politycznych, gospodarczych i społecznych, a świat niech się sam martwi o siebie⁷.

Wkrótce jednak okazało się, że nie jest możliwa koncentracja tylko na pomnażaniu własnego bogactwa. Powojenny świat wchodził właś-

⁶ J. K i w e r s k a, *Woodrow Wilson i przegrana batalia o Ligę Narodów*, w: A. Koze-ra, W. Prażuch, P. Szycja (red.), *Polska, Europa Środkowa, Europa Zjednoczona*, Kraków 2014, s. 186-192.

⁷ R. V. H a r l o w, *United States: From Wilderness to World Power*, New York 1949, s. 660.

nie na drogę wzajemnych powiązań i uzależnień, zwłaszcza na polu gospodarczym. Stany Zjednoczone rysowały się jako potęga gospodarcza i polityczna, dysponująca silną flotą morską i wekslami swoich europejskich dłużników. Nie było więc już mowy o XIX-wiecznym izolacjonizmie. Ale nie było też możliwości odegrania znaczącej roli politycznej na arenie międzynarodowej. Najbardziej zagorzali zwolennicy izolacjonizmu z senatorem Williamem E. Borahem na czele, długoletnim szefem senackiej komisji spraw zagranicznych, niczym „psy łańcuchowe” strzegli amerykańskich priorytetów, występując ostro, ilekroć święta zasada Washingtona znalazła się w zagrożeniu⁸.

Wobec tego kolejne administracje: najpierw Hardinga, a później i Calvina Coolidge’a i Herbera Hoovera oraz do pewnego momentu także Franklina D. Roosevelta uciekały się niejednokrotnie do nieformalnych metod uprawiania polityki zagranicznej, tak aby głos Ameryki mógł być zaprezentowany na różnych konferencjach i w różnych gremiach, nie wzbudzając równocześnie krytyki w kraju. USA uczestniczyły więc w konferencjach rozbrojeniowych, a w działaniach na rzecz ograniczenia zbrojeń morskich przypadła im nawet palma pierwszeństwa. Ważną umową multilateralną stał się pakt Kellogga-Brianda (od nazwiska amerykańskiego sekretarza stanu Franka B. Kellogga i francuskiego ministra spraw zagranicznych Aristide’a Brianda) z 1928 r., uznający wojnę za sprzeczną z prawem, co stanowiło wyraz amerykańskiego idealizmu w pojmowaniu stosunków międzynarodowych, pochodzącego jeszcze z czasów Wilsona⁹. Amerykanie konsekwentnie odmawiali jednak udziału w gremiach i sojuszach, które groziły uwikłaniem ich w skomplikowane problemy Europy i świata. Odmawiano też podejmowania jakichkolwiek zobowiązań politycznych, zakładających konkretne działania oraz ingerencje.

Jedynie odstępstwo uczyniono w odniesieniu do spraw gospodarczych i finansowych, które zdominowały wiele zewnętrznych działań USA. Obok konieczności ściągnięcia długów wojennych Ameryka potrzebowała też inwestycji na rynkach światowych, głównie europej-

⁸ J. K i w e r s k a, *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem...*, s. 101 i n.

⁹ R.E. O s g o o d, *Ideals and Self-Interest in America's Foreign Relations*, Chicago 1953, s. 321.

skich. Z tych powodów Stany Zjednoczone były zainteresowane uporządkowaniem gospodarki europejskiej, dostosowaniem jej do potrzeb rozwijającej się prężnie gospodarki amerykańskiej. Działania Stanów Zjednoczonych dotyczyły również ustabilizowania walut europejskich, oparcia ich na parytecie złota, zrównoważenia budżetów, uregulowania stosunków handlowych, m.in. poprzez wprowadzenie klauzuli najwyższego uprzywilejowania.

A zatem obecność na arenie międzynarodowej, zainteresowanie utrzymaniem pokoju i stabilizacji w świecie, przywiązywanie szczególnej wagi do spraw kluczowych dla amerykańskich interesów, w tym zwłaszcza gospodarczych, ale bez podejmowania formalnych zobowiązań wikłających USA w problemy świata zewnętrznego – oto istota amerykańskich działań na forum międzynarodowym w latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku. Nietrudno zatem wysnuć wniosek, że Amerykanie z wolna przyzwyczajali się do faktu, że ich kraj odgrywa coraz większą rolę w świecie, nie chcieli jednak zaakceptować związanych z tym obowiązków.

Nowe elementy w polityce amerykańskiej pojawiły się w połowie lat trzydziestych, w związku ze wzrostem zagrożenia wojennego w Europie i świecie. Były to już czasy F. D. Roosevelta, który w 1933 r. objął urząd w Białym Domu z mandatem uporania się z kryzysem gospodarczym. Dlatego też od momentu ogłoszenia programu *New Deal* kwestie polityki zagranicznej starano się podporządkować reformom wewnętrznym. Jednak FDR ani nie mógł, ani nie chciał odgrodzić się całkowicie od spraw międzynarodowych. Zresztą widać było dostatecznie jasno, że sytuacja w świecie coraz bardziej się zaognia. Kluczowe problemy Europy, powstałe w wyniku rewizjonistycznych dążeń Republiki Weimarskiej, nie zostały rozwiązane. Co więcej, do władzy w Niemczech także w 1933 r. doszedł Hitler, burząc szybko porządek demokratyczny w kraju i zagrażając bezpośrednio pokojowi w Europie. W obliczu coraz gorszej sytuacji politycznej w świecie spodziewano się wzrostu aktywności amerykańskiej na forum międzynarodowym¹⁰.

¹⁰ W. S. L a n g e r, S.E. G l e a s o n, *The Challenge to Isolation, 1937-1940*, New York 1952, s. 17 i n.

Rzeczywiście, Amerykanie wzięli udział w konferencji rozbrojeniowej w Genewie, podjęli też kilkakrotnie próby przełamania impasu w rozmowach, deklarując gotowość konsultowania się z państwami europejskimi na wypadek zagrożenia pokoju. Z kolei agresywne działania Japonii w Chinach, zagrażające bezpośrednio amerykańskim interesom w tym rejonie świata, zmusiły Stany Zjednoczone do wzmożonej aktywności, a nawet nawiązania współpracy z dotychczas ignorowaną Ligą Narodów¹¹.

Mimo że aktywność amerykańska miała głównie deklaracyjny charakter, to jednak rozbudziła ona w Ameryce dyskusję na temat izolacjonizmu, zaangażowania i roli USA w świecie. Debata ta toczyła się zarówno na Kapitolu, jak i w publicystyce. Część polityków oraz publicystów rozumiała, że wobec wzrastającego zagrożenia wojennego Stany Zjednoczone nie mogą pozostać obojętne. Podkreślano etyczny aspekt problemu, dowodząc, że uchylanie się przed odpowiedzialnością w tak ważnym momencie jest sprzeczne z moralnymi zasadami stosunków międzynarodowych. Odwoływano się zatem do owego idealizmu, który swego czasu przyświecał działaniom Wilsona¹².

Wśród Amerykanów przeważała jednak awersja do angażowania się na arenie międzynarodowej oraz zdecydowana opozycja wobec podejmowania jakichkolwiek form politycznych i wojskowych zobowiązań¹³. Znalazło to swój najpełniejszy wyraz w wysiłkach, które miały zabezpieczyć Stany Zjednoczone przed wciągnięciem ich w nadchodzący konflikt wojenny. Ich efektem były przyjęte w latach 1935-37 ustawy o neutralności. Chodziło w nich o utrzymanie Ameryki z dala od świata, bez względu na to, co dziełoby się w Europie, Azji czy Afryce. Jednak w świetle ówczesnych wydarzeń na międzynarodowej scenie: rewizjonistycznych działań III Rzeszy, agresji Włoch na Abisynię, działań Japo-

¹¹ R. D a l l e k, *Franklin D. Roosevelt and American Foreign Policy, 1932-1943*, Oxford – New York – Toronto 1979, s. 43 i n.

¹² Takie postulaty znalazły się m.in. w pracy: A. W. D u l l e s, H. F. A r m s t r o n g, *Can We Be Neutral*, New York 1936; szerzej: W. L. L a n g e r, S. E. G l e a s o n, *The Challenge to Isolation, 1937-1940...*, s. 17; także J. K i e r s k a, *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem...*, s. 368.

¹³ Najpełniej pogląd ten wyrażono w pracy: E. M. B u r c h a r d, W. P. L a g e, *Neutrality for the United States*, New Haven 1940.

nii na Dalekim Wschodzie – przyjęcie ustaw o neutralności dowodziło niedostatecznego stanu wiedzy o moralnym i politycznym aspekcie tych aktów. Działały one bowiem uspokajająco na agresorów, gwarantując ze strony Stanów Zjednoczonych bierność wobec ich poczynań, równocześnie też osłabiały pozycję państw demokracji zachodniej¹⁴. Z faktu tego zdawał sobie sprawę i prezydent, i Departament Stanu, jednak wobec silnych nastrojów izolacjonistycznych w kraju Biały Dom nie mógł uczynić nic innego, jak tylko poprzeć ustawodawstwo o neutralności.

Krępowany zasadą izolacjonizmu, która dominowała w umysłach i odczuciach amerykańskiego społeczeństwa oraz określała granice przyzwolenia ze strony Kongresu w kwestiach polityki zagranicznej, prezydent Roosevelt nie mógł aktywniej zaznaczyć amerykańskiej obecności na forum międzynarodowym, przynajmniej w takim stopniu, w jakim wymagałaby tego powaga sytuacji. W obliczu narastającego zagrożenia wojennego w świecie Biały Dom sięgał po środki perswazji, nakłaniania do negocjacji i działań dyplomatycznych. Wobec planów niemieckich, wykraczających daleko poza możliwe do przyjęcia żądania rewizji traktatu wersalskiego, ta „dyplomacja apelowa” była z góry skazana na niepowodzenie. Kolejne amerykańskie *messages* nie odnosiły żadnych skutków. Odpowiedzią Hitlera na ostatni apel o utrzymanie pokoju, wystosowany przez Roosevelta jeszcze 24 sierpnia 1939 r., był atak na Polskę.

Sytuację tę najlepiej opisano w komentarzu redakcyjnym „New York Herald Tribune”: „Amerykanie raz jeszcze dostali lekcję, której nie chcieli znać, że naród uzbrojony po zęby może być trzymany w szachu jedynie przez siłę i potęgę większą niż on sam. Żadne apele, żadne prośby niczego nie dają (...). Ale taki jest charakter społeczeństwa amerykańskiego, że cieszy się, gdy prezydent występuje z apelami. Pragnie ono być przekonane, że tym sposobem prezydent wykorzystał szansę, aby utrzymać pokój. A fakt, że te propozycje odbiły się głuchym echem, nie zmienia ich dobrego samopoczucia”¹⁵. Wyobrażenie, że najlepszą opcją jest jedynie kibicowanie wydarzeniom na świecie lub najwyżej

¹⁴ W jednej z prac ustawodawstwo o neutralności zostało określone jako „czyn szaleńczy” (D. P e r k i n s, *America and Two Wars*, Boston 1944, s. 115); zob. też R.A. D i v i n e, *The Illusion of Neutrality*, Chicago 1962, s. 85 i n.

¹⁵ „New York Herald Tribune” 26 VIII 1939.

perswazja i apele, a Atlantyk i Pacyfik wystarczająco zabezpieczają Amerykę przed wojną, szybko okazało się zgubne.

Wprawdzie na wieść o wybuchu wojny 5 września 1939 r. Stany Zjednoczone ogłosiły neutralność, jednak dwa lata później, w grudniu 1941 r. znalazły się w stanie wojny i to prowadzonej na dwóch teatrach: dalekowschodnim i europejskim. Do tego czasu administracja Roosevelta zrobiła wiele, aby z jednej strony przekonać społeczeństwo amerykańskie, jak bardzo odległa od rzeczywistości i potrzeby chwili jest tendencja unikania odpowiedzialności, a z drugiej – przybliżyć wojnę do Ameryki¹⁶.

Podobnie jak wcześniej prezydent Wilson, także Roosevelt nie zamierzał ograniczać zaangażowania Ameryki tylko do działań wojennych, chciał ukształtować powojenny świat, zabezpieczając w nim specjalną, przywódczą rolę USA. Używając Wilsonowskiej retoryki i wielkich słów o moralnym posłannictwie Ameryki, obronie demokracji i walce z tyranią, prezydent odwoływał się też do kwestii bezpieczeństwa narodowego, które wiązał z amerykańskim udziałem w budowaniu, a potem utrzymaniu nowego porządku w świecie. Zwycięstwem Roosevelta było to, że jego koncepcja zaangażowania stała się elementem politycznej świadomości wielu Amerykanów. Zawierał się w niej idealizm, wyrażony najlepiej w Karcie Atlantyckiej, oraz element realistyczny: wyprowadzenie zasady bezpieczeństwa międzynarodowego z istniejącego układu sił i aspiracji mocarstw.

W podpisanej w sierpniu 1941 r. Karcie Atlantyckiej amerykański prezydent zaciągał pewne zobowiązanie, określające stopień udziału Stanów Zjednoczonych w powojennym łądzie. Można je ogólnie nazwać jako wspólna z Wielką Brytanią odpowiedzialność za pokój w świecie. Jednak jakże trafne były przewidywania londyńskiego „New Statesman and Nation”, w którym odnosząc się do roli Ameryki w powojennym świecie, pisano: „Stany Zjednoczone będą nie tylko dominującym partnerem, lecz wszystkie marzenia o odbudowie będą całkowicie uzależnione od dobrej woli tego kraju”¹⁷.

¹⁶ J. K i e r s k a, *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem...*, s. 409-419.

¹⁷ Cyt. za: P. G r u d z i ń s k i, *Przyszłość Europy w koncepcjach Franklina D. Roosevelta (1933-1945)*, Wrocław 1980, s. 94.

Rzeczywistość coraz wyraźniej potwierdzała słuszność tych prognoz. Po przystąpieniu USA do wojny Roosevelt czuł się już formalnie zobowiązany do kreowania przyszłego porządku. Szybko okazało się, że głównym partnerem w tym procesie będzie nie Wielka Brytania, ale Związek Radziecki. Przywództwo należało do Ameryki, gdyż ona posiadała odpowiedni potencjał. Posiadał go również ZSRR, a zatem należało te siły połączyć. Wprawdzie w jednej z pierwszych swoich sprecyzowanych wizji powojennego świata, którą Roosevelt przedstawił na początku 1943 r., nadzór nad całą powojenną Europą miały sprawować trzy mocarstwa: Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i Wielka Brytania, ale już podczas konferencji w Teheranie, na przełomie listopada i grudnia 1943 r., myślał o budowie ładu światowego opartego na porozumieniu amerykańsko-radzieckim, dla Wielkiej Brytanii przewidując jedynie rolę drugoplanową.

Jałta była już tylko potwierdzeniem faktu, że wśród tzw. Wielkiej Trójki głos decydujący należał do Roosevelta, który jednak ze względu na stan zdrowia i pełen złudzeń stosunek do Stalina poszedł na głębokie ustępstwa wobec Moskwy. Wydano na łup Rosji połowę Europy, przyznając jej równocześnie wiele przywilejów w przyszłej Organizacji Narodów Zjednoczonych w postaci prawa weta i miejsc dla „państw niepodległych”, za jakie uznano Ukrainę i Białoruś. Efektem złudzeń amerykańskiego prezydenta wobec Stalina było przekroczenie przez ZSRR wyznaczonych dla niego granic potęgi także kosztem wpływów USA. Roosevelt przewidywał dla Rosji drugie skrzydce w koncercie mocarstw, Związek Radziecki miał być zneutralizowany przez sojuszników Ameryki: Wielką Brytanię i Chiny, podczas gdy Stany Zjednoczone miały pełnić rolę arbitra, decydującego o tym, czyje racje przeważą. Okazało się jednak, że w czasie wojny ZSRR wyrósł na silne mocarstwo, twardo realizujące swoje cele i zamierzenia oraz dalekie od poddania się woli Ameryki.

W momencie zakończenia II wojny światowej wyłaniała się zatem interesująca sytuacja międzynarodowa. Z jednej strony rysowała się wizja światowej hegemonii Stanów Zjednoczonych, do której dążył Roosevelt przekonany, że Ameryka może i powinna dyktować całemu światu swą wolę, sprowadzającą się do budowy *liberal world order*. Z drugiej zaś na firmamencie jawiła się potęga Związku Radzieckiego,

umocniona w dużej mierze ustępstwami i koncesjami ze strony amerykańskiego prezydenta. Jedynie w tle widniały dawne potęgi imperialne: Wielka Brytania i Francja, których rolę i pozycję osłabił wysiłek wojenny. Upadła III Rzesza oraz przestała istnieć potęga Japonii.

Amerykanie witali koniec wojny w przekonaniu, że jej cel został osiągnięty – świat wyzwolono spod panowania sił antydemokratycznych, faszystowskich. Ożyła więc idea izolacjonizmu, nadal głęboko tkwiąca w świadomości przeciętnego Amerykanina. Nie dla wszystkich bowiem jasna i zrozumiała była koncepcja Roosevelta o roli Ameryki jako policjanta czuwającego nad ładem w świecie. Amerykanie znowu chcieli spokojnego konsumowania owoców zwycięstwa i pełnego powrotu do normalności, czyli izolacjonizmu. Z drugiej jednak strony było już oczywiste, że świat stał się tak mały, iż Ameryka nie może uchylać się od odpowiedzialności za porządek międzynarodowy. Po ataku na Pearl Harbor pojęcie bezpiecznej „amerykańskiej twierdzy” straciło wiele ze swej wagi. Stany Zjednoczone, podobnie jak inne państwa na świecie, mogły być narażone na atak z morza lub powietrza. Niezależnie też od woli przeciętnego Amerykanina świat dwubiegunowy stał się rzeczywistością. Liczyły się Stany Zjednoczone i Związek Radziecki – z różnych powodów sytuujące się na owych przeciwległych biegunach.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że przewaga była po stronie supermocarstwa amerykańskiego. Chodziło nie tylko o to, że – jak twierdził Paul Kennedy – reszta świata była albo wyczerpana wojną, albo wciąż jeszcze w stadium niedorozwoju i dlatego potęga Ameryki była sztucznie wielka, podobnie zresztą jak potęga Wielkiej Brytanii w 1815 r. Rozmiary bezwzględne tej potęgi były też bez precedensu. PKB w USA wzrósł z 88,6 mld USD w 1939 r. do 135 mld USD w 1945 r. Produkcja przemysłowa rosła w latach 1940-1944 w szybkim tempie – ponad 15 proc. rocznie. Chociaż większość tego wzrostu związana była z produkcją wojskową, to zwiększyła się również produkcja na cele cywilne. Stany Zjednoczone były więc jedynym państwem, które w wyniku wojny stało się bogatsze. W momencie zakończenia wojny rezerwy złota USA wynosiły 20 mld USD, co stanowiło niemal 2/3 rezerw światowych. Ponad połowa światowej produkcji dóbr przemysłowych przypadła na USA. W momencie zakończenia działań wojennych Stany Zjednoczone były największym na świecie eksporterem i nawet jeszcze parę lat póź-

niej dostarczały 1/3 światowego eksportu. W wyniku ogromnej rozbudowy stoczni Ameryka stała się właścicielem połowy światowej żeluzgi¹⁸. Pod względem gospodarczym cały świat stał przed nią otworem.

Odbiciem tej potęgi gospodarczej była siła wojskowa USA. Potencjał broni konwencjonalnej choć ogromny, to nie on decydował o niepodważalnym statusie supermocarstwa. O tym przesądził amerykański monopol na bombę atomową. Teoretycznie każdemu przyszłemu wrogowi Stanów Zjednoczonych groziły zniszczenia równie straszliwe, jak te w Hiroszimie i Nagasaki. Była to ogromna siła odstrasząca, która wzmacniała potęgę Ameryki. Wprawdzie USA utrzymały jedynie cztery lata monopol atomowy, gdyż w 1949 r. także Związek Radziecki posiadał broń jądrową, jednak nie zmieniło to pozycji Ameryki.

Nie bez znaczenia dla nowej roli Stanów Zjednoczonych w świecie był ich wizerunek mocarstwa modelowego. Chodziło nie tylko o znaczący wkład Ameryki w pokonanie wroga i ostateczne zwycięstwo w wojnie. Rzecz szła o wzorzec demokracji zdolnej do utrzymania wysokiego poziomu gospodarczego i swobód politycznych, zapewniającej funkcjonowanie porządku i prawa. W odróżnieniu od wielu innych, imperium amerykańskie korzystało z wyjątkowych przywilejów, gdyż nie miało obciążenia kolonialnego. Stany Zjednoczone budziły strach, ale również poważano je. Świat postrzegał Amerykę jako wzór nowoczesnego społeczeństwa. Respekt wobec USA graniczył często z podziwem. Wierzono, że Ameryka rozporządza fenomenalnymi zasobami, a jej obywatele potrafią zrealizować każde swoje marzenie.

Ten globalny obraz Stanów Zjednoczonych współgrał z przekonaniami większości czołowych polityków i publicystów amerykańskich. Pozostali oni wierni amerykańskiej tęsknocie do nawracania świata, traktowanego jako klucz do pokoju międzynarodowego. „Doświadczenie amerykańskie – pisał w duchu wilsonizmu Henry Luce, bardzo wpływowy amerykański magnat prasowy – jest kluczem do przyszłości. (...) W braterskim związku ludzkości Ameryka musi być starszym bratem innych państw”¹⁹. Odradzało się więc owo poczucie misjonar-

¹⁸ P. K e n n e d y, *Mocarstwa świata. Narodziny, rozkwit, upadek*, Warszawa 1994, s. 351.

¹⁹ Cyt. za: R. D a l l e k, *The Postwar World: Made in the USA*, w: S.J. Ungar (ed.), *Estrangement: America and the World*, New York 1985, s. 32.

skiego obowiązku prowadzenia krucjaty o przekształcenie świata na obraz i podobieństwo Ameryki, będące podstawą polityki zaangażowania. Ale też nie znikło przekonanie, że owemu systemowi wartości najlepiej służy skoncentrowanie się na dalszym rozwoju wewnętrznym kraju, pomnażaniu dobrobytu. Po 1945 r. zwolennicy izolacjonizmu utrzymywali, że gwarancją bezpieczeństwa Ameryki jest bomba atomowa, która stanowi wystarczająco skuteczną siłę odstraszenia. O ład międzynarodowy – twierdzili – zadba ONZ, poza którą zaangażowanie Stanów Zjednoczonych nie powinno sięgać.

Jednak tak naprawdę po II wojnie światowej w tym sporze rzeczników zaangażowania z izolacjonistami ci ostatni nie mieli szans. Sytuacja wymagała, aby Stany Zjednoczone zaangażowały się w świecie na niespotykaną dotąd skalę. Wynikało to z ich pozycji gospodarczej i wojskowej, wysokiego prestiżu, jakim cieszyły się w świecie. Także – z potrzeby chwili, gdyż tradycyjne wielkie mocarstwa europejskie ustępowały ze sceny i jedynie USA mogły zapełnić powstałą w ten sposób próżnię. Tym bardziej że głęboki cień rzucało nowe mocarstwo, które przy wydatnej pomocy prezydenta Roosevelta umocniło swe wpływy w Europie i teraz zagrażało światu demokratycznemu. Tak więc skoro Ameryka została mocarstwem numer jeden, nie mogła zamykać się wewnątrz własnych wybrzeży, a nawet w granicach własnej półkuli. Musiała realizować swe posłannictwo i prowadzić walkę ze złem, utożsamianym z zagrożeniem komunistycznym. To w sferze idei i wartości. Ale przecież chodziło również o amerykańskie interesy: o swobodny dostęp do nowych rynków zagranicznych, zdolnych wchłonąć amerykańską nadprodukcję, kontrolę nad surowcami o kluczowym znaczeniu strategicznym, dominację na rynku finansowym. Dla tych też celów, określanych w Stanach Zjednoczonych jako *vital interests*, należało nie tylko powstrzymać ekspansję euroazjatyckiego mocarstwa, ale i ograniczyć strefę jego wpływów.

Realizatorem nowej strategii zewnętrznej USA stał się polityk, który obejmując urząd prezydenta, niewiele wiedział o polityce zagranicznej. Harry Truman, przejmując w 1945 r. schedę w Białym Domu po zmarłym Rooseveltcie, nie miał żadnego doświadczenia na arenie międzynarodowej, a przypadło mu zadanie dokończenia dzieła wielkiego poprzednika – zorganizowania powojennego świata i umocnienia

dominującej pozycji Stanów Zjednoczonych. Truman zaprojektował i zrealizował doktrynę „powstrzymywania”, która zakładała dwubiegową podział świata, gdzie każda z dwóch części poddana jest rządowi opierającym się na odmiennym systemie politycznym i gospodarczym. Światu zachodniemu – demokracji i wolnego rynku, przewodziły Stany Zjednoczone, które zapowiadały opór przeciwko dalszym próbom poszerzania radzieckich wpływów. Temu właśnie miała służyć siła i ranga Ameryki. Tę amerykańską strategię na następne dziesiątki lat prezydent zdefiniował bardzo prosto. Deklarując w 1947 r. pomoc USA dla Grecji i Turcji, powiedział, że „polityką Stanów Zjednoczonych musi być udzielanie poparcia dla wolnych społeczeństw, które narażone są na próby zniewolenia ich przez zbrojne mniejszości lub przez naciski zewnętrzne”²⁰. Składając taką deklarację, Stany Zjednoczone, jako lider, już wówczas musiały mieć poczucie swej niekwestionowanej siły i mocy „zbawiania świata”.

Najbardziej spektakularnym przykładem tej nowej projekcji amerykańskiej potęgi na zewnątrz było utworzenie w 1949 r. Organizacji Paktu Północnoatlantyckiego. Dominującą rolę w NATO odgrywały Stany Zjednoczone jako najsilniejszy jego członek, zarówno pod względem militarnym, politycznym, jak i ekonomicznym. W ten sposób USA, wspierane blisko 350 tys. żołnierzy amerykańskich stacjonujących w Europie, stały się najważniejszym supermocarstwem na arenie europejskiej. Podjęte zobowiązania wojskowe obrony zachodniej części Europy od Spitsbergenu do „muru berlińskiego”, a także niektórych państw Bliskiego Wschodu i dalej aż po azjatyckie granice to sytuacja w dziejach USA bez precedensu. Było to bowiem wyraźne zerwanie z zasadą unikania przez Amerykę zobowiązań w Europie. Nic dziwnego, że wielokrotnie i przy różnych okazjach w Kongresie padały pytania: dlaczego nad bezpieczeństwem świata nie może czuwać jedynie ONZ; ile kosztować będzie Stany Zjednoczone odgrywanie roli policjanta w świecie; a nawet, czy nie ma przesady w twierdzeniu o radzieckim zagrożeniu?

Takich wątpliwości nie mieli w zasadzie europejscy sojusznicy Stanów Zjednoczonych, którym bezpieczeństwo gwarantował amerykański

²⁰ Cyt. w: S.E. A m b r o s e, *Rise to Globalism. American Foreign Policy since 1938*, New York 1983, s. 122.

ski parasol ochronny. Poza tym to, co w dziedzinie wojskowej i politycznej stworzyło NATO, w sferze gospodarczej dokonał plan Marshalla, pogłębiając zrodzony w 1945 r. podział Europy na dwa przeciwstawne światy i wiążąc Amerykę z kontynentem europejskim, także w sferze gospodarczej. Udzielając Europie Zachodniej w latach 1948-1952 pomocy w wysokości 13,2 mld USD, Stany Zjednoczone umożliwiły zlikwidowanie zniszczeń i odbudowę gospodarki, przywróciły optymizm i potwierdziły swą rolę lidera świata zachodniego.

Powstanie NATO i plan Marshalla to jedynie elementy procesu rozszerzania amerykańskich zobowiązań w świecie. Pakt Rio de Janeiro (1947 r.) i specjalne porozumienie z Kanadą oznaczały, że Stany Zjednoczone przyjęły na siebie odpowiedzialność za obronę całej półkuli zachodniej. Pakt ANZUS, podpisany w 1951 r., nałożył na Amerykę obowiązki dotyczące południowo-zachodniego Pacyfiku. Wyzwaniem dla amerykańskiego przywództwa w wolnym świecie była wojna koreańska (1950-1953), w której Stany Zjednoczone odniosły jedynie połowiczne zwycięstwo – Moskwie nie udało się pozyskać dla swych wpływów całej Korei, ale Amerykanom nie powiódł się zamiar utrzymania jedności państwowej Korei. Wojna koreańska spowodowała jednak nasilenie zbrojeń w USA oraz wzrost ich sił zbrojnych do ponad 3 mln żołnierzy. Doprowadziła też do podpisania przez Stany Zjednoczone kilku traktatów bilateralnych zobowiązujących Waszyngton do udzielania pomocy krajom leżącym wzdłuż „krawędzi” Azji: Japonii, Korei Płd., Tajwanowi i Filipinom. W 1954 r. zostało to wsparte dodatkowo utworzeniem SEATO. Na Bliskim Wschodzie Stany Zjednoczone stały się głównym sponsorem innego ugrupowania regionalnego – Paktu Bagdadzkiego z 1955 r. (później CENTO). Zawarły również specjalne porozumienia z Izraelem, Arabią Saudyjską i Jordanią. Przywództwo Ameryki zyskało walor globalny.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Stany Zjednoczone miały ponad milion żołnierzy na terytorium 30 krajów, były najważniejszym członkiem czterech regionalnych organizacji obronnych i aktywnym uczestnikiem piątej. Zawarły układy o obronie wzajemnej z 42 państwami, należały do 53 organizacji międzynarodowych i udzielały pomocy gospodarczej oraz wojskowej niemal 100 państwom w świecie. Sieć zobowiązań, sojuszy i uwikłań tworzyła szerokie zaplecze polityczne, które Ameryka

mogła swobodnie wykorzystywać dla realizacji swych celów, np. na forum ONZ. Jednak trudno nie dostrzec, że na przeciwnym biegunie trwał Związek Radziecki, który umacniał i rozszerzał własną strefę wpływów, a pod względem militarnym stanowił jedyne realne wyzwanie dla amerykańskiej potęgi.

Wykorzystując swój potencjał i status lidera wolnego świata, Stany Zjednoczone zaangażowały się także w tworzenie i umacnianie światowego porządku gospodarczego. Stąd pakiet rozwiązań międzynarodowych, z których część była pomysłem jeszcze Roosevelta: Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju oraz późniejszy Układ Ogólny w Sprawie Ceł i Handlu (*GATT*). Kraje, które chciały zapewnić sobie środki finansowe, musiały się podporządkować amerykańskim wymogom w sprawie wymienialności waluty i otwartej konkurencji. W ten sposób dolar stał się kolejnym atrybutem pozycji USA w świecie.

Kiedy Truman obejmował prezydenturę, miał w zamierzeniu powrócić do tradycyjnej polityki amerykańskiej – niezaangażowania. Gdy w styczniu 1953 r. opuszczał Biały Dom, obecność amerykańska dostrzegalna była na każdym kontynencie, i to w aspekcie politycznym, wojskowym i ekonomicznym, a nawet kulturalnym. Wykreował też Stany Zjednoczone na przywódcę świata wolnego. Ten obraz niepokonanego i skutecznego supermocarstwa trwał przez cały okres zimnej wojny.

Choć trudno nie dostrzec, że wyraźną rysą na tym wizerunku była wojna wietnamska, która zakończyła się klęską sił południowowietnamskich, wspieranych przez coraz liczniejszy kontyngent wojsk amerykańskich (w sumie w latach 1964-1973 przez amerykańskie siły zbrojne przewinęło się 8 mln żołnierzy). Pomimo że Stany Zjednoczone rzuciły do walki z komunistycznym *Vietcongiem* i wojskiem Wietnamu Północnego znaczącą część swojego potencjału militarnego, wyłączając broń jądrową i biologiczną, to jednak przegrały z przeciwnikiem, który ani pod względem gospodarczym, ani militarnym nie mógł się równać z Ameryką.

Co więcej, Wietnam był nie tylko militarną porażką czy polityczną skazą na prestiżu Ameryki. Ucierpiał moralny wizerunek mocarstwa. Amerykańskie zaangażowanie w Wietnamie nazywano bowiem brudną wojną, gdyż Guliwer walczył z liliputem (choć nieformalnie wspie-

rany przez świat komunistyczny). Nie pomogło tradycyjne odwoływanie się do demokracji i konieczności jej obrony. Tym razem użył argument o wypełnianiu przez USA misji obrony wolności przeciwko zagrożeniu nie zdołał zmienić kampanii wojskowej w krucjatę. Zwłaszcza że po raz pierwszy w dziejach wojna ta dzięki telewizji była na tak wielką skalę śledzona na bieżąco, a przykłady wojennego okrucieństwa podważały zasadność interwencji i obnażały jej niehumanitarny aspekt. W Stanach Zjednoczonych m.in. protest przeciwko wojnie w Wietnamie stał się zaczynem wielkiego ruchu hippisowskiego wśród amerykańskiej młodzieży, a z czasem przeobraził się w tzw. syndrom wietnamski, na który składały się: niechęć opinii publicznej wobec wojskowych, opór polityków przeciwko wysyłaniu żołnierzy na zagraniczne misje i interwencje zbrojne, wreszcie obawy wojskowych przed prowadzeniem wojny w trudnych, odległych regionach.

Spadek autorytetu Ameryki najlepiej można było zaobserwować w Europie Zachodniej, gdzie młodzieżowa rewolta 1968 r. – ku zaskoczeniu wielu – zyskała silny antyamerykański podtekst, a poparcie dla Wietnamczyków stało się głównym elementem wykrzykiwanych na ulicach hasła. Nie miało to jeszcze bezpośredniego przełożenia na stosunek polityków i rządów państw Europy Zachodniej do Ameryki. Daleko było do zakwestionowania amerykańskiego przywództwa. Świat nadal był podzielony i groźba eskalacji komunistycznego zagrożenia wciąż istniała, Ameryka pozostała więc niepodważalnym gwarantem bezpieczeństwa wolnego świata i czynnikiem spajającym państwa Zachodu. Nie ma bowiem silniejszego spoiwa niż poczucie wspólnego zagrożenia. Takim zagrożeniem dla Zachodu przez blisko pół wieku była potęga militarna i nieskrywane ambicje imperialne Moskwy. Tylko Stany Zjednoczone mogły stanowić dla niej przeciwwagę

Koniec zimnej wojny oznaczał dla amerykańskiego przywództwa w świecie zupełnie nową sytuację. Z jednej strony upadek komunizmu zdawał się sugerować realną już perspektywę stworzenia *liberal world order*, do którego dążył – jak pamiętamy – Roosevelt²¹. Ale przede wszystkim rozpad Związku Radzieckiego oznaczał zastąpienie dotychczasowej polaryzacji na scenie światowej dominacją Stanów Zjednoczonych, teraz jedyne już supermocarstwa. O jego potęgę decydowały: najbardziej konkurencyjna i najbardziej wydajna gospodarka w świecie, największy potencjał wojskowy, ekspansywna kultura i technologia, niekwestionowana siła polityczna, potwierdzona zwycięstwem w zimnej wojnie²². W skali globalnej powstała więc sytuacja nie mająca precedensu w dziejach nowożytnych i dlatego utrzymanie amerykańskiego przywództwa wydawało się czymś naturalnym oraz oczywistym.

Z drugiej jednak strony zniknięcie zagrożeń zimnowojennych postawiło pod znakiem zapytania potrzebę istnienia takiego przywództwa. Problem ten, wielokrotnie już w historii Ameryki dyskutowany, po 1989 r. odżył ze zdwojoną siłą. Powrócono więc do narodowej debaty o istocie żywotnych interesów Ameryki, celach i zadaniach jej polityki zagranicznej,

²¹ Tak sytuację widział F. Fukuyama, który uznał, że wraz z końcem komunizmu, głównego wroga liberalizmu, demokracji i wolnego rynku, to te właśnie wartości zatriumfują teraz w świecie, F. F u k u y a m a, *The End of History*, „The National Interest” Summer 1989, No. 16 (w j. polskim: *Koniec historii*, Poznań 1996).

²² Zob. Z. B r z e z i ń s k i, *Wielka szachownica. Główne cele polityki amerykańskiej*, Warszawa 1998, s. 28.

zakresie amerykańskich zobowiązań w świecie. W tej dyskusji na jednym biegunie występowali tzw. neoizolacjoniści, domagający się ograniczenia amerykańskich zobowiązań w świecie lub wręcz powrotu do stanu z lat dwudziestych i trzydziestych XX w. Dowodzili oni, że Ameryka powinna skoncentrować się na pomnażaniu swych wewnętrznych zasobów i umocnieniu potencjału gospodarczego, natomiast takie cele, jak stabilizacja w świecie, budowa porządku międzynarodowego lub umacnianie demokracji w odległych często regionach świata są zbyt kosztowne i trudne do zrealizowania. „To nieprawda, że są to cele możliwe do osiągnięcia za rozsądną cenę. Jeszcze mniejsze jest prawdopodobieństwo, że nawet zdwojona aktywność USA doprowadzi do ich realizacji” – pisał Ted Galen Carpenter, główny ekspert ds. polityki zagranicznej w konserwatywnym *Cato Institute* ²³.

Przeciwniegią grupę tworzyli natomiast zwolennicy zaangażowania, którzy dowodzili, że amerykańska aktywność na arenie międzynarodowej jest koniecznością dziejową, służącą nie tylko potrzebom globalnym, ale i żywotnym interesom USA. Dopóki zaś interesy amerykańskie będą miały charakter globalny, dopóty kraj ten będzie zmuszony angażować się za granicą, a nawet sprawować przywództwo. „Ameryka nie może sobie pozwolić na odwracanie się od różnych problemów pod pretekstem, że żaden z nich nie zasługuje na uwagę i nie zagraża naszemu fizycznemu bezpieczeństwu, tak jak mu kiedyś zagrażał Związek Radziecki” – pisał Stanley Hoffmann, profesor w *Harvard University*. Przestrzegął, że „całkowite wycofanie się Ameryki po to, by zająć się wyłącznie reformami wewnętrznymi, byłoby ze względów moralnych i politycznych poważnym błędem, porównywalnym ze zwrotem ku izolacjonizmowi w latach 1919-1920”²⁴.

²³ Zob. T.G. Carpenter, *The New World Disorder*, „Foreign Affairs” Fall 1991, No. 84, s. 24 i n., także: t e n ż e, *Beyond NATO. Staying out of Europe’s Wars*, Cato Institute 1994, *passim*; B.C. S c h w a r z, „Cold War” *Continuities: US Economic and Security Strategy Towards Europe*, „The Journal of Strategic Studies” December 1994, No. 4, *passim*.

²⁴ Zob. S. H o f f m a n n, *A New World and Its Troubles*, „Foreign Affairs” Fall 1990, No. 4, s. 115-122, także: R.D. A s m u s, *The Rise – or Fall? – of Multilateralism: America’s New Foreign Policy and What it Means for Europe*, w: M. Cornvale (ed.), *European Se-*

Można przyjąć, że rzeczywisty dylemat, przed jakim stanęła wówczas polityka Stanów Zjednoczonych, nie dotyczył wyboru między izolacjonizmem a zaangażowaniem, ile polegał na określeniu metod i sposobów sprostania zobowiązaniom międzynarodowym czasu pozimnowojennego. Stany Zjednoczone jako jedyne supermocarstwo nie mogły się wyrzec odpowiedzialności za bieg spraw na arenie światowej. Zwłaszcza że świat, a głównie jego środkowa i wschodnioeuropejska część, wszedł w trudny okres transformacji oraz poszukiwań skutecznych gwarancji bezpieczeństwa. Efektem było pojawienie się nowych zagrożeń i wyzwań.

Prezydent George H.W. Bush – zwolennik zaangażowania Stanów Zjednoczonych w skali globalnej – gotowy był podjąć te wyzwania i nie tylko grać rolę lidera, ale też aktywnie uczestniczyć w tworzeniu pozimnowojennego ładu w świecie. Sformułował nawet koncepcję określoną mianem „nowego porządku światowego”, która była syntezą ambicji Ameryki do modelowania świata według własnych wyobrażeń – *liberal world order* oraz pragmatycznych celów jej dyplomacji. Była to zarazem próba połączenia idei wyłącznie amerykańskiego przewodzenia (czyli unilateralizmu) ze współpracą wielostronną (czyli multilateralizmu)²⁵.

Taki charakter miała zbrojna interwencja w Zatoce Perskiej, której celem było zmuszenie Iraku do opuszczenia bezprawnie zaanektowanego Kuwejtu. Administracja Busha doprowadziła w drugiej połowie 1990 r. do utworzenia bezprecedensowej międzynarodowej koalicji skupiającej, obok sojuszników z NATO, m.in. także Związek Radziecki i europejskie kraje pokomunistyczne, państwa arabskie oraz nieformalnie wspierający koalicję Izrael. Udało się również uzyskać mandat ONZ, co nadało akcji charakter całkowicie legalny z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Błyskotliwe zwycięstwo koalicji pod przywództwem USA na początku 1991 r. potwierdziło i umocniło rangę Stanów Zjednoczonych w świecie.

curity and International Institutions after the Cold War, London 1995, s. 156; R. D o l e, *Shaping America's Global Future*, „Foreign Affairs” Spring 1995, *passim*.

²⁵ L. M a r t i n, *The Changing Role of the United States in Global Order*, w: S. Sato, T. Taylor (ed.), *The Security Challenges for Japan and Europe in a Post-Cold War Order*, London 1993, s. 86.

Warto jednak w tym miejscu wspomnieć, że interwencja zbrojna w obronie Kuwejtu, zwana też pierwszą wojną w Zatoce Perskiej, nie spotkała się z pełną aprobatą amerykańskiej opinii publicznej – sondaż przeprowadzony w listopadzie 1990 r. pokazywał, że 51 proc. Amerykanów sprzeciwia się użyciu wojsk w obronie Kuwejtu, jedynie 37 proc. – taką akcją popierało, większość natomiast opowiadała się wyłącznie za sankcjami ekonomicznymi²⁶. Co więcej, nie zyskała ona też solidarnego poparcia ze strony polityków amerykańskich – rezolucja upoważniająca prezydenta do użycia sił zbrojnych, aby zmusić Irak do wycofania się z Kuwejtu, przeszła w Senacie 12 stycznia 1991 r., a więc na 4 dni przed planowanym atakiem, stosunkiem głosów zaledwie 52 do 47 (w Izbie Reprezentantów rezolucję przyjęto stosunkiem głosów 250 do 183). Było to najmniejsze poparcie, jakiego kiedykolwiek udzielono rezolucji dotyczącej wypowiedzenia wojny²⁷. Oznaczało to wyraźną polaryzację postaw Amerykanów wobec amerykańskich interwencji zbrojnych i poniekąd wobec wypełnienia przez USA obowiązków lidera, strzegącego bezpieczeństwa w świecie.

Zresztą już G.H.W. Bush zetknął się z poważnym problemem kwestionowania amerykańskiego przywództwa także ze strony najbliższych sojuszników zachodnioeuropejskich. Rozpad Związku Radzieckiego pozbawił Amerykę i Europę wspólnego wroga, zmniejszyła się zatem zależność Starego Kontynentu od amerykańskiej obrony militarnej. Stany Zjednoczone i Europa Zachodnia straciły tę strategiczną harmonię i militarną konieczność, które istniały w okresie zimnej wojny. Tym bardziej że postępujący proces integracji europejskiej wzmacniał w Europie Zachodniej poczucie siły politycznej i gospodarczej. Rosło więc przekonanie o potrzebie uniezależnienia się od wpływów Stanów Zjednoczonych, czego efektem były podjęte próby tworzenia europejskiej polityki obronnej i bezpieczeństwa²⁸.

²⁶ Cyt. w: R. K a g a n, *Superpowers Don't Get to Retire. What our tired country still owes the world*, „The New Republic” May 26, 2014, www.newrepublic.com/article/117859/allure-normalcy-what-america-still-owes, s. 18.

²⁷ Zob. szerzej: G. B u s h, B. S c o w c r o f t, *Świat przekształcony*, Warszawa 2000, s. 457-459.

²⁸ Zob. szerzej: J. K i e r s k a, *Gra o Europę. Bezpieczeństwo europejskie w polityce Stanów Zjednoczonych pod koniec XX wieku*, Poznań 2000, s. 123-129.

Waszyngton dość sceptycznie i z ledwo zawoalowaną dezaprobatą odnosił się do prób budowania autonomicznych wobec NATO struktur wojskowych w Europie. Obawiano się podważenia roli Ameryki na kontynencie europejskim, a tym samym osłabienia jej globalnej pozycji. Słusznie przewidywano, że jest to gra Paryża, który jednak tym razem znajduje większe zrozumienie w innych stolicach europejskich, zwłaszcza w zjednoczonych już Niemczech²⁹. Pomimo to administracja G.H.W. Busha do końca urzędowania w Białym Domu podkreślała wagę amerykańskiego przywództwa wobec Europy i świata. Wspierana była w tym przez najbardziej zagorzałych rzeczników *Pax Americana*. „Największą nadzieję na zachowanie bezpieczeństwa powinniśmy pokładać w sile i woli Ameryki – w sile pozwalającej uznać jednobiegunowy charakter świata i w woli przewodzenia takiemu światu” – przekonywał Charles Krauthammer, główny konserwatywny publicysta amerykański³⁰. Tak więc, choć nasilała się krytyka ze strony polityków opozycyjnej wobec prezydenta Partii Demokratycznej, żądających obniżenia wydatków wojskowych i przeznaczenia uzyskanych środków na inne, społeczne cele, Biały Dom nie zamierzał ograniczać zaangażowania w świecie³¹.

Demokrata William J. Clinton, gdy w styczniu 1993 r. przejmował władzę w Białym Domu, nie wydawał się początkowo zaniepokojony faktem kwestionowania amerykańskiego przywództwa. Objął on najwyższy urząd w państwie z zamiarem skoncentrowania się na polityce wewnętrznej – walce z recesją oraz deficytem budżetowym i temu priorytetowi podporządkował problemy polityki zagranicznej. Zresztą swą kampanię wyborczą Clinton prowadził pod hasłem *It's economy, stupid* („Gospodarka, głupcze”), co było chwytliwą trawestacją słynne-

²⁹ Ch. K r u p n i c k, *Not What They Wanted: American Policy and the European Security and Defense Identity*, w: A. Moens, Ch. Anstis (ed.), *Disconcerted Europe. The Search for a New Security Architecture*, Boulder – San Francisco – Oxford 1994, s. 122-124.

³⁰ Ch. K r a u t h a m m e r, *The Lonely Superpowers*, „New Republic” 29 VII 1991, s. 16.

³¹ Zob. R. D. A s m u s, *The Rise – or Fall?...*, s. 159-160; także M. B r e n n e r, P. W i l l i a m s, *The United States and European Security in the 1990s*, w: C. McInnes (ed.), *Strategy in the New Europe*, London 1992, s. 159.

go hasła W.G. Hardinga z kampanii prezydenckiej 1920 r. – *America First*. Odpowiadało to znacznej części Amerykanów, która oczekiwała raczej oferty programowej odnoszącej się do kwestii gospodarczych i społecznych niż koncentracji energii na polityce zagranicznej i rozwiązywaniu problemów świata. Wraz z wyborem Clintona wysunięto więc pospieszny wniosek, że wahadło historii ponownie przesunęło się w stronę izolacjonizmu.

Jednak scena międzynarodowa szybko zaabsorbowała politykę amerykańską. Bliski Wschód, Somalia, Haiti, konflikt na Bałkanach, debata nad rozszerzeniem NATO, niepewność co do sytuacji w Rosji oraz w byłych republikach radzieckich spowodowały, że administracja Clintona – choć niechętnie – musiała zwrócić większą uwagę na otoczenie zewnętrzne, a z czasem zaakceptować zobowiązania związane z przywódczą rolą Ameryki. W sytuacji gdy niekwestionowana siła militarna i polityczna były po stronie USA, powrót do wstrzemięźliwości w polityce zagranicznej był niemożliwy. Przestrzegał przed tym były sekretarz stanu i wnikliwy komentator Henry Kissinger, dowodzący, że brak aktywności międzynarodowej „skaże Stany Zjednoczone na postępujący zanik ich znaczenia w świecie, a sam świat na pogłębiającą się niestabilność”³².

Początkowo idea multilateralizmu bardziej niż działanie w pojedynkę przyswieceła polityce Clintona. Taka taktyka uwzględniała – w przekonaniu administracji prezydenta – zarówno interesy amerykańskie, jak i realia nowego, współzależnego świata. Dążono również do legitymizacji działań poprzez uzyskanie mandatu organizacji międzynarodowych, głównie ONZ. W rzeczywistości często oznaczało to chwiejność i kunktatorstwo w działaniu, zrzucanie odpowiedzialności na organizacje i struktury międzynarodowe, czyli *de facto* zmniejszoną aktywność Waszyngtonu na scenie światowej. Propagowany przez Biały Dom multilateralizm spotkał się więc z ostrą krytyką ze strony przeciwników osłabiania roli USA w świecie oraz ograniczania ich swobody działania. Krytyka ta szczególnie ostro formułowana była w szeregach Partii Republikańskiej. Pomysł, aby decyzje Stanów Zjednoczonych podlegały aprobacie ze strony ONZ, uznano za „paranoiczne fantazjo-

³² H. Kissinger, *At Sea in a New World*, „Newsweek” 6 VI 1994.

wanie, spotęgowane przez brak zdecydowania administracji Clintona i jej retorykę³³.

Słabości tkwiące w doktrynie multilateralizmu z czasem dostrzegła również ekipa Clintona. Doświadczenia amerykańskie związane z nieudaną akcją humanitarną w Somalii (1992-1994)³⁴, a następnie kryzysem w Bośni i Hercegowinie (1992-1995)³⁵ potwierdziły konieczność istnienia zdecydowanego przywództwa. Ograniczona aktywność USA na forum międzynarodowym coraz wyraźniej narażała też na szwank ich prestiż i rangę. W rezultacie poprzedni entuzjazm dla działań wielostronnych uległ stonowaniu. Deklarowano, że działanie w pojedynkę lub partnerstwie z innymi będzie się podejmować w zależności od tego, co będzie najefektywniejsze w danych okolicznościach. Z niemałą jednak mocą podkreślano, że wszelkim działaniom, nawet z mandatem ONZ lub pod flagą NATO, będą przewodziły Stany Zjednoczone.

Zresztą także sojusznicy Ameryki, szczególnie w Europie, oczekiwali jej większej skuteczności i zdecydowania. Aczkolwiek na początku lat dziewięćdziesiątych wydawało się, że Europejczycy z utęsknieniem czekają na chwilę, w której Amerykanie opuszczą Stary Kontynent i zaczną zajmować się własnymi sprawami, to zwłaszcza konflikt na Bałkanach udowodnił, że myślenie o czysto europejskim systemie bezpieczeństwa, bez udziału Stanów Zjednoczonych, będzie jeszcze długo nierealne. Wobec niemożności Europy i organizacji międzyna-

³³ H. Grunwald w „Time” 26 VI 1995; zob. także J.J. Kirkpatrick, *Defining a Conservative Foreign Policy*, „The Heritage Lectures” 25 II 1993.

³⁴ Brak wyraźnego przywództwa i tym samym koordynacji działań stał się przyczyną ogromnego zamętu oraz małej skuteczności, jakie towarzyszyły operacji prowadzonej pod flagą ONZ. W październiku 1993 r. zabito 18 żołnierzy amerykańskich, a ich ciała miejscowa ludność wlokła ulicami Mogadyszu. Taki obraz, upokarzający jedyne supermocarstwo, miliony Amerykanów zobaczyło na ekranach swych telewizorów.

³⁵ Przez kilka lat państwa europejskie i USA – wykazując brak zdecydowania i skuteczności – nie były w stanie powstrzymać krwawej wojny, toczonej między bośniackimi Serbami z jednej strony a Chorwatami i muzułmanami, dążącymi do utrzymania niepodległego i integralnego państwa – z drugiej. Okazało się, że różne organizacje (ONZ, KBWE/OBWE) oraz liczne inicjatywy są niewiele warte bez wyraźnego lidera i jego zdecydowanej woli działania, także militarnego.

wych poradzenia sobie z konfliktem w Bośni i Hercegowinie, wszyscy spoglądali w stronę Waszyngtonu³⁶.

Administracja Clintona w poczuciu, że świat oczekuje zdecydowanego przywództwa amerykańskiego i w przekonaniu, że nie można dalej narażać na szwank prestiżu Ameryki, podjęła brawurowe działania. Najpierw w 1994 r. przeprowadzono skuteczną interwencję zbrojną na Haiti. Następnie, wykazując niezwykłą stanowczość i determinację, USA zainicjowały w lecie 1995 r. serię rozległych ataków lotniczych na pozycje serbskie w Bośni i Hercegowinie. Okazało się, podobnie jak to było wcześniej w Zatoce Perskiej, że siła jest czasem skutecznym środkiem uprawiania polityki. Wymuszając w ten sposób negocjacje pokojowe, Ameryka wzięła na siebie odpowiedzialność za zakończenie wojny w Bośni i Hercegowinie. Stronom zaangażowanym w konflikt przedstawiono amerykański plan jego rozwiązania. Negocjacje zakończono w grudniu 1995 r. podpisaniem układu pokojowego.

Panowały dość zgodne opinie, że Stany Zjednoczone pod wpływem doświadczeń z byłej Jugosławii powróciły z całą siłą nie tylko do polityki zaangażowania w świecie, ale przede wszystkim do roli lidera globalnego. „Jedynie my możemy przewodzić. Jaki byłby świat bez amerykańskiego przywództwa” – pytał retorycznie sekretarz stanu Warren Christopher, wcześniej uosabiający bierność i nieskuteczność amerykańskiej dyplomacji³⁷. Stało się coś jeszcze, ekipa Clintona, dotąd zdawało się ogarnięta „syndromem Wietnamu”, przełamała niechęć wobec stosowania siły militarnej i gotowa była wysyłać amerykańskich żołnierzy na pola bitwy, nawet do odległych części świata, tradycyjnie już uzasadniając to koniecznością zabezpieczenia nie tyle interesów amerykańskich, ile wolnego świata.

Rolę zdecydowanego i skutecznego lidera Ameryka odegrała także podczas konfliktu w Kosowie, niegdyś autonomicznej prowincji w republice serbskiej. Tym razem Stany Zjednoczone, nauczone doświadczeniem z Bośni i Hercegowiny, nie zwlekały zbyt długo z użyciem na Bałkanach argumentu siły. Gdy Serbia pomimo presji i gróźb nie przerwała polityki czystek etnicznych w Kosowie i odrzuciła z takim

³⁶ Zob. szerzej: J. K i w e r s k a, *Gra o Europę...*, s. 82-83.

³⁷ W. C h r i s t o p h e r, *America's Leadership, America's Opportunity*, „Foreign Policy” Spring 1995, No. 98, s. 8.

trudem wynegocjowane porozumienie z Rambouillet, zdecydowano się działać. Operacja militarna *Allied Force*, rozpoczęta 24 marca 1999 r. bez mandatu ONZ, była pierwszą akcją ofensywną, jaką w swej 50-letniej historii realizowało NATO. Po raz pierwszy też sojusz państw demokratycznych zdecydował się interweniować w imię praw człowieka, odrzucając zasadę poszanowania suwerenności państwa. Stało się to powodem silnych kontrowersji oraz zarzutów, że w stosunkach międzynarodowych pojawił się groźny precedens. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że naruszono prawo międzynarodowe, a Stany Zjednoczone okazały się kreatorem odmiennych od powszechnie przyjętych w świecie demokratycznym zasad postępowania.

U źródeł determinacji Waszyngtonu leżało jednak przekonanie, że konflikt w Kosowie nie ma naturalnych granic i jego eskalacja może zagrozić całej Europie. Zdecydowały też racje wiążące się z tradycyjną misją amerykańską: była to bowiem akcja w obronie zasad i wartości, zwłaszcza praw człowieka. Z tych przyczyn Ameryka nie miała problemu, aby do swych racji przekonać sojuszników europejskich. Tym razem uznali oni wyższość praw człowieka nad poszanowaniem suwerenności państwa, zwłaszcza że konflikt ten toczył się blisko ich granic. Pytaniem zasadniczym było jednak to, czy interwencja w Kosowie, kontrowersyjna z prawnego punktu widzenia, będzie precedensem. Czy nie tworzy się w ten sposób sytuacji, że supermocarstwo lub grupa mocarstw przyznaje sobie prawo interweniowania, gdy tylko uzna, że zagrożone są normy, które wyznaje? Czy nie pojawi się dyktat „mścicieli” – używając określenia Aleksandra Smolara – którzy wezmą na siebie zadania obrony światowego ładu i porządku?³⁸ Ale wówczas problem ten rozważany był głównie na poziomie dysput akademickich, w mniejszym stopniu zaprzatając uwagę rządzących polityków. Nie był też podstawą do kwestionowania amerykańskiego przywództwa. Raczej je nawet wzmacniał, uwypuklając moralny i humanitarny imperatyw amerykańskiej dominacji.

Niewątpliwie procesem, który znacząco cementował amerykańskie przywództwo w Europie i świecie, było także rozszerzenie NATO. Przyjęcie w marcu 1999 r. do Paktu Północnoatlantyckiego pierwszych

³⁸ A. S m o l a r, *Próba ognia i wody*, „Gazeta Wyborcza” 10-11 IV 1999.

trzech państw z Europy Środkowo-Wschodniej oznaczało nie tylko przesunięcie na wschód obszaru bezpieczeństwa, gwarantowanego przez ten wyjątkowy w dziejach sojusz wojskowo-polityczny, ale także silniejsze związanie całego kontynentu europejskiego ze Stanami Zjednoczonymi oraz utwierdzenie ich w roli lidera. Wszak nowymi państwami członkowskimi NATO stały się Polska, Czechy i Węgry, w których przeważająca część opinii publicznej tradycyjnie traktowała Amerykę jako wymarzonego sojusznika strategicznego i naturalnego przywódcę wolnego świata.

Stany Zjednoczone początkowo nie były skłonne wziąć pod uwagę interesów państw z Europy Środkowo-Wschodniej, które jedyną skuteczną gwarancję bezpieczeństwa wiązały z NATO i dlatego już w 1991 r. zgłosiły do niego swój akces. Prezydent G.H.W. Bush nie zdążył poważnie podjąć tego wyzwania. Natomiast administrację Clintona absorbowała przede wszystkim koncepcja budowy „strategicznego partnerstwa” z Rosją. Jego istotę można było określić następująco: dotychczasowy cel, jakim było powstrzymanie radzieckiej ekspansji, należy zastąpić budowaniem bliskich stosunków z Rosją i wspólnie z nią rozwiązywać problemy pozimnowojenne. Uznając, że przyjęcie do NATO państw z byłego bloku radzieckiego zmieni układ sił na kontynencie i sprawi, że Rosja poczuje się zagrożona, administracja Clintona wręcz zablokowała realizację procesu rozszerzenia Sojuszu. Nie chciała zdrażniania stosunków z Moskwą, wolała dzielić się z nią przywództwem w świecie.

Po pewnym czasie jednak okazało się, że Rosja, ogarnięta chaosem i niepewnością co do kierunku rozwoju, nie jest w stanie pełnić roli „strategicznego partnera” Stanów Zjednoczonych. „Uczynienie z Rosji centrum amerykańskiej polityki atlantyckiej oznacza powierzenie niesłychanie odpowiedzialnej roli jednemu z najbardziej niestabilnych państw świata” – pisał H. Kissinger³⁹. W innych wypowiedziach atakowano samą istotę „strategicznego partnerstwa”. Republikański senator Richard Lugar pytał: „Na czym oprzeć to partnerstwo? Przecież Rosja nie jest partnerem, ale rywalem Stanów

³⁹ H. Kissinger, *At Sea in a New World...*

Zjednoczonych⁴⁰. „Nie ma wspólnoty celów oraz interesów Ameryki i Rosji. Na czym więc budować to partnerstwo?” – zastanawiał się również Zbigniew Brzeziński, doradca ds. bezpieczeństwa w administracji Jamesa E. Cartera i wybitny znawca stosunków międzynarodowych⁴¹.

Gdy więc świadomość tego, że Rosja nie jest tym partnerem, z którego Waszyngton – nie narażając się na obniżenie swego prestiżu i powagi – może uczynić niemal „kamień węgielny” swej polityki światowej i wspólnie z nim rozwiązywać problemy, dotarła do Białego Domu, proces rozszerzania NATO nabrał tempa. Administracja Clintona, angażując się od końca 1996 r. z całą mocą w kampanię na rzecz otwarcia NATO na Wschód, potwierdzała, że uznaje ten proces za czynnik nie tylko umocnienia roli USA w Europie, ale i utwierdzenia ich globalnego przywództwa, którego Sojusz Północnoatlantycki stanowił ważny filar.

Jakkolwiek w okresie prezydentury Clintona przywództwo amerykańskie było niekwestionowanym faktem, to jednak nie znaczyło to, że Waszyngton mógł dyktować warunki i narzucać swą wolę bez ograniczeń. Amerykanie byli świadomi rosnących ambicji Europy Zachodniej, zintegrowanej już w Unii Europejskiej i zainteresowanej coraz bardziej prowadzeniem wspólnej polityki w zakresie bezpieczeństwa, czego efektem mogło być podważenie amerykańskiego prymatu i rosnące trudności w wypełnianiu misji Ameryki. Zaniepokojenie administracji Clintona budziły też nowe wyzwania, zwłaszcza zagrożenie terroryzmem międzynarodowym i proliferacją broni masowego rażenia. Waszyngton oczekiwał, że w walce z tymi globalnymi zagrożeniami sojusznicy europejscy odegrają rolę partnera. W styczniu 1998 r., wraz z ponownym wzrostem napięcia w rejonie Zatoki Perskiej, USA zabiegały o poparcie sojuszników dla ewentualnych ataków lotniczych na Irak⁴². Spotkały się ze zdecydowaną odmową ze strony większości państw członkowskich NATO, jedynie Brytyjczycy zadeklarowali po-

⁴⁰ R. L u g a r, *NATO: Out of Area or Out of Business*, U.S. Policy Information and Texts, July 8, 1993.

⁴¹ Z. B r z e z i n s k i, *Premature Partnership*, „Foreign Affairs” March/April 1994, No. 2, s. 29.

⁴² Władze Iraku zablokowały prace grupy ekspertów Komisji ONZ ds. Rozbrojenia Iraku, sprzeciwiając się kontroli swych obiektów strategicznych oraz rezydencji prezydenckich. Było to wyraźne pogwałcenie rezolucji Rady Bezpieczeństwa.

moc. W ten sposób uświadomiono administracji Clintona, że Europa nie jest już posłusznym wykonawcą zamierzeń Waszyngtonu i nie ma ochoty podejmować zobowiązań globalnych. To jest zadanie Ameryki.

Pomimo różnych zawirowań i zgłaszanych pretensji, początkowego osłabienia aktywności amerykańskiej na forum międzynarodowym, źle ocenianych prób budowania „strategicznego partnerstwa” z Rosją, rysujących się na horyzoncie zagrożeń, bilans ośmiu lat urzędowania Clintona w Białym Domu wypadł pozytywnie. Demokratyczny prezydent pozostawiał po sobie nie tylko nadwyżkę budżetową w wysokości około 300 mld USD, co miało niebagatelne znaczenie dla umocnienia rangi Stanów Zjednoczonych, ale przede wszystkim dobre polityczne perspektywy dla roli Ameryki w świecie. Stany Zjednoczone nadal odcinały kupony od swego zwycięstwa w zimnej wojnie i choćby z tego względu w zasadzie nie kwestionowano ich supremacji. Ameryka utrzymała swój status lidera i kreatora w polityce światowej także dlatego, że brakowało konkurentów na tym polu. Clinton mógł zatem z pełnym przekonaniem podkreślać, że Stany Zjednoczone stanowią „niezbędny” (*indispensable*) czynnik zabezpieczenia porządku światowego⁴³.

Ważne było również to, że administracja Clintona, jakkolwiek podkreślając dominującą rolę USA, starała się jednak przestrzegać zasady multilateralizmu w polityce zagranicznej oraz podejmować działania we współpracy z sojusznikami i – jeśli to możliwe – przy aprobacie społeczności międzynarodowej. Nawet eksponując hasło „szerzenia demokracji”, traktowano je bardziej w kategorii figury retorycznej, a nie celu strategicznego z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami. Tym raczej pozostała tradycyjnie konieczność ochrony liberalnego ładu w świecie, stanowiąca uzasadnienie dla większości inicjatyw i zaangażowania na arenie międzynarodowej. Amerykanie mieli więc poczucie, że ich prezydent dba o optymalny porządek światowy, zabezpiecza amerykańskie interesy za granicą, zmusza innych do respektowania ich kraju i umacnia rolę Stanów Zjednoczonych w świecie. Ale też nie brakowało refleksji, że tak znaczące zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w różnych rejonach kuli ziemskiej nie tylko budzi podziw, ale niekiedy potęguje niechęć i wywołuje irytację, mnożąc Ameryce wrogów w świecie.

⁴³ Zob. R. Kagan, *Superpowers Don't Get to Retire...*, s. 20.

Trudno przesądzić, w jakim stopniu świadomość faktu, że dominacja Stanów Zjednoczonych budzi coraz więcej niechęci w świecie, stanowiła punkt wyjścia dla programu wyborczego syna byłego prezydenta George'a W. Busha, republikańskiego kandydata w wyścigu prezydenckim 2000 r. W każdym razie w tych niezliczonych punktach odnoszących się do polityki zagranicznej był to program krytyczny wobec działań administracji Clintona i chociażby z tego względu skłaniał do przypuszczeń, że gubernatorowi z Teksasu nieobce są zasady izolacjonizmu. Odpowiadając na stwierdzenia wiceprezydenta Alberta Gore'a, pretendenta do Białego Domu z ramienia Partii Demokratycznej, że Ameryka jako jedyne supermocarstwo powinna przewodzić światu i wykorzystując obecność wojskową w różnych krajach, wspierać przemiany demokratyczne, Bush wzywał USA do większej pokory w działaniach poza własnym terytorium i liczenia się z reakcją świata. „Ameryka nie może być wszystkim dla wszystkich. Jesteśmy miłującym wolność krajem i jeśli będziemy aroganccy, to będą nas jako takich traktować, a jeśli będziemy skromni (*humble*), będą nas szanować” – dowodził republikański kandydat⁴⁴. Nie można wykluczyć, że Bush rzeczywiście opowiadał się za większą powściągliwością Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, choć w dużym stopniu ta skłonność gubernatora z Teksasu do ograniczenia amerykańskiego zaangażowania w świecie wpływała z jego ignorancji w sprawach polityki zagranicznej i ogólnej niechęci do zajmowania się problematyką międzynarodową.

⁴⁴ The Second 2000 Gore-Bush Presidential Debate, www.debates.org/pages/trans2000a.html.

Pytaniem zasadniczym pozostało to, czy możliwe będzie utrzymanie przez jedyne supermocarstwo polityki powściągliwej i ograniczonej w celach. Czy nowemu prezydentowi uda się skutecznie uciec od wielkich problemów na arenie międzynarodowej? Wszak daleko na horyzoncie rysował się już pluralizm globalny i widać było ambicje różnych państw budowania wielobiegunowego porządku w świecie. Czy wobec tego sprawy świata nie osaczają prezydenta Busha z taką siłą i w taki sposób, że nie będzie można ich zignorować, a zakres pojęcia *vital interest* znacznie się poszerzy? Przecież Clinton też początkowo zdawał się sugerować, że polityka zagraniczna nie będzie jego pasją, a w końcu na Bałkanach poprowadził NATO na dwie wojny z przyczyn humanitarnych, a także zaangażował Stany Zjednoczone w rozwiązywanie wielu innych problemów globalnych. Wreszcie, czy i jakie rozstrzygnięcia znajdzie G.W. Bush dla starych i nowych wyzwań, w tym już ujawnionego zagrożenia terroryzmem międzynarodowym?

Pierwsze miesiące urzędowania prezydenta Busha potwierdziły przewidywania co do nowego charakteru amerykańskiej polityki zagranicznej. Można było w niej dostrzec ową powściągliwość i skromność, do których odwoływano się w kampanii wyborczej. Poza tym w działaniach nowej administracji liczyły się przede wszystkim żywotny interes Ameryki i punkt widzenia Waszyngtonu, a mniejszą wagę przywiązywano do oczekiwań świata oraz międzynarodowych zobowiązań. Uznano zatem, że w tym momencie interes własny wymaga ograniczenia amerykańskiego zaangażowania w świecie. Dlatego republikańska administracja – w przeciwieństwie do ekipy Clintona – nie wykazywała ochoty do odgrywania aktywnej roli ani w rozwiązywaniu konfliktu na Bliskim Wschodzie, ani w przewyciężeniu sporów między Indiami a Pakistanem, mimo że oba te kraje straszyły się wzajemnie bronią jądrową. Następnie nowa administracja zerwała negocjacje z Koreą Płn. na temat zakazu prac nad bronią nuklearną. Obserwatorzy zastygli w przerażeniu, gdyż groziło to wznowieniem przez Pjongjang prób z raketami wyposażonymi w głowice nuklearne. Z kolei wobec Iraku administracja Busha wykazywała zadziwiająco bierność. Była nawet skłonna zaakceptować francuską propozycję zniesienia lub ograniczenia sankcji ekonomicznych, nałożonych przez ONZ i obowiązku-

jących od 1991 r. Europę z kolei zelektryzowała informacja o zamiarze wycofania amerykańskich żołnierzy z Bośni i Hercegowiny, co groziło osłabieniem z takim trudem budowanej przez wiele państw struktury bezpieczeństwa na Bałkanach.

Wiele posunięć ekipy G.W. Busha dowodziło też skłonności do działań unilateralnych, bez oglądania się na opinię sojuszników i bez gotowości współdziałania z nimi. Tak potraktowano odrzucenie przez Stany Zjednoczone porozumienia z Kioto, czyli międzynarodowej umowy wynegocjowanej w grudniu 1997 r., zobowiązującej kraje uprzemysłowione do obniżenia emisji gazów wywołujących efekt cieplarniany. Podobnie krytycznie oceniono fakt, że Stany Zjednoczone nie zaakceptowały powołania Międzynarodowego Trybunału Karnego i nie zgodziły się, aby Amerykańscy obywatele podlegali innej niż własna jurysdykcja⁴⁵.

Jednak potwierdzeniem tego, że amerykański lider chce działać głównie sam, bez oglądania się na krępujące Waszyngton układy i zobowiązania oraz na racje sojuszników, była decyzja o realizacji odziedziczonego po poprzedniej administracji projektu systemu obrony przeciwrakietowej (NMD), nawiązującego do słynnych „wojen gwiazdnych” Ronalda Reagana. Administracja Busha kontynuowała prace nad budową systemu i to pomimo zdecydowanych zastrzeżeń sojuszników europejskich, obawiających się nowego wyścigu zbrojeń i zadrażnień w stosunkach z Rosją. Swą decyzję Biały Dom uzasadniał koniecznością dbania przede wszystkim o bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych, nawet za cenę pogorszenia stosunków z europejskimi sojusznikami i Moskwą. Uznano, że jedyne supermocarstwo ma prawo do forsowania swoich racji, nawet wbrew woli partnerów. Zgodnie z zasadą, co jest dobre dla Ameryki, jest dobre dla świata.

⁴⁵ Wyjątkowość sytuacji USA polegała na tym, że ich żołnierze byli zaangażowani w różnych częściach świata, istniało zatem duże prawdopodobieństwo, że można by ich stawiać w stan oskarżenia z różnych, choćby politycznych przyczyn. Z tego powodu sam Clinton, podpisując konwencję o powołaniu MTK, poufnie deklarował, że nie przedstawi jej w Kongresie do ratyfikacji. Podobnie zresztą jak uczynił z podpisanym przez siebie porozumieniem z Kioto, mając świadomość, że w nieuczciwy sposób ogranicza ono możliwości rozwoju przemysłu amerykańskiego, nie narzucając podobnych ograniczeń innym krajom, np. Chinom i Indiom.

Przywództwo amerykańskie wraz z objęciem urzędu prezydenckiego przez Busha zyskiwało więc nowy charakter. Z pozoru była ta polityka bardziej umiarkowana i ograniczona w działaniu. W rzeczywistości jednak elementem nowego przywództwa była skłonność do akcji unilateralnych i ograniczonych tylko do tych sfer, które miały ścisły związek z amerykańskim interesem – to z jednej strony. Z drugiej zaś narastały trudności w porozumieniu się z partnerami, nawet z tymi tradycyjnie najbliższymi Ameryce, czyli z niektórymi sojusznikami europejskimi. Pozostał też problem odwieczny i znany z historii, że mniejsze potęgi próbują zrównoważyć siłę tej, która wyraźnie się wybija i wykorzystując swój status jedyne supermocarstwa, chce narzucać własną wolę w złudnym przekonaniu, że jej interesy są w naturalny sposób zbieżne z interesami świata.

Tymczasem bieg wypadków i zjawiska, które nastąpiły po ataku terrorystycznym na Stany Zjednoczone, uczyniły tak rozumiany problem amerykańskiego przywództwa w świecie jeszcze bardziej ważkim. Trudno przecenić znaczenie tego, co się stało 11 września 2001 r. Skutki uderzenia na Amerykę dostrzegalne były na różnych polach i w różnych wymiarach. Pojawiły się nawet opinie, że atak Al-Kaidy na Nowy Jork i Waszyngton wyznaczył właściwy początek XXI w., ukazując światu skalę zagrożenia, zmuszając rządy do znalezienia szczególnych środków zaradczych, burząc ustalone reguły i zasady współdziałania, wreszcie doprowadzając do silnych zawirowań na arenie międzynarodowej.

Nie ma też wątpliwości, że uderzenie na Stany Zjednoczone przesądziło o kierunku i charakterze amerykańskiej polityki zagranicznej w następnych latach. Stało się tak dlatego, że Amerykanie przeżyli trudny do wyobrażenia szok, gdy terroryści Osamy bin Ladena zaatakowali *World Trade Center* i *Pentagon*. Nie chodziło tylko o tragizm sytuacji: skalę zniszczeń, liczbę ofiar, dramatyczną spektakularność tego wydarzenia. Rzecz w tym, że takiego ataku na własne terytorium Amerykanie nigdy jeszcze nie doświadczyli. Nawet uderzenie Japończyków 7 grudnia 1941 r. na Pearl Harbor było w sensie psychologicznym wydarzeniem o znacznie mniejszej doniosłości, gdyż stało się to na peryferiach amerykańskiego terytorium – *de facto* na obszarze zamorskim. Tym razem jednak uderzono jakby w serce Stanów Zjednoczonych,

grzebiąc iluzję Amerykanów, że ich kraj to „bezpieczna forteca”, odgrodzona dwoma oceanami, sąsiadująca z niegroźnymi państwami i chroniona bezprecedensową potęgą militarną. Amerykanie stracili poczucie bezpieczeństwa, które przez dziesięciolecia określało ich stosunek do świata zewnętrznego, ale też wpływało na amerykańską politykę zagraniczną.

Otóż poczucie bezpieczeństwa spowodowało, że Stany Zjednoczone mogły przez ponad wiek tkwić w izolacjonizmie, unikając aktywności w świecie. Zaś po II wojnie światowej – bez zbytej obawy o wpływ na własne bezpieczeństwo – Ameryka zaangażowała się na arenie międzynarodowej w stopniu, któremu nie dorównywała aktywność żadnego innego państwa. Było to pełnienie pewnej misji czy posłannictwa w imię – jak głoszono – wartości i zasad, a w rzeczywistości głównie amerykańskich, szeroko rozumianych interesów. Amerykanie czynili tak w przekonaniu, że nie spowoduje to uszczerbku dla ich bezpieczeństwa⁴⁶. Teraz wszystko uległo radykalnej zmianie. Nowojorska hekatomba zniszczyła to poczucie bezpieczeństwa. W zamian do świadomości Amerykanów wkroczył strach.

Uświadomienie sobie, że ich kraj może być obiektem tak wielkiej nienawiści i wrogości – to następne przykre doznanie, jakie Amerykanie wynieśli z ataku Al-Kaidy. Byli zszokowani faktem, że w ten sposób odbierane są ich dobre zamiary i intencje – owo sprzyjanie i krzewienie wolności, demokracji i sprawiedliwości, zaskoczeni wrogością, jaką wzbudza amerykańska potęga w świecie, choć przez dziesięciolecia ich kraj dostarczał pomocy do najbardziej odległych zakątków kuli ziemskiej. Okazało się, że pełnienie roli lidera, którego wpływy rozciągają się na cały świat, rodziło w tym świecie nie tylko podziw i wdzięczność, ale także lęk, zawiść i wrogość, stawiając Amerykę przed kolejnymi wyzwaniem.

Czy zatem 11 września 2001 r. zmieni mentalność Amerykanów i ich stosunek do świata? Czy staną się bardziej nieufni, zamknięci, zaczną się izolować, zmuszając też władze do ograniczenia zaangażowania na arenie międzynarodowej? Czy przestanie ich interesować światowy

⁴⁶ Zob. R. D a l l e k, *The Postwar World...*, s. 32 i n.

ład i jego zabezpieczenie, a skoncentrują się na wąsko pojmowanym amerykańskim żywotnym interesie? Były to pytania, które niemal automatycznie pojawiły się w dyskusjach. Co się stanie z amerykańskim przywództwem i jaką rolę będzie teraz odgrywała Ameryka w świecie – to kolejne pytania stawiane wówczas przez analityków i publicystów.

Atak terrorystyczny nie stał się bynajmniej powodem załamania czy osłabienia woli działania Stanów Zjednoczonych lub – jak przewidywali niektórzy – ponownej ucieczki w izolacjonizm. Zresztą w sytuacji, gdy oceany już nie chroniły USA, a wrogość i fobie kumulujące się w odległych częściach świata mogły wstrząsnąć życiem Amerykanów, izolacjonizm nie miał sensu. Zatem tak jak kiedyś walkę z komunizmem, tak teraz wojnę z terroryzmem uczyniono treścią amerykańskiej polityki. W ten sposób administracja Busha reagowała na społeczne nastroje strachu, utraty poczucia bezpieczeństwa, a także urażonej dumy. „To polityka ukształtowana w atmosferze publicznego gniewu, opierająca się na rozbudzonych przez zamachy lękach” – pisał później Brzeziński⁴⁷.

Zresztą atak na Amerykę, jego spektakularny charakter i skala zasięgu wywołały także żywą reakcję świata. Dominowało współczucie i solidarność z Amerykanami. Spontanicznie organizowano manifestacje poparcia dla Stanów Zjednoczonych, przed amerykańskimi placówkami dyplomatycznymi palono świece i składano kwiaty. Na znak solidarności z Amerykanami w wielu państwach ogłoszono żałobę narodową, spuszczano flagi do połowy masztów, w kościołach odprawiano nabożeństwa żałobne. Można bez przesady powiedzieć, że Stany Zjednoczone zyskały w owych dniach ładunek poparcia i siłę moralną, których skala przewyższała nawet tę, powstałą na frontach II wojny światowej.

Efektom tego niemalże powszechnego odruchu solidarności było uzyskanie przez Waszyngton akceptacji ONZ dla działań antyterrorystycznych oraz bezprecedensowe wprowadzenie w życie przez NATO fundamentalnego art. 5 traktatu waszyngtońskiego mówiącego o wzajemnej obronie: „(...)strony zgadzają się, że zbrojna napaść na jedną lub więcej z nich (...) będzie uznana za napaść przeciwko nim wszystkim”.

⁴⁷ Z. Brzeziński, *Bomba jest gdzie indziej*, „Rzeczpospolita” 10-11 IX 2005.

Oznaczało to, że sojusznicy Stanów Zjednoczonych zobowiązują się do udzielenia pomocy, gdy USA zdecydują się na użycie siły przeciw terrorystom. Do tworzonego *ad hoc* frontu poparcia dla USA, czyli koalicji antyterrorystycznej, obok całej Europy, przyłączyły się także inne państwa, począwszy od Rosji i jej byłych republik, poprzez Chiny, Japonię, Izrael, kraje arabskie i latynoskie, a na Pakistanie skończywszy. Uświadomiono sobie bowiem skalę zagrożenia, któremu nie oparła się nawet największa potęga militarna. Administracja Busha stanęła więc przed ogromną szansą wykorzystania dramatycznej sytuacji do wykreowania czegoś pozytywnego, choćby stworzenia mocnej płaszczyzny współpracy międzynarodowej. Jakkolwiek brzmiało to paradoksalnie – atak na Amerykę mógł przynieść pozytywne skutki, jednocząc państwa i narody we wspólnym froncie antyterrorystycznym, utwierdzając skuteczne i niemal powszechnie akceptowane przywództwo Stanów Zjednoczonych.

Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że administracja George'a W. Busha tej szansy nie wykorzystała. Co więcej, spowodowała, że Stany Zjednoczone zmarnowały wielki kapitał zaufania i ogromne możliwości oddziaływania na sytuację międzynarodową. Siła moralna i poparcie, jakimi Ameryka cieszyła się we wrześniu 2001 r., uległy ogromnej deprecjacji, zastąpiły je dość powszechne uczucia niechęci, oburzenia, a nawet wrogości. W ogromnym stopniu stało się tak dlatego, że ekipa Busha, prowadząc swą wojnę z terroryzmem, popełniła kolosalne błędy strategiczne i taktyczne. A przecież paradoksalnie, działała w jak najlepszej wierze i z pobudek, które do pewnego stopnia były uzasadnione.

Reakcją na atak terrorystyczny miała być zatem skuteczna i stanowcza akcja, traktowana nie tylko jako zemsta i odwet, ale zabezpieczenie przed „powtórką z historii” poprzez ukaranie winnych, a następnie wyeliminowanie terroryzmu. Temu zadaniu podporządkowano również styl działania i taktykę, a te w dużej mierze określał charakter zagrożenia: trudny do zidentyfikowania wróg, niekontrolowany przez żaden rząd, choć korzystający z tajnego lub bezpośredniego wsparcia niektórych państw. Dyplomacja, prowadzona nawet z pozycji siły, wydawała się nieskuteczna w odniesieniu do terroryzmu i sił skrajnych, którym

z powodu swego rodzaju rewolucyjnej polityki zagranicznej wyrosłej na fanatyzmie i nienawiści – obcy był kompromis, negocjacje i ograniczenie w celach, charakterystyczne dla państw i ich dyplomacji. Mistrz celnych fraz Kissinger sytuację taką nazwał „prywatyzacją” polityki zagranicznej⁴⁸.

Wojna z terroryzmem wymagała więc nowej taktyki. Wymagała też nowej doktryny, która określałaby cele i środki w tej walce. I tutaj do głosu doszli tzw. neokonserwatyści, którzy zajmowali ważne stanowiska w administracji Busha, a po 11 września 2001 r. wywarli znaczący wpływ na kształt amerykańskiej polityki zagranicznej⁴⁹. Konstatując jednobiegunowy układ w świecie, neokonserwatyści mieli jasno zarysowane cele: chodziło im o wzmocnienie globalnego prymatu Stanów Zjednoczonych i oparcie światowego porządku na demokratycznych (amerykańskich) wartościach, czyli znowu odwołanie do *liberal world order*. Stawiając takie priorytety, podkreślali, że Ameryka jest zbyt silnie krępowana rosnącą liczbą norm prawnych, traktatów międzynarodowych i układów politycznych. Ogranicza to jej możliwości działania i kreowania sytuacji międzynarodowej. Wspomniany już konserwatywny publicysta amerykański Ch. Krauthammer jeszcze w czerwcu 2001 r. pisał o „doktrynie Busha”, którą będzie charakteryzowało odejście od multilateralizmu w kierunku unilateralizmu, czyli działania „na własną rękę”, bez oglądania się na ograniczające Waszyngton układy i zobowiązania. Krauthammer dowodził, że będzie to nowa wersja *Pax Americana*, pokoju na amerykańskich warunkach. „Bush, jak Reagan, rozumie, że USA są w stanie zmieniać rzeczywistość po swojemu. Ameryka jest dominującym mocarstwem, bardziej niż jakakolwiek po-

⁴⁸ Wywiad z H. Kissingerem, *Sojusz w ślepej uliczce*, „Rzeczpospolita” 17-18 V 2003.

⁴⁹ Poczynając od Richarda Cheney’a – wiceprezydenta, Donalda Rumsfelda jako szefa *Pentagonu*, Paula Wolfowitz’a i Richarda Perle’a również zatrudnionych w Departamencie Obrony, po Richarda Armitage’a i Johna Bolta w Departamencie Stanu, żeby wymienić tylko najważniejszych – wszyscy oni stanowili grupę neokonserwatystów; zob. szerzej: J. K i w e r s k a, *Neokonserwatywna polityka George’a W. Busha. Założenia, realizacja i skutki*, Zeszyty Instytutu Zachodniego nr 38/ 2005, s. 14-20, także B.R. B a r b e r, *Koniec ideologii. Rozpad doktryny neokonserwatywnej*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17 V 2006.

tęga od czasów starożytnego Rzymu. Może więc przekształcać normy, zmieniać oczekiwania i tworzyć nową rzeczywistość. Jak? Poprzez nieugięte demonstrowanie swojej woli⁵⁰. Były to śmiałe założenia, które legły u podstaw nowej polityki.

Teraz, przy okazji ogłoszonej przez Busha wojny z terroryzmem i w atmosferze „podwyższonej gotowości”, neokonserwatyści dostrzegli możliwość zrealizowania swych koncepcji. Stratedzy Białego Domu wychodzili z założenia, że zaatakowane Stany Zjednoczone nie mogą doświadczać ograniczeń. Powinny mieć przede wszystkim swobodę działania, jeśli idzie o użycie siły. Tym bardziej że bezprecedensowy potencjał Ameryki dawał jej możliwości szybkiego i skutecznego uderzenia w różnych punktach globu. Założono też, że zakres tej wojny będzie szeroki i to pod kilkoma względami. Zdecydowano się wypowiedzieć walkę nie tylko siłom terrorystycznym, ale również wspierającym je ośrodkom i państwom, które stwarzają bądź mogą stworzyć zagrożenie strategiczne dla Stanów Zjednoczonych. Występując 29 stycznia 2002 r. z Orędziem o stanie państwa, prezydent wymienił te kraje. Używając formuły „oś zła” (*axis of evil*), zaliczył do niej Koreę Płn., Irak i Iran⁵¹. To mogły być potencjalne cele ataku ze strony Stanów Zjednoczonych.

Następnie, w ramach tzw. doktryny Busha, ogłoszonej we wrześniu 2002 r. jako Strategia Bezpieczeństwa Narodowego (*National Security Strategy*), pojawiła się formuła uderzenia powstrzymującego zagrożenie, czyli akcja prewencyjna (*preemptive strike*)⁵². Państwa wielokrotnie w historii podejmowały działania prewencyjne lub wyprzedzające, jednak po raz pierwszy uczyniono z tego oficjalną doktrynę. Neokonserwatyści uznali, że w epoce rozprzestrzenia się broni o ogromnej mocy rażenia i w świecie „sprywatyzowanego” terroryzmu, gdy obowiązująca od zakończenia II wojny światowej polityka odstraszenia nie chroni już przed atakami, konieczne może się okazać działanie prewencyjne, za-

⁵⁰ Ch. Krauthammer, *The Unilateralism*, „The Washington Post” 8 VI 2001.

⁵¹ G.W. Bush, State of the Union Address: January 29, 2002, Washington, The White House, January 2002.

⁵² The National Security Strategy of the United States, Washington, The White House, September 2002.

pobiegające groźbie ataku zbrojnego, użyciu broni masowego rażenia, zamachom terrorystycznym.

Kolejnym elementem „doktryny Busha” była sygnalizowana już możliwość odejścia od taktyki multilateralizmu. Stwierdzono, że w obliczu nowych dramatycznych wyzwań i zagrożeń Waszyngton nie może być krępowany obowiązkiem występowania tylko w koalicji lub pod warunkiem uzyskania akceptacji społeczności międzynarodowej, utożsamianej najczęściej z Organizacją Narodów Zjednoczonych lub NATO. Dlatego w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego znalazł się zapis, że Stany Zjednoczone są gotowe współpracować z partnerami, ale zastrzegają sobie prawo do akcji samodzielnych – unilateralnych, nawet bez akceptacji wspólnoty międzynarodowej.

Jednakże uderzenie na Afganistan, gdzie ukrywał się Osama bin Laden i gdzie znajdowały się obozy Al-Kaidy, przeprowadzono w październiku 2001 r. pod sztandarem NATO, zgodnie z art. 5 traktatu waszyngtońskiego oraz z mandatem ONZ na mocy art. 51 Karty NZ, który mówił o prawie do obrony własnej. Z jednej strony można było wówczas odnieść wrażenie, że Stany Zjednoczone zdecydowały się uczynić wojnę z terroryzmem walką wspólną, prowadzoną w szerokiej koalicji antyterrorystycznej, czyli że ekipa Busha powraca w koleiny działania multilateralnego, jakby uznając, że w obliczu tak wielkiego zagrożenia powiedzie się tylko wspólne działanie z sojusznikami i partnerami. Innymi słowy, także supermocarstwo potrzebuje wsparcia – USA redefiniowały więc wartość multilateralizmu i zwracały się do świata o pomoc. Z drugiej strony pozostałe państwa zaangażowane w koalicję antyterrorystyczną były gotowe do bezpośredniego, przy boku Stanów Zjednoczonych, udziału w ataku na Afganistan. Był to efekt pierwszego szoku po uderzeniu terrorystycznym na Amerykę i uświadomienia sobie skali zagrożenia. Zresztą administracja Busha nie pozostawiała wyboru, zapowiadając: „albo jesteście z nami, albo z terrorystami”⁵³.

W praktyce jednak interwencja w Afganistanie okazała się akcją *stricte* amerykańską – Stany Zjednoczone prowadziły ją niemalże sa-

⁵³ G.W. Bush, Address to a Joint Session of Congress and the American People, September 20, 2001, www.whitehouse.gov/news/releases/2001/09/20010920-8.html.

modzielnie, wchodząc jedynie w dwustronne układy z niektórymi członkami NATO, głównie Wielką Brytanią, i nie konsultując z nimi decyzji. Mogło tak się stać, gdyż przewaga militarna USA nad sojusznikami była tak wielka, że pomoc z ich strony potrzebna była Amerykanom raczej w wymiarze symboliczno-politycznym. Pewną rolę odegrały też obawy Waszyngtonu o kunktatorstwo przywódców europejskich, będących pod rosnącą presją antyamerykańskich nastrojów społecznych⁵⁴.

W efekcie, choć atak na Afganistan dowiódł potęgi amerykańskiej i umocnił status Stanów Zjednoczonych jako supermocarstwa, to jednak wizerunek Ameryki w oczach wielu partnerów ucierpiał. Uznano, że Stany Zjednoczone, ignorując sojuszników i nie chcąc się z nimi dzielić odpowiedzialnością, przyjmują postawę aroganckiego hegemonu. Kampania afgańska, zamiast umocnić współpracę Ameryki z sojusznikami i potwierdzić znaczenie działania multilateralnego, spowodowała głęboką rysę w relacjach Stanów Zjednoczonych z innymi państwami, zwłaszcza z partnerami europejskimi. Można było odnieść wrażenie, że to, co dotychczas uchodziło za czynnik rangi Ameryki w świecie – układ transatlantycki z najważniejszym jego filarem Paktem Północnoatlantyckim – jest przez Amerykanów lekceważone i traci na znaczeniu. Wypadało zadać pytanie, jak to wpłynie na charakter i siłę amerykańskiego przywództwa w świecie.

Po interwencji w Afganistanie było jeszcze gorzej. Otóż ekipa Busha z zakończonej pomyślnie – jak wówczas sądzono – kampanii w Afganistanie przeciwko Al-Kaidzie i talibom wyciągnęła własne wnioski. Skonstatowano skalę potencjału wojskowego Ameryki, rolę siły militarnej w realizacji celów politycznych, możliwość działania USA „na własną rękę”, wreszcie znaczenie zdecydowania i determinacji polityków. To były atrybuty, które – jak sądzono – pozwalają Stanom Zjednoczonym wyznaczyć ambitne cele i je w pełni zrealizować. Wśród tych ostatnich znalazły się nie tylko obrona żywotnych interesów Ameryki, a zwłaszcza zagwarantowanie jej bezpieczeństwa, ale też umocnienie

⁵⁴ Więcej na ten temat zob. J. K i w e r s k a, *USA – osamotnione mocarstwo w świecie zagrożeniu*, „Przegląd Zachodni” nr 1/2005, s. 29.

i rozszerzenie porządku opartego na sprawdzonych wartościach i zasadach, czyli promowanie demokracji. Dostrzegano w tym zarówno długofalowe rozwiązanie problemu terroryzmu, jak i naturalne w świecie demokratycznym utwierdzenie przywództwa Stanów Zjednoczonych.

Te cele nowej strategii Ameryki zostały wprowadzone do „doktryny Busha”. Błędem byłoby jednak jednoznacznie potępiać jej założenia. Zawierała ona przecież elementy zarówno idealistyczne, jak i pragmatyczne – nawiązując do tradycji amerykańskiej, odzwierciedlała też ducha czasu, w tym aktualne lęki i obawy społeczeństwa amerykańskiego. I tak, z jednej strony były hasła o „promowaniu demokratycznych wartości”, wpisujące się w tradycyjne amerykańskie posłannictwo – misję naprawiania świata i budowy liberalnego porządku, o czym swego czasu mówił Wilson, do czego nawiązywał Roosevelt i inni amerykańscy prezydenci od Johna F. Kennedy’ego po Ronalda Reagana i George’a H. W. Busha. Nie był od tego wolny również prezydent Clinton. Zresztą najbardziej dobitne określenie „doktryny Busha”, opisujące równocześnie istotę założeń neokonserwatystów, wprowadził do słownika polityki Benjamin R. Barber, swego czasu doradca prezydenta Clintona. Jego zdaniem był to „idealistyczno-naiwny hegemonistyczny unilateralizm”⁵⁵.

Ale też – z drugiej strony – w jakiejś mierze „doktryna Busha” odpowiadała na wyzwania nowej epoki, która nastąpiła po rozpadzie dwubiegunowego porządku w świecie. Wcześniej wystarczała strategia odstraszenia, którą można było szachować Związek Radziecki. Teraz odstraszenie było nieskuteczne wobec przeciwnika nie posiadającego terytorium, którego musiałby bronić. Dyplomacja zaś okazywała się bezradna, gdy przeciwnik odrzucał jakiekolwiek ograniczenie celów i dążył do całkowitego zniszczenia wroga. Wobec tak wyjątkowych i dramatycznych wyzwań także multilateralizm mógł być nieskuteczny, gdyż groził ugrzęźnięciem w zawiłościach proceduralnych i w procesie wzajemnego dogadywania się partnerów, a w konsekwencji utrudniał podjęcie zdecydowanych i szybkich działań. Zresztą chodziło też o prostą konstatację faktu, że nie wszyscy zdecydują się wspierać Waszyng-

⁵⁵ B.R. Barber, *Koniec ideologii...*

ton w różnych ryzykownych akcjach, które Stany Zjednoczone jako supermocarstwo i „żandarm światowy” będą musiały inicjować.

Z kolei ataki wyprzedzające lub wojny prewencyjne państwa wielokrotnie już w historii stosowały, choćby Izrael w 1967 r. Sam Hugo Grotius, uważany za ojca prawa międzynarodowego, pisał: „Obrona jest konieczna wówczas, gdy mamy pewność nie tylko w odniesieniu do potęg sąsiadów, ale także w odniesieniu do ich zamiarów” (*De iure belli ac pacis*, 1625). Warto też zauważyć, że propozycje zwane *preventive defence* pojawiły się w czasie prezydentury Clintona, gdy twierdzono, że zadaniem Stanów Zjednoczonych jest zapobieganie zagrożeniom, powstrzymywanie ich, a w razie konieczności eliminacja przy użyciu siły⁵⁶. Tym razem jednak po raz pierwszy uczyniono z tego oficjalną doktrynę państwa. Choćby z tego powodu „doktryna Busha” była swoistą rewolucją w polityce zagranicznej, co zostało zresztą tak właśnie określone przez niektórych ekspertów⁵⁷. Oznaczała – jak dowodził Brzeziński – „całkowite zerwanie strategicznej ciągłości w stosunkach międzynarodowych”⁵⁸. Jej istota bowiem polegała na tym, że tradycyjne zagrożenia związane z rywalizacją mocarstw zostały w znacznym stopniu zastąpione przez groźbę terroryzmu i wspierających go reżimów z „osi zła”.

Także główne elementy nowej doktryny potęgowały wrażenie odejścia od tej ciągłości w stosunkach międzynarodowych. Po pierwsze, neokonserwatywna koncepcja roli siły w polityce i wizja siłowych rozwiązań wydawały się sprzeczne z zasadami działania państw demokratycznych. Po drugie, „doktryna Busha” – choć nie wykluczała multilateralizmu i rozwiązań dyplomatycznych oraz legitymizacji prawnomiędzynarodowej – to jednak zakładała z dużym stopniem prawdopodobieństwa działania unilateralne, w zależności od amerykańskich potrzeb i bez względu na opór innych. Po trzecie wreszcie, traktowana doktrynalnie wojna prewencyjna wprowadzała zamęt do jasnych zasad, gdyż była sprzeczna z prawem międzynarodowym, które sankcjonuje

⁵⁶ Zob. szerzej: J. K i w e r s k a, *Neokonserwatywna polityka George’a W. Busha...*, s. 41-43.

⁵⁷ Zob. I.H. D a a l d e r, J.M. L i n d s a y, *The Bush Revolution: The Remaking of America’s Foreign Policy*, The Brookings Institution, May 2003, *passim*.

⁵⁸ Z. B r z e z i ń s k i, *Bomba jest gdzie indziej...*

użycie siły w obronie własnej wyłącznie w razie faktycznego, nie zaś potencjalnego zagrożenia. Ameryka, uwalniając się od ograniczeń wynikających z prawa i z instytucji międzynarodowych, zmierzała zarazem do ograniczenia suwerenności państw, które mogłyby jej zagrozić. Istniała też uzasadniona obawa, że uderzenie wyprzedzające może stać się regułą stosowaną przez różne państwa, zależnie od ich woli i potrzeb.

Już etap formułowania i ogłoszenia Strategii Bezpieczeństwa Narodowego wywołał krytyczną reakcję w świecie, szczególnie na kontynencie europejskim. Mówiąc najkrócej, chodziło o to, że „doktryna Busha”, łamiąc dotychczasowe zasady ładu międzynarodowego, stanowiła też wyraźną manifestację amerykańskiej siły i arogancji oraz – jak przekonywali najwięksi krytycy – dążenia do hegemonii. Ostra polemika, towarzysząca nowej strategii amerykańskiej, ujawniła nie tylko rozbieżność poglądów co do charakteru i metod walki z nowymi zagrożeniami, ale była okazją do zmanifestowania narastającej niechęci do Ameryki i jej supremacji, a także ukrytych kompleksów i zadawnionych konfliktów, zwłaszcza wśród partnerów europejskich.

U podłoża sporu wywołanego „doktryną Busha” legło różne traktowanie przez Stany Zjednoczone i Europę samego zagrożenia terrorystycznego. Dla społeczności europejskiej nie był to wstrząs na miarę traumatycznego doświadczenia Amerykanów, burzącego ich poczucie bezpieczeństwa. Gdy minął pierwszy szok spowodowany atakiem na Amerykę, uznano go w wielu państwach europejskich za jednorazowy akt, wprawdzie dramatyczny, ale nie uprawniający do ogłoszenia powszechnej krucjaty przeciwko terroryzmowi. Europejscy sojusznicy nie zamierzali więc temu zadaniu podporządkować innych priorytetów swej polityki, ogniskującej się na dalszej integracji i umacnianiu Unii Europejskiej. Poza tym w głębi duszy większość Europejczyków postrzegała terrorystów islamskich (i wspierające ich reżimy) jako zagrożenie nie tyle dla całego Zachodu, ile dla USA, zaangażowanych w różnych zakątkach świata i ze względu na wspieranie Izraela budzących szczególną nienawiść w świecie islamu. Gdy więc Stany Zjednoczone były gotowe do działania w imię własnego i światowego bezpieczeństwa, to niektórzy ich sojusznicy nie widzieli takiej potrzeby. Amerykę i Europę dzieliła ocena charakteru i skali nowego zagrożenia.

Spór ten odzwierciedlał również dwa sposoby myślenia o sytuacji międzynarodowej i roli Stanów Zjednoczonych w świecie. Zwolennicy „doktryny Busha” dowodzili prawa Ameryki jako supermocarstwa do działania prewencyjnego, nawet z użyciem siły militarnej. Natomiast oponenti, w tym większość sojuszników europejskich, wątpili, czy siła może eliminować zagrożenia, odrzucali wojnę prewencyjną, uznając ją za działanie agresywne i sprzeczne z prawem. Przywiązani byli do dyplomacji jako najlepszej metody osiągania celów politycznych i likwidowania zagrożeń, zaś wizja Busha przywołała im na myśl działania „szeryfa z Teksasu”, który siłą zaprowadza porządek w miasteczku, nawet wbrew woli jego mieszkańców⁵⁹.

Amerykański politolog Robert Kagan ujął to w zgrabną formułę, że Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus. Europa – dowodził Kagan – słabsza pod względem militarnym, a także doświadczona dwiema wojnami światowymi, wykreśliła się jako środek osiągania celów politycznych. Natomiast Ameryka, bezprecedensowa potęga militarna, nie tylko ceniła jej wartość, ale zamierzała spożytkować jako instrument niszczenia zagrożeń i krzewienia demokracji⁶⁰. Hasło „nigdy więcej wojny” brzmi atrakcyjnie. Kto nie chce pokoju? Jednak nie można traktować go jako normatywnej opcji politycznej w sytuacji, gdy świat nie jest wolny od dyktatorów i szaleńców – twierdzili zwolennicy „doktryny Busha”. Jeśli więc oczekuje się, że mocarstwo globalne będzie ponosiło odpowiedzialność na miarę swojej potęgi, to trzeba mu też przyznać stosowne do tej potęgi uprawnienia i pogodzić się z możliwością wykorzystania siły. Zaś prawdziwy przywódca musi posiadać odwagę podejmowania decyzji o użyciu siły i niekiedy będzie w tych decyzjach dramatycznie osamotniony.

Dla polityków amerykańskich skupionych wokół Busha nie ulegało wątpliwości, że dziś świat buduje nowy porządek, który jest wynikiem pojawienia się owej „prywatyzacji” polityki zagranicznej. Potrzebne zatem było dostosowanie norm i reguł do nowych wyzwań. Chodzi-

⁵⁹ Zob. szerzej: J. K i e r s k a, *Odwrót od rewolucji? Nowe elementy w amerykańskiej polityce zagranicznej*, Zeszyty Instytutu Zachodniego nr 43/2006, s. 12-14.

⁶⁰ R. K a g a n, „*Of Paradise and Power*”. *America and Europe in the New World Order*, New York 2003, s. 3-4.

ło więc o to, czy rację mają ci, którzy twierdzili, że prawo międzynarodowe nie jest statyczne, lecz kształtuje się poprzez precedensy. Nie powinno też ono stanowić przeszkody nie do pokonania, zwłaszcza dla najsilniejszego państwa na świecie, które zresztą ma najwięcej do powiedzenia przy jego kształtowaniu. Tym bardziej że przywódca tego państwa posiada – jak mówił – „pewną wizję, która zakłada zaprowadzenie na świecie nowego porządku i zapewnienie pokoju za pomocą prewencyjnej i, jeśli byłoby to konieczne, jednostronnej akcji”⁶¹. Czy może jednak słuszność jest po stronie tych, którzy wątpili, że siła może eliminować zagrożenia, odrzucali wojnę prewencyjną jako działanie agresywne i sprzeczne z prawem, przywiązani byli do dyplomacji, jako najlepszej metody wprowadzania ładu międzynarodowego i demokracji, a koncepcje administracji Busha były – ich zdaniem – wyrazem amerykańskiej arogancji i dążenia do hegemonii.

Takie dwa sposoby myślenia o sytuacji międzynarodowej i roli Ameryki w świecie wykrylizował spór wokół „doktryny Busha”. Efektem było zawirowanie na scenie międzynarodowej, w tym bezprecedensowe zachwianie układu transatlantyckiego. Odpowiadając na rewolucję Busha w polityce zagranicznej, nie zgadzając się z założeniami strategii amerykańskiej, przywódcy niektórych państw europejskich przybrali niemalże konfrontacyjną wobec Waszyngtonu postawę. Dotyczyło to przede wszystkim Jacques’a Chiraca, prezydenta Francji, ale też Gerharda Schrödera, kanclerza Niemiec. Szczególnie postawa Berlina była wydarzeniem bez precedensu, wszak Republika Federalna Niemiec uchodziła za niezwykle lojalnego i spolegliwego sojusznika Ameryki, której od zakończenia II wojny światowej zawdzięczała niemało. Tymczasem Niemcy wraz z Francją i Rosją stworzyły tzw. front odmowy, sprzeciwiający się planom Waszyngtonu i krytyczny wobec administracji Busha. Był to też wyraz buntu przeciwko amerykańskiemu prymatowi, potwierdzenie tezy, że zbyt silne mocarstwo rodzi nieuchronną próbę jego zrównoważenia i osłabienia, odreagowanie sytuacji, gdy Europa przez wiele lat była uzależniona od amerykańskiego patrona⁶².

⁶¹ B. W o o d w a r d, *Wojna Busha*, Warszawa 2003, s. 277.

⁶² Zob. szerzej: J. K i w e r s k a, *Rozchodzenie się dwóch światów? Stany Zjednoczone i relacje transatlantyckie 1989-2012*, Poznań 2013, s. 210 i n.

Praktycznym wyrazem tego „buntu” był kryzys decyzyjny w NATO, do którego doszło w lutym 2003 r., niemalże w przeddzień amerykańskiego ataku na Irak. Wtedy to Waszyngton nie mógł uzyskać zgody Sojuszu na dostarczenie Turcji systemu obrony przeciwrakietowej. Było to uderzenie w prestiż Ameryki, najsilniejszego członka organizacji i to ze strony maleńkiej Belgii, która wspierana przez Francję blokowała zamiary Stanów Zjednoczonych⁶³.

Nie doszłyby jednak do tak wielkich zawirowań na arenie międzynarodowej, wstrząsu dyplomatycznego w układzie transatlantyckim i tak znacznego osłabienia pozycji Ameryki w świecie, gdyby tworzące „doktrynę Busha” założenia pozostały tylko wyrazem poglądów i aspiracji neokonserwatystów. Problem polegał na tym, że zostały one wprowadzone w życie. Interwencja Stanów Zjednoczonych w Iraku, rozpoczęta 19 marca 2003 r., była dramatyczną i brzemienną w skutki manifestacją „doktryny Busha”. „Ludzi na całym świecie niepokoi to, że żyją w wieku zdominowanym przez USA – państwo, którego się boją” – pisał w marcu 2003 r., niemal nazajutrz po rozpoczęciu wojny irackiej, amerykański komentator Fareed Zakaria⁶⁴. Potwierdzało się przekonanie, że oto Stany Zjednoczone inicjują nowy ład światowy, w którym to one decydują za wszystkich, przesądzają, co jest legalne, a co nie, wypełniają rolę supermocarstwa w sposób arbitralny, siłowy i sprzeczny z obowiązującymi normami prawa międzynarodowego.

Nie umiając przełożyć swej dominacji na skuteczne działania dyplomatyczne i tworzenie międzynarodowego *consensusu*, USA uderzyły na Irak w pewnym osamotnieniu. Bo choć Stany Zjednoczone miały poparcie Wielkiej Brytanii, rządów Australii, Włoch, Hiszpanii, Danii, większości państw wschodnioeuropejskich i różnych dość egzotycznych krajów (np. Wysp Marshalla i Mikronezji, Kolumbii i Salwadoru), to jednak nie mogły liczyć m.in. na Niemcy, Francję, Rosję, państwa arabskie i znakomitą część europejskiej oraz światowej opinii publicznej. Nie posiadały także mandatu ONZ ani nawet solidarnego wsparcia NATO.

⁶³ Ch. N e s s h ö v e r, *Germany, France, America and the Iraqi Conflict: Gerhard in Big Trouble, Jacques in Great Shape, and George W.'s Interest in a United Europe*, American Institute for Contemporary German Studies, www.aicgs.org/c/nesshoever.shtml.

⁶⁴ F. Z a k a r i a, *Imperium arogancji*, „Newsweek” 23 III 2003.

Była to zdecydowanie inna sytuacja niż w 1991 r., gdy to prezydent G.H.W. Bush na czele wielkiej koalicji, z mandatem ONZ i poparciem NATO atakował Irak, aby wyzwolić Kuwejt. Tym razem, gdy Ameryka zdecydowała się na wojnę, była ostro krytykowana przez znaczną część państw, co doprowadziło do podziałów w obozie jej dotychczasowych sojuszników. „Niegdyś byliśmy czołowymi praktykami globalnej dyplomacji, a zachowaliśmy się jak amatorzy” – stwierdziła nie bez złośliwości Madeleine Albright, sekretarz stanu w administracji Clintona⁶⁵.

Ale nie od rzeczy będzie dodać, że także w przeciwieństwie do sytuacji z czasu pierwszej wojny w Zatoce Perskiej, tym razem decyzja G.W.Busha o uderzeniu na Irak cieszyła się zdecydowanym poparciem amerykańskiej opinii publicznej i bez większych trudności zyskała akceptację w Kongresie – za rezolucją dającą prezydentowi prawo do użycia siły w Iraku głosowali także senatorowie i członkowie Izby Reprezentantów z Partii Demokratycznej. Można było odnieść wrażenie, że w tej sprawie Ameryka, w przeciwieństwie do jej sojuszników na arenie międzynarodowej, jest zjednoczona i zdeterminowana.

Interwencja w Iraku okazała się wszakże jednym z największych błędów administracji Busha i ekspozycją jej niekompetencji. Można było uznać zasadność niektórych motywów uderzenia na Irak, choćby chęć definitywnego rozprawienia się z reżimem Saddama Husajna. Ale oprócz tego u jej podstaw leżały przesłanki, w tym unieszkodliwienie arsenałów broni masowego rażenia oraz powiązania Saddama z Al-Kaidą, których prawdziwość była mocno wątpliwa. Podważyło to wiarygodność Stanów Zjednoczonych, profesjonalizm ich służb wywiadowczych, szczerłość polityków. Nadwężeniu uległa reputacja supermocarstwa, które bez dostatecznej analizy zasadności celów i ewentualnych konsekwencji działało wedle z góry założonego planu. Irak okazał się więc awanturą wątpliwie uzasadnioną, kosztowną i do tego kiepsko przeprowadzoną.

Bo wprawdzie operację „Iracka Wolność” prezydent Bush już 1 maja 2003 r. uznał za zakończoną, jednak trwający wiele lat i do dziś bezsku-

⁶⁵ M. A l b r i g h t, *Rady dla prezydenta*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16 II 2008.

teczny proces opanowania chaosu, przywracania stabilizacji, budowy demokracji dowodził, jak bardzo Amerykanie, rozpoczynając awanturę iracką, okazali się nieprzygotowani, nieskuteczni i nieprzewidujący. Zamiast realizacji Wilsonowskiej misji i posłannictwa Ameryki, czyli wprowadzenia demokratycznego ładu, terytorium Iraku zostało zamienione w centrum terroryzmu, ogarnięte wojną domową, zdominowane przez bandytyzm i korupcję, a po latach w części opanowane przez Państwo Islamskie. Supermocarstwo, dysponujące bezprecedensową siłą militarną, straciło w Iraku miliardy dolarów, ponad 4 tys. żołnierzy (setki tysięcy ofiar wśród Irakijczyków) i prestiż. Narzucała się analogia z Wietnamem, zwłaszcza jako tragiczne i traumatyczne kolejne doświadczenie Ameryki.

Także to, co miało być głównym celem w Iraku – zwycięstwo demokracji promieniujące na cały Bliski Wschód i prowadzące do trwałego pokoju w regionie – okazało się nierealną mrzonką neokonserwatystów, wyrazem ich nieokiełznanymi ambicji. Mogli się oni przekonać, że istnieje zasadnicza sprzeczność między wzniosłymi koncepcjami promowania demokracji, wolności i dobrobytu a twardymi realiami rzeczywistości i specyfiką lokalnych uwarunkowań, które wcześniej powinno się skrupulatnie przeanalizować. Złośliwcy mogą powiedzieć, przecież trzeba było to przewidzieć, wszak takie obawy zgłaszali niektórzy europejscy partnerzy. Biały Dom nie słuchał, nie przewidział, źle zaplanował. Ale cenę za te niepowodzenia płaciła nie tylko owa wpływowa grupa wyższych urzędników Białego Domu, których odsunięto w cień, ale państwo amerykańskie, gdyż okazało się niezdolne do realizacji swych celów strategicznych. Czy może być coś bardziej przykrego dla supermocarstwa pełniącego rolę lidera niż takie obnażenie jego nieskuteczności?

Gdy więc na początku interwencji w Iraku potęga Ameryki budziła obawy i rodziła przerażenie, ale też zmuszała do respektu, to po latach dość ograniczonych sukcesów w tym regionie świata prestiż Stanów Zjednoczonych drastycznie osłabł, a jego skuteczność militarna nie była już tak bezdyskusyjna. Supermocarstwo nie sprawdziło się w Iraku, gdzie doświadczyło porażek militarnych, politycznych i moralnych (afery z urągającym zasadom i prawom człowieka traktowaniem więź-

niów w Abu Ghraib). Realizacja misji irackiej, zamiast przynieść wzrost i umocnienie rangi Ameryki w świecie, doprowadziła do jej podważenia oraz wręcz do zakwestionowania amerykańskiego przywództwa. Była to przykra weryfikacja „doktryny Busha”, która tak naprawdę w Iraku poniosła klęskę, osłabiając tym samym wizerunek Stanów Zjednoczonych.

Zakwestionowane zostało także to, co było ważnym atutem Stanów Zjednoczonych, wpływającym na jego rangę i rolę w świecie. Chodzi o moralne atrybuty państwa modelowo rozwijającego się, jego zasady i wartości, wytyczające wysokie standardy w świecie demokratycznym. To właśnie ta „miękka władza” (*soft power*) tradycyjnie decydowała o sile amerykańskich wpływów w świecie⁶⁶. Tymczasem przypadki takie, jak Abu Ghraib, przetrzymywanie w nieskończoność i bez sądów więźniów w amerykańskiej bazie Guantanamo na Kubie, a także znacznie później ujawnione informacje o torturach stosowanych przez Amerykanów w tajnych więzieniach CIA na terenie Polski, Rumunii czy Litwy stanowiły złamanie pewnych zasad, odejście od standardów demokratycznego państwa. Dla opinii międzynarodowej, zwłaszcza w Europie, było to nie do zaakceptowania, nawet biorąc pod uwagę fakt, że to terrorystów torturowano w Kiejkutach lub przetrzymywano bez wyroków w Guantanamo. Czy w tej sytuacji nie mieli racji ci, którzy w kwestiach praw człowieka i rządów prawa zaczęli uważać Amerykanów za hipokrytów? Hipokryta nie powinien przewodzić, gdyż moralne fundamenty jego prymatu są podejrzane. W każdym razie Stany Zjednoczone straciły wiele ze swej atrakcyjności i przyzwoitości, a przynajmniej wystawiły się na ostrzał krytyki w sferze *soft power*, która dotychczas była ich znaczącym atutem i dawała mocne podstawy do artykułowania, a nawet egzekwowania właściwych norm i zasad postępowania⁶⁷.

Nie ma wątpliwości, że wojna iracka, a zwłaszcza jej międzynarodowy kontekst, następnie przeciągający się i wymagający ogromnych nakładów finansowych oraz obfitujący w ofiary proces budowania sta-

⁶⁶ Pojęcie „soft power” jako pierwszy wprowadził Joseph S. Nye w książce *Bound to Lead: The Changing Nature of American Power*, New York 1990.

⁶⁷ Zob. F. F u k u y a m a, *Ameryka na rozdrożu. Demokracja, władza i dziedzictwo neokonserwatyzmu*, Poznań 2006, s. 166.

bilizacji w tym kraju pociągnęły za sobą efekty przesadzające w dużej mierze o deprecjacji roli Stanów Zjednoczonych w świecie. Zaczęto też mówić o izolacji Ameryki. Przy czym tej niechęci lub wręcz wrogości nie można było tłumaczyć tylko tym, że jest ona bogata i potężna. Decyzja administracji Busha, aby wobec zagrożenia bezpieczeństwa działać zdecydowanie, stanowczo i bezkompromisowo – nie oglądając się na ograniczenia formalne i brak szerokiego poparcia w świecie, ale przy wykorzystaniu bezprecedensowej siły militarnej – zamiast zdecydowanych sukcesów w walce z zagrożeniami doprowadziła do eskalacji terroryzmu i chaosu w różnych częściach świata. Zamiast wzrostu i umocnienia rangi Stanów Zjednoczonych w świecie przyczyniła się do jej podważenia, a nawet zakwestionowania amerykańskiego przywództwa. Sprowokowała wreszcie próby izolowania państwa amerykańskiego na arenie międzynarodowej lub wręcz sprzysiężenia się przeciwko aroganckiemu supermocarstwu⁶⁸.

Choć polityka administracji Busha przyniosła wiele strat dla rangi Ameryki w świecie, to jednak urzędujący prezydent w listopadzie 2004 r. odniósł zwycięstwo wyborcze, które dało mu kolejne cztery lata w Białym Domu. Stało się tak mimo ostrej krytyki ze strony opozycji, a wynik dowodził zdecydowanej polaryzacji społeczeństwa amerykańskiego. Niebagatelna grupa ponad 55 mln Amerykanów głosowała na Johna Kerry'ego, kandydata Partii Demokratycznej (na Busha – ponad 58 mln). Linie podziału między zwolennikami Busha a Kerry'ego wyznaczał nie tylko stosunek do polityki wewnętrznej, ale po raz pierwszy od czasów Wietnamu sprawy zagraniczne pojawiły się w centrum kampanii wyborczej. Zarzuty formułowane wobec republikańskiej administracji dotyczyły zarówno celów, jak i stylu prowadzonej strategii zewnętrznej. Dowodzono, że zamiast umocnić bezpieczeństwo Ameryki, spowodowała ona eskalację terroryzmu, wzrost wrogości wobec USA i w rezultacie ich izolację w świecie. Krytykowano wojnę w Iraku jako niepotrzebną i kosztowną awanturę, wyraz arogancji i nieopanowanych ambicji neokonserwatystów. Tak więc krytyka płynęła nie tylko ze świata, ale również z samej Ameryki. Polaryzacja społeczeństwa amerykańskiego była bardzo głęboka.

⁶⁸ I.H. D a a l d e r, J.M. L i n d s a y, *The Bush Revolution...*, s. 43.

Druga kadencja G.W. Busha była zatem próbą zmiany dotychczasowej polityki, odejściem od najbardziej kontrowersyjnych i krytykowanych zasad strategii neokonserwatystów po to, aby nie tylko odbudować rangę Stanów Zjednoczonych w świecie, ale przede wszystkim osłabić niechęć społeczną. Od 2005 r. polityka amerykańska zaczęła więc wykazywać większy pragmatyzm i zrozumienie dla obowiązujących zasad współczesnego świata. Choć pierwsze deklaracje starego/nowego prezydenta dowodziły, że administracja nie zatraciła rewolucyjnego zapału i misji krzewienia wolności – „szerzenie wolności na całym świecie daje nadzieję na światowy pokój”⁶⁹, to jednak zawierały również nowe, obiecujące akcenty koncyliacyjne, uznanie dla wysiłków dyplomatycznych i prowadzonych negocjacji. Powrócono do znaczenia *soft power* jako niezbywalnego atutu Ameryki. Nie było natomiast sformułowań nawiązujących do sławetnej „osi zła” oraz wytyczania nowych celów dla amerykańskich działań siłowych. Zresztą osłabło przekonanie, że wiele problemów rozwiąże się za pomocą środków militarnych.

Wprowadzie w kolejnej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, ogłoszonej w marcu 2006 r., utrzymano wojnę prewencyjną jako element koncepcji obronnej państwa, a promowanie demokracji i wolności oraz walka z terroryzmem były nadal zarówno misją, jak i wymogiem bezpieczeństwa Ameryki – to jednak podkreślono, że „dyplomacja stanowi najsilniejszą preferencję USA”⁷⁰. Następnie stwierdzono, że nawet najważniejsze mocarstwo świata nie może samo podołać groźnym wyzwaniom współczesności. Niezależnie od tego, czy chodziło o globalne ocieplenie Ziemi, czy o rozprzestrzenianie broni masowego rażenia, terroryzm lub „upadające” państwa – były to wyzwania, którym trudno było sprostać bez współdziałania sojuszników oraz wykorzystania instytucji międzynarodowych.

Taka konstatacja dokonała się m.in. pod wpływem wydarzeń w Afganistanie, który nagle znalazł się ponownie w centrum polityki amerykańskiej. Okazało się, że sukces militarny USA w grudniu 2001 r. nie

⁶⁹ President Sworn-In to Second Term, Inauguration 2005, The White House, 20 January 2005, www.whitehouse.gov/news/releases/2005/01/print/20050120-1.html.

⁷⁰ The National Security Strategy, Washington, White House, March 2006, www.whitehouse.gov/nsc/nss/2006/print/index.html.

przełożył się na ustabilizowanie tam sytuacji politycznej i gospodarczej. Gdy Ameryka była pochłonięta opanowaniem chaosu w Iraku, to w Afganistanie do aktywności powrócili talibowie wspierani przez innych bojowników islamskich, wzniciając wojnę niemalże na całym obszarze kraju i zagrażając władzom w Kabulu. Działające tam siły międzynarodowe ISAF (*International Security Assistance Force*), składające się w większości z kontyngentów państw członkowskich NATO, pełniły funkcję głównie stabilizacyjną i policyjną. W pewnym momencie musiały one jednak podjąć regularną walkę z atakującymi ich rebeliantami. W 2006 r. sytuacja w Afganistanie była już bardzo gorąca. Powodzenie i skuteczność planów Zachodu wobec Afganistanu zależały teraz przede wszystkim od tego, czy Europejczycy zgodzą się zwiększyć swoje kontyngenty w ramach ISAF i w ten sposób odciążyć siły amerykańskie, które ponosiły główny ciężar walk. Okazało się więc, że Stany Zjednoczone nie są w stanie podołać równocześnie wyzwaniu irackiemu i problemom w Afganistanie. Ich możliwości militarne były jednak ograniczone. Tak więc administracja Busha, chcąc nie chcąc, musiała docenić wartość wspólnego z NATO działania. Multilateralizm zdawał się w ocenie Waszyngtonu odzyskiwać swe znaczenie i wartość⁷¹.

Dyplomacja amerykańska pod wodzą nowej sekretarz stanu Condoleezy Rice przystąpiła zatem do odbudowywania więzi z sojusznikami europejskimi. Służyły temu zarówno częstsze wizyty przedstawicieli administracji Busha i samego prezydenta w Europie, także w Niemczech, jak i powtarzane deklaracje o „wspólnocie wartości” i partnerstwie, konieczności współdziałania. Choć spotkania te nie były łatwe, a katalog spornych spraw pozostał nadal aktualny, to jednak widac było dobrą wolę administracji Busha nadania stosunkom z Europą rzeczywistych walorów partnerskich, wyraźnie Waszyngton zrezygnował z arogancji w kontaktach z politykami europejskimi i porzucił manierę narzucania swej woli⁷².

⁷¹ Zob. J.P. Rubin, *Building a New Atlantic Alliance*, „Foreign Affairs” July/August 2008, No. 4, s. 101.

⁷² Zob. J. Kiwerska, *Niemcy we wspólnocie transatlantyckiej*, w: J. Kiwerska, B. Koszel, M. Tomczak, S. Żerko, *Polityka zagraniczna zjednoczonych Niemiec*, Poznań 2011, s. 239-242.

Pomimo to administracji Busha nie udało się przekonać europejskich sojuszników do zwiększenia swego zaangażowania w Afganistanie, przynajmniej w takim stopniu, w jakim oczekiwałyby tego strona amerykańska. Podczas szczytu NATO w Bukareszcie na początku kwietnia 2008 r. prezydent Bush spotkał się z niechętną reakcją większości przywódców państw członkowskich, gdy ponowił apel o wysłanie dodatkowych oddziałów żołnierzy do Afganistanu. Zgodzono się na niemal symboliczne – o kilkaset żołnierzy – zwiększenie niektórych kontyngentów, podczas gdy Amerykanów było tam już ponad 30 tys. Ten brak gotowości do zwiększenia europejskich kontyngentów stawił całe NATO w trudnej sytuacji. Sojusz, który zwyczajnie wyszedł z zimnej wojny i od tego czasu z powodzeniem podołał wielu wyzwaniom, choćby na Bałkanach, teraz stanął w obliczu realnej porażki w wojnie z rebeliantami islamskimi. Nietrudno było przewidzieć, jakie mogło to mieć konsekwencje nie tylko dla prestiżu organizacji, uchodzącej za najbardziej skuteczną i potężną na świecie, ale i dla rangi Stanów Zjednoczonych jako najsilniejszego jej członka.

Na szczycie w Bukareszcie prezydent Bush odniósł porażkę w jeszcze jednej sprawie. Otóż delegacji amerykańskiej nie udało się przeformować planu, aby dawne republiki radzieckie – Ukrainę i Gruzję – objąć specjalnym programem przygotowawczym do członkostwa w Sojuszu MAP (*Membership Action Plan*). W obawie o reakcję Rosji, która zdecydowanie uważała te dwie byłe republiki radzieckie za swą potencjalną strefę wpływów i dlatego kategorycznie sprzeciwiała się ich zbliżeniu do NATO, część uczestniczących w szczycie państw, w tym najsilniej kanclerz Niemiec Angela Merkel i Nicolas Sarkozy, prezydent Francji, postawiła weto wobec planów Busha⁷³.

Nie bez racji więc spotkanie w Bukareszcie uznano za polityczną i prestiżową porażkę Stanów Zjednoczonych, potwierdzenie ich nadwerżonej rangi. „Niemcy i Francja wymierzyły Ameryce policzek” –

⁷³ Zob. M. M e c k e l, *Die NATO sollte in Bukarest nicht dem Drängen der USA auf eine schnelle Aufnahme der Ukraine und Georgiens nachgeben*, „Foreign Policy in Focus” No. 360, April 2, 2008, www.deutsche-aussenpolitik.de/digest/op-ed_inhalt_47.php.

napisał dość obcesowo amerykański analityk Charles A. Kupchan⁷⁴. Niewątpliwie prezydent Bush z osłabionym wizerunkiem, bagażem politycznych i militarnych niepowodzeń nie był w stanie przeforsować swych racji i odegrać w Bukareszcie roli silnego i skutecznego przywódcy. Tak jak to zwykle podczas szczytów NATO bywało. To raczej Francja, podobnie jak Niemcy, zademonstrowała w stolicy Rumunii swoje nowe możliwości. Nie będzie też przesady w stwierdzeniu, że zakulisowym zwycięzcą kwietniowego szczytu w Bukareszcie mogła czuć się Moskwa, której zastrzeżenia oraz interesy zostały w konkretny sposób uwzględnione. Zasadne wydają się w tym kontekście opinie, że to umocniło pewność siebie Rosji która, widząc osłabioną pozycję Ameryki, kilka miesięcy później, w sierpniu 2008 r. przeprowadziła skuteczną operację militarną w Gruzji, odrywając od niej dwie separatystyczne republiki: Osetię Południową i Abchazję⁷⁵.

Zresztą wydarzenia w Gruzji stały się dowodem na to, jak osłabła moc sprawcza Waszyngtonu. Można nawet powiedzieć, że administracja Busha ukazała w konflikcie gruzińskim całą swą bezradność i nieskuteczność. A przecież konflikt ten dotyczył kraju uchodzącego za bliskiego sojusznika Stanów Zjednoczonych. To Ameryka wyposażyła i wyćwiczyła armię gruzińską, a ta w starciu z wojskami rosyjskimi błyskawicznie poszła w rozsypkę. Tymczasem administracji Busha najpierw nie udało się powstrzymać prowokowanych przez Rosję działań Micheila Saakaszwilogo, prezydenta Gruzji. Następnie wyrażano „głębokie zaniepokojenie” sytuacją, a sam prezydent Bush nie wykorzystał okazji bezpośredniego spotkania ze sprawującym wówczas urząd premiera Władimirem Putinem, do jakiego doszło podczas inauguracji Igrzysk Olimpijskich w Pekinie, aby wyrzec skuteczną presję. Późniejsze próby Waszyngtonu wywierania ostrego nacisku na stronę rosyjską niewiele już dawały. Podobnie jak spóźniona wyprawa do Tbilisi sekretarz stanu C. Rice. „Z pewnością takiej klęski amerykańskiej dyploma-

⁷⁴ Ch.A. K u p c h a n, *Nowa era Sojuszu*, „Gazeta Wyborcza” 15 IV 2008; zob. też J. P. R u b i n, *Building a New Atlantic Alliance...*, s. 99.

⁷⁵ Tak uważał m.in. prezydent Bush, o czym pisze w swoich wspomnieniach: G.W. B u s h, *Kluczowe decyzje*, Warszawa 2011, s. 507-508. O konflikcie w Gruzji zob. szerzej R. G r o d z k i, *Wojna gruzińsko-rosyjska 2008*, Zakrzewo 2009, *passim*.

cji, jak na Kaukazie, dawno nie widzieliśmy” – konkludował wówczas tę sytuację Witalij Portnikow, ukraiński publicysta⁷⁶.

W tej sytuacji określenie, że „Ameryka się w Gruzji pogubiła”, wydaje się i tak bardzo łagodne. Co ciekawe, to misja prezydenta Francji, pełniącej wtedy przewodnictwo w Unii Europejskiej, okazała się bardziej skuteczna, a na pewno przesądzająca o zakończeniu działań zbrojnych. Natomiast Stany Zjednoczone straciły w kontekście konfliktu gruzińskiego wiarygodność, okazały się supermocarstwem niemal bezsilnym wobec ujawnionych na nowo mocarstwowych ambicji Rosji. Nie one były skutecznym kreatorem wydarzeń w tej części świata i nie one rozstrzygnęły ten konflikt. Nie bez racji więc pisano, że głos Ameryki był słaby słabością administracji Busha. Jej dyplomacja wydawała się pozbawiona mocnych narzędzi nacisku, zwłaszcza politycznych.

Bezradność Stanów Zjednoczonych dostrzec można było także w odniesieniu do innych regionów świata i innych problemów, choćby konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Mimo podejmowanych wysiłków i składanych przez Waszyngton propozycji, wśród których największe szanse przez pewien czas miała tzw. mapa drogowa⁷⁷, nie posunął się naprzód proces budowania trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie. A przecież obalenie Saddama Husajna i demokratyzacja Iraku miały być w założeniu twórców „doktryny Busha” ważnym czynnikiem stabilizowania całego regionu bliskowschodniego. Tymczasem konflikt izraelsko-palestyński po ośmiu latach urzędowania Busha w Białym Domu znalazł się w punkcie nie rokującym szans na szybki przełom. Ekipa Busha nie mogła się poszczycić właściwie żadnymi sukcesami w rozwiązywaniu konfliktu na Bliskim Wschodzie. Nawet przygotowana z wielkim trudem bliskowschodnia konferencja w Annapolis pod koniec 2007 r. nie stała się impulsem dla ożywienia procesu pokojowego.

⁷⁶ W. P o r t n i k o w, *Mocarstwo nad przepaścią*, „Gazeta Wyborcza” 30-31 VIII 2008.

⁷⁷ Plan przedstawiony w połowie maja 2003 r. zakładał doprowadzenie w 3 etapach do powstania niepodległego państwa palestyńskiego. Propozycje te zostały zaakceptowane przez stronę izraelską i palestyńską, a także poparte przez społeczność międzynarodową.

Z kolei przykre doświadczenia irackie, podważające optymistyczne wizje neokonserwatystów o możliwości i znaczeniu krzewienia demokracji w różnych regionach świata, rzutowały na politykę Stanów Zjednoczonych wobec Teheranu. Administracja Busha straciła entuzjazm nie tylko dla wojskowych akcji prewencyjnych, ale również dla idei szerzenia demokracji „na siłę” (raczej ograniczanie się do popierania sił demokratycznych wewnątrz kraju). Chodziło bowiem nie tylko o zasady, ale także możliwość ich zastosowania. Zaś zagrożenie irańskim programem nuklearnym, choć całkowicie realne, nie stało się celem amerykańskiego uderzenia militarnego. Administracja Busha zaczęła stawiać na negocjacje, a nawet udzielać rozmowom prowadzonym przez państwa europejskie (Francja, Niemcy, Wielka Brytania) politycznego poparcia. Co więcej, po okresie odrzucania lub kwestionowania czynnika międzynarodowego, krępującego amerykańskie supermocarstwo, Waszyngton uznał, że ONZ jest dobrym forum do znalezienia skutecznego rozwiązania problemu Iranu⁷⁸. Także program atomowy Korei Płn. pozostawiono do rozwiązania drogą dyplomatyczną.

To, że administracja Busha przystąpiła na próby dyplomatycznego rozwiązywania konfliktu z Iranem i Koreą Płn., było wartością samą w sobie. Niwelowało to bowiem wszelkie groźne precedensy, które stwarzał pomysł uderzenia wyprzedzającego czy wojny prewencyjnej. Stawiając bardziej na negocjacje i wysiłki dyplomatyczne niż rozwiązania siłowe, Waszyngton nie narażał się kolejny raz na międzynarodowy ostracyzm. O czymś też świadczył fakt, że to nie Stany Zjednoczone odgrywały w toczących się rozmowach z Pjongjangiem i Teheranem główną rolę. W negocjacjach dotyczących północnokoreańskiego programu nuklearnego ton nadawały Chiny i Rosja. Przede wszystkim jednak od skuteczności i determinacji Pekinu zależało powodzenie planów wspólnoty międzynarodowej wobec Pjongjangu. Przywódcy północnokoreańscy liczyli się głównie ze zdaniem Chin, a Stany Zjednoczone mogły tylko kibicować i wносить swój materialny wkład jako rekompensatę za ewentualne ustępstwa ze strony Korei Płn.

⁷⁸ Szerzej: J. K i w e r s k a, *Odwrót od rewolucji...*, s. 35-47.

Z Teheranem negocjacje prowadziły państwa europejskie: Francja, Niemcy i Wielka Brytania. Zresztą bez większego powodzenia. Głównie dlatego, że kluczowa dla rozwiązania tego problemu okazała się Rosja, która odmawiała solidarnej współpracy na forum ONZ i dość jawnie wspierała irański program nuklearny, dostarczając potrzebne materiały. Zaś Stany Zjednoczone – z osłabionym prestiżem i nadwężoną reputacją – nie były w stanie ani wywrzeć skutecznej presji na głównych graczy, ani przeprowadzić w Radzie Bezpieczeństwa rezolucji zaostrożającej sankcje wobec Iranu. Skłaniało to do postawienia pytania o skuteczność działań dyplomatycznych. Ich niepowodzenie można było odbierać jako kolejny przejaw słabości i nieudolności dyplomacji amerykańskiej. Mogło też sugerować, że powrót do polityki rozsądku i realizmu wcale nie musi być równoznaczny ze skutecznością w osiągnięciu celów.

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że lata urzędowania G.W. Busha w Białym Domu przejdą do historii jako czas, w którym dokonała się zasadnicza zmiana zarówno w postrzeganiu Ameryki w świecie, jak i w ocenie jej globalnej roli. Na pewno zmniejszyła się amerykańska zdolność kształtowania sytuacji na arenie międzynarodowej, rozwiązywania problemów, skutecznej reakcji na wyzwania. Stany Zjednoczone zatraciły też absolutną zdolność tworzenia koalicji i wspólnej z partnerami realizacji zadań. Ekipa Busha zmarnowała więc szansę, przed jaką stanęła wskutek wydarzeń 11 września 2001 r. – zbudowania czegoś konstruktywnego na owym wielkim i powszechnym ładunku współczucia, poparcia i solidarności, jaki wyzwolił atak terrorystyczny na Amerykę. Tym samym nie wykorzystano okazji, aby umocnić amerykańskie przywództwo w świecie, oprzeć je na większym *consensusie*, przede wszystkim wspólnocie zasad, celów i metod, a nie tylko czynnika siły militarnej. Ten bowiem – jak się okazało w Iraku i Afganistanie – nie zawsze był skuteczny i nie przysłużył się rozszerzaniu światowego porządku, owego *liberal world order*, raczej podważył rangę Stanów Zjednoczonych i otworzył nowe centra zagrożenia.

Nowy amerykański prezydent Barack Obama obejmował najwyższy urząd w państwie w dość skomplikowanym momencie. Chodziło nie tylko o pogarszającą się sytuację finansową w kraju i na świecie, wpędzającą Stany Zjednoczone, podobnie jak wiele innych państw, w największy od dziesiątków lat kryzys gospodarczy. Także w sensie politycznym lub dokładniej geopolitycznym sytuacja była szczególna. Przede wszystkim zdawał się odchodzić w przeszłość porządek, który wyłonił się po zakończeniu zimnej wojny – świat jednobiegunowy, zdominowany i kształtowany w dużej mierze przez *Pax Americana*⁷⁹. Taki porządek istniał przez lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia, gdy to USA cieszyły się statusem jedyne go supermocarstwa, łącząc w sobie bezprecedensowy potencjał militarny, gospodarczy, technologiczny i kulturowy.

Wprawdzie pod koniec pierwszej dekady XXI w. bezwzględne wyznaczniki potęgi amerykańskiej nadal pozostały znaczące. Pomimo trudnych interwencji w Iraku i Afganistanie państwo amerykańskie cały czas powiększało swój potencjał militarny (dla ścisłości, roczne koszty obecności zbrojnej USA w tych dwóch krajach – 125 mld USD – stanowiły wówczas mniej niż 1 proc. amerykańskiego PKB). Nakłady budżetowe Ameryki na obronę – ponad 500 mld USD (nie licząc

⁷⁹ Formułę jednobiegunowości jako porządku zdominowanego przez USA wykreował – jak wspomiano – ponad dwie dekady temu Ch. Krauthammer. On również przewidywał nadejście wielobiegunowości: „Za mniej więcej jedno pokolenie pojawią się państwa dorównujące swoją potęgą Stanom Zjednoczonym i świat będzie w swojej strukturze przypominał epokę sprzed I wojny światowej” (*The Lonely Superpower*, „Foreign Affairs” March/April 1999).

tych na operacje w Iraku i Afganistanie) – to było blisko 50 proc. światowych wydatków zbrojeniowych (więcej niż łączne nakłady kolejnych 14 państw na liście tych, które najwięcej łożyły na obronę)⁸⁰. W rezultacie utrzymywała się dominacja Stanów Zjednoczonych we wszystkich rodzajach wojsk: lądowych, marynarce, siłach powietrznych. Amerykańskie siły zbrojne jako jedyne mogły operować w odległych regionach świata, dysponując odpowiednią logistyką, zaopatrzeniem, środkami transportu.

Silna pozostała amerykańska baza ekonomiczna oraz technologiczna, i to pomimo obserwowanych kłopotów finansowych Stanów Zjednoczonych – słabego dolara, perturbacji na rynku nieruchomości i zadłużenia hipotecznego Amerykanów, wreszcie wysokiego deficytu budżetowego, który w 2008 r. przekroczył 400 mld USD (w 2009 r. osiągnął on już wysokość 1 bln USD). Jednak gospodarka amerykańska była nadal najsilniejsza na świecie i najbardziej konkurencyjna. Starczy powiedzieć, że PKB Stanów Zjednoczonych osiągnął w 2008 r. wartość około 14 bln USD (produkt krajowy Rosji to było zaledwie 10 proc. amerykańskiego) i jego wzrost w ciągu minionych 25 lat był większy niż w Europie czy Japonii⁸¹.

Stany Zjednoczone utrzymały wysoki poziom inwestowania w edukację – 2,6 proc. PKB przeznaczano na szkolnictwo wyższe, dla porównania Europa – 1,2 proc., a Japonia – 1,1 proc. Na liście dziesięciu najlepszych uniwersytetów w świecie, uczelni amerykańskich było zwykle siedem lub osiem; wśród pięćdziesięciu najlepszych – ponad połowę stanowiły uczelnie amerykańskie. Za tym szła wyjątkowa w przypadku Stanów Zjednoczonych umiejętność absorpcji utalentowanych i zdolnych ludzi z innych krajów, a nawet kultur i cywilizacji. Podobne wskaźniki, świadczące o amerykańskiej potędze, można było mnożyć. Dowodziły one jednego, że Stany Zjednoczone pozostały najsilniejszym mocarstwem świata.

Wszystko to jednak nie powinno przesłaniać względnego spadku potęgi USA. Udział Ameryki w światowym imporcie wynosił w 2008 r.

⁸⁰ Wg F. Z a k a r i a, *The Future of American Power*, „Foreign Affairs” May/June 2008, No. 3, s. 27.

⁸¹ Tamże.

zaledwie 15 proc. Wprawdzie jej PKB stanowił jedną czwartą produktu globalnego, ale proporcja ta malała, ponieważ potęgi azjatyckie, w tym przede wszystkim Chiny rozwijały się znacznie szybciej niż Stany Zjednoczone. Prymat Ameryki podważany był także w innych dziedzinach. Bo chociaż amerykański potencjał militarny wydawał się nie mieć sobie równych, a w okresie prezydentury Busha wzrosła liczba amerykańskich baz w świecie (m.in. na pewien czas pojawiły się one w niektórych byłych republikach radzieckich), to jednak w tym samym okresie USA doświadczyły dotkliwych wojskowych porażek. Nie udało się w pełni spacyfikować, pomimo pięciu lat okupacji i zaangażowania ogromnych sił oraz środków, 24-milionowego Iraku. Podobnie, a może nawet gorzej wyglądała sytuacja w Afganistanie, gdzie Stany Zjednoczone i ich sojusznicy napotykali coraz silniejszy opór rebeliantów islamskich. Podważało to tezę o efektywności militarnej amerykańskiego supermocarstwa.

Choć amerykański potencjał naukowy, intelektualny i kulturalny pozostał niekwestionowany, to jednak zauważalne były nowe, groźne dla prymatu Stanów Zjednoczonych zjawiska, właśnie w sferze kultury i informacji. Rosła liczba kanałów telewizyjnych i filmów konkurencyjnych wobec produkcji amerykańskiej. Spadał udział amerykańskich stron internetowych w dostarczaniu wiadomości i komentarzy.

Temu wszystkiemu towarzyszyło osłabienie politycznych wpływów Ameryki w świecie, skłaniające do postawienia hipotezy o schyłku jej supremacji. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że dyskusja na ten temat opanowała pod koniec urzędowania Busha amerykańską publicystykę, prowadzona też była w gronie czołowych amerykańskich politologów i specjalistów w zakresie stosunków międzynarodowych. Tak jak po zakończeniu zimnej wojny – za czasów G.H.W. Busha – w Stanach Zjednoczonych podjęto narodową debatę na temat amerykańskiej strategii w nadchodzących latach, tak teraz – u kresu prezydentury G.W. Busha – zastanawiano się nad zmianą roli i znaczenia Ameryki w świecie, nad wielce prawdopodobnym zmierzchem jej supermocarstwowości. Jedni autorzy analizowali przyczyny tego procesu, jego przejawy i konsekwencje. Inni natomiast polemizowali z tak kategorycznymi wizjami końca amerykańskiego prymatu.

W dyskusji tej uczestniczyli analitycy, którzy swego czasu prorokowali wyłonienie się porządku zdominowanego przez charakterystyczne dla Ameryki wartości i zasady: demokrację, liberalizm, wolność. I tak politolog Fukuyama, odchodząc od swego „końca historii”, pisał wręcz o postamerykańskim świecie, w którym następuje ekspansja krajów azjatyckich, także państw słabych, lecz o rosnącej sile oddziaływania, reprezentujących odmienne od Zachodu standardy i wartości⁸². Zabierał głos w tej debacie Brzeziński, który już przed laty twierdził, że Amerykanie powinni traktować przywództwo swego kraju jako sytuację przejściową. Teraz stawiał tezę, że Stany Zjednoczone roztrwoniły ogromną część swego prestiżu, a administracja Busha katastrofalnie zaszkodziła pozycji Ameryki w świecie. Nie przekreślał jednak szans Stanów Zjednoczonych w przyszłości⁸³. Dowodził, że „USA są nadal kręgosłupem świata. Gospodarczym, wojskowym i politycznym. Nie widać żadnego kraju czy nawet grupy państw, które mogłyby zastąpić Amerykę w tej roli”⁸⁴.

Z kolei modny wówczas politolog Parag Khanna przyczyn tego, że Ameryka traci przywództwo w świecie, upatrywał zarówno po stronie amerykańskiej, jak i w warunkach zewnętrznych. Jego zdaniem hegemizm Ameryki wywołał dyplomatyczne i gospodarcze kontrposunięcia, które miały na celu osłabienie amerykańskiej pozycji i budowę alternatywnego porządku światowego – wielobiegunowego. I dalej dowodził, że Ameryka musi raz na zawsze pozbyć się imperialnych pretensji⁸⁵. Z kolei politolog i dyplomata Richard N. Haass, dostrzegając zmierzch dominacji USA, rysował inny układ, w którym nie ma wielobiegunowości, gdyż istnieje tak dużo nowych, alternatywnych ośrod-

⁸² F. F u k u y a m a, *Epoka słabych państw*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16 VIII 2008.

⁸³ Z. B r z e z i ń s k i, *Druga szansa. Trzej prezydenci i kryzys amerykańskiego supermocarstwa*, Warszawa 2008, *passim*.

⁸⁴ Z. B r z e z i ń s k i, *Jak się nie porozumiemy, to się pozabijamy*, „Gazeta Wyborcza” 14-15 III 2009.

⁸⁵ P. K h a n n a, *The Second World: Empires and Influence in the New Global Order*, New York 2008; zob. t e g o ż, *Pożegnanie z hegemonią*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17 V 2008.

ków władzy, że trwać będzie nieustanna walka o wpływy⁸⁶. Podobny w swych sądach był F. Zakaria twierdząc, że Ameryka jako mocarstwo upada, a w kształtowanym nowym systemie globalnym do głosu dochodzi coraz więcej ambitnych państw. Korzystają one z dobrej koniunktury gospodarczej i chcą w większym stopniu uczestniczyć w kreowaniu spraw świata⁸⁷.

Na przeciwnym biegunie toczącej się w Stanach Zjednoczonych dyskusji pozostał R. Kagan, wierny neokonserwatystom i ich wizjom. Dla niego Ameryka była nadal naturalnym liderem obozu demokratycznego, a szerzenie demokracji stanowiło jej najważniejsze zadanie⁸⁸. Także Joseph S. Nye, autor popularnego pojęcia *soft power*, dowodził, że choć amerykańskie działania w polityce zagranicznej spotykają się z powszechną krytyką, to jednak atrakcyjność państwa amerykańskiego, jego wartości i zasady, kultura i dorobek cywilizacyjny, technologia i gospodarka nie uległy deprecjacji⁸⁹.

Zarówno z prowadzonej wówczas w Stanach Zjednoczonych debaty ekspertów, jak i kształtowanej realnie sytuacji w świecie płynął jednak dość jednoznaczny, zasadniczy wniosek, że zmniejszyła się amerykańska zdolność wpływania na bieg spraw, wywierania presji nie tylko na państwa silne, ale i słabe. Ameryka, choć nadal w liczbach bezwzględnych pozostała państwem potężnym, nie była już postrzegana jako mocarstwo wszechmocne, zdolne albo siłą swej woli, albo przy wsparciu bezprecedensowego potencjału militarnego, ewentualnie stosując presję dyplomatyczną zrealizować w pełni swe cele. Osłabła amerykańska

⁸⁶ R. N. H a a s, *Świat po Ameryce*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 31 V 2008. Pierwotnie artykuł ten ukazał się w „Foreign Affairs” (May/June 2008, No. 3) pt. *The Age of Nonpolarity*.

⁸⁷ F. Z a k a r i a, *The Post-American World*, New York 2008; zob. t e g o ż, *The Future of American Power...* Po objęciu urzędu przez B. Obamę amerykański politolog zmienił nieco swą tezę. Przyznając, że USA wprawdzie nie dysponują już takimi atutami, jakie miały w 1945 albo jeszcze w 2000 r., to jednak „wciąż są silniejsze niż jakiegokolwiek inne państwo (...), toteż nikt nie zajmie ich miejsca, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości” (*Pośrednik zamiast hegemonu*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 7-8 III 2009).

⁸⁸ R. K a g a n, *The Return of History and the End of Dreams*, New York 2008; zob. t e g o ż, *Koniec marzeń, powrót historii*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 11 VIII 2007.

⁸⁹ Zob. wywiad z J.S. Nye'em pt. *Bush nie zniszczył Ameryki*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 5 V 2007.

zdolność kreowania sytuacji międzynarodowej i rozwiązywania problemów. Stanom Zjednoczonym było znacznie trudniej niż poprzednio zjednoczyć wokół siebie innych, narzucić im swój punkt widzenia i wspólnie działać na arenie międzynarodowej. Mogło to oznaczać, że tracą one przywództwo, nawet jeśli *de facto* chodziło o przywództwo tylko w świecie Zachodu.

Nietrudno było znaleźć tego przyczyny. Siła Ameryki przez dziesięciolecia brała się m.in. z wyznawanych przez nią wartości i zasad, niemalże modelowego rozwoju, konsekwentnego propagowania wolności i demokracji. Czyli dysponowania ową *soft power*, o której pisał J. Nye i do której odwoływało się wielu amerykańskich polityków. „Zawsze wierzyłam, że Ameryka jest wyjątkowym krajem, ale brało się to stąd, że przewodziliśmy w tworzeniu standardów obowiązujących wszystkich, a nie dlatego, że byliśmy wyjątkiem od reguły” – twierdziła M. Albright⁹⁰.

Temu wizerunkowi Ameryki zaszkodziła niewątpliwie polityka prowadzona przez administrację Busha. I tu pojawia się wielki paradoks. Bo przecież w imię wyznawanych wartości – demokracji i wolności – Amerykanie atakowali Afganistan i Irak, zresztą sama „doktryna Busha” miała na celu – jak pamiętamy – promowanie tych zasad. Tymczasem nastąpiło jeśli nie zniszczenie, to na pewno osłabienie amerykańskiej „miękkiej siły”. Stany Zjednoczone straciły wiele ze swej moralnej potęgi, stanowiącej element amerykańskiej tożsamości politycznej i czynnik jej pozycji w świecie. Zaszkoziły im z jednej strony Abu Ghraib i Guantanamo, a później także tajne więzienia CIA, z drugiej zaś – preferowanie opcji militarnej w działaniach na arenie międzynarodowej. Inwazja na Irak w marcu 2003 r., ale też wcześniejsza, w październiku 2001 r. na Afganistan były postrzegane przez wielu jako symbole globalnego imperializmu amerykańskiego. W tej sytuacji mówienie o amerykańskim posłannictwie dziejowym, czyli promocji demokracji i wolności, budowaniu liberalnego porządku stało się dla wielu społeczności i narodów czystą hipokryzją.

Ważnym czynnikiem przywództwa była zdolność tworzenia koalicji, pozyskiwania sojuszników i partnerów, którzy jednoczą się pod

⁹⁰ M. Albright, *Rady dla prezydenta...*

jednym sztandarem, w imię wspólnych wartości i dla tych samych celów. Tej zdolności administracji Busha brakowało, ale też preferując unilateralizm i koncepcję, że „kto nie z nami, ten przeciwko nam”, Stany Zjednoczone zatraciły atrakcyjność jako lider koalicji. Co więcej, przejawiana wówczas arogancja, zbytńia pewność siebie, odrzucenie innych punktów widzenia doprowadziły do prób izolowania Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej. Ameryka zyskała niebywałą zdolność budowania politycznych koalicji nie wokół siebie – jak to było w przeszłości – ale przeciw sobie. Wyglądało na to, że Stany Zjednoczone, zmarnowawszy ogromny ładunek poparcia, jaki zyskały po ataku terrorystycznym, i nie budując na tym niczego pozytywnego, nie sprawdziły się jako wiarygodny i odpowiedzialny lider.

Dlatego u kresu prezydentury Busha państwo amerykańskie doświadczało bezprecedensowej niechęci, sprzeciwu, nieufności, a nawet wrogości. Te negatywne uczucia należało tłumaczyć nie tylko efektami polityki Busha. Była to również reakcja na amerykańskie bogactwo i potęgę, które zarówno u wrogów, jak i niektórych partnerów wzbudzały zawiść i zazdrość, potęgując kompleksy. Antyamerykanizm stał się zjawiskiem niemal powszechnym i niemalże *mainstreamem* wśród różnych społeczności, utrudniającym w licznych przypadkach budowanie przyjaznych i bliskich stosunków z Waszyngtonem. Wielu przywódców odczuło boleśnie w wewnętrznych rozgrywkach politycznych, że sprzyjanie Ameryce i bliskie kontakty z prezydentem Bushem mogą osłabić ich pozycję w kraju, a nawet pogrzebać szanse wyborcze. Innymi słowy, proamerykanizm nie popłacał w politycznej rywalizacji, natomiast antyamerykanizm stał się swoistą modą i atutem w tej walce. Czy choćby największa potęga może odgrywać rolę globalnego przywódcy, gdy wywołuje tyle złych emocji, nawet jeśli nie są one do końca uzasadnione i przez nią zawinione? Pytanie wydawało się retoryczne.

Z kolei niepowodzenia w Iraku pokazały słabość największej potęgi militarnej świata. Wprawdzie Ameryka poniosła już kiedyś klęskę, i to niezwykle spektakularną – w Wietnamie, ale wówczas sytuacja była inna – nadal trwała zimna wojna i silne było poczucie zagrożenia radzieckiego. To niejako automatycznie i trwale czyniło ze Stanów Zjednoczonych patrona i obrońcę świata zachodniego. I tego statusu, dla

dobrze pojętego własnego interesu, nikt z państw Zachodu nie podważał. Dlatego Wietnam był jedynie porażką, czyniącą większe spustoszenia w myśleniu i postawach Amerykanów niż u sojuszników zagranicznych, a zwłaszcza wśród przywódców państw zachodnioeuropejskich. Teraz, w dwadzieścia lat od runięcia „muru berlińskiego” świat wyglądał inaczej i poczucie, że amerykański kolos nie jest już tak silny, napaślało pewną satysfakcją, ale i pokusą zdyskontowania tego faktu. Inne mniejsze potęgi, różne państwa dobijające się o większy udział w decydowaniu o porządku spraw w świecie lub pragnące zademonstrować swe nowe możliwości otrzymały ważny sygnał: Ameryka nie jest już tak potężna, jak myśleliśmy.

Skloniło to nawet niektórych obserwatorów do zastosowania analogii między wojną iracką a wojną burską z przełomu XIX i XX w., która chociaż zwycięska dla Zjednoczonego Królestwa i prowadzona gdzieś na jego peryferiach, wpłynęła na losy Imperium Brytyjskiego⁹¹. Trudno już dziś przesądzić, czy ta analogia, jeśli chodzi o konsekwencje, była słuszna. Jedno natomiast było pewne, że interwencja w Iraku, a także w Afganistanie, obnażając słabości militarne i polityczne Stanów Zjednoczonych, podważyła ich prymat. Ameryka utraciła atut, który mógł decydować o utrzymaniu jej roli jako „żandarma” w pozimnowojennym świecie – gotowego rozwiązywać konflikty, skutecznie działać w wypadku zagrożenia, zdecydowanie reagować na wrogie posunięcia i przewyżczać militarnie wyzwania. Nie może być „żandarmem” ktoś, kto nie potrafi siłą lub perswazją wyegzekwować swojej władzy, choćby w 20-milionowym państwie nad Tygrysem i Eufratem lub pod Hindukuszem. Ameryka zawiodła jako skuteczny, kompetentny i budzący zaufanie strateg.

Także konflikt gruzińsko-rosyjski, żeby sięgnąć do wydarzeń z sierpnia 2008 r., gdy to w odpowiedzi na działania Tbilisi wobec separatystycznej republiki Osetii Południowej wojska rosyjskie naruszyły suwerenność Gruzji i podjęły ofensywę zbrojną, obnażył niemoc Stanów Zjednoczonych. Nie miały one na tyle silnych instrumentów, aby wymusić na Rosji cokolwiek. Sama perswazja i nacisk osłabionego su-

⁹¹ Zob. W. Mitchell, *Ameryka słabnie, Rosja w ofensywie*, „Gazeta Wyborcza” 30-31 VIII 2008; także F. Zakaria, *The Future of American Power...*, s. 20-22.

permocarstwa nie na wiele się zdały. Zaś zastosowanie opcji militarnej nie wchodziło w grę. Ową niemoc dyplomacji amerykańskiej odnieść można było także do innych regionów świata i różnych konfliktów: Bliżni Wschód, kwestia nuklearyzacji Iranu i Korei Płn., fundamentalizm islamski, a nawet terroryzm międzynarodowy. Wobec większości z tych zagrożeń i wyzwań Stany Zjednoczone albo wykazywały nieskuteczność, bezsilność i brak wiarygodności, albo do ich podjęcia potrzebowały wsparcia innych państw i sił. Waszyngton zdawał się nie mieć już decydującego głosu w rozstrzyganiu problemów i sporów na arenie międzynarodowej, znalazł się niemalże w defensywie, a ofensywę geopolityczną przejmowały inne mocarstwa regionalne, takie jak Rosja czy Chiny, a nawet Unia Europejska⁹².

Działo się tak również dlatego, że Stany Zjednoczone wprawdzie wciąż były potęgą, ale funkcjonowały w świecie, w którym pojawiło się już bardzo wielu innych aktywnych i ważnych graczy. Układ jednobiegunowy przechodził zatem w nową konstrukcję geopolityczną. Jest kwestią dyskusji, w jakiej mierze same Stany Zjednoczone swymi działaniami, zatracając przy okazji atrybuty lidera i światowego policjanta, przyczyniły się do zmiany porządku rzeczy, a w jakim stopniu były to niezależne od zachowań amerykańskich procesy mnożenia potęg. Pojawiały się bowiem głosy, że to już Clinton nie wykorzystał układu jednobiegunowego i „pozimnowojennej dywidendy pokojowej nie udało się przekuć na globalny porządek liberalny pod kierunkiem Ameryki”⁹³. Niestety, komentatorzy nie precyzowali, co należało uczynić, aby tę „fantastyczną szansę, jaką miały Stany Zjednoczone po zakończeniu zimnej wojny”, zdyskontować dla budowy trwale zdominowanego przez USA porządku międzynarodowego⁹⁴. Przecież ekipa Busha wykazała, że siłą nie uda się tego uniwersalnego ładu liberalnego pod przywództwem Ameryki wprowadzić, zaś Clinton w różny sposób starał się misję promowania demokracji realizować. Wszak przyjęcie trzech państw z Europy Środkowo-Wschodniej do NATO w 1999 r. temu między innymi celowi służyło.

⁹² Zob. W. Mitchell, *Ameryka słabnie...*

⁹³ P. K h a n n a, *Pożegnanie z hegemonią...*

⁹⁴ Z. Brzeziński, *Tarcza tak, ale nie taka*, „Polityka” 7 VI 2008.

Nie wnikając zatem w słuszność tych zarzutów, należało przyznać, że u progu drugiej dekady XXI w. Stany Zjednoczone musiały konkurować na geopolitycznym rynku z innymi potęgami, a także grupami politycznymi o różnym charakterze. I to pomimo że jedynie Ameryka dysponowała wszystkimi naraz atrybutami supermocarstwowości: ekonomicznymi, militarnymi, technologicznymi i politycznymi. Pozostałe mocarstwa posiadały zróżnicowane i często pojedyncze atuty, ale wystarczało to, by na określonym polu miały one coraz więcej do powiedzenia. W świecie skomplikowanych powiązań i uzależnień, zwłaszcza gospodarczych były w stanie silniej niż kiedykolwiek wcześniej blokować, hamować, a nawet torpedować działania Waszyngtonu. Mogły też sprzymierzyć się przeciwko Ameryce. Jedni tę nową konstelację geopolityczną nazywali układem wielobiegunowym lub powrotem do stanu rywalizacji mocarstw, inni mówili o świecie bez biegunów, dla innych zaś oznaczało to, że wkroczyliśmy w czas chaosu lub znaleźliśmy się w okresie przejściowym⁹⁵.

Bez względu na to, jak nazwiemy ten wyłaniający się w pierwszej dekadzie XXI w. porządek globalny, to najważniejszym jego elementem było pojawienie się nowych potęg, których pozycję w dużym stopniu określał zwiększony potencjał gospodarczy. To czynniki ekonomiczne spowodowały, że na początku XXI w. nagle znaczenia nabrały nowe państwa i regiony. Na niespotykaną skalę rozwinęła się gospodarka Chin, Indii, państw Azji Południowo-Wschodniej, ale też następowała poprawa kondycji Rosji, niektórych państw Afryki i Ameryki Łacińskiej, w imponujący sposób zwiększała swój potencjał Unia Europejska. Według prognoz Banku Światowego, przedstawionych w 2008 r., Chiny i Indie w ciągu najbliższych kilkunastu lat miały potroić swój dochód narodowy.

Należy podkreślić, że rozwój gospodarczy tych państw to jeszcze nie wszystko. W pewnym momencie zaczęła mu bowiem towarzyszyć wielka ambicja i zwiększające się możliwości w zakresie działań politycznych i realizacji swych celów. „Wszystkie te kraje postrzegają

⁹⁵ Zob. szerzej: J. K i w e r s k a, *Stany Zjednoczone w świecie zróżnicowanych potęg*, „Przegląd Zachodni” nr 4/2012, s. 34-38.

siebie już nie jako pionki przesuwane na geopolitycznej szachownicy, pionki używane w cudzej grze, ale jako pełnoprawnych uczestników globalnych działań” – twierdził Zakaria, autor głośnej wtedy książki pt. *The Post-American World*⁹⁶. Zaś Brzeziński dodawał: „Jesteśmy świadkami bezprecedensowego przebudzenia świadomości świata. Po raz pierwszy w historii prawie cała ludzkość jest politycznie świadoma”⁹⁷.

Wprawdzie nie wszystkie kraje chciały z tej rosnącej pozycji korzystać w równie wielkim stopniu i w podobnym charakterze. Początkowo wydawało się, że Chińska Republika Ludowa pragnie większej władzy, prestiżu i uznania w świecie, lecz zamierza to osiągnąć poprzez włączenie się do systemu międzynarodowego, a nie przez jego demontaż czy przekształcanie. „Ich ambicje miarkuje pragmatyzm i wola, aby nie wzbudzać w reszcie świata poczucia zagrożenia” – przekonywał Kagan⁹⁸. W zamian Chiny liczyły na pełną akceptację ich systemu politycznego – autokratycznego i niedemokratycznego, a wobec Tybetu i w zakresie praw człowieka nawet opresyjnego. Nikt już jednak nie kwestionował nowej roli Państwa Środka, konsekwentnie od ćwierćwiecza budującego swą potęgę zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i zewnętrznym. To ta rosnąca potęga Chin powodowała, że region Azji Południowej i Wschodniej stawał się kluczowym wyzwaniem dla polityki amerykańskiej.

W efekcie układ Ameryka-Chiny, pełen napięć, ale i wzajemnego uzależnienia, zdawał się u progu drugiej dekady XXI w. coraz silniej wdzierać na scenę globalną. I to kosztem partnerstwa transatlantycznego. Zresztą taki proces przewidywał już znacznie wcześniej Brzeziński, pisząc w *Wielkiej szachownicy*, że Stany Zjednoczone i Chiny to naturalni sojusznicy⁹⁹. Teraz były prezydencki doradca ds. bezpieczeństwa narodowego wręcz dowodził, że „prezydent USA powinien zawiązać z Chinami całościowe partnerstwo globalne, równoległe do naszych stosunków z Europą i Japonią. Powinien się z prezydentem

⁹⁶ Cyt. słowa pochodzą z wywiadu z Fareedem Zakarią: *Pax Americana się skończył*, „Dziennik” 19-20 VII 2008.

⁹⁷ Wywiad z Z. Brzezińskim, *Tarcza tak, ale nie taka...*

⁹⁸ R. K a g a n, *Koniec marzeń, powrót historii...*

⁹⁹ Z. B r z e z i ń s k i, *Wielka szachownica...*, s. 190 i n.

Chin regularnie spotykać, by szczerze dyskutować nie tylko o sprawach dwustronnych, ale i najważniejszych problemach świata – od Bliskiego Wschodu i Iranu po kryzys ekonomiczny”¹⁰⁰. Jakkolwiek natura reżimu chińskiego wydawała się sprzeczna z kreowaną przez Brzezińskiego wizją bliskiej współpracy, to jednak wiadomo było, że niektórych problemów nie uda się już rozwiązać, a wyzwania przezwyciężyć bez udziału Pekinu – tylko strona chińska była w stanie wpłynąć na reżim Korei Płn. i spowodować zablokowanie północnokoreańskiego programu nuklearnego. Siłą rzeczy Chiny stawały się więc udziałowcem ładu światowego i ich rola w tym kształtującym się porządku międzynarodowym nieubłaganie rosła.

Jednak przede wszystkim Rosja była krajem, który pomimo „smuty” politycznej i załamania gospodarczego, towarzyszących rozpadowi Związku Radzieckiego, a potem kształtujących oblicze tego państwa w latach rządów Borysa Jelcyna, nigdy nie stracił zapału, aby odzyskać swą mocarstwową pozycję. Początek XXI w. sprzyjał realizacji tego celu. Wzrost cen ropy naftowej stał się impulsem dla gospodarki rosyjskiej, a brak perspektywicznej polityki energetycznej Zachodu – nie było wówczas planu ograniczenia zużycia ropy i znalezienia alternatywnych źródeł energii – uzależnił wiele państw od dostaw z Rosji. Rządy Władimira Putina, przywódcy zdeterminowanego, skutecznego i bezwzględ- nego, który silną ręką opanował chaos wewnętrzny z lat dziewięćdziesią- tych, a następnie przywrócił Rosjanom optymizm oraz poczucie dumy, spowodowały, że Rosja pod koniec pierwszej dekady XXI w. nie przypominała już tej, z którą świat miał do czynienia wcześniej. W 1999 r. jej produkt narodowy brutto wynosił 200 mld USD, w 2008 r. sięgał aż 2 bln USD. Dynamicznie rosły nakłady budżetowe na zbrojenia. W 1999 r. na cele wojskowe przeznaczano około 3 mld USD, w 2008 r. było to już ponad 40 mld USD. Wprawdzie były to nakłady znacznie mniejsze od wysokości środków, jakimi dysponował wówczas budżet obronny Stanów Zjednoczonych (ponad 500 mld USD), ale samo tempo wzrostu nakładów na obronność w Rosji było imponujące.

Tak więc kraj ten na początku nowego stulecia zyskał nowy wizerunek i nowe, zdecydowanie większe możliwości gospodarcze oraz poli-

¹⁰⁰ Z. Brzeziński, *Jak się nie porozumiemy...*

tyczne. Prezydent Putin zamierzał z tego korzystać, burząc nawet ustalone zasady i normy postępowania, uciekając się do znanych z przeszłości metod działania – faktów dokonanych, szantażu energetycznego, egzekwowania siłą swych racji, odzyskiwania strefy wpływów, czyli prowadzenia polityki imperialnej. Rosja zapragnęła być znowu nie tyle partnerem, ile rywalem i konkurentem na arenie światowej i w ten sposób ponownie wyznaczyć drugi biegun porządku światowego. Gdy w 2005 r. prezydent Putin mówił, że rozpad Związku Radzieckiego był największą katastrofą geopolityczną XX w., dla wielu komentatorów stanowiło to tylko wyraz pewnej nostalgii za nieistniejącym państwem. Okazało się, że za tą retoryką stały wyraźne cele – odzyskanie utraconej pozycji i roli na arenie międzynarodowej, a nawet przywrócenie geopolitycznego porządku, korzystnego dla Moskwy. „Rosji nie chodzi o ten czy inny system rakietowy, lecz o międzynarodowy układ pozimnowojenny, który jej się nie podoba i który chciałaby zmienić” – dowodził już w 2007 r. Kagan¹⁰¹.

Najlepszym odzwierciedleniem tych nowych/starych tendencji działania Rosji był jej atak na Gruzję 8 sierpnia 2008 r. Nie wnikając w kwestię odpowiedzialności za konflikt gruziński, a także nie podejmując problemu jego dalszych konsekwencji dla zaangażowanych stron, to niewątpliwie reakcja Kremla – uderzenie zbrojne na suwerenne, demokratyczne państwo, niszczenie jego infrastruktury wojskowej i cywilnej, użycie siły militarnej wobec bezbronnej ludności – odsłoniła groźne i bezwzględne oblicze tego państwa. Jest to „odrodzenie się Rosji jako XIX-wiecznego mocarstwa rzucającego wyzwanie pozimnowojennemu ładu” – pisał w doskonałej, niemal profetycznej analizie bułgarski ekspert Iwan Krastew. Jego zdaniem, w ten sposób Moskwa powróciła do centrum europejskiej oraz światowej sceny politycznej, i bynajmniej nie jako przedmiot polityki lub przewidywalny dla społeczności międzynarodowej partner¹⁰².

Niewątpliwie rosyjska polityka zagraniczna „po Gruzji” bardziej kojarzyła się z XIX w. Już wówczas wydawało się, iż jest oparta na typo-

¹⁰¹ Tamże.

¹⁰² I. Krastew, *Polityka mocarstwowa spółka zo.o.*, „Gazeta Wyborcza” 23-24 VIII 2008.

wo rosyjskim połączeniu narodowych frustracji, ambicji i siły. Dlatego wojna w Gruzji cieszyła się tak dużym poparciem rosyjskiej opinii publicznej. Dla Rosjan bowiem zwycięskie starcie z Tbilisi oznaczało koniec pozimnowojennych upokorzeń, powrót do najlepszej – w ich przekonaniu – mocarstwowej polityki Rosji. To powodowało, że tak trudno było już wtedy światu zachodniemu znaleźć kompromis z Rosją ery Putina. Ta Rosja nie uznawała ograniczeń i hamulców, które – zgodnie z obowiązującymi w świecie demokratycznym standardami stosunków międzynarodowych – chciałby Moskwie w relacjach z jej najbliższym otoczeniem narzucić Zachód. Zresztą Rosja sprytnie wykorzystywała dla uzasadnienia swych groźnych działań precedens unilateralnych i prewencyjnych posunięć Stanów Zjednoczonych, takich jak w Iraku. Utrudniało to z całą pewnością reakcję nie tylko Waszyngtonu, ale również państw europejskich na przejawy imperialnych tendencji Moskwy, osłabiało skuteczność podejmowanych inicjatyw, choćby w czasie kryzysu gruzińskiego, obnażając przy okazji bezsilność amerykańskiej dyplomacji.

Trudno więc zaprzeczyć, że w jakimś stopniu powrót Rosji do roli aktywnego gracza na scenie międzynarodowej, a także pojawienie się innych ambitnych potęg w konstelacji geopolitycznej były też konsekwencją osłabienia pozycji i prestiżu Stanów Zjednoczonych. „Z powodu swoich posunięć i zaniedbań USA przyspieszyły proces powstawania alternatywnych ośrodków władzy i osłabiły własną pozycję wobec nich” – pisał R. N. Haass¹⁰³. Z kolei – zdaniem F. Zakarii – chodziło nie tylko „o schyłek Ameryki, lecz o wzrost znaczenia całej reszty”¹⁰⁴. Bo przecież oprócz głównych mocarstw, w pierwszej dekadzie XXI w. mieliśmy już do czynienia z innymi potęgami regionalnymi, w różny sposób kształtującymi sytuację międzynarodową.

Taką potęgą o ograniczonym zakresie oddziaływania okazał się Iran. Korzystając, podobnie jak Rosja, ze wzrostu cen ropy naftowej, państwo ajatollahów wyrosło na mocarstwo regionalne, które nie tylko odmawiało podporządkowania się decyzjom wspólnoty międzyna-

¹⁰³ R.N. Haass, *Świat po Ameryce...*; zob. też F. Zakaria, *The Future of American Power...*, s. 21-22.

¹⁰⁴ F. Zakaria, *The Post-American World...*, s. 48.

rodowej, domagającej się przerwania przez Teheran prac nad programem nuklearnym, ale wywierało już coraz większy wpływ na sytuację w Iraku, Libanie, Syrii, a nawet inspirowało wydarzenia na terytoriach palestyńskich w Izraelu. Charakter tego państwa, antyzachodnia retoryka jego przywódców i prowadzona aktywność polityczna stanowiły zarówno zagrożenie dla amerykańskich interesów w tym regionie, jak i ograniczenie dla polityki Waszyngtonu.

W Ameryce Łacińskiej zaczęła się liczyć Brazylia, być może Argentyna, Chile, Wenezuela. Problem z tym regionem świata polegał m.in. na tym, że Stany Zjednoczone, skoncentrowane na walce z terroryzmem, zaniedbały swych południowych sąsiadów. Nie potrafiły reagować w odpowiedni sposób na groźne dla ich interesów tendencje w tym regionie świata. Tymczasem Ameryka Łacińska stała się nie tylko lewicująca, ale skrajnie antyamerykańska. Ton nadawali rewolucyjni i populistyczni przywódcy, dla których wzorem był Fidel Castro, a nieformalnym liderem – Hugo Chávez. Atutem prezydenta Wenezueli była drożęjąca ropa naftowa. Zyski z eksportu służyły wspieraniu innych antyamerykańskich reżimów w Ameryce Łacińskiej. W ten sposób prezydent Wenezueli przejął rolę, którą poprzednio, w ramach czy to doktryny Monroe'a¹⁰⁵, czy polityki dobrosąsiedzkiej¹⁰⁶, pełniły w tym regionie świata Stany Zjednoczone.

Wenezuela stała się przy okazji kolejnym państwem zbijającym ogromny kapitał, także polityczny, dzięki rosnącym cenom ropy naftowej. To wzrost popytu na ten surowiec spowodował w ciągu niecałej dekady podniesienie jego ceny z 20 USD do grubo ponad 100 USD za baryłkę. Był to efekt nie tylko skomplikowanej sytuacji w Iraku, waż-

¹⁰⁵ Ogłoszona przez prezydenta Jamesa Monroe'a w 1823 r. doktryna głosiła, że półkula zachodnia nie może być obiektem penetracji politycznej Europejczyków, zaś Stany Zjednoczone nie będą angażowały się w wojny europejskie. Stanowiła podstawę izolacjonizmu.

¹⁰⁶ Były to działania prezydenta F.D. Roosevelta zmierzające do poprawy stosunków USA z państwami Ameryki Łacińskiej. Elementem tej polityki była m.in. deklaracja z 1933 r. o nieingerencji Stanów Zjednoczonych w sprawy państw latynoamerykańskich, następnie wycofanie amerykańskich żołnierzy z Haiti, Dominikany, Kuby i Nikaragui oraz zobowiązanie z 1936 r. o konsultowaniu z państwami Ameryki Łacińskiej spraw związanych z bezpieczeństwem i obroną półkuli zachodniej.

nego niegdyś eksportera ropy naftowej, ale również, a może przede wszystkim wzrostu zużycia ropy w świecie, a szczególnie w przeżywających gospodarczy *boom* Chinach, Indiach, a także samych Stanach Zjednoczonych. Brak amerykańskiej polityki energetycznej – zdaniem ekspertów – spowodował zachwianie porządku politycznego w świecie. Producenci ropy naftowej i gazu, dzięki gigantycznym wpływom ze sprzedaży tych surowców, dołączyli do geopolitycznych, liczących się potęg¹⁰⁷.

Równocześnie sytuację komplikowały państwa słabe. Wprawdzie trudno się zgodzić z tezą Fukuyamy, wedle której „dzisiejszy świat międzynarodowy tym się wyróżnia, że nie dominują w nim silne państwa, lecz te słabe i czasami chylące się ku upadkowi”¹⁰⁸. Jednak niewątpliwie w obliczu słabości rządów, kiepsko funkcjonujących struktur państwowych realną władzę przejmowały tam rozmaite, pozostające poza kontrolą państwową organizacje, jak np. *Hezbollah* w Libanie, *Hamas* w Palestynie, wspierani przez innych radykałów islamskich talibowie, odzyskujący swe wpływy w Afganistanie. Niekiedy państwa te stawały się łupem różnych przestępczych karteli, sił terrorystycznych i skrajnie radykalnych grup religijnych. Stosowanie w świecie słabych państw siły militarnej, która stanowi ważny atrybut Stanów Zjednoczonych, było najczęściej nieskuteczne. „Nie można używać twardej siły do tworzenia legalnych instytucji państwowych, do konsolidacji polityki” – twierdził Fukuyama. I podawał przykład: Stany Zjednoczone przeznaczają na swe siły zbrojne ogromne sumy, nieporównywalne z żadnym innym państwem. A jednak sytuacji w Iraku, mimo pięciu lat usilnych i kosztownych starań, nie udało im się ustabilizować¹⁰⁹. W jakiś sposób ten właśnie świat państw słabych ograniczał Stany Zjednoczone – zmniejszał skuteczność ich działania politycznego i militarnego, podważając tym samym potęgę Ameryki i czyniąc ją mniej wiarygodną.

W tej nie do końca jeszcze wykrystalizowanej konstelacji geopolitycznej nową pozycję zajęła Europa. Spadkiem po „erze Busha” było

¹⁰⁷ R. N. H a a s s, *Świat po Ameryce...*

¹⁰⁸ F. F u k u y a m a, *Epoka słabych państw...*

¹⁰⁹ Tamże.

bowiem z jednej strony spustoszenie w relacjach transatlantycznych, z drugiej zaś – dyskutowanie przez Europę słabnącej pozycji Stanów Zjednoczonych. Różne państwa europejskie poczuły, że mogą zademonstrować wobec Ameryki niesubordynację i nie będzie to już dla nich stanowiło problemu. Stolice europejskie zyskały wyjątkowy komfort w silnym artykułowaniu własnych poglądów, formułowaniu krytycznych wobec polityki amerykańskiej sądów, zajmowania nawet konfrontacyjnej w stosunku do Waszyngtonu postawy. Ten front antyamerykański zyskał dużą siłę przyciągania dla różnych, dotychczas nawet odległych, jeśli idzie o interesy polityczne, krajów. „Inne państwa mobilizują się przeciw Stanom Zjednoczonym” – ostrzegał Fukuyama¹¹⁰. Natomiast Ameryka – przynajmniej przez pewien czas – stała się partnerem mniej pożądanym, wręcz niewygodnym.

Problemem był również mocno nadwerżony – w opinii europejskiej – wizerunek Ameryki. Sprowadzając rzecz do konkretnego: prezydent Bush stał się w Europie jednym z najmniej lubianych przywódców politycznych. Chodziło nie tylko o nieakceptowane przez część polityków i europejską opinię publiczną założenia „doktryny Busha”, ale też było powodowane stosunkiem do samego republikańskiego prezydenta, jego sposobu myślenia, postępowania i osobowości. Konserwatyzm, manichejskie podejście do problemów, niezbyt skomplikowany ogląd świata, wreszcie dostrzegalna gołym okiem nieudolność jego administracji i popełnione błędy – wszystko to potęgowało niechęć do Busha, co przekładało się też na spadek sympatii do Stanów Zjednoczonych i ich polityki, utożsamianej z dążeniami hegemonistycznymi i niemalże awanturnictwem politycznym. Potwierdzały to badania sondażowe prowadzone wśród Europejczyków. Wynikało z nich, że Ameryka pod koniec urzędowania Busha cieszyła się sympatią średnio na poziomie dużo poniżej 50 proc.

Ten niechętny stosunek do administracji Busha w jakimś stopniu był efektem utrzymującego się od wielu lat, zwłaszcza wśród elity intelektualnej Europy Zachodniej, antyamerykanizmu. Było to uczucie budowane na ogólnej niechęci do Amerykanów jako nuworosy, ignorantów, wykazujących tendencje do zachowań aroganckich, a ich lide-

¹¹⁰ Tamże.

rów do działań niemal imperialnych. Wiele w tym było także utajonych kompleksów wobec supermocarstwa, które przed półwieczem odebrało Europie przywództwo na arenie międzynarodowej, a wielce wysublimowanej kulturze europejskiej jej prymat w świecie. Cóż, osiem lat rządów Busha, z ich specyficznym stylem i kontrowersyjnym charakterem, te antyamerykańskie nastroje tylko wzmocniło. Z pewnością więc George W. Bush nie mógłby w przeciwieństwie do Williama J. Clintona finalizować swej obecności w Białym Domu zaszczytnym tytułem „Europejczyka” i nagrodą Karola Wielkiego, przyznawaną za szczególne zasługi w promowaniu pokoju i jedności w Europie. Antyamerykanizm znacznej części opinii publicznej i elity intelektualnej w Europie Zachodniej, ale też pojawiająca się już niechęć do Stanów Zjednoczonych w państwach Europy Środkowo-Wschodniej, które dotychczas uchodziły za twierdzą proamerykanizmu, lojalnie wspierającą działania USA, jak choćby Polska, to były fakty bezsporne, nie tylko wpływające na kondycję stosunków amerykańsko-europejskich, ale także osłabiające światową rangę i pozycję Stanów Zjednoczonych.

Należało też wziąć pod uwagę rosnące poczucie niezależności Europy. Po okresie przeobrażeń pozimnowojennych i kształtowania się nowego ładu europejskiego Stary Świat znalazł się w sytuacji, w której bliższe więzi ze Stanami Zjednoczonymi były bardziej efektem świadomego wyboru niż konieczności. A to pozwalało stawiać warunki i zajmować pozycję zdecydowanie autonomiczną wobec amerykańskiego supermocarstwa, umożliwiało zerwanie z etykietką posłusznego i spolegliwego partnera. Zwłaszcza że to supermocarstwo znalazło się w dość trudnym położeniu: osłabiona ranga w świecie, nadwreżony wizerunek, nieemożność podołania wielu wyzwaniom. Efekt był taki, że administracja Busha nawet w ramach NATO nie była w stanie przeforsować swoich racji. Najlepszym przykładem był Afganistan. Bo choć pod Hindukuszem realizowano wspólną misję natowską, to europejscy członkowie Sojuszu z największą niechęcią i w bardzo ograniczonej skali, dalekiej od oczekiwań Amerykanów, zwiększyli tam swoje zaangażowanie wojskowe.

Na rosnące poczucie niezależności Europy wpływ miał również postępujący proces integracji europejskiej. Nie było bowiem tajemnicą, że coraz większym wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych stała się

Unia Europejska, której PKB w pierwszej dekadzie obecnego stulecia osiągnął poziom wyższy od amerykańskiego. Pojawiły się już spory gospodarcze między Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską, świadczące bardziej o narastającej atmosferze konkurencji i rywalizacji niż współpracy, co na pewno nie poprawiało wzajemnych stosunków. Jednakże zarówno wspólnota europejska, jak i Stany Zjednoczone stanowiły elementy tego samego zachodniego systemu norm i zasad gospodarki wolnorynkowej, uczestniczyły w procesie globalizacji i bez ich współdziałania trudno byłoby rozwiązać główne problemy ekonomiki światowej. Świadomość tego faktu była coraz bardziej widoczna po obu stronach Atlantyku, szczególnie w kontekście nasilającego się pod koniec pierwszej dekady XXI w. kryzysu gospodarczego.

Pozostaje jednak do rozważenia polityczny aspekt relacji między Stanami Zjednoczonymi a tym wyjątkowym w dziejach naszego kontynentu tworem, jakim stała się Unia Europejska. Mówiąc najprościej, wpływy polityczne UE w pierwszej dekadzie obecnego stulecia wzrastały kosztem Ameryki. Zresztą zarówno brukselscy urzędnicy, jak i przywódcy głównych państw członkowskich Unii Europejskiej starali się uczynić z niej czy to czynnik równowagi, czy to globalnego pośrednika między Stanami Zjednoczonymi a resztą świata. Zwłaszcza tą jego częścią, która w taki czy inny sposób była z Ameryką mocno skonfliktowana. To trzy główne państwa Unii – Niemcy, Francja i Wielka Brytania prowadziły negocjacje z Iranem w sprawie jego programu nuklearnego. Choć rozmowy te nie przynosiły oczekiwanych rezultatów, to jednak tworzyły z owej „trojki” swego rodzaju osobnego gracza na arenie międzynarodowej, a w przyszłości być może opromienionego sukcesem autora rozwiązania problemu irańskiego projektu nuklearnego.

Podczas gdy Stany Zjednoczone nieudolnie próbowały opanować sytuację w Iraku i powstrzymać eskalację działań zbrojnych w Afganistanie, to Europa angażowała środki finansowe i kapitał polityczny, aby wciągnąć mniej czy bardziej peryferyjne państwa w orbitę swoich wpływów. „Wiele biednych regionów świata uświadomiło sobie, że chcą europejskiego, a nie amerykańskiego marzenia” – pisał z pewną dozą przesady P. Khanna¹¹¹. Chodziło o to, że w świecie XXI w. znacznie

¹¹¹ P. K h a n n a, *Pożegnanie z hegemonią...*

ważniejsze w procesie zdobywania wpływów okazywały się narzędzia „miękkiej siły” – w tym zwłaszcza oddziaływanie ekonomiczne, ale też kulturalne. Natomiast era Busha kojarzyła się społeczności międzynarodowej głównie z dominacją czynnika militarnego, co przypominało raczej czasy zimnej wojny. Natomiast słabł w odbiorze Ameryki atrybut *soft power*, do niedawna tak bardzo dla niej charakterystyczny.

Na tej zmianie zyskiwała Unia Europejska. Jako struktura zintegrowana przede wszystkim gospodarczo, sama sobą tworzyła pewien wzorcowy model rozwoju, ale też służyła pomocą i wsparciem. „Europa bardziej przypomina Merkurego – chodzi z wypchanym portfelem” – twierdził Khanna, nawiązując do słynnej tezy Kagana o Europie z Wenus i Ameryce z Marsa¹¹². Rzeczywiście, rynek unijny stawał się największy na świecie, europejskie technologie w coraz większym stopniu wyznaczały standardy, a kraje Unii Europejskiej należały do czołowych dystrybutorów pomocy rozwojowej. „Europa ma do zaoferowania światu doświadczenia i umiejętności, jakich nasza planeta w obecnych opałach potrzebuje bardziej niż czegokolwiek innego” – dodawał znany socjolog Zygmunt Bauman, mając na myśli wypracowaną przez Europejczyków, po dramatycznych doświadczeniach przeszłości, umiejętność korzystnego współżycia pokojowego, i to pomimo dzielących ich różnic oraz uprzedzeń¹¹³.

Wszystko to procentowało w formie większych politycznych wpływów Unii Europejskiej, która stawała się partnerem bardziej pożądanym, bo mniej kontrowersyjnym i aroganckim niż Ameryka. Była niemal zupełnie pozbawiona skłonności do działania jako hegemon. Myśl tę rozwijał Kagan: „Europa chce roli światowego autorytetu moralnego oraz wpływów politycznych i ekonomicznych, traktowanych jako antidotum na militarizm”¹¹⁴. Wspólna Europa zdawała się wyznaczać kolejny biegun nowego międzynarodowego układu. Bo zdaniem niektórych specjalistów, tworzył się porządek, w którym główną rolę będzie odgrywała, obok USA i Chin, także Unia Europejska. Pisano, że ta nowa Wielka Trójka już dyktuje reguły i wzorce, a innym państwom

¹¹² Tamże.

¹¹³ Z. Bauman, *Korzenie amerykańskiego zła*, „Gazeta Wyborcza” 28-29 VI 2008.

¹¹⁴ R. Kagan, *Koniec marzeń, powrót historii...*

pozostaje tylko wybrać sobie partnerów w tym świecie, będącym *in statu nascendi*. Każda ze stron intensywnie walczyła o wpływy, o to, kogo do siebie przyciągnie. Ta rywalizacja w ramach Wielkiej Trójki miała szczególne znaczenie dla układu Stany Zjednoczone-Unia Europejska, bo oba jego członki należały przecież do tego samego zachodniego świata wartości i zasad, a coraz wyraźniej zaczęła je dzielić sfera interesów i celów, walka o wpływy i skalę oddziaływania¹¹⁵.

Pod koniec pierwszej dekady XXI stulecia nadal otwartą kwestią pozostała natomiast skuteczność działania politycznego Unii Europejskiej na arenie międzynarodowej. Czy UE stała się już wystarczająco zwartą i silną instytucją w zakresie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej? Czy dysponowała mechanizmami i środkami, które pozwalały skutecznie reagować na wypadek niebezpieczeństwa? Czy była w stanie wypracować wspólne stanowisko i podjąć wspólne działania na arenie międzynarodowej? Mówiąc kolokwialnie i posługując się popularną sentencją Kissingera, czy istniał ów magiczny numer telefonu w Europie, pod który można by zadzwonić, poszukując tam szybkiej i skutecznej reakcji na zagrożenie. Bo tylko to mogło stanowić o realnej sile Europy na scenie światowej, o jej możliwości rozwiązywania problemów politycznych. Tylko to mogło przesądzić o tym, że Unia Europejska jest już skutecznym graczem na arenie międzynarodowej.

Pod tym względem zgodzić się trzeba z opiniami, że Unia Europejska – mimo osłabienia pozycji Stanów Zjednoczonych – nie stała się jeszcze alternatywą dla amerykańskiego przywództwa. Oczywiście słabością UE był chociażby brak struktur wojskowych. I znowu Brzeziński stawiał sprawę jasno: „Europa polityczna jeszcze nie powstała”. I odnosząc to na grunt stosunków z USA pisał: „Polityczny dialog Ameryki z Europą sprowadza się do dwustronnych stosunków z poszczególnymi państwami, a szczególnie z trzema czołowymi: Wielką Brytanią, Francją i Niemcami, które same nie potrafią zająć wspólnego stanowiska w sprawach dla Ameryki istotnych”¹¹⁶.

¹¹⁵ P. K h a n n a, *Pożegnanie z hegemonią...*; por. R. K a g a n, *Koniec marzeń, powrót historii...*

¹¹⁶ Z. B r z e z i Ń s k i, *Tarcza tak, ale nie taka...*

W jakimś stopniu wynikało to z tego, że administracji amerykańskiej – i tak działa się od wielu lat – łatwiej było rozmawiać z konkretnymi partnerami europejskim niż ze zintegrowaną całością. Ale decydował o tym też fakt, że Unia Europejska nadal nie była w stanie sama rozstrzygać konfliktów światowych. Choćby dlatego, że nie posiadając realnych sił militarnych, nie wykazywała woli takiego działania. Innymi słowy, nie stanowiła jeszcze globalnego gracza, realnie zagrażającego amerykańskiemu prymatowi.

Ale też zbyt silne były inercja i zachowawczość tworu europejskiego. Wynikało to z różnic interesów, postaw, doświadczeń i celów, jakie niosły z sobą poszczególne państwa członkowskie Unii Europejskiej. W efekcie kraje te różnie definiowały odpowiedzi na wiele ważnych pytań strategicznych. Ich odmienna ocena sytuacji i zróżnicowane oczekiwania uniemożliwiały od wielu lat wypracowanie wspólnej polityki zagranicznej oraz wspólnego stanowiska wobec mnóstwa większych i mniejszych problemów międzynarodowych. Trudno nawet było na początku 2009 r. przesądzić, czy instrumentarium traktatu lizbońskiego, czekającego dopiero na wprowadzenie, okaże się skutecznym mechanizmem kształtującym wspólną europejską politykę zagraniczną i bezpieczeństwa. Tej oceny nie zmieniała nawet rola, jaką Unia Europejska odegrała w trakcie kryzysu gruzińskiego, gdy to prezydent Francji, sprawującej przewodnictwo UE, przeprowadził dość skuteczną mediację w sporze, kończąc tym samym jego dramatyczną, wojenną fazę.

W każdym razie, z perspektywy amerykańskiej i w sensie politycznym, Unia Europejska pozostawała nadal tworem dość mgławicowym, targanym wewnętrznymi sprzecznościami, które uniemożliwiały odegranie roli ważnego i skutecznego aktora na arenie międzynarodowej. Pytaniem było, czy Unia Europejska zdoła się wyzwolić z tego politycznego marazmu, a jeśli tak, to jakie będą tego konsekwencje dla amerykańskiej roli w świecie.

Przed niezwykle skomplikowanymi problemami stanął więc B. Obama, gdy w styczniu 2009 r. wprowadzał się do Białego Domu jako kolejny jego gospodarz. Były to – obok nasilającej się na ogromną skalę recesji gospodarczej – niestabilizowana sytuacja w Iraku, eskalacja działań zbrojnych w Afganistanie, realna groźba nuklearyzacji Iranu, a nawet dalszej proliferacji broni masowego rażenia, impas w procesie pokojowym na Bliskim Wschodzie, nierozstrzygnięta walka z terroryzmem, mocno nadszarpnięte stosunki transatlantyckie, *last but not least* nadwreżony prestiż i osłabiona ranga Stanów Zjednoczonych na scenie międzynarodowej. Nowy lokator w Białym Domu musiał więc zmierzyć się z zadaniami, od których rozwiązania zależęć miała nie tylko globalna sytuacja międzynarodowa, ale i znaczenie Stanów Zjednoczonych w świecie.

Odbudowa autorytetu Ameryki na arenie międzynarodowej wydawała się punktem wyjścia do podołania pozostałym wyzwaniom i problemom. Pierwszy czarnoskóry prezydent Stanów Zjednoczonych niewątpliwie miał w ręku atuty, które dawały szansę na pomyślną realizację tych zamiarów. Otóż wybór Obamy na 44. prezydenta Stanów Zjednoczonych, bezprecedensowy i historyczny pod wieloma względami, oczekiwany był z wytęsknieniem – jeśli takiego określenia można użyć wobec politycznych zachowań – przez wielu polityków w świecie, ekspertów i komentatorów, a przede wszystkim przez dominującą część światowej opinii publicznej. Już dawno żaden z pretendentów do najwyższego urzędu w Stanach Zjednoczonych nie wywoływał tylu pozytywnych emocji i nie

cieszył się tak wielką sympatią w świecie, jak czarnoskóry senator z Illinois, kandydat Partii Demokratycznej.

Nie da się zaprzeczyć, że ten entuzjazm dla Obamy był – mówiąc najprościej – manifestacją niechęci do odchodzącego gospodarza Białego Domu. Takie odczucia dominowały przede wszystkim w Europie. Znakomita większość europejskiej opinii publicznej i przywódców Starego Świata, zdegustowana polityką administracji G.W. Busha, czekała z nadzieją na nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych w myśl nadal aktualnego hasła: „Zwróćcie nam dobrą Amerykę”¹¹⁷. Można było odnieść wrażenie, że silne w Europie nastroje antyamerykańskie miały zdecydowanie personalne podłoże – były wyrazem głęboko krytycznego stosunku do Busha i jego polityki, a nie Stanów Zjednoczonych jako państwa.

Należy też przyznać, że już wiele elementów programu wyborczego Obamy dowodziło, jak ważna będzie dla niego odbudowa pozytywnego wizerunku Ameryki w świecie. Zapowiadano w nim nowy styl dyplomacji, w której zamiast manifestacji siły i arogancji miały przeważać multilateralizm, dialog, delikatne naciski, a przede wszystkim wysłuchiwanie racji partnerów. Odpowiadało to oczekiwaniom polityków, zwłaszcza w wielu stolicach europejskich, gdyż było bliższe Europie „spod znaku Wenus” i niemieckiej *Zivilmacht* niż forsowanej przez administrację Busha opcji siłowej „w duchu boga Marsa”. Obama w swoich poglądach wydawał się też – bardziej niż jego republikański konkurent John McCain – być bliższy *soft power*, tradycyjnemu atutowi Stanów Zjednoczonych, niemal pogrzebanemu przez działania administracji Busha. „Dzisiaj Ameryka kojarzy się z więzieniem Guantanamo, a nie ze Statuą Wolności” – mówił w wywiadach kandydat demokratów i zapowiadał, że trzeba to zmienić.

„Obama uosabia te cechy amerykańskiego społeczeństwa, które podobają się nawet najostrzejszym krytykom Waszyngtonu” – pisał z kolei brytyjski historyk i publicysta Timothy Garton Ash. Dowodził on, że nowy prezydent to szansa na przywrócenie dobrej reputacji Ameryki

¹¹⁷ Tak brzmiał tytuł artykułu w „Die Zeit”, opublikowanego krótko przed wyborami do Kongresu w listopadzie 2006 r.

nie tylko w Europie, ale i na świecie, odzyskanie przez nią szacunku społeczności międzynarodowej. Musi on – podkreślał T. Garton Ash – „odświeżyć tradycyjne wyobrażenie o amerykańskiej wyjątkowości, misji i przywództwie”¹¹⁸. Mając po swojej stronie sympatię znacznej części liderów politycznych w świecie oraz entuzjazm opinii publicznej, a także deklarowane własne przekonanie o konieczności zmiany stylu uprawiania polityki zagranicznej, nowy gospodarz Białego Domu już niemal w momencie startu zdołał wytworzyć lepszą atmosferę wokół Ameryki. Francuski pisarz i publicysta polityczny Guy Sorman ujął sprawę krótko: „(...) wraz z objęciem władzy przez Obamę imperium przybrało nieco bardziej sympatyczne oblicze”¹¹⁹.

Niewiadomą pozostało jednak to, czy prezydent Obama spełni pokładane w nim nadzieje, czy zdoła odbudować zaufanie do Ameryki, faktycznie przywróci jej wiarygodność i skuteczność, niezbędne do pełnienia roli światowego lidera. Istniało bowiem jedno niebezpieczeństwo. Komentatorzy zgadzali się, że czarnoskóry prezydent Stanów Zjednoczonych przy całej swej charyzmie, zdolnościach oratorskich, wizjonerskich przesłaniach i budzących nadzieje hasłach nie miał doświadczenia w polityce zagranicznej. Mogło to skutkować błędnymi decyzjami lub nawet ich brakiem, a także nie przynoszącymi efektów działaniami na arenie międzynarodowej. Ale też nie musiało być wcale okolicznością o czymkolwiek przesądającą. Wystarczy przypomnieć, że Truman, gdy w kwietniu 1945 r. „w biegu” przejmował urząd prezydencki po zmarłym nagle Rooseveltcie, niewiele wiedział o polityce zagranicznej, a przecież to on właśnie wprowadził strategię „powstrzymywania”, która okazała się skuteczna i przyniosła Stanom Zjednoczonym zwycięstwo w zimnej wojnie. Z kolei Clinton szedł do wyborów w 1992 r. – jak pamiętamy – z hasłem „Gospodarka, głupcze” i nieznamość sytuacji międzynarodowej oraz brak doświadczenia dyplomatycznego stanowiły obciążenie tylko do połowy jego pierwszej kadencji prezydenckiej. Odchodząc z urzędu w styczniu 2001 r., pozostawiał

¹¹⁸ T. Garton Ash, *Raczej nie prezydent świata*, „Gazeta Wyborcza” 24-25 I 2009.

¹¹⁹ G. Sorman, *Nowe amerykańskie stulecie*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 2-3 V 2009.

Amerykę w dobrej kondycji, nie tylko wewnętrznej, ale i z dodatnim bilansem na arenie międzynarodowej oraz silną, niekwestionowaną w zasadzie pozycją przywódczą Stanów Zjednoczonych.

Pytaniem podstawowym było również i to, czy prezydent Obama ma w sobie tę wolę, aby odbudować i umocnić amerykańskie przywództwo w świecie. Czy nie uważa on, że ostatnie osiem lat i kontrowersyjna spuścizna po G.W. Bushu pozbawiły Amerykę moralnego prawa do przewodzenia? Albo na tyle osłabiły jej potencjał, aby zdołała ona pełnić rolę lidera? Wreszcie, czy świat zechce znowu zaakceptować amerykańskie przywództwo w takim stopniu, że będzie ono uzasadnione i skuteczne? Wprawdzie w swej mowie inauguracyjnej prezydenturę, 20 stycznia 2009 r., Obama zapewniał: „Jesteśmy ponownie gotowi przewodzić światu?”, zaś politycy z różnych państw wyrażali w swych depeszach gratulacyjnych nadzieję na silną rolę USA, ale było to zbyt mało, aby rozwiać wszelkie wątpliwości co do rzeczywistych zamiarów i aspiracji nowego prezydenta. Nie mogło to też usunąć wątpliwości co do oczekowań świata i jego gotowości ponownego podporządkowania się prymatowi Ameryki. Kwestię tę Garton Ash ujmował słowami: „Jest napięcie między wizją odzyskania przez Amerykę pozycji światowego przywódcy (...), którą Obama roztacza przed swymi rodakami, a tym, co reszta świata chciałaby usłyszeć i co byłaby dziś gotowa zaakceptować”¹²⁰.

Zrazu zdawało się jednak, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Powierzenie przez prezydenta Obamę stanowiska szefa amerykańskiej dyplomacji ambitnej Hillary Clinton – swej niedawnej konkurentce w wyścigu o nominację Partii Demokratycznej na prezydenckiego kandydata, miało nie tylko osobistą wymowę. Nie chodziło jedynie o pozyskanie dla administracji niedawnego rywala politycznego, ale chyba również o nawiązanie do tradycji działania na arenie międzynarodowej w duchu multilateralizmu, charakteryzującego prezydenturę męża nowej sekretarz stanu – Billa Clintona. Zresztą występując przed Komisją Senatu, która miała zatwierdzić jej nominację, Clinton deklarowała wolę współpracy z partnerami i sojusznikami. Mówiła, że Ameryka

¹²⁰ T. Garton Ash, *Raczej nie prezydent świata...*

nie może rozwiązywać problemów świata sama, ale też świat nie jest w stanie rozwiązywać ich bez Ameryki. Podkreślała znaczenie sojuszu z Europą, zwłaszcza z Niemcami, Francją, Wielką Brytania i „nowymi demokracjami” z Europy Wschodniej. Odwołując się do atrybutów *soft power*, przyszła sekretarz stanu przekonywała: „My wiemy, że Ameryka musi przewodzić światu poprzez przykład. Nasze interesy w świecie muszą iść w zgodzie z naszymi wartościami”¹²¹. Choć były to tylko deklaracje składane głównie na użytek chwili, jednak tworzyły korzystny dla ich ewentualnej realizacji klimat.

Także inne nominacje nowego prezydenta na wysokie stanowiska w administracji potwierdzały wolę kształtowania bardziej koncyliacyjnego charakteru jej działań na arenie międzynarodowej. Pozostawienie w *Pentagonie* dotychczasowego jego szefa Roberta M. Gatesa, który zdołał już wcześniej jeśli nie zniwelować, to przynajmniej osłabić w stosunkach z zagranicą złą spuściznę, wypracowaną przez aroganckiego poprzednika Donalda Rumsfelda, wykazując się przy okazji wysokimi kompetencjami, przyjęto powszechnie z aprobatą. Uważano, że po pierwsze – nic bardziej się nie liczy w resorcie obrony niż doświadczenie i kompetencje, a po drugie – ważna jest również umiejętność dogadywania się z sojusznikami.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że kluczowe znaczenie dla odbudowy autorytetu Stanów Zjednoczonych będzie miało przywrócenie dobrej atmosfery w relacjach transatlantyckich, stanowiących ważny czynnik rangi państwa amerykańskiego. Zresztą powszechne było oczekiwanie na świeży impuls i nowy początek we wzajemnych stosunkach – Europejczycy wydawali się mimo wszystko już mocno zmęczeni utrzymującym się stanem napięcia oraz pewnej niechęci między Ameryką a Europą i pragnęli poprawy tych relacji. Pisał o tym Hans-Gert Pöttering, przewodniczący Parlamentu Europejskiego, dowodząc znaczenia i roli partnerstwa transatlantyckiego: „Musimy zapomnieć o różnicach i nieporozumieniach. Zarówno w Waszyngtonie, jak i Brukseli powinniśmy wykorzystać szanse i zmienić nasz sposób my-

¹²¹ Senate Confirmation Hearing: Hillary Clinton (transcript), January 13, 2009, www.nytimes.com/2009/01/13/us/politics/13text-clinton.html?pagewanted=all&_r=0.

ślenia, a także przyjąć zobowiązanie wspólnego działania na rzecz dobrobytu i pokoju, nie tylko w Europie i Ameryce Północnej, ale i całym świecie¹²². W podobnym duchu utrzymane były depeše gratulacyjne, wysyłane przez przywódców europejskich po zwycięstwie wyborczym Obamy. Kanclerz A. Merkel podkreślała: „Jestem przekonana, że Europa i USA będą działać wspólnie oraz w najlepszej wierze, aby zarówno przeciwstawić się wyzwaniom i zagrożeniom, jak i wykorzystać w najlepszy sposób szanse, jakie stoją przed nami w tym zglobalizowanym świecie”¹²³.

Jakkolwiek więc rosło przekonanie wśród przywódców europejskich, że układ transatlantycki pozostaje ważnym czynnikiem zarówno bezpieczeństwa, jak i roli Stanów Zjednoczonych oraz Europy, to jednak bezsprzecznie wszelkie próby odbudowy i wzmocnienia wzajemnych relacji zależeć miały w dużym stopniu od działań Ameryki, głównego członu wspólnoty i jego lidera. Zapowiadając zmianę tonu i stylu dyplomacji, które teraz miała zdominować wola dialogu, negocjacji i współpracy, a także szersze wykorzystanie atrybutów „miękkiej siły”, administracja Obamy kreowała lepszy obraz Ameryki i umacniała dobry punkt wyjścia do realizacji tych celów.

Podczas inauguracji swej prezydentury Obama – jak pisał Garton Ash – „uderzył w tony, które świat chciał usłyszeć z Waszyngtonu”. Mówił o „łagodzącym wpływie pokory i powściągliwości”, pewnie nieświadomie nawiązując do pamiętnej frazy G. W. Busha, która szybko – jak pamiętamy – przestała za jego prezydentury obowiązywać¹²⁴. Jednak w tym momencie i po ośmiu latach urzędowania Busha miała ona nowy powab. Ze szczególnie pozytywnym odzewem, i to nie tylko w stolicach europejskich, spotkała się również zapowiedź szybkiej likwidacji więzienia w Guantanamo i większej aktywności na rzecz walki z ociepleniem klimatu. Zaś w kolejnych wystąpieniach prezydent wie-

¹²² H.-G. P ö t t e r i n g, *Transatlantic fresh start*, „The Guardian” 4 XI 2008, www.guardian.co.uk/commentisfree/2008/nov/04/eu-uselections2008/print.

¹²³ Cyt. w: *German Politicians Welcome Obama, Call for Closer Ties to US*, 5 XI 2008, www.dw-world.com/popups/popup_printcontent/0,,3767064,00.html.

¹²⁴ T. G a r t o n A s h, *Raczej nie prezydent świata...*

le mówił o wycofaniu w niedalekiej przyszłości amerykańskich wojsk z Iraku, silniejszym zaangażowaniu na rzecz odbudowy Afganistanu, a wobec wrogów i przeciwników wystąpił z ofertą rozmów i negocjacji, niemalże bez warunków wstępnych. Większy pragmatyzm w działaniu i konsultacja w relacjach z partnerami miały zastąpić dotychczasową ideologizację polityki amerykańskiej i autorytatywność w podejmowaniu decyzji. Europejski członek układu transatlantyckiego mógł się więc poczuć bardziej doceniony, ważniejszy i współodpowiedzialny.

Tę nową atmosferę w relacjach Ameryki z jej europejskimi sojusznikami dostrzec można było już podczas pierwszej jako prezydenta wizyty Obamy na kontynencie europejskim, na początku kwietnia 2009 r. Jego pobyt w Europie był wydarzeniem śledzonym z najwyższą uwagą i szeroko komentowanym. Nie tylko dlatego, że wizyta ta wiązała się z udziałem prezydenta USA w ważnych i decyzyjnych spotkaniach międzynarodowych: szczyt państw G20, spotkanie w ramach NATO oraz rozmowy w formule Unia Europejska-Stany Zjednoczone. Dla większości przywódców europejskich była to pierwsza okazja do spotkania z prezydentem Obamą. Ich oczekiwania były duże i różnorodne, odnoszące się do podjęcia skutecznych działań w kwestiach zarówno gospodarczych, jak i politycznych. Ale przede wszystkim były to oczekiwania odnoszące się do formuły i charakteru amerykańskiego przywództwa nie tylko w ramach układu transatlantyckiego, ale także w świecie.

Niewątpliwie Barack Obama był traktowany przez partnerów z Europy jako lider świata Zachodu. Dlatego wiele pomysłów Obamy przyjmowano czy to w Londynie na spotkaniu G20, czy to podczas szczytu NATO w Strasburgu i Kehl z dużą przychylnością. Doceniano tym samym wysiłek, jaki włożyła nowa administracja w to, aby przekonać sojuszników, że zależy jej szczególnie na wzmocnieniu roli dyplomacji na arenie międzynarodowej, prowadzeniu z partnerami rozmów i podejmowaniu decyzji uwzględniających różne punkty widzenia oraz głęboko przedyskutowanych.

Warto jednak podkreślić, że po trudnym okresie prezydentury Busha wystarczyło manifestować wolę innego, mniej aroganckiego traktowa-

nia sojuszników, aby zyskać ich uznanie i mieć gwarancję dokonania nowego otwarcia w relacjach transatlantyckich. Tak też niewątpliwie się stało. Można zaryzykować stwierdzenie, że układ transatlantycki został wzmocniony nie tyle wzajemną sympatią, której ze względu na pełen dystansu styl bycia Obamy nie udało się między przywódcami europejskimi a amerykańskim prezydentem dostrzec, ale dzięki demonstracji nowego sposobu dogadywania się Ameryki z Europą. Efektem tego był powrót Stanów Zjednoczonych – jeszcze wówczas nie wiadomo czy trwały – do roli rzeczywistego lidera w relacjach transatlantyckich. To amerykański prezydent zdawał się ponownie „rozdawać karty” przy natowskim stole, gdy przekonał Turcję do wycofania sprzeciwu wobec kandydatury premiera Danii Andersa Fogha Rasmussena na stanowisko sekretarza generalnego Paktu. Wprawdzie przesądziły o tym zaferowane Ankarze konkretne korzyści, ale niewątpliwie znaczenie miał też autorytet Obamy i fakt, że to on prowadził z tureckim prezydentem negocjacje.

Pozostając przy szczycie NATO, trudno było nie oprzeć się wrażeniu, że choć miał on charakter wyjątkowy, bo jubileuszowy – minęło właśnie 60 lat od powstania organizacji – to raczej nie okazał się przełomowy. W przeciwieństwie bowiem do tego sprzed dziesięć lat, gdy w Waszyngtonie obchodzono 50. rocznicę istnienia NATO, tym razem nie przyjęto nowej strategii Sojuszu. A wobec nadwerżzonej spójności oraz osłabionej skuteczności tej organizacji, uchodzącej do niedawna za najbardziej udaną we współczesnych dziejach, potrzeba wypracowania nowej strategii wydawała się bardziej niż nagląca. Wszak NATO stanęło wobec trudnych i wymagających zwiększonych wysiłków wyzwań. Z jednej strony była to kwestia ewentualnego wzmocnienia działań ekspedycyjnych, takich jak operacja w Afganistanie, z drugiej – utwierdzenie tradycyjnych, obronnych funkcji Sojuszu, zwłaszcza w odniesieniu do państw członkowskich z Europy Środkowo-Wschodniej. Nie będzie więc przesady w stwierdzeniu, że rzeczywista weryfikacja tezy o odbudowanej w Strasburgu i Kehl jedności Paktu i tym samym umocnieniu ważnego filaru rangi Stanów Zjednoczonych w świecie miała się dokonać podczas przyszłych prac nad jego nową strategią, a także w kontekście prowadzonej przez NATO misji wojskowej w Afganistanie.

Jeśli ktoś miałby wątpliwości, czy prezydent Barack Obama zaprezentował się podczas swej pierwszej prezydenckiej wizyty w Europie jako przywódca supermocarstwa i lider światowy, to te zastrzeżenia usunęło w cień wystąpienie w Pradze 5 kwietnia 2009 r. i jego zobowiązanie, że USA podejmą działania, aby zbudować świat bez broni atomowej¹²⁵. W ten sposób Obama odwoływał się do wielokrotnie już przywoływanego paradygmatu amerykańskich zachowań na arenie międzynarodowej – misji dziejowej Ameryki, jej szczególnego posłannictwa. Przypominało to trochę wizję głoszone swego czasu przez prezydenta Wilsona, który w atmosferze dramatu I wojny światowej postulował powszechne rozbrojenie jako najlepszą gwarancję trwałego pokoju. Jego koncepcje rozbiły się wówczas o europejską rzeczywistość, w której było zbyt wiele sprzecznych interesów różnych państw, rywalizacji mocarstw, zadawnionych konfliktów i gorących sporów, aby zdecydowano się na powszechne rozbrojenie. Jednak myśl padła i – chociaż bezskutecznie – jakieś ograniczone wysiłki na polu rozbrojenia w okresie międzywojennym podejmowano¹²⁶.

W wystąpieniu Obamy nie zabrakło odcienia owego idealizmu, co nadało jego przemówieniu w stolicy Czech wyjątkowego charakteru, atrakcyjnego dla szerokiej opinii publicznej, szczególnie tej europejskiej „spod znaku Wenus”. Mniej było tam jednak realizmu politycznego. Trudno bowiem było wyobrazić sobie, aby w atmosferze końca pierwszej dekady XXI w. różne siły i grupy, nie posiadające zdolności i woli negocjacji, były w stanie wyrzec się śmiertelności broni w jakiegokolwiek wyobrażalnej przyszłości lub też wykluczyć sytuację, że w innych miejscach globu nie pojawią się takie zagrożenia. Oferta prezydenta Obamy miała w sobie więcej czystej retoryki i atrakcyjnego z natury idealizmu, obliczonych na spotęgowanie entuzjazmu tłumów i zyskanie poparcia europejskich elit intelektualnych (kilka miesięcy później propozycja ta dała Obamie pokojową Nagrodę Nobla), niż

¹²⁵ Remarks by President Barack Obama, Prague, Czech Republic, April 5, 2009, www.whitehouse.gov/the-press-office.

¹²⁶ Zob. J. K i w e r s k a, *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem. Europa w polityce Stanów Zjednoczonych...*, s. 19 i n.

wyrażała możliwe do zrealizowania plany. Należy także pamiętać, że choć piękne słowa i wzniosłe zapowiedzi mają swoje miejsce w polityce i historii, to przecież istnieje granica, za którą aspiracje i wizje stają się złudnymi nadziejami, wywołującymi irytację tych, którzy uwierzyli w ich realizację. Niemniej jednak praskie wystąpienie w tamtym momencie umocniło wizerunek nowego amerykańskiego prezydenta jako lidera z wizją i wolą zmian. Dzięki temu Ameryka zdawała się odzyskiwać rangę supermocarstwa z atrybutami *soft power*¹²⁷.

¹²⁷ M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *Bending History. Barack Obama's Foreign Policy*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2012, s. 267.

Nie zmieniało to faktu, że po wizycie prezydenta Obamy w Europie wiele pytań pozostało jeszcze bez odpowiedzi, można było nawet zaryzykować tezę, że nadal więcej jest niewiadomych niż konkretnych rozstrzygnięć. W każdym razie podróż ta potwierdziła, że nowa administracja prezentuje inny sposób uprawiania polityki, w którym liczy się dialog i porozumienie, ale też oczekuje się większego wsparcia i zaangażowania innych w rozwiązywanie problemów globalnych. Mówiąc krótko, amerykańskie przywództwo zakładało wspólne z sojusznikami i partnerami podejmowanie wyzwań i współpracę z nimi przy realizacji zadań na arenie międzynarodowej. „Pragniemy mieć silnych sojuszników. Nie chcemy być patronami Europy. Oczekujemy, że będziemy partnerami Europy” – mówił prezydent Obama w kwietniu 2009 r., podczas pobytu na kontynencie europejskim¹²⁸. Wobec różnych wyzwań, takich jak problemy globalnej gospodarki, terroryzm międzynarodowy, groźba proliferacji broni jądrowej, konflikt bliskowschodni, celem administracji Obamy była współpraca z każdym, kto okazałby skuteczną pomoc przy rozwiązaniu tych problemów. W tym Waszyngton widział szczególną rolę sojuszników europejskich¹²⁹.

Ten wzmożony wysiłek oczekiwany był przede wszystkim w odniesieniu do operacji NATO w Afganistanie. Jednak szyb-

¹²⁸ Cyt. w: M.E. O'Hanlon, *Obama's Solid First Year on Foreign Policy*, www.brookings.edu/opinions/2010/0101_obama_foreign_policy_ohanlon.aspx.

¹²⁹ Zob. wywiad z B. Obamą pt. *Potrzebujemy siebie nawzajem*, „Polityka” 8 VI-14 VI 2001.

ko okazało się, że tej gotowości w Europie nie było. Europejscy partnerzy z Sojuszu deklarowali wprawdzie, że powodzenie misji afgańskiej jest czynnikiem ich narodowego bezpieczeństwa, ale w praktyce traktowano ją jako niemalże wyłączną odpowiedzialność Stanów Zjednoczonych. Wielu europejskich liderów politycznych oraz zdecydowana większość opinii publicznej w Europie nie uważała wojny w Afganistanie za pojedynek z terroryzmem o charakterze egzystencjalnym. Raczej pozostała ona dla nich „wojną Busha”, której nie chcieli i nie popierali. Tymczasem sytuacja pod Hindukuszem pogarszała się – bazy wojsk międzynarodowych atakowano nawet raketami, uprowadzano zakładników i mordowano cywilów. Istniała realna groźba, że Stany Zjednoczone i NATO mogą tę wojnę przegrać, co nie pozostałoby bez znaczenia dla prestiżu Ameryki. W sytuacji, gdy siły amerykańskie były już na tak dużą skalę zaangażowane w Iraku, a i w Afganistanie ich liczba na początku 2009 r. przekroczyła 30 tys., konieczne wydawało się wsparcie ze strony sojuszników. Supermocarstwo przynajmniej w tej konkretnej sprawie potrzebowało pomocy.

Jednak gdy podczas wizyty w Europie prezydent Obama zaproponował sojusznikom europejskim skierowanie pod Hindukusz dodatkowych żołnierzy, aby wzmocnić operujące tam kontyngenty narodowe, jego apel potraktowano równie chłodno, jak kiedyś prośby prezydenta Busha. Podobnie było z kolejnymi apelami Obamy – tylko z największym trudem udawało się zebrać niewielkie w stosunku do wysiłku amerykańskiego i oczekiwań Waszyngtonu oddziały europejskie i kierować je do Afganistanu (w 2010 r. po decyzji Obamy o wysłaniu dodatkowych sił do Afganistanu amerykański kontyngent liczył już 100 tys. żołnierzy, a przykładowo niemiecki – zaledwie 5 tys., zaś niektóre państwa członkowskie NATO wręcz wycofywały swoje oddziały spod Hindukuszu)¹³⁰.

Rozczarowanie administracji Obamy odnosiło się też do Unii Europejskiej – struktury, która przecież zdawała się aspirować do roli ważnego gracza na arenie międzynarodowej, a przynajmniej u progu drugiej

¹³⁰ *German positive about NATO leaders, dislike Afghanistan mission*, „Deutsche Welle” 3 IV 2009, www.dw-world.de.

dekady XXI w. dysponowała wieloma ku temu przesłankami. Ale już spotkanie w Pradze, na początku kwietnia 2009 r., okazało się dla strony amerykańskiej bardzo zniechęcające. Otóż, prezydent Stanów Zjednoczonych był zmuszony wysłuchiwać różnych, często sprzecznych ze sobą głosów 27 przywódców państw członkowskich UE, a zabrakło wspólnej propozycji, jak przezwyciężyć globalne wyzwania, zwłaszcza związane z kryzysem gospodarczym. A na to liczył amerykański prezydent. Efektem tego rozczarowania było odwołanie przez prezydenta Obamę udziału w kolejnym szczycie USA-UE, planowanym na maj 2010 r. w Hiszpanii, co uznano w Starym Świecie za afront ze strony amerykańskiego przywódcy¹³¹. Trzeba jednak przyznać, że Europejczycy nie przyjęli w relacjach międzynarodowych roli ważnego podmiotu, którym potencjalnie Unia Europejska przecież była i co zapisano w traktacie lizbońskim. Co gorsza, mimo upływu czasu tego deficytu europejskiej dyplomacji nie udawało się wyeliminować, potęgując rozczarowanie Ameryki.

Z perspektywy Waszyngtonu oznaczało to bowiem, że Europa/Unia Europejska nie sprawdza się jako zaangażowany i odpowiedzialny sojusznik, na jakiego liczyła i jakiego w nowej, skomplikowanej geopolitycznie i ekonomicznie sytuacji potrzebowała administracja Obamy. Bez takiego współdziałania przywództwo amerykańskie byłoby kulejące i mniej skuteczne. Tymczasem, demonstrując wyjątkową powściągliwość w reagowaniu na sugestie amerykańskiego prezydenta, Europa jakby odrzucała jego ofertę „partnerstwa w przywództwie”. A zdawało się, że po unilateralizmie Busha i arogancji jego administracji Europa oczekuje ze strony Ameryki traktowania jej jak strategicznego partnera, z którym będzie się konsultować i dyskutować, a także dzielić obowiązki i przywileje. Gdy taka oferta padła, to zabrakło po stronie europejskiej gotowości do ponoszenia ryzyka i kosztów związanych z tą potencjalnie nową rolą.

¹³¹ Zdecydowano wobec tego, że szczyty USA-UE odbywać się będą nie co roku, jak było to w zwyczaju, ale w razie konieczności i gdy pojawią się konkretne sprawy do rozstrzygnięcia; *EU-US summits to take place „only when necessary”*, 27 III 2010, www.euroobserver.com/9/29782?print=1.

A zatem nie bez racji komentatorzy zwracali uwagę, że administracja Obamy, zniechęcona biernością Europy i paraliżem Unii Europejskiej, może zwrócić się do innych adresatów i skoncentrować na innych geograficznie obszarach, aby tam szukać partnerów do współpracy. Może też ograniczyć swe zaangażowanie w Starym Świecie i zainteresowanie dla jego problemów. Zresztą wiele wskazywało, że tak się dzieje – administracja Obamy traciła ochotę, aby grać rolę lidera wobec Europy, mającej kłopoty z wypracowaniem wspólnego stanowiska i wykazującej niechęć do podejmowania wyzwań globalnych.

Przyznać jednak należy, że niektóre przyczyny tego stanu rzeczy w relacjach z Ameryką były niezależne od Europejczyków i przez nich niezawinione. Generalnie bowiem dla Waszyngtonu czasu Obamy kontynent europejski zdawał się nie być już regionem o pierwszorzędnym znaczeniu. Obok zaabsorbowania uwagi Białego Domu problemami gospodarczymi związanymi z kryzysem w jakiejś mierze wynikało to także z osłabienia więzi emocjonalnych między politykami amerykańskimi a przywódcami europejskimi, powodowanego zmianami generacyjnymi. Otóż pokolenie pamiętające okres zimnowojenny, tak istotny dla kształtowania i umocnienia się wspólnoty transatlantyckiej, znikало z amerykańskiego (i europejskiego) życia politycznego. Zatem o bliższych związkach ze Starym Światem decydować miały teraz bardziej względy pragmatyczne, czyli w czym Europa może być pomocna dla Ameryki, niż – jak to było przez ostatnie ponad pół wieku – doświadczenie historyczne, więzi emocjonalne lub kulturowe.

Słabnące zainteresowanie Europą wynikało też z prostego faktu, że nie wydawała się ona już przedmiotem szczególnych obaw amerykańskich o jej bezpieczeństwo, stabilizację i postępy w demokracji, jak działo się to w czasach zimnej wojny i w pierwszym okresie po jej zakończeniu. Prezydent Obama postrzegał Europę przede wszystkim w kontekście i w zestawieniu z innymi problemami, stanowiącymi rzeczywiste wyzwanie dla amerykańskich interesów i priorytetów. Europa, nie będąc już głównym zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa, została podporządkowana innym celom amerykańskiej polityki zagranicznej lub wręcz odsunięta na drugi plan. Myśl tę rozwijał Kagan, pisząc, że „Obama jest pierwszym naprawdę

pozimnowojennym prezydentem USA. Nie łączy wielkich emocji z Europą. (...) Jako człowiek sterujący supermocarstwem, które ma wiele kłopotów, zastanawia się przede wszystkim nad tym, co Europa może zrobić dla niego. A jej znaczenie strategiczne maleje z roku na rok – na jej własną prośbę, z powodu tego, co Europa robi i czego nie robi”¹³².

To, że Europa przestaje być obiektem szczególnej uwagi Waszyngtonu, który być może gdzie indziej poszuka oparcia dla swego przywództwa oraz obszaru do swej zwiększonej aktywności, najsilniej odczuły państwa środkowowschodniej części kontynentu. Społeczności tego regionu Europy, stanowiącego strategiczną granicę z Rosją, tradycyjnie pragnęły silnych więzów z Ameryką, traktowaną jak naturalny lider: w okresie komunizmu – wymarzony, w okresie pozimnowojennym – oczywisty i akceptowany. Były zresztą gotowe i dały temu wielokrotnie dowód, nawet w czasie prezydentury G.W. Busha, gdy niektórzy inni sojusznicy zawiedli, w postaci pełnej lojalności oraz bezwarunkowej spolegliwości – we właściwym tego słowa rozumieniu – wobec amerykańskiego supermocarstwa¹³³. Tymczasem administracja Obamy, skoncentrowana na innych priorytetach, ale też próbująca traktować nasz kontynent jako całość, niemal zupełnie straciła z pola widzenia tę część Europy.

Trudno było nie dostrzec głównej przyczyny odsunięcia Europy Środkowo-Wschodniej na daleki plan w kalkulacjach Waszyngtonu, wiążącej się zresztą z przyjętymi przez administrację Obamy wyznacznikami polityki zagranicznej. W tym nowym myśleniu o amerykańskiej roli w świecie i charakterze relacji Stanów Zjednoczonych z ich otoczeniem międzynarodowym szczególną rolę zaczęła odgrywać Rosja. Jeśli trzeba by wskazać pole, na którym najwcześniej administracja czarnoskórego prezydenta odcisnęła wyraźne piętno i – jak się szybko okazało – głównie spektakularne – to były nim relacje z Moskwą. Nie można się zresztą temu dziwić. Czynniki rosyjski, podobnie jak kiedyś radziecki, stanowił i stanowi jeden z ważniejszych punktów odniesie-

¹³² Rozmowa z R. Kaganem pt. *Obama – cudu nie było*, „Gazeta Wyborcza” 16-17 I 2010.

¹³³ Zob. szerzej: J. K i e r s k a, *Wymarzony sojusznik Polski*, „Przegląd Zachodni” nr 3/2009, s. 56-67.

nia zarówno dla polityki Stanów Zjednoczonych, jak i Europy. Tak było wówczas, gdy dyskutowano o otwarciu NATO na Wschód i właśnie stopień uwzględniania sprzeciwu Rosji różnicował stanowiska państw członkowskich i powodował początkowo silny opór administracji Clintona. Albo gdy Moskwa próbowała rozgrywać na gruncie europejskim spór wokół interwencji w Iraku, tworząc z Paryżem i Berlinem „front odmowy”.

Już w lutym 2009 r., podczas corocznej, ważnej konferencji w Monachium o bezpieczeństwie, dyplomacja amerykańska zapowiedziała nowe otwarcie w relacjach z Rosją. „Czas nacisnąć klawisz *reset* i zrewidować wiele obszarów, w których możemy i powinniśmy współpracować” – oznajmił wówczas wiceprezydent Joseph R. Biden¹³⁴. W dzisiejszym świecie prostych konstrukcji słownych określenie *reset* stało się niezwykle głośnym i popularnym hasłem. Bardzo szybko okazało się jednak, że administracja Obamy traktuje „resetowanie” stosunków z Rosją nie tylko jako zgrabny slogan, ale rzeczywisty kierunek amerykańskiej polityki, którego realizacji zamierza poświęcić wiele czasu i wysiłku, nawet za cenę osłabienia swej reputacji wśród państw dawnej radzieckiej strefy wpływów.

Trudno zaprzeczyć, że budowa trwałego bezpieczeństwa w Europie, a także podolewanie wyzwaniom globalnym i regionalnym – szczególnie w sytuacji dyfuzji nowych potęg – bez współpracy z rosyjskim partnerem, jeśli nie było niemożliwe, to przynajmniej znacznie trudniejsze. Dlatego też relacje z państwem rosyjskim doskonale wpisywały się w nowy styl działań administracji Obamy na arenie międzynarodowej: szukania współpracy i porozumienia. Z jednej strony *reset* w stosunkach z Moskwą doprowadził do podpisania 8 kwietnia 2010 r. nowego dokumentu *START*, poważnie zmniejszającego limit amerykańskich i rosyjskich głowic jądrowych (ograniczenie strategicznych środków przenoszenia broni nuklearnej do 800 sztuk oraz liczby głowic do 1500 sztuk). Był to akt bardzo ważny, gdyż właśnie wówczas wygasał traktat *START I*, pod którym podpisy jeszcze w grudniu 1991 r. złożyły

¹³⁴ J. R. Biden, Speech at the 45th Munich Conference, 7 II 2009, www.securityconference.de/konferenzen/rede.php?menu_2009=&menu_konfer...

G.H.W. Bush i Michaił Gorbaczow. Prezydentowi Obamie rzeczywiście udało się skutecznie zachęcić Rosję do rozmów rozbrojeniowych, które tradycyjnie były potwierdzeniem jej mocarstwowego statusu.

Interesy Stanów Zjednoczonych związane z Rosją to była także możliwość dalszego wykorzystania rosyjskiej (poradzieckiej) przestrzeni powietrznej i lądowej do transportu dostaw zaopatrzeniowych dla zachodnich sił sojuszniczych w Afganistanie. Utrzymanie tej Północnej Sieci Dystrybucji stanowiło niemal warunek *sine qua non* powodzenia misji NATO/Amerykanów pod Hindukuszem. Do agendy spraw znacznie trudniejszych do rozwiązania bez udziału Rosji zaliczyć należało również kwestię zablokowania irańskiego programu nuklearnego oraz konflikt bliskowschodni. Z czasem doszedł jeszcze problem Syrii i zagrożenia ze strony Korei Płn. Postawa Rosji wobec tych problemów wydawała się mieć znaczenie kluczowe i twarde weto rosyjskie w Radzie Bezpieczeństwa mogło zablokować wysiłki Stanów Zjednoczonych oraz państw zachodnich. Choćby dla tych globalnych i regionalnych wyzwań warto było się z Moskwą układać – przynajmniej takie stanowisko prezentowała administracja Obamy.

Z drugiej strony ta sama polityka „resetowania” stosunków z Rosją miała swoją cenę, którą administracja Obamy płaciła i dlatego działania te nie były jednoznacznie oceniane. Bo choć zaowocowały one podpisaniem nowego traktatu *START*, a następnie wprowadzeniem nowych sankcji wobec Iranu, to równocześnie – zdaniem niektórych analityków – Ameryka decydowała się na zbyt daleko idące ustępstwa wobec Moskwy, w generalnym rozrachunku osłabiające pozycję Stanów Zjednoczonych. Tak odebrano rezygnację we wrześniu 2009 r. z projektu budowy systemu obrony antyrakietowej, której elementy miały być instalowane w Polsce. Chodziło o bazę pocisków przechwytyjących, której umieszczenie w naszym kraju gwarantowała podpisana w sierpniu 2008 r. Deklaracja w sprawie współpracy strategicznej. Dokument ten rząd w Warszawie parafował z odchodzącą za kilka miesięcy z Białego Domu administracją Busha, licząc na jeszcze silniejsze związanie bezpieczeństwa Polski z interesami bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Tymczasem administracja Obamy wiedząc, że rozmieszczenie amerykańskich instalacji antyrakietowych w krajach

tw. bliskiej zagranicy wywołuje irytację i ostry sprzeciw Moskwy, postanowiła odstąpić od decyzji swych poprzedników. Gdy więc w myśleniu prezydenta Obamy i jego współpracowników Rosja stała się państwem o szczególnym znaczeniu, wręcz – ich zdaniem – nieodzownym przy przewyżnianiu wyzwań na arenie międzynarodowej, zdecydowano się na przyjazny wobec niej gest kosztem komfortu bezpieczeństwa własnych sojuszników z Europy Środkowo-Wschodniej.

Tak przynajmniej oceniono decyzję Obamy w Polsce, a także w Czechach, gdzie również miały być rozmieszczone elementy „tarczy antyrakietowej”. Negatywnego rezonansu tej decyzji nie były już w stanie zmienić ani plany zrealizowania innej technologii antyrakietowej z wykorzystaniem terytorium Europy Środkowo-Wschodniej, ani zapowiedź stacjonowania na jej obszarze żołnierzy amerykańskich. W następnych latach pierwszej kadencji Obamy w Białym Domu niewiele się w tym podejściu administracji amerykańskiej do tej części Europy zmieniło. Wielce wymowna w tym kontekście była nieobecność prezydenta Obamy w Berlinie 9 listopada 2009 r., podczas obchodów 20-rocznicy obalenia muru berlińskiego, upamiętniających początek procesu integrowania się Europy Środkowo-Wschodniej ze wspólnotą transatlantycką. W sytuacji, gdy to do stolicy Niemiec zjechali się wówczas wszyscy czołowi przywódcy państw europejskich, substytucja w osobie sekretarz stanu Hillary Clinton miała niezwykle niską rangę. Nie tylko dowodziła niezrozumienia przez Obamę wagi wydarzeń, które świętowano w Berlinie, ale przede wszystkim była wyrazem braku zainteresowania dla tej części kontynentu.

Potwierdziła to zresztą dalsza sekwencja wydarzeń. Słynna wymiana zdań między Obamą a rosyjskim prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem w marcu 2012 r., nie przeznaczona dla opinii publicznej, w której amerykański prezydent półgłosem informował, że w przypadku swojej zwycięskiej reelekcji „będzie miał większą swobodę manewru” w sprawie „tarczy antyrakietowej”, doskonale wpisywała się w tę tonację. Rodziła smutną refleksję na temat wiarygodności amerykańskiego przywódcy, który swoje rzeczywiste intencje skrywa przed sojusznikami, a ujawnia Rosji – cokolwiek by mówić, będącej raczej rywalem niż sprzymierzeńcem Stanów Zjednoczonych. Powstało wrażenie, że w sy-

tuacji utrzymującego się sprzeciwu Rosji wobec instalowania w Europie Środkowo-Wschodniej systemu obrony przeciwrakietowej, także w jego nowej wersji, prezydent Obama zamierza podjąć decyzje, które będą odpowiadały przede wszystkim Moskwie, a niekoniecznie niektórym europejskim sojusznikom, w tym Polsce. Takie wnioski można było wysnuć z zasłyszanego fragmentu rozmowy obu przywódców. Z pewnością nie była to wypowiedź dobrze świadcząca o sposobie traktowania przez prezydenta Obamę swoich partnerów w Europie, a raczej dowodząca braku wiarygodności amerykańskiego lidera, który „kluczy i kombinuje”.

Generalizując problem, trudno było nie odnieść wrażenia, że koncyliacyjna polityka Obamy wobec Rosji wywołała w Europie stan niepewności, tworząc też nowe podziały, a przede wszystkim komplikując relacje transatlantyckie, których ważnym członem od 1999 r. stały się przecież kraje dawnej radzieckiej strefy wpływów. Należałoby też zadać pytanie, czy przyjęty przez administrację Obamy kurs polityki zagranicznej, wyraźnie przedkładający kompromis i ustępstwa nad zdecydowane preferowanie interesów własnych i swych sojuszników, nie prowadzi do dalszego osłabienia rangi i prestiżu Ameryki, nie skutkuje deprecjacją jej przywództwa. W każdym razie, nadwerżone zaufanie do Waszyngtonu w państwach Europy Środkowo-Wschodniej wydawało się jednym z najbardziej jaskrawych „dokonań” administracji Obamy w stosunkach z kontynentem europejskim.

Nie pomniejszając znaczenia spadku zaufania do Waszyngtonu i jego przywództwa wśród państw Europy Środkowo-Wschodniej, to jednak nie to najbardziej absorbowало uwagę polityków amerykańskich. Pierwsza kadencja Baracka Obamy w Białym Domu z całą mocą ujawniła znacznie ważniejsze dylematy amerykańskiej polityki, związane ze zmieniającą się dynamicznie sytuacją geopolityczną. To, co na początku jego urzędowania w Białym Domu dopiero zaczynało się kształtować na horyzoncie, w trakcie sprawowania prezydentury nabrało przyspieszenia i zwiększyło skalę. Prezydentowi Obamie zdecydowanie przyszło już działać w świecie nowych, konkurencyjnych wobec USA potęg, silnie zagrażających ich interesom. I co ciekawe, podczas gdy Unia Europejska, ogarnięta kryzysem gospodarczym i fi-

nansowym, stojąca przed realną perspektywą dezintegracji, przestała być na początku drugiej dekady XXI w. owym „natchnieniem świata”, o którym pisano wcześniej, słabiej też rysowała się jako gospodarczy rywal USA¹³⁵, a przede wszystkim nie spełniła oczekiwań Ameryki jako ważny gracz na arenie międzynarodowej, to inne siły stały się rzeczywistym konkurentem dla prymatu i roli Stanów Zjednoczonych w świecie lub – jak się mogło wydawać – potencjalnym „partnerem w przywództwie”.

Takim wyzwaniem dla amerykańskiej zarówno gospodarki, jak i polityki stała się zdecydowanie Chińska Republika Ludowa, konsekwentnie i dynamicznie rozwijająca się przez ostatnie lata. Wystarczy przytoczyć kilka danych: Stany Zjednoczone były zadłużone w Chinach na sumę przeszło 1,5 bln USD, zaś według prognoz *Citi Investment Research and Analysis* już w 2020 r. Chiny, z blisko 10-procentowym wzrostem gospodarczym, miały się znaleźć przed Stanami Zjednoczonymi pod względem PKB (21,9 bln USD PKB Chin w stosunku do 19,1 bln USD produktu amerykańskiego), zaś Indie przed Niemcami, a Rosja przed Wielką Brytanią i Francją. W 2030 r. PKB Chin miał być większy niż łączny PKB Stanów Zjednoczonych i Japonii (a PKB Indii większy niż łączny produkt Niemiec, Wielkiej Brytanii i Francji)¹³⁶.

Ten rosnący potencjał gospodarczy coraz wyraźniej przekładał się na zasoby i zdolności militarne tych nowych potęg i w sumie na ich większą rangę polityczną. Podczas gdy jeszcze cztery lata temu mówiło się, że ambicje Chin ograniczają się głównie do sfery ekonomicznej, to u kresu pierwszej kadencji Obamy nie milkły głosy dowodzące, że

¹³⁵ Wg szacunków *Carnegie Endowment for International Peace*, w 2050 r. Stany Zjednoczone osiągną PKB o 12,03 bln USD większy od PKB Unii Europejskiej (w 2010 r. PKB w USA był o 1,48 bln USD mniejszy od produktu UE); cyt. za: Z. Brzeziński, *Strategic Vision. America and the Crisis of Global Power*, New York 2012, s. 56.

¹³⁶ Cyt. w: A. Lubowski, *Cegły bez zaprawy*, „Polityka” 18-24 VII 2012, s. 42. Z kolei Z. Brzeziński (*Strategic Vision...*, s. 56) przytacza szacunki *Carnegie Endowment for International Peace* wskazujące, że najwyższą w świecie pozycję pod względem wartości PKB Chiny osiągną dopiero/już w 2030 r. Trzeba jednak podkreślić, że inaczej przedstawia się sytuacja, gdy przeliczyć PKB na głowę jednego mieszkańca. Wówczas Chiny pozostaną daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi (w 2030 r.: USA – 59,59 USD wobec 14,69 USD na głowę jednego mieszkańca w Chinach); tamże s. 57.

rosnący potencjał gospodarczy Państwa Środka zaowocował wzrostem jego aspiracji politycznych w regionie azjatyckim¹³⁷. Pekin okazał się coraz bardziej ofensywny w stosunku do swych sąsiadów, choćby Filipin i Wietnamu, o Tajwanie nie wspominając, budząc zaniepokojenie sąsiednich państw, w tym Japonii, Korei Płd., a nawet Australii. Jeśli weźmie się również pod uwagę możliwości Chin wpływania na polityków Korei Płn., straszących świat swym programem nuklearnym, to nie dziwił fakt, że uwaga polityków amerykańskich skoncentrowała się właśnie na regionie dalekowschodnim. Było to zgodne z żywotnymi interesami Stanów Zjednoczonych, racjonalnie skalkulowanymi¹³⁸.

W listopadzie 2011 r., podczas wizyty po krajach regionu Pacyfiku prezydent Obama zadeklarował: „Priorytetem USA w polityce zagranicznej stanie się region Azji i Pacyfiku”. Występując przed australijskim parlamentem podkreślał, że Stany Zjednoczone, jako mocarstwo Pacyfiku, powinny przyczynić się do kształtowania przyszłości tego regionu. Dlatego obecność USA w rejonie Azji i Pacyfiku miała uzyskać najwyższy priorytet w amerykańskiej polityce zagranicznej¹³⁹. Zaczęto wręcz mówić o amerykańskim „zwrocie ku Pacyfikowi” (*pivot to the Pacific Rim*)¹⁴⁰.

Można dodać, że działo się tak kosztem Europy i europejskich sojuszników. W tym samym bowiem czasie, na jesieni 2011 r., gdy administracja Obamy ogłosiła plan drastycznych cięć w wydatkach na obronę (ok. 500 mld USD w ciągu najbliższej dekady) oraz redukcję amerykańskiej obecności wojskowej w Europie, to równocześnie pod-

¹³⁷ Zob. R. K a g a n, *Why the World Needs America*, February 11, 2012, www.brookings.edu/articles/2012/0211_us_power_kagan.aspx?p=1.

¹³⁸ R. K a g a n, *The Ambivalent Superpower. America and the world aren't getting a divorce. But they're thinking about it*, February 27, 2014, www.politico.com/magazine/story2014/02/united-states-ambivalent-superpo.

¹³⁹ White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the Australian Parliament, November 17, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/11/17/remarks-president-obama-australian-parliament.

¹⁴⁰ Po raz pierwszy określenia tego użyło biuro prasowe Białego Domu tuż przed wizytą prezydenta Obamy w państwach Azji Południowo-Wschodniej w listopadzie 2011 r., zob. M.S. I n d y k, K.G. L i e b e r t h a l, M.E. O'H a n l o n, *Bending History...*, s. 56-59.

piślała z premierem Australii porozumienie o wzmocnieniu amerykańskiej obecności wojskowej na antypodach. Zapowiedziano rozlokowanie w północnej Australii kontyngentu amerykańskich żołnierzy (początkowo 2,5 tys. żołnierzy). Nie zamierzano też zmniejszać liczebności baz Stanów Zjednoczonych w Japonii (40 tys. żołnierzy) i Korei Płd. (28,5 tys. żołnierzy). W planach było też dostarczenie pomocy zbrojeniowej dla Singapuru i Filipin. Wrażenia z tych działań były dość jednoznaczne – bardzo szybko więc pojawiła się opinia, że „Obama nie tyle jest pierwszym czarnym prezydentem USA, ile pierwszym azjatyckim”¹⁴¹.

Przewidywania, że polityka Stanów Zjednoczonych skoncentruje się na obszarze Pacyfiku, towarzyszyły już początkom prezydentury Billa Clintona, który w przeciwieństwie do większości poprzednich gospodarzy Białego Domu nie wywodził się ze Wschodniego Wybrzeża, tradycyjnie bliskiego Europie, ale z niewielkiego stanu Arkansas, a wielu jego współpracownikom bliżej było raczej do Pacyfiku niż Atlantyku. To Clinton w maju 1994 r. przyznał Chinom ponownie klauzulę najwyższego uprzywilejowania w handlu z USA mimo ostrego sprzeciwu obrońców praw człowieka. Liczyły się również inne państwa azjatyckie, a nawet Australia. Prezydent Clinton osobiście przewodniczył delegacji amerykańskiej podczas obrad kolejnych konferencji forum Współpracy Gospodarczej Krajów Azji i Pacyfiku (*Asia-Pacific Economic Co-operation – APEC*). W ten sposób amerykański przywódca potwierdzał, że jego celem jest utworzenie dużego bloku regionalnego, obejmującego obok Ameryki Północnej także obszar Pacyfiku i Azji (w 1998 r. członkiem *APEC* została Rosja). Ale to właśnie Clinton utrzymał silną więź z Europą, realizując m.in. wielki projekt otwarcia NATO na Wschód oraz zbrojnej interwencji Sojuszu w byłej Jugosławii.

Może zatem i w odniesieniu do administracji Obamy nie należało przesądzać sprawy? Jednak w przypadku Obamy sytuacja była zupełnie inna. Nie ma wątpliwości co do tego, że pochodzenie 44. prezydenta USA – ojciec z Czarnej Afryki, dzieciństwo spędzone z dala od kontynentu północnoamerykańskiego: w Azji i na Hawajach – automatycz-

¹⁴¹ Emilio Lamo de Espinosa (prezes *Real Instituto Elcano* w Madrycie) w rozmowie z M. Stasińskim, *Nie pozwólmy umrzeć Europie*, „Gazeta Wyborcza” 4-5 VIII 2012.

nie narzucało słabszą niż dotąd więź emocjonalną z kulturą anglosaską oraz Europą i czyniło łatwiejszym zastąpienie orientacji atlantyckiej zdecydowaną opcją azjatycką.

Wpływ na to miało również ogólne rozczarowanie administracji Obamy inercją Europy. Wśród jej przedstawicielei rosło przekonanie o prawdzie słów, które w sposób dość brutalny wypowiedział sekretarz obrony R. Gates. W czerwcu 2011 r., podczas spotkania szefów resortów obrony państw członkowskich NATO w Brukseli, szef *Pentagonu* zarzucił europejskim sojusznikom brak woli wnoszenia większego wkładu w obronność i bezpieczeństwo. Uznał, że Europa nadal pozostaje w roli aktywnego kibica, cieszącego się równocześnie pełnymi gwarancjami bezpieczeństwa ze strony Stanów Zjednoczonych¹⁴². Jakkolwiek te krytyczne uwagi padały w momencie, gdy trwała zainicjowana przez Paryż i Londyn oraz prowadzona z udziałem kilku państw europejskich operacja zbrojna w Libii, z pozoru zaprzeczająca twierdzeniom Gatesa, to jednak trudno było nie zgodzić się z istotą jego zarzutów – Europa słabnie pod względem potencjału militarnego i nie podejmuje wyzwań w zakresie bezpieczeństwa na miarę swych możliwości oraz amerykańskich oczekiwań.

Ocenę tę rozwijali amerykańscy analitycy i eksperci. Jeden z nich R. N. Haass, szef nowojorskiego *Council on Foreign Relations*, najbardziej opiniotwórczego w dziedzinie polityki zagranicznej ośrodka w Stanach Zjednoczonych, na łamach „Washington Post” dowodził, że rola Europy w świecie będzie drastycznie spadać. „Konkluzje dla Ameryki są banalne. Choćbyśmy bardzo się starali, nie zmusimy Europejczyków, żeby spełnili nasze oczekiwania. Oni się zmienili. My się zmieniliśmy. Świat się zmienił – pisał Haass. Czas poszukać nowych, równorzędnych partnerów w Azji, gdzie przenosi się środek ciężkości świata”¹⁴³.

Co ciekawe, do pewnego stopnia zgadzał się z nim sekretarz generalny NATO, gdy komentował wypowiedź szefa *Pentagonu*, uważając słowa Gatesa za „dzwonek alarmowy, by Europejczycy zastanowili się,

¹⁴² Cyt. za P. B e l k i n, *NATO's Chicago Summit*, May 14, 2012, Congressional Research Service 7-5700, CRS Report for Congress, R42529, s. 5.

¹⁴³ R.N. H a a s s, *Why Europe no longer matters*, www.washingtonpost.com/opinions/why-europe-no-longer-matters/2011/06/15/AG7eCCZH_story_1.html.

co robią i w jaki sposób zamierzają zachować istotną rolę na arenie międzynarodowej”. W przeciwnym razie „powstała w ten sposób pustka po osłabionej Europie mogą zająć wyłaniające się mocarstwa, jak Chiny czy Indie. A to niesie ryzyko, że Stany Zjednoczone zaczną kłaść główny nacisk na współpracę właśnie z Brazylią, Indiami, Chinami, a nie na Europę” – prognozował Rasmussen i ostrzegał: „nie możemy traktować obecnych relacji transatlantycznych jako czegoś danego raz na zawsze”¹⁴⁴.

Ten amerykański „zwrot ku Pacyfikowi” – mimo że spodziewany, gdy wziąć pod uwagę obserwowane od dłuższego czasu trendy i zmiany w porządku międzynarodowym – wywołał jednak żywą reakcję w świecie. Z jednej strony były to głosy krytyczne wobec takiego przewartościowania priorytetów amerykańskiej polityki zagranicznej – rozczarowanie i niezadowolenie pojawiło się zwłaszcza w stolicach sojuszników europejskich¹⁴⁵. Ale też w samej Ameryce dowodzono, że Europa mimo wszystko nadal pozostaje najważniejszym zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa, a układ transatlantyczny czynnikiem rangi i znaczenia obu jego członków. Podawano natomiast w wątpliwość realne możliwości Chin przekształcenia potencjału gospodarczego w rangę polityczną oraz chińskie aspiracje i prawdopodobieństwo odgrywania dominującej roli w regionie¹⁴⁶.

Z drugiej jednak strony utrzymywało się silne przekonanie, że największym wyzwaniem dla polityki Waszyngtonu będzie nieodwołalnie region Azji, z dwoma rosnącymi w potęgę państwami: Chinami oraz Indiami, z przesuwającym się centrum gospodarczym z Zachodu na Wschód, silnym rozbudzeniem politycznym w świecie (*global political awakening* – jak pisał Brzeziński)¹⁴⁷. Przewidywano, że już wkrótce dynamikę współczesnego świata będą kształtować pełne napięcie, ale i wzajemnego uzależnienia stosunki Stanów Zjednoczonych z China-

¹⁴⁴ Szeł NATO dla „Gazety”: Europa może przestać się liczyć, „Gazeta Wyborcza” 29.06.2011.

¹⁴⁵ J. D e m p s e y, *Munich Calling: The Seas of South-East Asia*, 2012/01/23, www.securityconference.de/program.425+M548f0d52261.0.html.

¹⁴⁶ R. K a g a n, *Not Fade Away: Against the Myth of American Decline*, „The New Republic” 17 I 2012.

¹⁴⁷ Zob. Z. B r z e z i n s k i, *Strategic Vision...*s. 16 i n.

mi, które brytyjski historyk Niall Ferguson nazwał „Chimeryką”. Prognozowano skuteczną ekspansję Chin, przywołując – zdawało się zarezerwowane dla Ameryki – pojęcie *soft power*. To chińskie inwestycje zagraniczne, stanowiące element jej „miękkiej siły”, są używane przez Pekin do wzmocnienia swej pozycji w świecie. Ta pomoc okazuje się szczególnie atrakcyjna dla państw biednych i słabych, gdyż nie wymaga ona demokratyzacji, rozliczania się z subwencji ani nawet rozsądnej polityki gospodarczej, jak czynią to zdominowane przez USA instytucje międzynarodowe, takie jak Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Do tego wszystkiego Ameryka musi się przygotować, zmieniając priorytety swej polityki i dokonując „zwrotu ku Pacyfikowi”. Dlatego powinna wzmocnić swe zobowiązania polityczne i wojskowe w tym regionie świata, odświeżyć istniejące sojusze i porozumienia (APEC, ASEAN), sfinalizować nowe – oprócz ratyfikowanego już *U.S.-Korea Free Trade Agreement*, także *Trans-Pacific Partnership (TTP)*, czyli traktat o wolnym handlu na Pacyfiku obejmujący, oprócz USA, m.in. Japonię, Kanadę, Australię, Chile, Malezję, Meksyk i Wietnam. Twierdzono, że moment ku temu jest optymalny, gdyż aspiracje Pekinu budzą coraz większe zaniepokojenie, a to że Chiny są głównym i najważniejszym partnerem handlowych w tym regionie, wcale nie musi skutkować pożądanym ich jako strategicznego sojusznika¹⁴⁸. W takiej sytuacji Ameryka, ze swoim doświadczeniem i nadal pokaźnym potencjałem, jawi się jako jedyna przeciwwaga dla Chin Ludowych i gwarant bezpieczeństwa wielu państw regionu Pacyfiku¹⁴⁹. Podobnie jak było to kiedyś na kontynencie europejskim, gdy Stany Zjednoczone stanowiły przeciwwagę dla zagrożenia radzieckiego.

Jeśli z tej toczącej się dyskusji o amerykańskiej strategii wobec świata zmierzającego ku wielobiegunowości można było wysnuć jakąś konkluzję odnoszącą się do przywództwa USA, to pozostała nią teza

¹⁴⁸ Zob. *The Rise or Fall of the American Empire*, by D. W. Drezner, G. Rachman, R. Kagan, www.foreignpolicy.com/articles/2012/02/14/the_rise_or_fall_of_the_american...

¹⁴⁹ R. Kagan, *The World America Made*, New York 2012, s. 86-87; także Z. Brzezinski, *Strategic Vision...*, s. 184 i n.

o zmianie amerykańskiej orientacji politycznej, dokonanej przez administrację Obamy – z atlantyckiej na Pacyfik¹⁵⁰. Była ona efektem pojawienia się nowych potęg w świecie i przesuwania jego punktu ciężkości ku Azji. Ale wpłynęła na to również konstatacja faktu, że kontynent europejski przestał być – zwłaszcza w zakresie bezpieczeństwa – regionem o pierwszorzędym znaczeniu. Ponadto utrzymująca się inercja partnerów europejskich w odniesieniu do wielu wyzwań i problemów, rozczarowująca dla administracji Obamy, ułatwiła zmianę orientacji. Pomimo istnienia tak sugestywnych przesłanek trudno jednak było wówczas przesądzić, czy jest to już definitywne przewartościowanie priorytetów amerykańskiej strategii zewnętrznej, czy oznacza generalną i długotrwałą zmianę orientacji – z atlantyckiej ku państwom strefy Pacyfiku. A przede wszystkim – czy ten zapowiadany *pivot to the Pacific Rim* będzie służył wzmocnieniu amerykańskiego przywództwa w świecie?

¹⁵⁰ Wielce wymowny w tym kontekście był fakt, że w pracy bilansującej politykę zagraniczną pierwszej kadencji prezydentury Obamy pt. *Bending History* nie znalazł się ani jeden rozdział poświęcony czy to stosunkom z Europą, problemom wspólnoty transatlantyckiej, czy kwestiom NATO. Natomiast obszerna część pierwsza, zatytułowana „Emerging Power: China”, to wyczerpująca analiza tego głównego – jak należy rozumieć – wyzwania dla amerykańskiej polityki, jakim jawi się rosnąca potęga Chin (M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O’Hanlon, *Bending History... passim*).

Bliski Wschód był już w latach zimnej wojny, a na pewno w okresie pozimnowojennym, tym regionem świata, w którym Stany Zjednoczone odgrywały rolę kluczową. Zwłaszcza w odniesieniu do konfliktu izraelsko-palestyńskiego kolejne administracje amerykańskie angażowały się czy to bezpośrednio, czy jako mediator lub inspirator w bliskowschodnim procesie pokojowym, demonstrując przy okazji swe przywódcze zdolności. Chociaż decydujące znaczenie miała wola i gotowość do kompromisu bezpośrednio uwikłanych w konflikt stron – żydowskiej i palestyńskiej/arabskiej, to jednak trudno nie dostrzec, jak wiele zależało od stopnia i charakteru zaangażowania jedyne go supermocarstwa. Efektem tej aktywności były znaczące sukcesy w bliskowschodnim procesie pokojowym w okresie urzędowania Clintona – choćby porozumienie między Izraelem a Organizacją Wyzwolenia Palestyny, podpisane w Waszyngtonie we wrześniu 1993 r., utworzenie Autonomii Palestyńskiej i powrót Jasera Arafata, przywódcy OWP do Palestyny w lipcu 1994 r., a także podpisany w tym samym czasie układ między Izraelem a Jordanią – żeby wymienić tylko niektóre z nich. W tym wszystkim trudny do przecenienia był udział Waszyngtonu, który dysponując różnymi narzędziami, a zwłaszcza decyzją o pomocy finansowej i dbając o pozory bezstronności, wywierał skuteczną presję na Izrael i władze Autonomii Palestyńskiej, doprowadzając strony do negocjacji i uzgodnień. Proces pokojowy toczył się w dużej mierze dzięki zaangażowaniu Amerykanów, a gdy pojawiały się trudności, to nowe impulsy wychodziły najczęściej z Waszyngtonu. Była to rzeczywista manifestacja roli Ameryki jako światowego lidera.

Pod koniec urzędowania Clintona sytuacja w regionie bliskowschodnim wyraźnie się zaogniła – najpierw w lipcu 2000 r. fiaskiem zakończyły się rozmowy izraelsko-palestyńskie w Camp David, a następnie we wrześniu 2000 r. doszło do wybuchu drugiej intifady. I taki stan rzeczy zastał w 2001 r. G.W. Bush. Początkowo jego administracja sceptycznie podchodziła do możliwości szybkiego rozwiązania konfliktu i dlatego wyraźnie osłabiła aktywność USA w tym regionie¹⁵¹. Później polityka Busha wobec konfliktu izraelsko-palestyńskiego stała się wypadkową działań prowadzonych w ramach wojny z terroryzmem. Licząc na poparcie świata arabskiego dla budowanej koalicji antyterrorystycznej, a następnie także antyirackiej, próbowano nawet wywierać pewną presję na Izrael – choćby doprowadzono do wypuszczenia J. Arafata z aresztu domowego w marcu 2002 r., naciskano w sprawie powstrzymania rozbudowy osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu Jordanu, czyli obszarze, który w przyszłości miał wejść w skład państwa palestyńskiego¹⁵².

Chociaż administracji Busha nie udało się – z różnych powodów, w tym słabnącego autorytetu urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych – doprowadzić do dalszych, znaczących postępów na drodze rozwiązania konfliktu, to jednak amerykańscy politycy i dyplomaci generalnie nie ustawali w próbach przełamania impasu w procesie pokojowym. Był więc słynny plan działania (*road map*) z maja 2003 r., którego zwieńczeniem miało stać się państwo palestyńskie, czy konferencja pokojowa w Annapolis pod koniec listopada 2007 r. z osobistym udziałem – obok premiera Izraela i przewodniczącego Autonomii Palestyńskiej – także prezydenta Busha¹⁵³. Zwłaszcza ostatni rok

¹⁵¹ N.H. A r u i, *Dishonest Broker. The USA Role in Israel and Palestine*, Cambridge 2003, s. 197-199; R. F r e e d m a n, *The Bush Administration and the Arab-Israeli Conflict: The Record of its First Four Years*, „The Middle East Review of International Affairs” Vol. 9, No. 1, March 2005, <http://meria.idc.ac.il/journal/2005/issue1/jv9no1a4.html>.

¹⁵² M. R ą c z k i e w i c z, *Polityka Stanów Zjednoczonych w okresie prezydentury G. W. Busha w ujęciu regionalnym*, Toruń 2011, s. 64-65.

¹⁵³ G. G o l a n, *Israel and Palestine. Peace Plan and Proposals from Oslo to Disengagement*, Princeton 2008, *passim*.

urzędowania Busha wypełniony był bliskowschodnimi projektami pokojowymi, tworzonymi w Waszyngtonie. Podejmowano też kolejne próby mediacji w nasilającym się konflikcie izraelsko-palestyńskim, a przedstawiciele administracji Busha z nadzwyczajną częstotliwością przyjeżdżali do skonfliktowanych stron i próbowali przełamać impas. Sam Bush, jako pierwszy amerykański prezydent, odwiedził w styczniu 2008 r. Ramallah, nieoficjalną stolicę Autonomii Palestyńskiej. Obserwując te wzmożone wysiłki, można było odnieść wrażenie, że prezydent Bush chce w ten sposób odbudować autorytet Ameryki, osłabiony mnóstwem większych i mniejszych błędów, jakie popełniła na arenie międzynarodowej jego administracja. Gdyby Bushowi udało się doprowadzić do istotnego postępu w procesie pokojowym, być może przeszedłby do historii nie tylko jako przywódca, który wywołał nieszczęsną wojnę w Iraku, ale i architekt ważnych rozwiązań pokojowych na Bliskim Wschodzie.

Wszystko to jednak bez większego powodzenia. Przyczyna była prosta, zarówno pozycja polityczna Busha, jak i możliwość wpływania na bieg spraw były pod koniec jego urzędowania już tak słabe, że znikła moc sprawcza Waszyngtonu. Co więcej, Bush stał się niewiarygodny dla Palestyńczyków, gdyż – ich zdaniem – zbyt często zajmował stronnicze, wyraźnie proizraelskie stanowisko. Sama walka z terroryzmem w świadomości społeczności muzułmańskiej postrzegana była jako wojna z islamem. Zresztą region bliskowschodni pisał własne scenariusze. Na finiszu prezydentury Busha, w grudniu 2008 r., doszło do tragicznej w skutki izraelskiej operacji militarnej „Płynny Ołów” w Strefie Gazy, której celem było rozbięcie radykalnego *Hamasu* i która pochłonęła ponad 1100 ofiar po stronie palestyńskiej¹⁵⁴. Zbrojna interwencja Izraela w Gazie oznaczała nie tylko fiasko wysiłków mediacyjnych administracji Busha, ale przede wszystkim dramatyczne załamanie w procesie pokojowym na Bliskim Wschodzie. Perspektywa rozwiązania sporu izraelsko-palestyńskiego wydawała się po operacji w Gazie jeszcze bardziej odległa.

¹⁵⁴ Zob. szerzej: J. K i e r s k a, *Świat w latach 1989-2009. Wydarzenia – konflikty – procesy*, Poznań 2009, s. 207-217.

A zatem konflikt izraelsko-palestyński należał do najważniejszych problemów, które „w spadku” po poprzedniku przejął Obama. Nie dziwi więc krytyka, z jaką wobec bliskowschodniej polityki Busha wystąpił nowy prezydent, zarzucając poprzednikowi nieskuteczność oraz złe rozłożenie akcentów – sprzyjanie przede wszystkim Izraelowi i utratę zaufania strony palestyńskiej/arabskiej, co ani nie pomogło Izraelowi osiągnąć pokoju, ani Stanom Zjednoczonym zyskać sympatii świata islamu. Sam natomiast zapowiedział, że rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego będzie stanowiło jeden z głównych priorytetów jego polityki zagranicznej i dokonane zostanie „inną drogą”. Niemal nazajutrz po objęciu prezydentury Obama powołał swego specjalnego wysłannika na Bliski Wschód, którym został doświadczony dyplomata George Mitchell, były senator, negocjujący swego czasu z sukcesem porozumienie pokojowe w Irlandii Północnej.

Ten szybki gest nowego prezydenta znalazł uznanie w stolicach państw europejskich, gdzie z rosnącym niepokojem obserwowano fiasko wysiłków Busha, potwierdzające spadek prestiżu Ameryki i skuteczności jej działań w rozwiązywaniu konfliktów. Warto w tym kontekście podkreślić, że to państwa europejskie (Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania i Czechy), a nie Stany Zjednoczone odegrały rolę mediatora i doprowadziły do podpisania porozumienia, kończącego w styczniu 2009 r. wojnę w Gazie. To niemal natychmiastowe włączenie się dyplomacji amerykańskiej do działań na Bliskim Wschodzie odbierano w Europie z pełną akceptacją i nadzieją.

Wydawało się więc, że prezydent Obama, zapowiadający „własną drogę” rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego, okaże się bardziej skuteczny i wiarygodny niż jego poprzednik. Zatem ogromne nadzieje i oczekiwania, jakie świat wiązał z pierwszym czarnoskórym prezydentem Stanów Zjednoczonych, odnosiły się również do Bliskiego Wschodu i jego problemów. Podobnie jak wobec innych wyzwań i zadań, które stanęły przed administracją Obamy – choćby załamania w stosunkach transatlantycznych, pogarszającej się sytuacji w Afganistanie i zbyt długo już trwającego zaangażowania Amerykanów w Iraku – spodziewano się skutecznych działań Waszyngtonu, tak samo czekano

na konstruktywne propozycje i przełomowe rozstrzygnięcia w konflikcie izraelsko-palestyńskim.

Tymczasem nowy gospodarz Białego Domu przyjął linię działania, zgodnie z którą dla rozwiązania konfliktu bliskowschodniego konieczne jest symbiotyczne połączenie *peacemaking* i *public diplomacy*. Innymi słowy, jeśli Ameryce uda się poprawić swój wizerunek na Bliskim Wschodzie i swe relacje ze światem muzułmańskim, to wówczas będzie można skutecznie włączyć przywódców arabskich w proces budowania pokoju na Bliskim Wschodzie oraz szybciej doprowadzić do pozytywnych rozstrzygnięć. I dalej – rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego służyć będzie umocnieniu pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie islamu¹⁵⁵. Trudno było odmówić racji takim założeniom, szczególnie zważywszy złą reputację, jaką Ameryka cieszyła się w społeczności muzułmańskiej po „erze Busha”, i to nie tylko na Bliskim Wschodzie. Społeczność ta była przekonana, że wojna z terroryzmem to w rzeczywistości wojna z islamem, a prawdziwe podejście Amerykanów do muzułmanów wyrażają Abu Ghraib i więzienie w Guantanamo.

Chcąc stworzyć lepszy wizerunek Stanów Zjednoczonych w świecie muzułmańskim, Obama zdecydował się na odmienną niż dotychczas perspektywę oglądu sytuacji. Inaczej niż wielu poprzednich prezydentów, zwłaszcza G.W. Bush, ale też Clinton, nowy gospodarz Białego Domu postanowił głośniej artykułować punkt widzenia Palestyńczyków, wyraźniej i skuteczniej popierać ich postulaty¹⁵⁶. Trudno jednoznacznie przesądzić, czy wpływ na to miał fakt, że Obama nie tylko

¹⁵⁵ Szerzej: M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 112-113.

¹⁵⁶ Zwiastuny tego dostrzec można było już w czasie kampanii wyborczej. Wprawdzie kandydat Demokratów, zabiegając o głosy wyborców, spotykał się – jak to było w zwyczaju – z amerykańskimi Żydami, w tym z *American Israel Public Affairs Committee*, powszechnie uchodzącym za „lobby izraelskie”, odbył nawet podróż do Izraela. Jednak w jego wystąpieniach pojawiły się wówczas pewne akcenty propalestyńskie, gdy np. zarzucał Bushowi zbytnie sprzyjanie Izraelowi lub krytykował izraelską politykę osadnictwa. Tymczasem mieliśmy do czynienia z faktem, że na Obamę zagłosowało blisko 78 proc. Amerykanów żydowskiego pochodzenia, a ponad 1/3 funduszu wyborczego kandydata Demokratów pochodziła z dotacji społeczności żydowskiej; R. K a m p e a s, *Democrats Launch Major Pro-Obama Pushback among Jews*, June 7,

jest pierwszym prezydentem afroamerykańskim w dosłownym znaczeniu, ale też legitymuje się muzułmańskim *backgroundem*: pochodzący z Kenii ojciec był muzułmaninem, stąd drugie imię prezydenta – Husajn, on sam zaś dzieciństwo spędził w islamskiej Indonezji, dokąd przeniosła się jego matka. W każdym razie Obama uznał, że „własna droga” w polityce bliskowschodniej to utrzymanie pewnego dystansu wobec Izraela i większa wrażliwość na racje Palestyńczyków, wręcz ich artykułowanie.

Z takim założeniem prezydent Obama włączył się w wysiłki pokojowe na Bliskim Wschodzie i niemal natychmiast wpłynęło to na charakter jego działań. Dla niektórych obserwatorów gestem godnym światowego przywódcy było przemówienie Obamy, wygłoszone w Kairze 4 czerwca 2009 r. Skierowane przede wszystkim do świata muzułmańskiego, zawierało też akcenty odnoszące się do strony izraelskiej, które – jak się okazało – przesądziły w dużym stopniu o roli i możliwościach działania dyplomacji amerykańskiej na Bliskim Wschodzie. Amerykański prezydent zaczął pięknie: „Chcę nowego początku w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a muzułmanami na całym świecie”. Odrzucał stereotyp, że islam i Ameryka są dla siebie wrogami – „mamy wspólne wartości: sprawiedliwość i postęp, tolerancja i godność człowieka. Ameryka nie jest i nigdy nie będzie w stanie wojny z islamem” – przekonywał Obama. Odnosząc się do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, podkreślił wprawdzie „silne więzy, które łączą USA z Izraelem”, ale równocześnie uznał, że musi powstać państwo palestyńskie i w ostrym tonie oświadczył: Stany Zjednoczone „nie akceptują budowy kolejnych osiedli żydowskich” na Zachodnim Brzegu Jordanu¹⁵⁷.

2011; www.jta.org/news/article/2011/06/07/3088053/democrats-launch-major-pro-bama-pushback-among-jews.

¹⁵⁷ White House, Office of the Press Secretary, Remarks by the President on a New Beginning, Cairo University, June 4, 2009; www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09. Jak twierdzi towarzyszący wówczas Obamie w Kairze M. S. Indyk, prezydent, który był autorem tego przemówienia, wygłosił je w takiej właśnie formie wbrew sugestiom doradców. N. B a r n e m, *What Obama Doesn't Understand about Israel and the Middle East*, May 28, 2012, www.brookings.edu/research/interviews/2012/05/28-middle-east-indyk.

Ta deklaracja wywołała – warto podkreślić – owację zgromadzonego na kairskim uniwersytecie tłumu.

Jakkolwiek trudno nie dostrzec wagi przesłania amerykańskiego prezydenta – miało ono otworzyć nowy rozdział w relacjach Stanów Zjednoczonych ze światem muzułmańskim i potwierdzić zaangażowanie Ameryki w rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego, to jednak kategoryczne stawianie sprawy osadnictwa żydowskiego, podobnie jak sugerowanie, że istnienie Izraela jest zadośćuczynieniem za Holocaust, a nie historycznie przysługującym Żydom prawem, zostało bardzo negatywnie odebrane w Izraelu¹⁵⁸. Zamiast stworzyć lepsze perspektywy dla procesu pokojowego, tylko wprowadziło bezprecedensowy dysonans między Waszyngtonem a Tel Awiwem. Sam fakt, że tak ważne wystąpienie, zawierające odwołania również do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, zostało zaprezentowane w Kairze, potraktowano w Izraelu jako dyshonor. Tym bardziej że na trasie ówczesnej podróży prezydenta Obamy po Bliskim Wschodzie nie znalazło się państwo żydowskie. Co więcej, wizytujący Waszyngton w lipcu 2009 r. izraelski premier Benjamin Netanjahu, prezentujący nieustępliwość wobec żądań Obamy, zwłaszcza odnoszących się do budowy nowych osiedli żydowskich, został potraktowany przez administrację niczym niechciany gość, a nie jak demokratycznie wybrany przywódca państwa żydowskiego, szczególnie uwrażliwionego na swe interesy bezpieczeństwa. Dopełniło to w oczach Izraelczyków złego wrażenia powstałego po wystąpieniu w Kairze¹⁵⁹.

Rzeczywiście, choć osiedla żydowskie na Terytoriach Okupowanych, będąc od lat jedną z głównych kwestii spornych, utrudniających postęp w procesie pokojowym, stanowiły przedmiot uwagi także poprzednich administracji amerykańskich, to jednak nikt wcześniej tak zdecydowanie i ostro tej kwestii wobec Izraela nie stawiał, pomijając niemal zupełnie geopolityczne uwarunkowania problemu, czyli bez-

¹⁵⁸ W ten sposób Obama odszedł od obowiązującej w Izraelu i uznawanej w USA narracji, według której Żydzi powrócili do swej starożytnej, biblijnej ojczyzny, do której mają pełne prawo.

¹⁵⁹ Zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 139.

pieczeństwo granic Izraela. A już tym bardziej nie określano – tak jak uczynił to prezydent Obama, choćby występując w Kairze – osadnictwa żydowskiego jako „bezprawne” (*illegitimate*)¹⁶⁰. Teraz nie tylko artykułując, ale niemal utożsamiając się z punktem widzenia Palestyńczyków, prezydent Obama stracił zaufanie strony izraelskiej¹⁶¹. Nie rozumiano też, dlaczego unika on podnoszenia kwestii radykalnej organizacji *Hamas*, która przecież odmawia uznania państwa Izrael i nie chce wyrzec się terroru. Nie odnosi się też krytycznie – inaczej niż poprzedni gospodarze Białego Domu – do żądań powrotu potomków uchodźców palestyńskich w granice przyszłego państwa Palestyńczyków. Wywoływało to oburzenie Żydów w Izraelu, gdyż – w ich przekonaniu – dowodziło fundamentalnego braku zrozumienia dla problemów i zagrożeń, z którymi boryka się państwo żydowskie.

W tej sytuacji coraz silniejsze było wrażenie rozejścia się perspektywy amerykańskiej i izraelskiej. Ze szkodą dla pozycji i rangi Stanów Zjednoczonych wśród żydowskich mieszkańców Izraela, ale przede wszystkim ich zdolności oddziaływania na bieg spraw bliskowschodnich. Odnosząc się do taktyki Waszyngtonu, komentatorzy pisali, że stawiając w sposób tak kategoryczny oczekiwania wobec Izraela, w większości nierealistyczne, gdyż dotyczące bezpośrednio kwestii bezpieczeństwa jego terytorium, administracja Obamy zamiast wzmocnić swe możliwości oddziaływania na Tel Awiw, utraciła zdolność wpływania na stronę izraelską. Bowiem usztywnienie Izraela w reakcji na publicznie stawiane przez prezydenta Obamę żądania było faktem niepodważalnym, utrudniającym jakiegokolwiek negocjacje.

Z kolei Palestyńczycy, podbudowani publicznymi obietnicami i deklaracjami prezydenta Obamy, nie zamierzali w niczym ustępować i domagali się całkowitego zamrożenia osadnictwa żydowskiego na spornym terytorium. Powstał pat trudny do przezwyciężenia – postępu w ożywieniu procesu pokojowego nie było, natomiast nastąpi-

¹⁶⁰ Tamże, s. 120.

¹⁶¹ Sondaż przeprowadzony po wystąpieniu Obamy w Kairze pokazał, że tylko 6 proc. Izraelczyków uważa prezydenta za proizraelskiego, wobec 50 proc. oceniających go jako propalestyńskiego, cyt. w: „Jerusalem Post” 27 V 2011.

ło dalsze ochłodzenie w stosunkach amerykańsko-izraelskich. Gdy w rezultacie braku perspektyw dla powodzenia swej misji rezygnację z funkcji specjalnego wysłannika na Bliski Wschód złożył pod koniec maja 2011 r. G. Mitchell¹⁶², a następnie prezydent Obama poinstruował swych dyplomatów, aby nie angażowali się w zabiegi o ożywienie procesu pokojowego, w sprawach bliskowschodnich nastąpił całkowity impas. Można było odnieść wrażenie, że żadnych poważniejszych działań administracja Obamy nie podejmie przed listopadem 2012 r., czyli wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych. Prowadząc politykę bliskowschodnią „na swój sposób” i popełniwszy na tej drodze wiele błędów – co przyznawali nawet zwolennicy prezydentury Obamy – poniósł on dotkliwą porażkę. Co więcej, podważył wiarygodność Stanów Zjednoczonych jako mediatora w konflikcie izraelsko-palestyńskim¹⁶³.

Należałoby zatem zadać pytanie, czy Stany Zjednoczone otrzymały przynajmniej rekompensatę w postaci poprawy relacji ze światem muzułmańskim, o co przecież zabiegał prezydent Obama i co legło u podstaw jego bliskowschodniej polityki. Odpowiedź może być zaskakująca. Okazało się, że taktyka Obamy nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Wprawdzie przemówienie kairskie zostało bardzo pozytywnie przyjęte nie tylko w Egipcie, ale również w wielu krajach muzułmańskich – w Kairze słuchały go tysiące ludzi, transmitowały najważniejsze stacje telewizyjne świata muzułmańskiego, Biały Dom szeroko kolportował je nie tylko w języku angielskim, ale również arabskim, perskim i urdu¹⁶⁴. Starano się więc wykreować przesłanie Obamy na

¹⁶² Do dymisji G. Mitchell podał się już w kwietniu 2011 r., wcześniej w grudniu 2010 r. odbył ostatnią, zakończoną niczym podróż na Bliski Wschód. Jednak dopiero 5 tygodni później Biały Dom poinformował oficjalnie o tym fakcie; zob. komentarz na ten temat: S. L. Myers, *Amid Impasse in Peace Negotiations, America's Chief Middle East Envoy Resigns*, „The New York Times” 13 V 2011.

¹⁶³ Zob. M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 137 i n.

¹⁶⁴ Z sondażu przeprowadzonego przez *Zogby International* wynikało, że w Egipcie poparcie dla Stanów Zjednoczonych wzrosło z 9 proc. w 2008 r. (pod koniec urzędowania Busha) do 30 proc., w Maroku – z 26 proc. do 55 proc., cyt. w: „Gazeta Wyborcza” 18 VII 2011.

symbol nowego rozdziału w relacjach Stanów Zjednoczonych ze światem islamu. Pozytywnie oceniali je przywódcy Ligi Arabskiej i niektórzy przedstawiciele arabskiej elity intelektualnej. Ale już wówczas wyrażano zastrzeżenia, że amerykański przywódca „nie powiedział nic, co zaskoczyłoby obserwatorów jego prezydentury”¹⁶⁵. Powątpiewając w możliwość wcielenia postulatów w życie, wpisywano przemówienie Obamy w cykl jego pięknych słów i wzniosłych haseł, trudnych do realizacji. Najbardziej krytyczne stanowisko zajęły radykalne ugrupowania palestyńskie, z *Hamasem* na czele. W ich oświadczeniu napisano, że jest to „próbą oszustwa i stworzenia iluzji, by poprawić obraz Ameryki w świecie”¹⁶⁶.

Z czasem można było odnieść wrażenie, że sceptycyzm wyrażany w komentarzach znajduje pełne potwierdzenie w faktach. W grę bowiem wchodziła wyraźna niekonsekwencja administracji amerykańskiej w odniesieniu do sporu izraelsko-palestyńskiego. Najlepszym tego przykładem były losy obietnicy o powstaniu państwa palestyńskiego. Pojawiła się ona zarówno w mowie kairskiej Obamy, jak i padała przy innych okazjach. Ponadto deklaracja amerykańskiego prezydenta, złożona we wrześniu 2010 r. na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, że już w następnym roku osiągnie się porozumienie, „które wprowadzi do ONZ nowego członka – niepodległe, suwerenne państwo Palestynę, żyjące w pokoju z Izraelem”¹⁶⁷, została dość jednoznacznie odebrana przez przywódców Autonomii Palestyńskiej oraz świat arabski. Uznano, że prezydent Stanów Zjednoczonych otworzył Palestynie jako suwerennemu państwu w bliskiej już perspektywie drzwi do ONZ. Było to o tyle znaczące, że dotychczas większość państw sprzyjała Palestyńczykom; USA były właściwie jedynym państwem, które konsekwentnie wspierało Izrael i w obronie jego interesów stosowało weto w Radzie Bezpieczeństwa. Teraz, zachęceni słowami Oba-

¹⁶⁵ Zob. wypowiedź Gerszona Baskina z Izraelsko-Palestyńskiego Centrum Badań i Informacji w Jerozolimie w: „Gazeta Wyborcza” 5 VI 2009.

¹⁶⁶ Cyt. w: „Gazeta Wyborcza” 5 VI 2009.

¹⁶⁷ White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the United Nations General Assembly, September 23, 2010, www.whitehouse.gov/the-press-office/2010/09/23/remarks-president-united-nations-general-assembly.

my, przywódcy palestyńscy zamierzali we wrześniu 2011 r. ubiegać się o członkostwo państwa palestyńskiego w ONZ (czyli *de facto* wnioskować o uznanie swej niepodległości na forum ONZ). Byli przekonani, że po swojej stronie będą mieli Stany Zjednoczone¹⁶⁸.

Tymczasem prezydent Obama zastosował kolejny, coraz bardziej charakterystyczny dla swej prezydentury „zwrot” i już w maju 2011 r. zapowiedział weto wobec wniosku Palestyńczyków o członkostwo w ONZ (wcześniej zawetował rezolucję Rady Bezpieczeństwa potępiającą izraelską politykę osadnictwa). Zrozumiał bowiem, że byłoby to jednoznaczne opowiedzenie się po stronie Palestyńczyków, a w wyraźnej opozycji wobec Izraela. Na to w obliczu przyszłej walki o reelekcję, gdzie liczył na poparcie amerykańskich Żydów, nie mógł sobie pozwolić. Dlatego jego kolejne wystąpienie na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ we wrześniu 2011 r. miało już zupełnie inny wydźwięk niż rok wcześniej. Koncentrowało się na kwestii bezpieczeństwa Izraela i Izraelczyków, szczególnie doświadczonych historycznie. Amerykański prezydent mówił: „Izrael jest otoczony przez sąsiadów, którzy wywoływali wojny. Obywatele Izraela ginęli od pocisków raketowych, wystrzeliwanych na ich domy, zabijani byli w samobójczych atakach (...). Izrael to mały kraj, który wielu przywódców znacznie większych narodów chciałoby wymazać z mapy”¹⁶⁹. To wystąpienie podobało się w Izraelu oraz wywołało zadowolenie Amerykanów żydowskiego pochodzenia, natomiast rozczarowało Palestyńczyków i świat arabski. W zasadzie przesądziło o niepowodzeniu planów kreślonych przez przywódców Autonomii Palestyńskiej.

Palestyńczycy nie mieli więc swojego państwa, nawet przedstawicielstwa w ONZ, a Izrael utrzymał swą twardą linię działania wobec Autonomii Palestyńskiej i jej żądań. Co gorsza, brak było widoków na wznowienie negocjacji izraelsko-palestyńskich. Taktyka Obamy okaza-

¹⁶⁸ Zob. wypowiedź M.S. Indyka w: N. B a r n e m, *What Obama Doesn't Understand...*

¹⁶⁹ White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the United Nations General Assembly, September 21, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/09/21/remarks-president-obama-address-united-nations-general-assembly

ła się zupełnie nieskuteczna. Z jednej strony doprowadziła do pogorszenia relacji z Izraelem, co utrudniało wywalczenie jakiegoś kompromisu, z drugiej – rozczarowała społeczność palestyńską/arabską, bo nie przyniosła realizacji zapowiadanych celów. W świecie arabskim zaczęła się więc upowszechniać ocena działań Białego Domu, sformułowana wcześniej przez palestyńskich radykałów – jako polityki pokrętej, stronniczej i nieskutecznej.

Amerykańskiemu prezydentowi nie udało się pozyskać sympatii społeczności muzułmańskiej/arabskiej ani dla Stanów Zjednoczonych, ani w odniesieniu do jego osoby. Przyznawali to nawet doradcy Białego Domu, wśród nich uchodzący za czołowego eksperta ds. bliskowschodnich, były dwukrotny ambasador Stanów Zjednoczonych w Izraelu – Martin S. Indyk. W rozmowie z izraelskim dziennikarzem w maju 2012 r. przyznał, że prezydent Obama nie zyskał zaufania świata muzułmańskiego, którego tak naprawdę – jego zdaniem – nie rozumiał. Arabska społeczność mniej bowiem dbała o to, czy USA utrzymają dystans wobec Izraela, natomiast byłaby bardziej zadowolona, gdyby dobre relacje na linii Waszyngton-Tel Awiw zaowocowały realizacją obietnic składanych przez Obamę – doprowadziły do powstania państwa palestyńskiego¹⁷⁰. Nic takiego nie nastąpiło. W efekcie wytworzyła się sytuacja zaskakująca: wskaźnik sympatii do Stanów Zjednoczonych w świecie arabskim spadł poniżej poziomu z czasów końca prezydentury G. W. Busha i wynosił – według sondażu przeprowadzonego w lipcu 2011 r. – około 10 proc.¹⁷¹ Jakkolwiek na te wyniki wpłynęła również ocena działań administracji Obamy wobec tzw. arabskiej wiosny, to jednak decydujące znaczenie miała polityka Waszyngtonu w odniesieniu do kwestii palestyńskiej.

Z perspektywy świata muzułmańskiego prezydent Obama okazał się nie tylko nieskutecznym, ale przede wszystkim niewiarygodnym liderem, zawiódł zaufanie Palestyńczyków – najpierw wiele obiecał, aby następnie dokonać zwrotu lub szukać kompromisu, pozostawiając sprawę bez rozwiązania, a strony sporu niezadowolone. Krytycz-

¹⁷⁰ Cyt. w: N. B a r n e m, *What Obama Doesn't Understand...*

¹⁷¹ Cyt. w: „Gazeta Wyborcza” 18 VII 2011.

nie wypowiedziano się także w Izraelu. Bo choć administracja Obamy utrzymywała, a nawet w niektórych sferach zwiększyła pomoc dla Izraela¹⁷², to jednak swą polityką, uważaną za propalestyńską, pozbawiła wrażliwości na żywotny interes państwa żydowskiego, prezydent nie zyskał sympatii ani izraelskiej opinii publicznej, ani przywódców Izraela. Taki okazał się bilans polityki administracji Obamy. „Nigdzie w polityce zagranicznej Obamy nie ma większej przepaści między tym, co obiecano, a tym, co osiągnięto, niż w odniesieniu do Bliskiego Wschodu” – pisał M. S. Indyk¹⁷³. Trudno o trafniejszą ocenę pierwszej kadencji Obamy.

Tym bardziej więc dynamika wydarzeń, których areną od początku 2011 r. stała się Afryka Północna i Bliski Wschód, określonych mianem „arabskiej wiosny” lub „rewolucji arabskiej”, mogła być doskonałą okazją dla administracji Obamy do zrehabilitowania się za nieskuteczną i bezowocną politykę wobec konfliktu bliskowschodniego. Podjęcie wyzwania można było również traktować jako czynnik wzmacniający amerykańskie przywództwo w świecie. W każdym razie wybuch społecznego niezadowolenia w krajach arabskiej Afryki i Bliskiego Wschodu, zapoczątkowany pod koniec 2010 r. w Tunezji, następnie obejmujący swym zasięgiem Egipt, Bahrajn, Libię i Syrię – żeby wymienić tylko najważniejsze państwa, ogarnięte rewoltą – postawił Waszyngton w niezwykle trudnej sytuacji. Istota problemu polegała na tym, że niektóre chwiejące się w posiadach autorytarne reżimy, zwłaszcza Hosniego Mubaraka w Egipcie, dotychczas należały do głównych sojuszników Ameryki w regionie. Dość przypomnieć, że po Iraku, Afganistanie oraz Izraelu to właśnie Egipt był największym odbior-

¹⁷² Stany Zjednoczone obok pomocy strategicznej dla Izraela w wysokości 30 mld USD przyznały dodatkowe środki na system rakietowy, chroniący ludność cywilną Izraela przed atakami ze strony *Hamasu* i *Hezbollahu*, M.S. I n d y k, K.G. L i e b e r t h a l, M.E. O’H a n l o n, *Bending History...*, s. 118.

¹⁷³ Tamże, s. 112; zob. też wypowiedź amerykańskiego eksperta Khaleda Elgindy’ego w: *In Arab World, Obama Has Fallen from Grace*, September 12, 2012, www.brookings.edu/research/interviews/2012/09/12-arab-world-obama-elgindy; M.S. I n d y k, D.L. B y m a n, B. R i e d e l, M. D o r a n, *Around the Halls: Has the Arab Spring Made the World a More Dangerous Place?* September 13, 2012, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2012/09/13-around-halls-libya?ci.

cą amerykańskiej pomocy w wysokości 1,5 mld USD rocznie, w tym 1,3 mld USD otrzymywał w ramach wsparcia wojskowego¹⁷⁴. W ten sposób Amerykanie zabezpieczali swoje strategiczne interesy na Bliskim Wschodzie, których arabskie centrum od ponad 30 lat znajdowało się właśnie w Egipcie¹⁷⁵.

Wyjątkową rolę i znaczenie Egiptu, obok strategicznego położenia przy Kanale Sueskim i na styku trzech kontynentów, należało również wiązać z jego postawą wobec Izraela, z którym Kair od kilku już dziesięcioleci utrzymywał stosunki dyplomatyczne. To pokojowe porozumienie z państwem żydowskim „stanowiło czynnik stabilizacji i pokoju w świecie arabsko-izraelskim. Tak długo, dopóki ono istnieje, żadne państwo arabskie nie zdecyduje się na działania zbrojne wobec Izraela” – dowodzili amerykańscy eksperci¹⁷⁶. Warto jedynie dodać, że przez ostatnie 30 lat gwarantem takiej sytuacji, korzystnej dla amerykańskich interesów w regionie, był rządzący autorytarnie Egiptem prezydent Mubarak. A więc Stany Zjednoczone – z zasady wspierające różne wolnościowe i niepodległościowe ruchy – tym razem nie miały prostego wyboru, gdyż rewolucja arabska wymierzona była w ich sojusznika/sojuszników.

Fakt, że Ameryka nie cieszyła się sympatią arabskiej ulicy, która właśnie demonstrowała w Tunezji, Egipcie, Jemenie czy Bahrajnie, tylko komplikował sytuację administracji amerykańskiej. Zresztą ta niechęć wobec amerykańskiego supermocarstwa miała swoje uzasadnienie, związane nie tylko z tradycyjną polityką Waszyngtonu wspierania lokalnych reżimów, ale przede wszystkim wynikające z przekonania o sprzyjaniu Izraelowi kosztem społeczności palestyńskiej. Było to też

¹⁷⁴ Cyt. w: S. H a m i d, *Egypt: The Prize*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2011, s. 109; zob. t e g o ż, *After Tunisia: Obama's Impossible Dilemma in Egypt*, January 25, 2011, www.brookings.edu/research/articles/2011/01/25-egypt-hamid.

¹⁷⁵ D.L. B y m a n, *Democracy in Egypt: What Are the Risks to the United States?* February 25, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0209_egypt_democracy_byman.aspx?p=1.

¹⁷⁶ M.S. I n d y k, K.G. L i e b e r t h a l, M.E. O'H a n l o n, *Bending History...*, s. 142.

pokłosie walki z terroryzmem, utożsamianej w potocznej świadomości świata arabskiego – przypomnijmy – z wojną wymierzoną w islam. Należy jednak w tym kontekście podkreślić, że to prezydent G.W. Bush, po obaleniu Saddama Husajna, próbował promować *freedom agenda* na Bliskim Wschodzie, szczególnie oczekiwania kierując wobec Mubarak, aby ten poszerzył w kraju przestrzeń dla demokracji i wolności. To amerykańska sekretarz stanu C. Rice, występując na kairskim uniwersytecie w 2005 r., przyznawała: „Przez 60 lat Stany Zjednoczone forsowały w tym regionie spokój kosztem demokracji, w efekcie nie udało nam się niczego na Bliskim Wschodzie osiągnąć. Dlatego obawa przed wolnym wyborem nie może już dłużej uzasadniać braku wolności”¹⁷⁷. Jednak dynamika wydarzeń w konflikcie bliskowschodnim, wywołana między innymi zwycięstwem radykalnego *Hamasu* w wyborach na terenie Autonomii Palestyńskiej w 2006 r., spowodowała, że dewizą polityki Stanów Zjednoczonych wobec reżimów w regionie pozostała *stability* jako najbardziej pożądaný stan rzeczy, bo zabezpieczający amerykańskie interesy¹⁷⁸.

Z kolei prezydent Obama, jakkolwiek nie odszedł zasadniczo od strategii utrzymania stabilności w regionie, to jednak w swojej determinacji odcięcia się od polityki poprzednika zdecydowanie odrzucał promowanie, zwłaszcza siłą, demokracji na Bliskim Wschodzie – w jego wizjonerskiej retoryce rzadko pojawiało się słowo demokracja. W słynnej, skierowanej do świata muzułmańskiego mowie Obamy, wygłoszonej w Kairze na początku czerwca 2009 r., pojawiło się natomiast zdanie: „żaden system rządów nie może ani nie powinien być narzucany jednym narodom przez inne”¹⁷⁹. Także w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, dokumencie opublikowanym przez administrację Obamy

¹⁷⁷ Secretary of State Condoleezza Rice, remarks, American University in Cairo, June 20, 2005, www.offnews.info/downloads/Document-458.pdf.

¹⁷⁸ K. M. P o l l a c k, *Introduction: Understanding the Arab Awakening*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2011, s. 7.

¹⁷⁹ White House, Office of the Press Secretary, Remarks by the President on a New Beginning, Cairo University, June 4, 2009; www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09.

w maju 2010 r., fragment o wspieraniu demokracji i praw człowieka za granicą znalazł się dopiero na 38 stronie liczącego 52 strony opracowania i to raczej w ujęciu, że najlepszą drogą promowania przez Amerykę wartości będzie ich przestrzeganie we własnym kraju. Zapowiadając zaś współpracę z autorytarnymi reżimami na różnych polach (gospodarczym, walki z terroryzmem i w zakresie nieprolifracji broni masowego rażenia), sugerowano, że Stany Zjednoczone są bardziej po ich stronie niż przeciwników dyktatorów¹⁸⁰.

Takie wrażenie można było odnieść, obserwując taktykę administracji Obamy wobec Iranu. Jakkolwiek chodzi o obszar jedynie sąsiadujący z regionem, który na początku 2011 r. ogarnęło rewolucyjne wrzenie, to jednak trzeba wspomnieć o reakcji Białego Domu na wydarzenia w Iranie, gdy to masowo protestowano tam przeciwko oszustwom wyborczym, których dopuścił się reżim Mahmuda Ahmadineżada w lecie 2009 r. W odpowiedzi na krwawe tłumienie społecznego protestu w Teheranie, prezydent Obama – przywiązany do swej myśli o konieczności prowadzenia dialogu nawet z przeciwnikiem – powtórzył, że „mimo wielu różnic nadal jest miejsce na współpracę”¹⁸¹.

W tej zdominowanej różnymi czynnikami sytuacji nie dziwi fakt początkowo dość wstrzemięźliwej, a zdaniem niektórych analityków – nawet zbyt opieszalej i kunktatorskiej, reakcji administracji Obamy na wydarzenia w Afryce Północnej¹⁸². Nie będzie też ryzykownym stwierdzenie, że Waszyngton nie dość wcześnie i w odpowiednim stopniu uświadomił sobie wagę i skalę rozpoczynającego się procesu. Błyskawiczny upadek reżimu Zina al-Abidina Ben Alego w Tunezji w połowie stycznia 2011 r. właściwie nie wywołał większego poruszenia w Białym Domu. Można było to tłumaczyć okolicznością, że obszaru Maghrebu nie traktowano w amerykańskiej strategii w jakiś wyjątkowy sposób. Dlatego amerykańska sekretarz stanu Clinton zapewniała, że USA

¹⁸⁰ White House, National Security Strategy, May 2010, www.whitehouse.gov/sites/default/files/rss_viewer/national_security_strategy.pdf.

¹⁸¹ President Obama, opening remarks on Iran, June 23, 2009, www.whitehouse.gov/blog/The-Presidents-Opening-Remarks-on-Iran-with-Persian-Translation.

¹⁸² Zob. S. Hamid, *How Obama Got Egypt Wrong*, January 28, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-obama-hamid.

w sprawie Tunezji „nie zajmują stanowiska”¹⁸³. Zaskakuje jednak inna wypowiedź szefowej amerykańskiej dyplomacji, która 25 stycznia 2011 r., czyli już po upadku Ben Alego i w reakcji na pierwsze protesty w Egipcie, stwierdziła z pełnym przekonaniem: „Nasza ocena jest taka, że rząd Egiptu jest stabilny i poszukuje sposobu, aby odpowiedzieć na słuszne potrzeby i racje społeczeństwa egipskiego”¹⁸⁴. Dopiero gdy kolejne dziesiątki i setki tysięcy Egipcjan wyszło na ulice Kairu, były pierwsze ofiary śmiertelne i wielu aresztowanych, administracja Obamy bardziej doceniła rangę wydarzeń i skutki, jakie mogą one wywołać. Wypowiedzi jej przedstawicieli, podobnie jak samego prezydenta, sprowadzały się głównie do apeli pod adresem reżimu Mubaraka o rozważne działanie, bez używania siły i represji wobec protestujących tłumów, a także uznanie słusznych racji i żądań społeczeństwa egipskiego. Równocześnie podkreślano wolę współpracy z prezydentem Mubarakiem „w wysiłkach budowania przyszłości, bardziej sprawiedliwej, wolnej i stwarzającej lepsze szanse rozwoju”¹⁸⁵.

Trudno odmówić racji takiej wyważonej, aczkolwiek niejednoznacznej taktyce administracji amerykańskiej, która krępowana skomplikowanymi uwarunkowaniami nie była w stanie działać wyraziście i zdecydowanie, jak można by się spodziewać po światowym liderze. Raczej starała się zachować bezpieczny dystans wobec dynamiki wydarzeń, nie wykluczając możliwości zastosowania innej opcji, ale też nie zamykając sobie drogi do żadnej ze stron toczącego się z coraz większą siłą sporu. Z pewnością całkowite milczenie wobec krwawych starć w Egipcie byłoby interpretowane jako wspieranie reżimu Mubaraka, zaś aktywne zaangażowanie się na rzecz protestujących – zresztą nie wiadomo, czy przez nich oczekiwane – oprócz tego, że mo-

¹⁸³ W latach 1989-2010 Stany Zjednoczone przekazały Tunezji wsparcie finansowe w wysokości 349 mld USD, głównie z przeznaczeniem na walkę z terroryzmem, cyt. w: S. H a m i d, *Tunisia: Birthplace of the Revolution*, w: *The Arab Awakening...*, s. 115; także zob. M. S. I n d y k, K. G. L i e b e r t h a l, M. E. O' H a n l o n, *Bending History...*, s. 141, 144.

¹⁸⁴ Cyt. w: *Egypt's Unstable Regime*, „The Washington Post” 25 I 2011.

¹⁸⁵ President Obama, opening remarks on the situation in Egypt, January 28, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/01/28/remarks-president-situation-egypt.

gło wyglądać na hipokryzję, to groziło jeszcze większym napięciem wrzenia, wojny domowej nie wykluczając. Ale równocześnie Shadi Hamid, ceniony ekspert z *Brookings Doha Center*, znając dylematy polityki amerykańskiej związane z dotychczasowym wspieraniem reżimu Mubaraka, stawiał zasadnicze pytanie, czy Stany Zjednoczone chcą prawdziwej demokracji w Egipcie. Czy może korzystniejsze będzie utrzymanie istniejącego proamerykańskiego reżimu, nieco tylko zreformowanego?¹⁸⁶

Główny problem polegał bowiem i na tym, że mgliście i niepewnie rysowała się przyszłość Egiptu po ewentualnym obaleniu reżimu Mubaraka. Zakładając nawet optymistycznie, że zwycięży kierunek ku demokracji, to – jak od początku rewolty w Egipcie przewidywano – najbardziej prawdopodobnym zwycięzcą w każdym nowym, nawet demokratycznym rozdaniu mogło być Bractwo Muzułmańskie, utożsamiane nie tylko z fundamentalizmem islamskim, ale wręcz z terroryzmem i dlatego od 1954 r. formalnie zakazane. Pojawiały się wprawdzie głosy, że Bractwo Muzułmańskie w ostatnich czasach odeszło od fundamentalistycznej ideologii i stało się siłą mniej radykalną, a to powinno osłabić wszelkie obawy¹⁸⁷. Mimo to trudno było przesądzić

¹⁸⁶ S. H a m i d, *How Obama Got Egypt Wrong...*; zob. też inne uwagi ekspertów na temat dylematów, przed jakimi administrację amerykańską postawiły wydarzenia w Afryce Północnej: t e n z e, *After Tunisia...*; I. S h a r q i e h, *What Secretary Clinton Does Not Recognize About Egypt's Anti-Regime Protests*, January 27, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/27-egypt-clinton-sharqieh; B. R i e d e l, *Don't Fear Egypt's Muslim Brotherhood*, January 28, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-riedel...

¹⁸⁷ B. R i e d e l, *Don't Fear Egypt's Muslim Brotherhood...*; podobnie sprawy widział O. Roy, francuski politolog, znawca islamu, który dowodził, że wydarzeń w świecie arabskim nie należy utożsamiać z fundamentalizmem islamskim. Pisał on w „Le Monde” na początku „arabskiej wiosny”: „Inicjatorzy demonstracji to już zupełnie inne pokolenie, postfundamentalistyczne. (...) Inaczej niż ich poprzednicy (...) nie odwołują się do islamu. Przede wszystkim chcą się pozbyć skorumpowanych dyktatorów, żądają demokracji”. Zaś odnosząc się do Bractwa Muzułmańskiego, dowodził, że „nie jest już orędownikiem alternatywnego modelu gospodarczego czy społecznego (...), a od kiedy wyrzekli się rewolucji islamskiej, są bardziej skłonni do współpracy z innymi siłami politycznymi”, przedruk: *Fundamentalisci z ludzką twarzą*, „Gazeta Wyborcza” 19-20 II 2011.

o pozytywnym rozwoju wypadków w Egipcie „po Mubaraku”, co potęgowało wątpliwości nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale również w politycznych i eksperckich kręgach innych państw Zachodu. Była to bowiem kwestia głęboko analizowana zarówno w Ameryce, jak i Europie. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że „arabska wiosna” stała się przedmiotem niezwykle ożywionej dyskusji toczonej po obu stronach oceanu. Dawno już żadne wydarzenie nie wywołało takiego intelektualnego rozbudzenia i stawiania tak licznych pytań o kierunek przemian oraz ich skutki – pisano wręcz, że „rewolucja egipska to rodzaj trzęsienia ziemi”. I że wydarzenia, które wstrząsnęły Bliskim Wschodem, są na miarę rewolucji w Iranie¹⁸⁸. Wszak chodziło o region znajdujący się w strategicznym sąsiedztwie Zachodu oraz zasobny w surowce energetyczne.

Ale nawet jeśli pojawiały się różne pytania, to zarówno w analizach, jak i zasadniczym stanowisku administracji Obamy dominowała tendencja, że należy opowiedzieć się po stronie przeciwników reżimu Mubaraka, gdyż „pomimo komplikacji, jakie demokratyczny Egipt może stanowić dla strategii amerykańskiej w regionie, to jednak jest to najlepsze, realistyczne wyjście dla polityki Stanów Zjednoczonych”¹⁸⁹. Stąd dość skuteczne, choć zbyt nie eksponowane publicznie działania podjęte przez administrację Obamy, w tym ostrzeżenie skierowane do władz Egiptu o zmniejszeniu amerykańskiej pomocy wojskowej, jeśli nie zaprzestaną krwawego tłumienia rewolty i kontynuować będą represje wobec protestujących Egipcjan, a także dyplomatyczne naciski wywierane na Mubaraka, zmuszające go do rezygnacji z władzy.

Wreszcie 1 lutego 2011 r. miało miejsce telewizyjne wystąpienie prezydenta Obamy, w którym zwrócił się on do Mubaraka o natychmiastowe rozpoczęcie pokojowego przekazania władzy: „I indicated tonight to President Mubarak – is my belief that an orderly transition

¹⁸⁸ K.M. Pollack, *Winds of Change in the Middle East*, February 27, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0227_middle_east_pollack.aspx?p=1.

¹⁸⁹ D.L. Byman, *Democracy in Egypt: What Are the Risks to the United States?...*; zob. także S. Hamid, *America's „Islamist Dilemma” and Egypt's Muslim Brotherhood*, February 9, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0202_egypt_us_hamid.aspx?p=1.

must be meaningful, it must be peaceful, and must begin now"¹⁹⁰. Trudno wykluczyć, że te właśnie gesty ze strony Waszyngtonu spowodowały opowiedzenie się egipskiej armii po stronie demonstrujących na Placu Tahrir. A w ostatecznym efekcie przyczyniły się do ustąpienia Mubarak z urzędu 11 lutego 2011 r. i tymczasowego przejęcia władzy przez wojskowych. Tym samym przestał istnieć w odniesieniu do Egiptu główny dylemat amerykańskiej polityki w regionie: jak pogodzić deklarowane przez USA przywiązanie do wartości demokratycznych i wolnościowych z dobrymi relacjami łączącymi Amerykę z autorytarnymi reżimami¹⁹¹.

Pozostał jednak nierozstrzygnięty problem, czy nowe władze, nawet wybrane w drodze demokratycznych procedur, opowiedzą się po stronie Ameryki/Zachodu i pozwolą, aby Egipt był nadal filarem amerykańskiej strategii w regionie. Czy będą zdolne zapomnieć o wcześniejszym sojuszu Ameryki z dyktatorem i uwierzyć teraz w uczciwe intencje Waszyngtonu, gotowego wesprzeć przemiany w Egipcie? Wreszcie, czy amerykańska pomoc będzie oczekiwana i pożądana oraz jak powinna ona wyglądać?

Natychmiastowa niemalże reakcja prezydenta Obamy, który jeszcze tego samego dnia, w którym upadł reżim Mubarak, wygłosił z foyer Białego Domu specjalne oświadczenie, miała te nowe dylematy rozstrzygnąć lub przynajmniej zarysować perspektywy ich rozwiązania. Obama próbował wykorzystać okazję, aby wyrażając uznanie dla Egipcjan i solidarność Ameryki z ich wolnościowymi aspiracjami, zagwarantować sobie – bez względu na dalszy bieg spraw – dobre relacje z tym ważnym strategicznie partnerem. Zwrócenie się bezpośrednio do egipskiej opinii publicznej było o tyle istotne, że pozostała ona krytyczna wobec amerykańskiej polityki w regionie i to niezależnie od reakcji administracji Obamy na wydarzenia „arabskiej wiosny”. Aż 40 proc. Egipcjan uważało, że Stany Zjednoczone – trzymając się początkowo z boku – odegrały negatywną rolę w rewolcie i dopiero pod

¹⁹⁰ Cyt. w: M.S. I n d y k, K.G. L i e b e r t h a l, M.E. O' H a n l o n, *Bending History...*, s. 145-148.

¹⁹¹ K. M. P o l l a c k, *Introduction: Understanding the Arab Awakening...*, s. 8.

jej koniec poparły protestujących, natomiast tylko 20 proc. dostrzegało pozytywny udział Ameryki w wydarzeniach. Co gorsza, sondaże przeprowadzone dwa miesiące po upadku Mubaraka, w kwietniu 2011 r., wskazywały, że więcej Egipcjan pozytywnie ocenia Al-Kaidę i jej przywódcę Osamę bin Ladena niż deklarujące konsekwentnie swe poparcie dla przemian w Egipcie państwo amerykańskie¹⁹². W takim kontekście eliminacja najbardziej poszukiwanego terrorysty, a równocześnie bohatera masowej wyobraźni muzułmanów przez amerykańskie siły specjalne 2 maja 2011 r. mogła mieć wyłącznie negatywne, dalekosiężne skutki dla odbudowy pozytywnego wizerunku Ameryki w świecie islamu.

Tym większego znaczenia mogłyby nabrać natomiast konkretne gesty ze strony Stanów Zjednoczonych. Sugerowało je wielu analityków i ekspertów, uczestniczących w nadal dynamicznie rozwijającym się na gruncie amerykańskim dyskursie intelektualnym i politycznym. Dominowały głosy postulujące udzielenie przez Stany Zjednoczone zdecydowanej pomocy finansowej i odegranie kluczowej roli w procesie demokratycznej transformacji państw tego regionu. S. Hamid dowodził, że wspierając przemiany w świecie arabskim, Ameryka zyskałaby wiarygodność i sympatię. Wręcz twierdził, że „pomoc Ameryki (...) oraz udana transformacja w Egipcie i Tunezji służyłyby odbudowie dobrych relacji między Stanami Zjednoczonymi a światem arabskim, co przecież obiecał Obama podczas kairskiego przemówienia w 2009 r., wymownie je tytułując: „A New Beginning”¹⁹³. Zgadzano się, że teraz przed Ameryką rysuje się możliwość przezwyciężenia błędów z przeszłości i dokonania rzeczywistego „nowego otwarcia” w stosunkach ze światem islamu¹⁹⁴. Należało też uwzględnić fakt, że wprawdzie Stany Zjednoczone nie były najlepiej oceniane w świecie arabskim, to jednak na horyzoncie i w najbliższej perspektywie czasowej trudno było dostrzec gracza gotowego przejąć w tym regionie rolę pełnioną dotąd w tak dużym wymiarze przez Amerykę. Pamiętając również o rosnącej

¹⁹² Cyt. w: S. H a m i d, *Egypt: The Prize...*, s. 108-109.

¹⁹³ S. H a m i d, *How Obama Got Egypt Wrong...*

¹⁹⁴ K.M. P o l l a c k, *Winds of Change in the Middle East...*

potężde gospodarczej Chin i ich możliwościach inwestycyjnych, tym bardziej – zdaniem wielu analityków – należało to traktować jako wyzwanie dla światowego lidera, zmuszające go do działania¹⁹⁵.

Nie zmieniało to jednak wagi głównego zadania, jakie spadło na Stany Zjednoczone – udzielenia państwom arabskim, które weszły na drogę transformacji, skutecznej pomocy gospodarczej. Zadeklarował ją prezydent Obama już 19 maja 2011 r. w kolejnym głośnym przemówieniu skierowanym do świata arabskiego. Zapowiedział w nim umorzenie części egipskich długów, udzielenie kredytów w wysokości 1 mld USD (przy równoczesnym utrzymaniu dotychczasowej pomocy o łącznej sumie 1,5 mld USD rocznie). To co jednak szczególnie zwróciło uwagę komentatorów, to akcenty oportunistyczne, zawarte w wystąpieniu amerykańskiego prezydenta. Tak oceniano fakt, że Obama, choć generalnie poparł wolnościowe i demokratyczne aspiracje w regionie, to jednak nie odniósł się do sytuacji w krajach, gdzie wprawdzie nie było jeszcze zdecydowanych symptomów buntu, ale też nie podjęto koniecznych reform. Przede wszystkim chodziło o Arabię Saudyjską, ważnego sojusznika USA w rejonie Zatoki Perskiej. Wobec innego partnera na Bliskim Wschodzie – Bahrajnu, słowa krytyki za brutalne rozpędzenie demonstrantów i masowe aresztowania były na tyle wyważone, aby nie zaszkodzić amerykańskim interesom, wszak Bahrajn to miejsce stacjonowania 5. Floty USA. Prezydent nie wspominał też o udziale saudyjskich żołnierzy w tłumieniu protestów na ulicach Bahrajnu. Dlatego w komentarzach wiele było rozczarowania mową Obamy, jej oględnością i połowicznością. Pisano, że administracja amerykańska niewiele zrobiła, aby odzyskać wiarygodność i zaufanie świata arabskiego, co nie stwarza perspektyw dla zbudowania lepszego wizerunku Stanów Zjednoczonych w regionie¹⁹⁶. Jednakże nie można też abstrahować od kwestii amerykańskich interesów w regionie, które w jakiś sposób wy-

¹⁹⁵ B. Jones, *The West, the Rest, and the New Middle East: Obama in London*, May 27, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0527_global_order_jones.aspx?p=1.

¹⁹⁶ S. Hamid, *Obama's Middle East Speech Didn't Clarify U.S. Role*, May 20, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0520_middle_east_speech_hamid.aspx?p=1; por. S. Maloney, *The Alliance That Dare Not Speak Its Name*, May 20, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/050_obama_middle_east_maloney.aspx?p.

muszały pokretność taktyki Waszyngtonu – oto stały dylemat polityczny mocarstwa globalnego.

W tym miejscu nasuwa się pytanie, czy udział Stanów Zjednoczonych w kolejnym konflikcie, który wstrząsnął Afryką Północną, wpłynął na ich pozycję w świecie arabskim, wzmocnił amerykańskie przywództwo w świecie. Bowiem następnym krajem, które ogarnęło rewolucyjne wrzenie, była Libia. Niemal nazajutrz po obaleniu Mubaraka, w połowie lutego 2011 r. na ulice libijskich miast wyszli demonstranci, protestujący przeciwko reżimowi płk. Muammara Kaddafiego. Wojsko i siły bezpieczeństwa próbowały stłumić protesty. Rosła liczba zabitych i rannych. Kraj ogarnęła krwawa wojna domowa. Mimo że już pod koniec lutego 2011 r. płk Kaddafi stracił kontrolę nad znaczną częścią wschodniej Libii, zasobnej w złoża ropy naftowej, nie zamierzał oddać władzy ani pójść na ustępstwa wobec przeciwników. Była to sytuacja inna niż w Tunezji czy nawet Egipcie, gdzie protesty społeczne stosunkowo szybko doprowadziły do upadku rządzących. W Libii natomiast reżim Kaddafiego bronił się brutalnie i krwawo przez blisko pół roku.

Tymczasem Stany Zjednoczone, podobnie jak w przypadku Tunezji i Egiptu, początkowo zachowywały dystans wobec toczących się wydarzenia. Warto przypomnieć, że to w czasach G.W. Busha doszło do normalizacji stosunków amerykańsko-libijskich, i to po długim okresie wzajemnej wrogości, u której podłoża legło poparcie Trypolisu dla działań terrorystycznych w świecie. Dopiero uznanie przez Kaddafiego, że Al-Kaida zagraża również jego interesom, spowodowało zmianę frontu i doprowadziło do poprawy relacji Libii ze światem Zachodu. Libijski przywódca poparł inwazję na Afganistan i zadeklarował pomoc wywiadu, a następnie zrezygnował z planów budowy broni masowego rażenia¹⁹⁷. W 2006 r. Stany Zjednoczone otworzyły ambasadę w Trypolisie, a dwa lata później sekretarz stanu C. Rice złożyła w Libii oficjalną wizytę. Błędem byłoby jednak twierdzić, że Libia zajęła jakieś szczególne miejsce w polityce amerykańskiej. Także w sensie gospodarczym

¹⁹⁷ Jeszcze wcześniej, bo po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej, Kaddafi zdecydował się wydać Zachodowi terrorystów odpowiedzialnych za zamach na samolot amerykańskich linii lotniczych, który w 1988 r. eksplodował nad Lockerbie, oraz wypłacić rodzinom ofiar odszkodowanie.

państwo to nie odgrywało istotnej roli – amerykańskie firmy nie były specjalnie zainteresowane inwestycjami w Libii. Na tym polu znacznie lepiej prosperowali tutaj Europejczycy – stosunkowo bliskie sąsiedztwo oraz zainteresowanie dostawami libijskiej ropy i gazu powodowały większe zaangażowanie koncernów europejskich. Ale zarówno Europa, jak i Stany Zjednoczone podobnie oceniały Kaddafiego – uważano go za prowincjonalnego satrapę, o dziwacznych i maniackalnych skłonnościach. Jednak wraz z nasilającym się wrzeniem w Libii rosła dość powszechna obawa o załamanie światowego rynku paliw jako efekt rewolty w tym północnoafrykańskim kraju.

Jeśli więc na początku administracja Obamy wykazywała zainteresowanie pogarszającą się sytuacją w Libii, gdzie wojna domowa coraz bardziej eskalowała, to głównie z tego powodu, że znajdowało się tam ponad 600 obywateli amerykańskich. Dopiero gdy ostatni Amerykanie opuścili Libię, prezydent Obama – w odpowiedzi na brutalne akcje reżimu Kaddafiego – przystąpił do bardziej zdecydowanej akcji. Przede wszystkim wprowadzono sankcje gospodarcze wobec Libii – zamrożono 30 mld USD majątku libijskiego, zdeponowanego w USA. Równocześnie zdecydowano się podjąć działania w szerokim froncie międzynarodowym. Już 26 lutego 2011 r. na forum ONZ władze amerykańskie domagały się nałożenia na Libię embarga na handel bronią. Kilka dni później, 3 marca 2011 r., prezydent Obama ogłosił, że Kaddafi „stracił prawo do rządu i musi opuścić urząd”¹⁹⁸. Już wówczas w Białym Domu rozważano możliwość ustanowienia nad Libią strefy zakazu lotów, co miało uchronić ludność cywilną przed atakami lotnictwa wiernego Kaddafiemu. Co ciekawe, przeciwnikiem wprowadzenia *no-fly zone* był *Pentagon*, którego szef Gates uważał, że włączenie się Stanów Zjednoczonych w ochronę takiej strefy groziłoby wplątaniem ich w kolejny – po Iraku i Afganistanie – konflikt w kraju muzułmańskim¹⁹⁹. Mniej sceptyczna była natomiast sekretarz stanu Clinton oraz

¹⁹⁸ President Obama and President Calderon of Mexico, remarks, Joint Press Conference, March 3, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/03/03/remarks-president-obama-and-president-calder-n-mexico-joint-press-conference.

¹⁹⁹ Defense Secretary Robert Gates, speech, West Point, February 25, 2011, www.defense.gov/speeches/speech.aspx?speechid=1539.

przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych J. Kerry, zdecydowanie za taką formą ochrony ludności cywilnej opowiadał się także wiceprezydent J. Biden²⁰⁰.

Gdy w Waszyngtonie zastanawiano się nad przyjęciem opcji militarnej, ale o decyzje było wciąż trudno, to społeczność międzynarodowa okazała się bardziej zdeterminowana, co wydawało się sytuacją niemal bez precedensu. Dotychczas, w odniesieniu do wielu innych konfliktów i kryzysów, to raczej Ameryka dążyła do zastosowania skutecznych militarnych rozwiązań, podczas gdy Europa opowiadała się za mniej radykalnymi środkami. Tymczasem teraz to właśnie niektóre państwa europejskie znalazły się na pierwszej linii walki o zastosowanie radykalnych wobec reżimu Kaddafiego metod. Wśród nich na czele były Francja i Wielka Brytania. Państwa te – wspierane przez Ligę Arabską, która tradycyjnie z niechęcią traktowała Kaddafiego i dlatego jej członkowie domagali się wręcz interwencji militarnej – przedstawiły w połowie marca 2011 r. na forum Rady Bezpieczeństwa projekt przewidujący zakaz lotów nad Libią oraz podjęcie wszelkich niezbędnych środków w celu ochrony cywilów, atakowanych przez siły wierne Kaddafiemu.

Pomimo zastrzeżeń zgłaszanych przez niektórych członków swojej administracji prezydent Obama zdecydował się poprzeć wysiłki Francji i Wielkiej Brytanii. Zresztą wydaje się, że Biały Dom nie miał wyjścia – nie chcąc ponownie narazić się na zarzuty, skądinąd uzasadnione, że nie tylko przestaje pełnić rolę lidera na arenie międzynarodowej, ale wręcz oddaje innym pole w tak ważnym regionie świata, musiał włączyć się do akcji. Warto też podkreślić, że propozycja ta, choć wychodziła daleko poza ustanowienie *no-fly zone*, nie została zawetowana przez zwykle działające w ten sposób Rosję i Chiny. Tym razem przedstawiciele tych państw, obok Brazylii, Indii i Niemiec (sic!), jedynie wstrzymali się od głosu. W efekcie już 17 marca 2011 r. Rada Bezpieczeństwa przyjęła rezolucję nr 1973 w tej właśnie szerokiej formule zaproponowanej przez Paryż i Londyn.

²⁰⁰ M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 161-162.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że to nie Stany Zjednoczone były inicjatorem podjętych działań, raczej się do nich – po chwili wahania – przyłączyły. To francuski prezydent Nicolas Sarkozy, tracący poparcie w kraju, oraz szef brytyjskiego rządu David Cameron, niejako debiutujący w roli światowego przywódcy, narzucili tempo i charakter akcji. W przypadku prezydenta Francji chodziło przede wszystkim o zyskanie punktów w zbliżającej się walce o reelekcję, zaś premier Wielkiej Brytanii, demonstrując swoją troskę o losy ludności cywilnej, pragnął odegrać ważną rolę na arenie międzynarodowej. Dla obu przywódców była to w każdym razie okazja do przypomnienia o mocarstwowej pozycji ich krajów i zarazem odwrócenia uwagi od różnych wewnętrznych problemów.

Należy jednak z całą mocą podkreślić, że postawa Paryża i Londynu nie zyskała powszechnego poparcia wśród państw europejskich. Przeciwno jakiegokolwiek akcji zbrojnej, a z taką należało się liczyć, ustanawiając strefę zakazu lotów i ochronę cywilów, były m.in. Niemcy, Hiszpania, Włochy i Portugalia. W prowadzonej ofensywie w sprawie Libii zabrakło też przewodniego głosu europejskiej dyplomacji, kierowanej przez Catherine Ashton. A przecież wydawało się, że traktat lizboński wyposaży Unię Europejską w narzędzia, które będzie można wykorzystać w takich przypadkach jak rewolty w Libii, a wcześniej Egipcie czy Tunezji, aby zintegrować państwa członkowskie wokół ważnego zadania z zakresu polityki zagranicznej²⁰¹.

To zróżnicowane stanowisko rządów państw europejskich ujawniło się z całą ostrością wówczas, gdy trzeba było wziąć na siebie ciężar realizacji rezolucji Rady Bezpieczeństwa, czyli *de facto* interwencji militarnej NATO w Libii, ponieważ tylko Sojusz miał środki i siły, które mogły być w takiej akcji wykorzystane. Wśród państw, które odmówiły udziału w rozpoczętej 19 marca 2011 r. operacji wojskowej, nazwanej *Unified Protector* („Zjednoczony Obrońca”), znalazła się – obok m.in. Niemiec, Holandii i Turcji – także Polska, co było swego rodzaju precedensem²⁰².

²⁰¹ Zob. szerzej: R.H. S a n t i n i, *The Libyan Crisis Seen from European Capitals*, June 1, 2011, www.brookings.edu/papers/2011/0601_libya_santini.aspx?p=1.

²⁰² W dotychczasowej, stosunkowo krótkiej historii naszego członkostwa w NATO należeliśmy do państw, które lojalnie i solidarnie uczestniczyły w operacjach zbrojnych,

Ten brak solidarności wśród państw europejskich nie zmienił faktu, że w podjętej przez NATO operacji zbrojnej w Libii to nie Stany Zjednoczone odgrywały rolę pierwszoplanową, raczej starały się trzymać w cieniu lub – jak twierdziło wielu komentatorów – było to „kierowanie z tylnego siedzenia” (*leading from behind*)²⁰³.

Wprawdzie przez pierwsze dni przewodzenie akcją zbrojną należało do Stanów Zjednoczonych, ale już pod koniec marca 2011 r. dowództwo przejęło NATO, a USA były zaledwie członkiem tej koalicji – nie one podejmowały strategiczne decyzje i kierowały operacją Sojuszu. Stało się tak po raz pierwszy w 62-letniej historii NATO. Mieliśmy więc do czynienia z kolejnym precedensem. Cel takiego działania był jasny – administracja Obamy pragnęła uniknąć zarzutu, że inicjuje lub uczestniczy w kolejnej wojnie na terytorium państwa muzułmańskiego. Argumentowano więc, że nie jest to wojna, a tylko operacja pomocy powstańcom i ludności cywilnej w Libii. Poparciu tej tezy miał służyć fakt, że Biały Dom nie wystąpił do Kongresu o zgodę na wysłanie wojsk, co było konieczne w przypadku udziału w wojnie²⁰⁴. Chodziło też o ograniczenie do niezbędnego minimum kosztów finansowych operacji *Unified Protector*, przerzucenie tych ciężarów na europejskich sojuszników. Amerykanom byłoby bowiem trudno zrozumieć, dlaczego w sytuacji kryzysu gospodarczego, gdy kraj boryka się z ogromnymi

prowadzonych nie tylko zresztą pod flagą Sojuszu, ale także poza nim, u boku Ameryki, jak np. w Iraku, która – jak wiadomo – nie miała także przyzwolenia ONZ. Tym razem – choć operacja w Libii dysponowała zdecydowanie mocniejszym mandatem prawnym niż inwazja na Irak – Warszawa wyłamała się z tego frontu, uzasadniając swoje stanowisko brakiem żywotnych interesów w świecie arabskim oraz już wystarczająco dużym wysiłkiem militarnym i finansowym, ponoszonym przez Polskę w Afganistanie.

²⁰³ Zob. M.S. Indyk, K.G. Lieberthal, M.E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 158; zob. też J.S. Nye, *Presidential Leadership and the Creation of the American Era*, Princeton University Press 2013, *passim*.

²⁰⁴ Zgodnie z amerykańską konstytucją, to Kongres decyduje o wojnie i pokoju. Ustawa z 1973 r., przyjęta pod wpływem doświadczeń z eskalacją wojny wietnamskiej, zezwala prezydentowi w nagłych wypadkach posłać żołnierzy do walki, ale musi on w ciągu 60 dni uzyskać na to zgodę na Kapitolu. Jeśli tak się nie stanie, jest zobowiązany wycofać żołnierzy z terenu walk w ciągu kolejnych 30 dni; zob. szerzej: R. M. Chesney, *A Timer on the Libya/War Powers Resolution Compliance Debate*, June 17, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0617_war_powers_chesney.aspx?p=1.

problemami – dług publiczny, wynoszący wówczas 14,27 bln USD, niemal osiągnął limit (14,3 bln USD), to Stany Zjednoczone muszą znowu ponosić koszty finansowe konfliktu, z pozoru nie mającego związku z ich żywotnymi interesami.

Sytuacja, w której to państwa europejskie, w tym Francja, zdecydowały się podjąć działania zbrojne, a nawet je zainicjowały, wydawała się znacząca zarówno dla wizerunku Ameryki, jak i relacji transatlantyckich. Nawet jeśli uwzględnimy głównie wyborcze motywacje myślącego o kolejnej kadencji w Pałacu Elizejskim prezydenta Sarkozy'ego, to pozostaje faktem determinacja Francji i jej wola, aby działać z wykorzystaniem opcji siłowej. Nie tylko podważało to słynną tezę Kagana o „Europie z Wenus, a Ameryce z Marsa”, ale przede wszystkim pozwalało mieć nadzieję, że Stany Zjednoczone, pełniąc rolę „policjanta świata”, będą mogły liczyć na wsparcie ze strony sojuszników europejskich. Współdziałanie Europy w wypełnianiu tej misji mogłoby okazać się czynnikiem wzmacniającym układ transatlantycki. Było to w pewnym stopniu spełnienie oczekiwań Waszyngtonu, że nastąpi dzielenie ciężarów światowego przywództwa z sojusznikami europejskimi. Tym bardziej że – jak się wydawało – Ameryka czasu Obamy z coraz mniejszym entuzjazmem jest gotowa wypełniać zadania „światowego żandarma”, co potwierdzała taktyka *leading from behind*²⁰⁵. Rozwijając myśl o współdziałaniu Europy, wręcz twierdzono, że operację w Libii należy traktować jako ważny test dla Starego Świata. „Jeśli sojusznicy europejscy zrealizowaliby główny cel – ochronę libijskich cywilów, wtedy wysłałoby jasny sygnał, że pozostają wartościowym i skutecznym w zakresie bezpieczeństwa partnerem dla Stanów Zjednoczonych. Jeśli nie, to

²⁰⁵ Doradcy w administracji Obamy próbowali przekonać, że *leading from behind* nie jest wynikiem awersji do ryzyka, a raczej nową doktryną służącą pokazaniu mniej aroganckiego oblicza supermocarstwa. Nie brakowało też opinii, że taktyka ta w sumie jest bardziej efektywna dla interesów amerykańskich. Przywoływano w tym miejscu prezydenta Dwighta Eisenhowera jako przykład potwierdzający, że czasami więcej się zyska i będzie się skuteczniejszym, działając z drugiego rzędu, J.S. N y e, *Presidential Leadership...*, s. 79; por. M. D o r a n, *Is Obama like Eisenhower?* October 2013, www.brookings.edu/research/articles/2013/09/obama-middle-east-eisenhower-d.

przyczyniliby się do marginalizacji Europy w polityce amerykańskiej” – przyznawano w europejskich dyskusjach²⁰⁶.

Tymczasem towarzyszące operacji *Unified Protector* fakty zrazu nie napawały optymizmem. Nie chodziło tylko o brak wyraźnych postępów w prowadzonych działaniach zbrojnych oraz upór Kaddafiego, który nie zamierzał ustąpić i był w tym postanowieniu niezwykle zdeterminowany, ale o to, że w odniesieniu do relacji transatlantyckich nastąpił powrót do sytuacji znanej dobrze z przeszłości. Otóż stosunkowo szybko państwa europejskie, uczestniczące w operacji libijskiej, odczuły słabość swego potencjału wojskowego i w efekcie Stany Zjednoczone już po kilku tygodniach (cała operacja trwała ponad 7 miesięcy) musiały przejąć główny ciężar interwencji zbrojnej. To amerykańskie jednostki wykonały większość lotów nad Libią, Amerykanie zapewniali łączność i tankowanie w powietrzu, dominującą część ataków za pomocą lotnictwa i rakiet przeprowadziły amerykańskie siły zbrojne (ponad 90 proc. rakiet odpalonych nad Libią to były pociski amerykańskie), zresztą to Amerykanie, za pomocą dronów i satelitów, wyznaczali cele do bombardowania. Wreszcie Stany Zjednoczone dostarczyły siłom koalicji blisko 70 proc. personelu. Wszystko to kosztowało amerykańskiego podatnika grubo ponad 1 mld USD.

Niezdolność państw europejskich do podołania wyzwaniu w Libii i konieczność odwołania się w ogromnym stopniu do amerykańskich zasobów militarnych to potwierdzenie tezy, głoszonej od dawna przez Waszyngton, że Europa daleko odstaje od amerykańskich standardów obronnych. Nawet Francję i Wielką Brytanię dzielił dystans w stosunku do potencjału amerykańskiego (Francuzi i Brytyjczycy już po 11 tygodniach akcji zbrojnej w Libii musieli oszczędzać amunicję, a półroczna wojna nadwątlila ich budżety wojskowe na najbliższych kilka lat). Było to efektem trwającego już od wielu lat procesu zmniejszania przez Europejczyków nakładów budżetowych na obronność (rocznie nakłady te spadały w Europie łącznie o 45 mld USD)²⁰⁷. Konsekwencje takiej

²⁰⁶ N. B e n s a h e l, *Libya: a make-or-break moment for NATO*, March 25, 2011, www.guardian.co.uk/commentisfree/cifamerica/2011/mar/25/nato-libya/print.

²⁰⁷ Jedynie trzy państwa (Wielka Brytania, Grecja i Estonia) spełniały standardy NATO, przeznaczając 2 proc. budżetu na cele wojskowe, a np. Niemcy tylko 1,3 proc.

polityki państw europejskich – z perspektywy amerykańskiej – były aż nazbyt widoczne i groźne dla zdolności militarnych całego Sojuszu.

Miał więc rację amerykański sekretarz obrony Gates, gdy w czerwcu 2011 r., podczas spotkania w Brukseli szefów resortów obrony państw NATO, zarzucił Europie brak aktywności w zakresie bezpieczeństwa na miarę swych możliwości oraz amerykańskich oczekiwań. Ta przykra konkluzja, a także cały przebieg operacji, w której kolejny już raz Ameryka okazała się niezastąpiona, a Europa niezdolna do udźwignięcia własnymi siłami ciężaru dłużej trwającej operacji militarnej, z pozoru podważały tezę, stawianą początkowo przez wielu analityków, że interwencja w Libii może wzmocnić układ transatlantycki. Tym bardziej że przedłużająca się operacja *Unified Protector* i coraz większe nadwężenie zasobów państw w niej uczestniczących osłabiały wolę Europy kontynuowania tej misji. Takie symptomy dostrzegalne były nawet w Wielkiej Brytanii. Nie służyło to dobrze wiarygodności europejskiego filaru NATO. Był to groźny symptom, zwłaszcza w sytuacji, gdyby został wykorzystany przez potencjalnych wrogów lub konkurentów świata Zachodu. Negatywny wpływ na układ transatlantycki musiał też mieć fakt, że spośród 28 państw członkowskich Sojuszu w zbrojnej operacji na terytorium Libii uczestniczyło zaledwie osiem krajów (nieco więcej brało udział w kontrolowaniu libijskiej przestrzeni powietrznej). To również stało się przedmiotem ostrej krytyki ze strony Gatesa, wymierzonej zwłaszcza w Niemcy i Polskę, ale też wobec państw uczestniczących w operacji za to, że czynią zbyt mało²⁰⁸.

Chociaż pretensje kierowane pod adresem Polski można uznać za wysoce niesprawiedliwe, biorąc pod uwagę dotychczasową lojalność Warszawy wobec Waszyngtonu, narażającą ją swego czasu nawet na ostracyzm ze strony niektórych partnerów europejskich, to jednak brak solidarności sojuszniczej, do której tym razem i Polska się przyczyniła, był faktem niepodważalnym. Zaś w przypadku Niemiec – zdaniem wielu komentatorów – chodziło o coś więcej. Oprócz tego, że Berlin od-

Natomiast Stany Zjednoczone wydawały prawie 5 proc. PKB (w 2011 r. było to 768,2 mld USD), tamże.

²⁰⁸ Zob. S. F i d l e r, J. B a r n e s, *Gates Calls Others to Join Libya Fight*, „The Wall Street Journal” 9 VI 2011.

mówił kategorycznie udziału w operacji *Unified Protector*, co znacząco osłabiało potencjał militarny, którym dysponował w Libii europejski członek Sojuszu, to jeszcze RFN znalazła się wraz z Rosją i Chinami w tej grupie państw, które podczas głosowania 17 marca 2011 r. w Radzie Bezpieczeństwa nad rezolucją nr 1973 wstrzymały się od głosu. Taka postawa Niemiec została krytycznie oceniona przez stronę amerykańską. Nicolas Burns, były ambasador USA przy NATO, a następnie podsekretarz stanu w administracji G. W. Busha, mówił bez ogródek: „Fakt, że Niemcy, największy europejski członek sojuszu, państwo odgrywające w nim kluczową rolę i to w różnym wymiarze, nie poparły misji NATO, może mieć – jak myślę – rozstrzygające znaczenie dla jej powodzenia”. Działanie Niemiec było – zdaniem Burnsa – tym bardziej niezrozumiałe, że operacja Sojuszu miała poparcie świata arabskiego oraz mandat ONZ²⁰⁹. „It’s a shame that Germany could not see its way toward supporting it as well” – dodawał amerykański dyplomata²¹⁰.

Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że operacji libijskiej towarzyszyły okoliczności, które pozwalały wysnuć także pewne pozytywne konkluzje. Bo choć ujawniła ona po raz kolejny ogromny dystans dzielący USA i Europę w zakresie potencjału militarnego, a także pokazała brak jedności i pełnego poczucia solidarności wśród europejskich członków Sojuszu, *de facto* osłabiający amerykańskie przywództwo wśród państw Zachodu, to jednak zakończyła się sukcesem. Konsekwentne wsparcie NATO pozwoliło libijskim powstańcom przetrwać blisko pół roku i to mimo ataków sił wiernych Kaddafiemu, a następnie przyczyniło się do klęski i upadku dyktatora pod koniec sierpnia 2011 r. (miesiąc później płk Kaddafi został ujęty przez siły powstańcze

²⁰⁹ To poparcie świata arabskiego dla interwencji zbrojnej w Libii nie było powszechne. Część państw uważała akcję koalicji za zbyt radykalną, wychodzącą poza rezolucję ONZ, sprzeciwiano się zwłaszcza bombardowaniom, których ofiarami padali cywile. Natomiast zdecydowanego poparcia operacji udzieliły władze Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

²¹⁰ Wywiad N. Burnsa dla *Deutsche Welle* pt. *Berlin’s stance on Libya has isolated Germany in NATO*, 13 IV 2011, www.dw-world.de/popups/popup_printcontent/0,,14985036,00.html, zob. też J. D e m p s e y, *Germany Would Join Aid Mission to Libya*, „The New York Times” 8 IV 2011.

i natychmiast zabity) oraz przejęcia władzy nad całym terytorium kraju przez powstańczą Narodową Radę Libijską (NRL). Już to umacniało rangę NATO jako czołowej, najbardziej skutecznej w świecie struktury polityczno-wojskowej. Przywrócenie wiary w siłę i skuteczność NATO miało ogromne znaczenie po przykrych doświadczeniach Sojuszu w Afganistanie. Nie dziwi więc zadowolenie, jakie dowództwo Paktu Północnoatlantyckiego prezentowało 31 października 2011 r., gdy to oficjalnie zakończono operację *Unified Protector*. „Robiliśmy wszystko, by was chronić. Razem odnieśliśmy sukces. Libia wreszcie jest wolna” – mówił wówczas A. F. Rasmussen, sekretarz generalny NATO, zwracając się do Mustafy Adela Dżalila, szefa NRL.

Satysfakcja Rasmussena była tym większa, że „Zjednoczony Obrońca” stanowił, zwłaszcza w zakresie *crisis management*, pierwszy test nowej Koncepcji Strategicznej NATO, przyjętej 20 listopada 2010 r. na szczycie w Lizbonie. W dokumencie tym podkreślano, że możliwe jest działanie NATO *out of area*, gdyż „kryzysy i konflikty poza granicami NATO mogą stanowić bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa obszaru i ludności państw NATO”. Jasno też artykułowano, że Sojusz „zamierza się angażować, kiedy będzie to możliwe i konieczne, aby zapobiegać kryzysom, opanować je, stabilizować sytuację oraz wspierać proces odbudowy”²¹¹. Zdaniem wielu analityków właśnie w Libii udało się Sojuszowi pozytywnie zweryfikować nową strategię²¹². Nawet zauważono, że misja libijska może stać się ważnym modelowym rozwiązaniem dla przyszłych operacji NATO²¹³. Należało bowiem założyć, że wobec nowych uwarunkowań amerykańskiej polityki zagranicznej

²¹¹ Strategic Concept for the Defense and Security of the Members of the North Atlantic Treaty Organization. Adopted by Heads of State and Government in Lisbon: „Active Engagement, Modern Defense”. Rozwinięcie niektórych założeń Koncepcji znalazło się w deklaracji ze szczytu: Lisbon Summit Declaration, Issued by the Heads of State and Government participating in the meeting of the North Atlantic Council in Lisbon on 20 November 2010, NATO Press Release /Communiqué de press, Press release PR/CP(2010)0155.

²¹² P. Pacuła, „*Unified Protector*” w Libii: wyzwania dla zarządzania kryzysowego, „Bezpieczeństwo Narodowe” II – 2011/18, s. 69-78.

²¹³ K.-H. Kampp, *The Transatlantic Link after Chicago*, „NDC Research Report” Research Division NATO Defense College.

i bezpieczeństwa („zwrot ku Pacyfikowi”) takich sytuacji, gdy to bądź inicjatywa podjęcia zbrojnej operacji należeć będzie do sojuszników europejskich, bądź to Ameryka nie będzie odgrywać roli pierwszoplanowej, może się pojawić wiele. Libia już pokazała, że takie rozwiązania w ramach współpracy transatlantyckiej są możliwe i mogą zakończyć się sukcesem. Zakładając równocześnie, że długo jeszcze udział Stanów Zjednoczonych w interwencjach NATO będzie tak czy inaczej niezbywalny. W tym więc sensie operacja *Unified Protector* zdawała się stanowić pierwszy przykład nowej fazy w stosunkach transatlantyckich oraz symptom nowego przywództwa amerykańskiego, sprawowanego „z tylnego siedzenia”²¹⁴.

Istniał jeszcze jeden aspekt sprawy, odnoszący się zresztą do całego regionu, wiosną 2011 r. ogarniętego rewoltą. Trudno bowiem oprzeć się wrażeniu, że początkowo ani Stany Zjednoczone, ani europejski filar układu transatlantyckiego nie podjęły tego arabskiego wyzwania w sposób optymalny. Uderzało nie tylko „zagubienie” wielu rządów i polityków Zachodu wobec tego, co działo się w Tunezji i Egipcie, a także w niektórych państwach Bliskiego Wschodu. Jednak po wspólnym dla układu transatlantyckiego doświadczeniu libijskim, wspólnej – choć nie obejmującej wszystkich państw NATO – operacji zbrojnej pojawiła się realna perspektywa stworzenia nowej, niezwykle ważnej płaszczyzny współpracy Ameryki i Europy. Przyszłość państw arabskich, zwłaszcza tych, które właśnie weszły na drogę transformacji, zależała w dużej mierze od zewnętrznego wsparcia politycznego i skutecznej pomocy gospodarczej. To nie tylko otwierało nowe możliwości współdziałania Stanów Zjednoczonych z Unią Europejską w akcji pomocy dla państw regionu, ale również stwarzało nowe perspektywy dla umocnienia autorytetu Ameryki – owego *soft power*. Chociaż trudno było przesądzić, czy wydarzenia w świecie arabskim oznaczały transformację ustrojową w kierunku państwa demokratycznego i przychylnego Zachodowi, co byłoby procesem z punktu widzenia USA i ich europejskich sojuszników najbardziej pożądanym, czy zaledwie transpozycję władzy, a na-

²¹⁴ Zob. szerzej: K. Malinowski, *Sojusz Atlantycki (2010-2012). Stan i perspektywy*, „Przegląd Zachodni” nr 1/2013.

wet zbudowanie systemu opartego na fundamentalizmie islamskim, co wydawało się wysoce prawdopodobne. Niemniej jednak udzielenie wielostronnej pomocy przynajmniej dawało jakąś gwarancję, że rozwój wypadków i charakter przemian w świecie arabskim spełni oczekiwania Zachodu. Bez takiej pomocy gwarancji nie byłoby żadnej.

Jeśli zatem chodzi o Stany Zjednoczone, to takie deklaracje – przypomnijmy – pojawiły się 19 maja 2011 r., w przemówieniu prezydenta Obamy skierowanym do świata arabskiego (padły w nim słowa o umorzeniu części egipskich długów wobec Ameryki i przyznaniu kolejnych kredytów dla wzmocnienia miejscowej gospodarki). W ciągu następných kilkunastu miesięcy Amerykanie wsparli procesy transformacji w państwach „arabskiej wiosny” sumą ponad 500 mln USD²¹⁵. Także Europejczycy mieli szansę uczestniczyć w procesie transformacji państw arabskich w sposób praktyczny: przekazując technologię, koordynując i finansując różne programy, a także udzielając politycznych konsultacji i porad. Istniały opinie, że to właśnie Europa powinna wyjść z programem partnerstwa i pomocy dla zrewoltowanego regionu. Różnorodne doświadczenia w procesach transformacji oraz budowaniu demokracji niewątpliwie stanowiły niekwestionowany atut państw europejskich, w tym szczególnie z Europy Środkowo-Wschodniej. Także Niemcy wyrażały wolę wspierania misji humanitarnych UE, kierowanych do ogarniętej wojną domową Libii, co było swego rodzaju formą ratowania swego wizerunku w NATO, po dość kontrowersyjnej postawie, żeby nie powiedzieć sprzeciwie, wobec operacji libijskiej²¹⁶. W każdym razie mógł to być wielki sprawdzian znaczenia Europy w świecie i okazja, by wykorzystać europejską *soft power*, czyli sztukę dialogu, wspierania i zachęty do przemian oraz pomocy gospodarczej i politycznej.

²¹⁵ Wg T. C. W i t t e s, *Supporting Arab Transitions: Four Challenges for the Next U.S. President*, November 6, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/11/06-arab-transitions-us-president.

²¹⁶ Wg informacji przekazanych deputowanym w *Bundestagu* oficerowie niemieccy służyli pomocą w sztabie NATO, kierującym operacją libijską. Było to więc pośrednie wsparcie działań zbrojnych Sojuszu, „Der Spiegel” 19 VIII 2011; zob. też J. D e m p s e y, *Germany Would Join Aid Mission to Libya...*

Nasuwała się konkluzja że to, co kiedyś było domeną Ameryki – misja krzewienia demokracji i budowy wolnego rynku, czyli słynne amerykańskie posłannictwo, traktowane przez Amerykanów jako ważny czynnik ich przywództwa – mogło stać się tym razem wyzwaniem dla całej wspólnoty transatlantyckiej. Mogło też służyć zatarciu złego wrażenia, jakie w tym regionie stwarzały kolonialna przeszłość Europy oraz sojusz Ameryki z autorytarnymi reżimami, postrzegane jako wspólne poradzenie sobie z „islamskim dylematem”. Dla realizacji tych zadań potrzebna była jednak determinacja, konsekwencja, duch solidarności i odpowiedzialności – cechy i atrybuty, których układowi transatlantyckiemu coraz bardziej brakowało. Czas był najwyższy, aby dla wzmocnienia relacji transatlantyckich do nich powrócić. Region Afryki Północnej mógł służyć jako doskonały tego test, działając tym samym na rzecz umocnienia pozycji Ameryki.

I chociaż nie można deprecjonować skali pomocy, jakiej Zachód udzielił nowym władzom, wyłonionym w krajach Afryki Północnej jako konsekwencja „arabskiej wiosny”, to jednak generalnie nie podjęto wysiłku odpowiadającego skali wyzwania. Problemem był kryzys gospodarczy, z jakim borykały się państwa Unii Europejskiej. Także Stany Zjednoczone, z największym trudem ciągle walczące z recesją, nie były w stanie zaoferować pomocy inwestycyjnej na miarę potrzeb i oczekiwań regionu. W efekcie wsparcie gospodarcze i finansowe dla procesu transformacji krajów arabskich pozostało wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych oraz ich europejskich partnerów. A przecież było to zadanie niezwykle ważne, gdyż mogące przesądzić o obliczu politycznym państw tego regionu i jego losach. Bo – jak pisała amerykańska ekspertka – „inwestycja w arabską demokrację jest dobrą inwestycją”²¹⁷.

Tymczasem zabrakło także determinacji, konsekwencji, a przede wszystkim przekonania, że Stany Zjednoczone powinny choćby koncepcyjnie zaangażować się w kształtowanie nowego porządku na obszarze przechodzącym „epokową transformację”. A to przecież leżało w domenie światowego lidera. Wprawdzie trudno pominąć wyjątkowe uwarunkowania pozycji USA w regionie, związane z „islamskim dyle-

²¹⁷ T.C. Wittes, *Supporting Arab Transitions...*

matem” oraz nadal kiepską reputacją Stanów Zjednoczonych w świecie muzułmanów, które zmuszały do pewnej powściągliwości. Jednak uznanie zasady, że najlepsze, co Ameryka może zrobić, to trzymać się z boku, pozostawiając sprawy w Egipcie, Libii czy Tunezji swojemu biegowi, okazało się taktyką ze wszech miar błędną²¹⁸. Tym bardziej że nierozstrzygnięty był problem, w jakim kierunku podążać będą poszczególne państwa, jaki charakter przybierze proces ich transformacji. Czy będzie to kurs ku demokracji, czy jedynie przekazanie władzy w ręce sił radykalnych i fundamentalistycznych, zagrażających nie tylko stabilności w regionie, ale i globalnym interesom Stanów Zjednoczonych? Dlatego było tak ważne, aby Stany Zjednoczone mogły oddziaływać na zachodzące zmiany. Amerykański analityk Michael Doran pisał wprost: „Główny problem polega nie na tym, czy arabska wiosna uczyni świat bardziej niebezpiecznym, ale czy my będziemy w stanie kształtować ten nowy porządek”²¹⁹.

Pomimo tylu niewiadomych i wbrew niektórym opiniom administracja amerykańska starała się pozostawić wybór polityczny w gestii społeczności lokalnych, gdyż uznano to w Białym Domu za jedyną rozsądną i możliwą opcję. Twierdzono, że każda inna niosłaby groźbę natężenia antyamerykańskich emocji, których i tak nie brakowało²²⁰. Taktyka okazała się nieskuteczna. Po pierwsze, nie służyła ona odbudowie autorytetu Stanów Zjednoczonych w świecie muzułmańskim. Potwierdzeniem tego były wydarzenia z września 2012 r., gdy to w reakcji na rozpowszechniony w Internecie amatorski film obrażający proroka Mahometa doszło do antyamerykańskich zamieszek. Ich kulminacją było zabicie 12 września 2012 r. amerykańskich dyplomatów w Libii, w tym ambasadora USA, a następnie ataki uzbrojonych tłumów na amerykańskie placówki dyplomatyczne niemalże w całej Afryce Północnej i większości państw Bliskiego Wschodu. Zamieszki objęły także inne państwa muzułmańskie, w tym tak odległe od regionu niedawnej rewolucji arabskiej, jak Bangladesz i Pakistan.

²¹⁸ Zob. M. D o r a n, *Is Obama like Eisenhower?*...

²¹⁹ Tamże.

²²⁰ M. S. I n d y k, D. L. B y m a n, B. R i e d e l, M. D o r a n, *Around the Halls: Has the Arab Spring Made the World a More Dangerous Place?*...

Po drugie, proces transformacji w państwach „arabskiej wiosny” podążał w kierunku zgoła odmiennym, niż życzyliby sobie tego świat Zachodu. I chociaż początkowo pojawiały się zręby demokracji, to jednak wkrótce okazało się, że rewolucja ta otworzyła islamskim radykałom drogę do władzy. W Egipcie wybory parlamentarne w styczniu 2012 r. przyniosły zwycięstwo Bractwu Muzułmańskiemu, a uchodzący za zagorzałego islamistę Muhammed Mursi objął urząd prezydenta. Zaś Libia coraz wyraźniej zmierzała w kierunku wojny domowej. Nieco lepiej było w Tunezji. Ale najgorsze, związane także z sytuacją w Syrii i Iraku, miało dopiero nastąpić.

I wreszcie po trzeciej, w przeciwieństwie do rewolty w Afryce Północnej, która jednak doprowadziła do obalenia autorytarnych reżimów, to sytuacja w Syrii, ogarniętej wojną domową, daleka była od rozstrzygnięcia. Od marca 2011 r. trwały tam protesty i zamieszki przeciwko prezydentowi Baszarowi al-Asadowi, jednemu z najbardziej bezwzględnych władców Bliskiego Wschodu. Stany Zjednoczone wstrzymywały się jednak z bezpośrednią pomocą, licząc na powtórzenie scenariusza z Egiptu czy Tunezji, gdzie wystarczyła społeczna presja, aby obalić znienawidzone reżimy. Tymczasem reżim Asada krwawo tłumił zamieszki – do maja 2011 r. zginęło ponad 600 osób. Mimo to administracja Obamy nie była gotowa do działania lub wzmożenia presji.

Jednakże trudno przesądzić, w jakim stopniu odpowiedzialność za ten niepomysłny – z perspektywy Zachodu – kurs przemian w tych państwach spadała na Stany Zjednoczone. Czy był to rzeczywiście efekt przyjęcia przez administrację Obamy taktyki „powściągliwości”, oznaczającej *de facto* pozostawienie tego obszaru samemu sobie, a w przypadku Syrii – jakby przyzwolenie na bezwzględne tłumienie protestów? Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że „arabska wiosna” zapowiadała geopolityczną zmianę w regionie tak ważnym dla globalnych interesów amerykańskich choćby dlatego, że strategicznie związanym z obszarem konfliktu bliskowschodniego. W tej sytuacji dość kunktatorska i zachowawcza polityka administracji Obamy, mimo że znajdująca jakieś uzasadnienie, była błędem, dowodziła braku wyobraźni, ale też braku odwagi. Komentatorzy przywoływali przykład prezydenta Dwighta Eisenhowera, który odpowiadając na podobne w skali i zna-

czeniu wydarzenia na Bliskim Wschodzie w 1956 r. – kryzys sueski, zareagował wprowadzeniem nowej koncepcji strategicznej, nazwanej od jego imienia doktryną Eisenhowera. Gwarantując pomoc amerykańską rządów państw bliskowschodnich, zabezpieczała ona interesy Stanów Zjednoczonych w tym regionie przez cały okres zimnej wojny. Natomiast Obama nie tylko dowiódł braku wizji, ale jakby rejterował z roli globalnego lidera, który dba o własne i swoich sojuszników interesy w strategicznych punktach globu. A przecież w tę pustkę mogli wejść przeciwnicy i konkurenci Stanów Zjednoczonych, zmieniając układ sił w świecie²²¹.

²²¹ Zob. M. D o r a n, *Is Obama like Eisenhower?...*

Walka wyborcza o Biały Dom bywa zwykle dobrą okazją do bilansowania dokonań ubiegającego się o reelekcję prezydenta, także na arenie międzynarodowej. W przypadku Baracka Obamy był to zabieg o szczególnej wadze, ponieważ z jego prezydenturą wiązano wielkie nadzieje i oczekiwania, zarówno w USA, jak i za granicą. Wprawdzie priorytetowe znaczenie miały kwestie wewnętrzne, a zwłaszcza przezwycięzenie recesji gospodarczej, ale ze względu na status Ameryki jako światowego lidera, a także dynamicznie zmieniającą się sytuację na arenie międzynarodowej ocenie poddawano także działania ekipy Obamy w polityce zagranicznej. I tutaj odpowiedź nie była jednoznaczna.

Z pewnością prezydentowi Obamie stosunkowo wcześnie udało się odzyskać dla Ameryki część jej dobrej reputacji, utraconej w okresie prezydentury Busha, a także osłabić ładunek negatywnych emocji zgromadzony wokół Stanów Zjednoczonych przez jego poprzednika. Choćby dlatego, że pojawiło się więcej harmonii i dobrej atmosfery w relacjach z sojusznikami i partnerami. Był to efekt zmiany stylu uprawiania polityki – przeważały działania dyplomatyczne i konsultacje, zamiast arogancji i autorytaryzmu w podejmowaniu decyzji, co charakteryzowało politykę poprzedniego prezydenta. Nawet wobec wrogów i przeciwników administracja Obamy wystąpiła z ofertą rozmów i negocjacji, a to zrobiło w świecie dobre wrażenie. Ale między wrażeniem a rzeczywistymi dokonaniem istnieje zasadnicza różnica i o tym nie należy zapominać. Podobnie jest z retoryką, nawet porywającą jak w przypadku Obamy, która pozostaje tylko w sferze wrażeń, jeśli nie ma przełożenia na faktyczne i skuteczne decyzje.

Z kolei zabicie lub – używając bardziej adekwatnego określenia – likwidacja Osamy bin Ladena w maju 2011 r., przeprowadzona bardziej w stylu G.W. Busha niż zgodnie z zasadami praw człowieka, gdyż pochwycony w Pakistanie przywódca Al-Kaidy został natychmiast zastrzelony, wywołała różne komentarze. Na gruncie amerykańskim niemal powszechnie uznana została za wielki sukces – zwieńczenie walki z terroryzmem i należne Amerykanom zadośćuczynienie za hekatombę 11 września 2001 r. W tym sensie był to triumf Stanów Zjednoczonych i osobiście prezydenta Obamy – jego notowania wśród Amerykanów podskoczyły o około 10 proc. – do 60 proc. aprobaty. Okazało się, że prezydent – wbrew podejrzaniom o brak skłonności do ryzyka – wykazał się jednak stanowczością i nawet swego rodzaju bezwzględnością. Zaś ranga Stanów Zjednoczonych jako państwa, które konsekwentnie dąży do celu i twardo realizuje wytyczone zadania, wyraźnie się wzmocniła. Choć operacja przeciwko Osamie bin Ladenowi była prawie wierną kontynuacją twardej polityki Busha, to jednak służyła odbudowie wizerunku Ameryki jako silnego, zdeterminowanego lidera.

Po stronie aktywów należało także zapisać wyprowadzenie w grudniu 2011 r. żołnierzy amerykańskich z Iraku, choć przecież generalny bilans operacji wojskowej w tym regionie świata trudno byłoby uznać za pozytywny. Można już było z pełnym przekonaniem stwierdzić, że operacja iracka okazała się tragiczną porażką Ameryki, a jej konsekwencje stały się dostrzegalne na różnych płaszczyznach i w różnych wymiarach. Najbardziej dramatyczne to koszty ludzkie: życie w Iraku straciło 4,5 tys. żołnierzy amerykańskich, ponad 32 tys. zostało rannych, Irakijczyków zginęło więcej niż 150 tys. – liczba przerażająca, jakkolwiek większość tych ofiar to efekt bratobójczych walk w Iraku. Koszt samej operacji wojskowej wyniósł ponad 800 mld USD, jeśli doliczyć do tego dodatkowe wydatki, to sięgały one sumy prawie 2 bln USD. Tę wysoką cenę można by jeszcze uzasadnić, gdyby Amerykanie opuszczali Irak w poczuciu zrealizowania swej misji, osiągnięcia celów, które przyświecały autorom operacji irackiej – zbudowania demokratycznego państwa. Tak się jednak nie stało. Irak pozostawiono w stanie chaosu politycznego, społecznego i gospodarczego. Ale przy-

najmniej bez ryzyka dalszych ofiar po stronie amerykańskiej. I to mógł Obama zapisać jako swój sukces, chociaż zastrzeżenia co do słuszności tej decyzji pozostały²²⁴.

Godne globalnego przywódcy zdawało się hasło budowy świata bez broni atomowej, zaprezentowane po raz pierwszy w kwietniu 2009 r. podczas pobytu Obamy w Pradze. Kreowało ono wizerunek czarnoskórego prezydenta jako lidera z wizją i wolą zmian. Z tym jednak, że propozycja ta okazała się raczej piękną retoryką niż możliwym do realizacji planem. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że chodzi w niej o oczarowanie tłumów, co w zasadzie nie jest niczym złym, ale też nie stanowi realnego postępu na drodze denuklearyzacji świata. Realia wyglądały bowiem tak, że Korea Płn. nadal straszyla swym arsenałem jądrowym, a Iran pozostawał nieustępliwy w sprawie swego programu nuklearnego. Wybiegając nieco naprzód, Obama powróci do wizji świata bez atomu już jako ponownie wybrany prezydent, 19 czerwca 2013 r., podczas wizyty w Berlinie. „Po przemyśleniach doszedłem do wniosku, że możemy zapewnić bezpieczeństwo Ameryki i naszych sojuszników, redukując strategiczną broń atomową i liczbę głowic nuklearnych o jedną trzecią” – precyzował swą propozycję Obama, przemawiając przed Bramą Brandenburską do zgromadzonego tłumu Niemców²²⁵. O nikłej szansie powodzenia jego planów świadczyła natychmiastowa reakcja Moskwy – daleka od przychylniej.

Mogło to wówczas nieprzyjemnie zaskoczyć Obamę, gdyż innym polem, na którym jego administracja w czasie pierwszej kadencji odcisnęła spektakularne piętno, były właśnie relacje z Rosją. Symboliczne już „resetowanie” wzajemnych stosunków samo w sobie było procesem ważnym i – jak się wówczas zdawało – skutecznym. Wszak na poprawie tych relacji oraz wciągnięciu Rosji do współpracy skorzystać

²²⁴ M.E. O'Hanlon, *Obama's Iraq Legacy*, July 13, 2012, www.brookings.edu/research/opinion-s/2012/07/13-obama-iraq-ohanlon.

²²⁵ *Statement on President Obama's June 19 Address in Berlin on Eliminating Nuclear Weapons Threats*, www.armscontrol.org/print/5819. Warto dodać, że wystąpienie Obamy miało miejsce w 50. rocznicę słynnej berlińskiej mowy J.F. Kennedy'ego, który także przed Bramą Brandenburską, po zachodniej stronie miasta, wołał: „Ich bin ein Berliner”. Wówczas było to wyrazem solidarności Ameryki z mieszkańcami podzielnego murem miasta.

mogło wielu i takie też przekonanie dominowało, zwłaszcza w Europie Zachodniej. Efektem pozytywnym było podpisanie w grudniu 2009 r. nowego traktatu *START*, poważnie zmniejszającego limit amerykańskich i rosyjskich głowic jądrowych, co w jakimś ograniczonym stopniu odpowiadało wizji świata bez broni nuklearnej. *Reset* służył też doraźnym celom, związanym z udostępnieniem poradzieckiej przestrzeni dla transportu dostaw do Afganistanu dla operujących tam wojsk amerykańskich i pozostałych oddziałów NATO. Z kolei Stany Zjednoczone w 2012 r. umożliwiły Federacji Rosyjskiej wejście do Światowej Organizacji Handlu, wierząc, że tym samym wciąga się Rosję w orbitę światowej wymiany i skłania do przestrzegania powszechnie przyjętych reguł. W każdym razie można było odnieść wrażenie, że administracja Obamy z dumą traktuje swoje działania na rzecz pozyskiwania Rosji, jakby sugerując, że bardziej niż kiedyś potrzebuje jej dzisiaj.

Z drugiej jednak strony *reset* stosunków z Rosją oznaczał rezygnację z pierwotnych planów budowy tarczy antyrakietowej, co wyraźnie uderzało w interesy bezpieczeństwa niektórych państw z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski – w końcu tak bardzo poległego sojusznika Stanów Zjednoczonych. Dlatego bezpośrednim efektem prowadzonej przez administrację Obamy polityki wobec Rosji był spadek poparcia i sympatii dla Ameryki wśród społeczności tej części Europy. Złe wrażenie wywołała też dwuznaczna, poufna rozmowa prezydentów Obamy i Miedwiediewa w marcu 2012 r., potwierdzająca, jak bardzo Biały Dom liczy się z punktem widzenia Moskwy i jej interesami. Nie ulegało wątpliwości, że „resetowanie” stosunków z Rosją przekroczyło więc pewną niebezpieczną linię, w konsekwencji raczej osłabiając międzynarodowe akcje Stanów Zjednoczonych, zamiast je wzmacniać.

Ostrej ocenie poddawano także styl realizowania strategii przez administrację Obamy. Wprawdzie polityka czystej dyplomacji, ukazywania łagodniejszej twarzy Ameryki czy to w odniesieniu do Iranu, czy wobec świata muzułmańskiego i to nawet kosztem stosunków z Izraelem, może i służyła poprawie wizerunku Stanów Zjednoczonych oraz przywracała im sympatię społeczności międzynarodowej, lecz nie oznaczała przywrócenia skuteczności ich polityki oraz nie wzmacniała

rangi Ameryki w świecie jako lidera. Nie negując znaczenia zmiany wizerunku Ameryki – co było niezbędne jako punkt wyjścia po erze Busha – to jednak od Stanów Zjednoczonych, które wprawdzie zatraciły już rangę hegemonu, ale utrzymały atrybuty supermocarstwa, wymagać należało większej determinacji, odwagi w działaniu oraz skuteczności. Tym bardziej że Ameryka bez wątpienia funkcjonowała już w świecie zróżnicowanych i silnie ze sobą, a przede wszystkim z USA, konkurujących potęg, gdzie liczyła się nie tylko dyplomacja oraz negocjacje, ale i potencjał oraz gotowość jego wykorzystania. Tymczasem mówienie o „łagodzącym wpływie pokory i powściągliwości” być może miało swój powab w zestawieniu ze stylem działań administracji Busha, ale na dłuższą metę nie służyło odbudowie pozycji światowego przywódcy.

Stąd u kresu pierwszej kadencji Obamy w Białym Domu powrócono do dyskusji o świecie poamerykańskim, rysującym się coraz wyraźniej na horyzoncie. Chodziło nie tylko o konkurencyjność Chin i pozostałych państw z tzw. grupy BRIC obejmującej także Brazylię, Rosję i Indie, ale też o gesty i posunięcia administracji Obamy, które osłabiały potencjał i rangę Ameryki. Tak można było ocenić zapowiedziane wielkie cięcia w amerykańskim budżecie obronnym, marginalizowanie współpracy z Europą i redukcję wojskowej obecności Amerykanów na kontynencie europejskim, a skoncentrowanie uwagi na Dalekim Wschodzie, okrzyknięte hasłem *pivot to the Pacific Rim*, wreszcie osłabienie wpływów USA w innych regionach świata. Na wiele problemów i wyzwań administracja Obamy nie znalazła skutecznej odpowiedzi i nie zaprezentowała godnej lidera wizji, jak choćby w odniesieniu do konfliktu żydowsko-palestyńskiego, „arabskiej wiosny” i jej konsekwencji, proliferacji broni masowego rażenia, czy – odchodząc od problemów politycznych – nieustającej ekonomicznej konkurencji Chin i nadal nieprzezwyciężonych skutków światowego kryzysu gospodarczego.

W tej sytuacji wydawało się, że zwycięstwo wyborcze Baracka Obamy w listopadzie 2012 r. i jego kolejne cztery lata w Białym Domu to szansa na zaprezentowanie i zrealizowanie lepszej wizji polityki zagranicznej, w której hasło z pamiętnej kampanii wyborczej w 2008 r. – *Yes, we can*, oznaczałoby, przy zachowaniu koniecznego rozsądku, jednak

więcej zdecydowanej i skutecznej aktywności, godnej światowego lidera. Wszak nie bez powodu zwykło się mawiać, że druga kadencja w Białym Domu to dla prezydenta czas pracy na zaszczytny zapis w podręcznikach historii. A przecież w powszechnej świadomości, i to nie tylko Amerykanów, ale i opinii światowej, bardziej znaczące i zapadające w pamięć są dokonania amerykańskiego prezydenta na arenie międzynarodowej niż sukcesy wewnętrzne – gospodarcze i społeczne, nawet te największe i najbardziej oczekiwane.

Tymczasem już początek drugiej kadencji prezydenta Obamy przyniósł wydarzenia, które raczej dowodziły kompromitacji państwa amerykańskiego, a nawet stanowiły podważenie jego wiarygodności na arenie międzynarodowej, niż służyły wzmocnieniu przywództwa Stanów Zjednoczonych w świecie. Tak należało bowiem ocenić tzw. aferę podsłuchową, która wybuchła w maju 2013 r., gdy to Edward Snowden, administrator systemów komputerowych w amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (*National Security Agency – NSA*), ujawnił opinii międzynarodowej, że Stany Zjednoczone prowadzą niemal totalną inwigilację świata. Była to już kolejna afera związana z przekazaniem opinii światowej pilnie strzeżonych tajemnic amerykańskich.

Wcześniej, pod koniec 2010 r., portal internetowy WikiLeaks rozpoczął publikację tajnych dokumentów amerykańskich, w tym depesz dyplomatycznych, wysyłanych z amerykańskich placówek na całym świecie do waszyngtońskiej centrali. Były to doniesienia często kompromitujące samych autorów notatek, ale też zagranicznych polityków i wysokich urzędników dyplomacji, a nawet przywódców różnych państw, w tym najbliższych sojuszników Stanów Zjednoczonych. Ujawnione dokumenty, zdobyte nielegalnie dlatego, że amerykańskie służby niezbyt dobrze je zabezpieczyły, obnażały nie tylko owe służby, ale przede wszystkim państwo amerykańskie, którego organy nie zdołały zapobiec wyciekowi poufnych materiałów. Wyjątkowy dyskomfort musiała czuć szefowa amerykańskiej dyplomacji Clinton, telefonując do swoich kolegów z zaprzyjaźnionych państw i przeprasząc ich za informacje, które przedostały się do światowej opinii publicznej.

W przypadku afery Snowdena oprócz wystawienia na widok publiczny tajemnic wywiadu amerykańskiego chodziło jeszcze o coś więcej. Fakt, że amerykańskie służby wywiadowcze prowadziły inwigilację telefonów komórkowych i połączeń internetowych nie tylko u siebie w kraju, ale i na całym świecie – podsłuchy objęły nawet przywódców i polityków zaprzyjaźnionych ze Stanami Zjednoczonymi państw, w tym kanclerz Niemiec – nie mógł pozostać bez wpływu na wizerunek Ameryki. „Takich rzeczy się nie robi wśród przyjaciół” – to były słowa, które padały z ust polityków europejskich. I chociaż trudno wykluczyć, że służby wielu państw prowadzą podobną działalność, to okoliczność, w której właśnie „proceder amerykański” został ujawniony, postawiła Stany Zjednoczone pod pręgierzem powszechnej krytyki, kompromiując je w oczach opinii międzynarodowej.

Paradoks sytuacji polegał i na tym, że podsłuchy prowadzono także w czasie prezydentury Obamy, głoszącego swego czasu hasła moralnej odnowy, odwołującego się do atrybutów *soft power*, czyli wartości i zasad. Tymczasem kilka miesięcy po wybuchu afery podsłuchowej, w styczniu 2014 r. prezydent z pełnym przekonaniem stwierdził, że inwigilacja to procedura potrzebna, bo stawką jest bezpieczeństwo wszystkich Amerykanów. Trzeba przyznać, że ta argumentacja trafiła do znacznej części społeczeństwa amerykańskiego, jakkolwiek nie brakowało głosów dowodzących, że działania NSA naruszają czwartą poprawkę do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, która zakazuje „nieuzasadnionych rewizji”. Zdecydowanie gorzej było jednak z opinią w innych krajach świata, gdzie dość powszechnie administracja Obamy stała się obiektem krytyki. Tak jak kiedyś zarzucano ekipie Busha, że zmarnowała ten wielki ładunek poparcia i solidarności, jakim Ameryka cieszyła się po ataku Al-Kaidy na *World Trade Center* i *Pentagon*, tak teraz podobne opinie padały pod adresem administracji Obamy. Zarzucano jej stosowanie metod dalekich od zasad obowiązujących w demokracji, łamiących podstawowe prawa zapisane w konstytucjach i ustawach zasadniczych.

Był jeszcze jeden przykry aspekt całej tej sytuacji. Otóż Snowden, autor tego bezprecedensowego przecieku, ażyl polityczny znalazł w Ro-

sji, czyli tam, gdzie przestrzeganie standardów i zasad państwa demokratycznego pozostawiało wiele do życzenia, a ograniczanie wolności i praw obywatelskich było niemal na porządku dnia. I będąc w Rosji, przekazywał stamtąd kolejne rewelacje i materiały dowodzące skali stosowanej przez Amerykanów inwigilacji. Rosja jawiła się zatem jako państwo otaczające troskliwą opieką zbiega, który z narażeniem życia ujawnił nieczne praktyki Stanów Zjednoczonych, kreujących się na wzorcową demokrację, protekcyjnie traktującą innych, a sama mającą kłopoty z praworządnością. Tak można było ocenić całą sytuację, niewątpliwie – dość paradoksalną. Aktem jeszcze bardziej dyskredytującym amerykański prestiż było i to, że Rosja – mimo usilnych zabiegów Waszyngtonu – odmówiła wydania zbiega, decydując się tym samym narazić stosunki amerykańsko-rosyjskie na silny wstrząs. Można było odnieść wrażenie, że relacje te mają mniejsze znaczenie dla Moskwy niż doraźne, propagandowe korzyści płynące z przyjęcia Snowdena, dysponującego wyjątkową wiedzą o prowadzonej przez Amerykanów inwigilacji²²⁶.

Jednak w tym dość powszechnym zacietrzewieniu – powtórzmy to jeszcze raz – zapomniano o tym, że podobne praktyki, choć być może na mniejszą skalę i w bardziej zakamuflowany sposób, stosowało wiele innych państw, w tym wywiady krajów zajmujących wobec Stanów Zjednoczonych pozycję konkurencyjną lub wręcz wrogą. Stało się jednak tak, że podobnie jak w przypadku ujawnienia przez WikiLeaks treści poufnej korespondencji i w efekcie kompromitacji amerykańskiej służby dyplomatycznej, także „afera Snowdena” dotyczyła Stanów Zjednoczonych, dyskredytując bezpośrednio amerykańskie państwo, jego organy i urzędników. W świecie wyłaniania się nowych potęg taka kompromitacja supermocarstwa miała szczególny wydźwięk – dla konkurentów Ameryki była trudnym do przecenienia „zrzędzeniem losu”, zaś w odniesieniu do sojuszników Stanów Zjednoczonych mogła jeszcze bardziej zwiększyć między nimi dystans, zwłaszcza między stolicami europejskimi a Waszyngtonem.

²²⁶ *Edward Snowden in Moscow: A Case Study in Diplomatic Mismanagement*, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2013/08/09-snowden-moscow-diplom.

Wszak pierwsza kadencja Obamy w Białym Domu – wbrew oczekiwaniom – nie przyniosła pogłębienia i umocnienia więzi transatlantyckich. Powstało nawet nieodparte wrażenie, że oba te światy coraz bardziej się od siebie oddalają – osłabło zainteresowanie Stanów Zjednoczonych kontynentem europejskim, zaś Europa rozczarowała prezydenta Obamę, który liczył na autentyczne partnerstwo i wsparcie w rozwiązywaniu problemów globalnych. Teraz obawiano się, że afera podsłuchowa nie tylko nie powstrzyma procesu rozchodzenia się tych dwóch światów, ale może go nawet pogłębić. A na pewno – przewidywano – może utrudnić i tak już niełatwe negocjacje związane z tworzeniem wspólnej strefy wolnego handlu – Transatlantyckiego Partnerstwa na rzecz Handlu i Inwestycji (*Transatlantic Trade and Investment Partnership – TTIP*)²²⁷. Rozmowy nad tym porozumieniem handlowym między Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską trwały od 2013 r. Powodzenie negocjacji służyłoby nie tylko utrwaleniu w światowym handlu zachodnich regulacji i zasad, ale przede wszystkim umocnieniu wzajemnej współpracy obu członków. Zwłaszcza że wytwarzały one w 2014 r. łącznie ponad 33 proc. światowego PKB, a znaczna część międzynarodowej wymiany handlowej dokonywała się między USA a UE.

To nie był jednak koniec złych wieści z Ameryki. Kryzys budżetowy, do jakiego doszło w Waszyngtonie jesienią 2013 r., chociaż nie bezprecedensowy, to jednak kwestionował wiele atrybutów Stanów Zjednoczonych i osłabiał ich reputację na arenie międzynarodowej. Odmowa uchwalenia budżetu państwa przez republikańską większość w Izbie Reprezentantów spowodowała nie tylko zamknięcie na kilkanaście dni urzędów federalnych i wielu instytucji finansowanych z budżetu centralnego oraz przymusowy urlop dla setek tysięcy urzędników, czyli *de facto* paraliż kraju, ale też podważyła zaufanie do Stanów Zjednoczonych i zburzyła ich obraz jako państwa niezwykle sprawnego

²²⁷ Wymaga to ujednolicenia norm technicznych oraz usunięcia barier handlowych (ceł, różnic w regulacjach, ograniczeń w zakresie inwestycji *etc.*). Negocjacje objęte są tajemnicą.

i dobrze zarządzanego²²⁸. Przecież niemal od początku istnienia Stany Zjednoczone funkcjonowały w powszechnej świadomości jako modelowy organizm demokratyczny i wzór dobrze działających instytucji państwowych. Na tym między innymi budowały one swą silną pozycję i znaczenie w świecie.

Tymczasem w październiku 2013 r., przy okazji kryzysu budżetowego w USA, światowa opinia publiczna była obficie informowana nie tylko o skali konfliktu między demokratyczną administracją a republikańską opozycją, ale też o finansowych kłopotach Ameryki – o jej długu publicznym zbliżającym się do sumy 16,7 bln USD, czyli limitu wyznaczonego przez Kongres, o deficycie budżetowym wynoszącym bilion dolarów rocznie, zadłużeniu Stanów Zjednoczonych w różnych państwach na sumę około 3 bln USD. W skali Ameryki te liczby nie przerażały, jednak dla niewprawnego w ekonomii czytelnika zagranicznego były to sumy niewyobrażalne i wręcz porażające. W efekcie konflikt na Kapitolu wokół budżetu, prowadzący do „politycznej dysfunkcji” państwa amerykańskiego, jeszcze bardziej osłabiał międzynarodową pozycję Stanów Zjednoczonych. Zwłaszcza że tym razem dyskredytacja państwa amerykańskiego w opinii światowej była spotęgowana groźbą jego bankructwa, gdyż opozycja nie godziła się na zwiększenie długu publicznego.

I na tym polegała zasadnicza różnica między przypadkiem Obamy a sytuacją sprzed lat, gdy to prezydent Clinton w 1995 r., wobec stanowiska republikańskiej większości w Izbie Reprezentantów, także nie mógł przeforsować swojego projektu budżetu. Podobnie tysiące urzędników federalnych wysłano na przymusowe urlopy, a centralne urzędy zamknięto. Wówczas jednak z problemem zmierzyła się administracja państwa o niekwestionowanym statusie supermocarstwa i powszechnie uznaną rangą globalnego lidera. Spór Clintona ze zdominowanym

²²⁸ Republikanie, mający większość w Izbie Reprezentantów, nie godzili się na uchwalenie projektu budżetu, w którym zapisano finansowanie reformy opieki zdrowotnej, zwanej *Obamacare*, ostro krytykowanej przez Partię Republikańską, a wchodzącej w życie od 1 stycznia 2014 r. Domagali się również naprawy finansów państwa i zmniejszenia deficytu.

przez republikanów Kongresem świat potraktował zatem jako spór czysto wewnętrzny – polityczną walkę prezydenta z opozycją, a nie czynnik osłabiający potęgę Ameryki.

Teraz trudności z finansowaniem wydatków federalnych nie tylko spowodowały pogłębienie rys na wizerunku Stanów Zjednoczonych, ale miały też swoje doraźne skutki. Zaabsorbowany kryzysem budżetowym prezydent Obama musiał odwołać swą wizytę na Dalekim Wschodzie, co stawiało pod znakiem zapytania aktualność ogłoszonego w listopadzie 2011 r. „zwrotu ku Pacyfikowi”. Istniało nawet realne niebezpieczeństwo, że Stany Zjednoczone pozostawią wolne pole swojemu głównemu konkurentowi w tym regionie świata – Chinom. Zresztą Pekin ze szczególnym zainteresowaniem obserwował rozwój wypadków w Waszyngtonie i spór wywołany na Kapitolu. Wszak należał on do największych wierzycieli Stanów Zjednoczonych – zadłużenie USA w Chinach – przypomnijmy – wynosiło 1,3 bln USD, niewiele mniej USA winne były Japonii – 1,15 bln USD²²⁹.

Gdy wreszcie po kilkunastu dniach swego rodzaju paraliżu państwa, 16 października 2013 r. udało się zawrzeć kompromis i członkowie Izby Reprezentantów przegłosowali ustawę przywracającą finansowanie wydatków budżetowych, czyli *de facto* ratującą kraj przed bankructwem, sam prezydent Obama przyznał: „prawdopodobnie nic nie zaszkodziło amerykańskiej wiarygodności na świecie bardziej niż spektakl, którego świadkami byliśmy w minionych tygodniach”²³⁰. Można też było mówić o wymiernych kosztach całej tej sytuacji. Analitycy cytowani w „The New York Times” przewidywali spadek wzrostu gospodarczego w czwartym kwartale o 0,3 pkt. proc., co oznaczało stratę – zdaniem ekspertów z firmy *Macroeconomic Advisers* – 12 mld USD, zaś według agencji ratingowej *Standard & Poor* – aż 24 mld USD²³¹.

²²⁹ R. H a a s s, *The Real threat to U.S. national security*, October 7, 2013, www.cfr.org/united-states/real-threat-us-national-security/p31579.

²³⁰ Telewizyjne wystąpienie prezydenta B. Obamy, CNN, October 17, 2013, <http://politicalticker.blogs.cnn.com/2013/10/17/cnns-gut-check-for-october-17-2013>.

²³¹ „The New York Times” z 17 X 2013; M.D. S h e a r, *Government Gets Back to Business, but Effects of the Shutdown Linger*, October 17, 2013, http://www.nytimes.com/2013/10/18/us/politics/government-reopens.html?_r=0.

A więc bez względu na to, kto w tym sporze między administracją a opozycją wygrał, a kto przegrał – czy prezydent i Partia Demokratyczna wzmocnili swą pozycję na arenie wewnętrznej, a Republikanie, którzy nie zważając na konsekwencje i uparcie walcząc w Kongresie z Obamą, skompromitowali się w oczach Amerykanów, czy może było wręcz odwrotnie – to skutki tego kryzysu wewnętrznego dla międzynarodowej reputacji Stanów Zjednoczonych, w wymiarze zarówno politycznym, jak i ekonomicznym, były niekwestionowane. Ucierpiał bardzo prestiż Ameryki.

Tymczasem świat potrzebował silnego przywództwa Stanów Zjednoczonych, choćby ze względu na dramatycznie zmieniającą się sytuację międzynarodową i nowe, trudne wyzwania. U progu drugiej kadencji Obamy w Białym Domu na czoło problemów nierozwiązanych wysuwała się Syria i tocząca się tam już na wielką skalę wojna domowa. Przypomnijmy bowiem, że w przeciwieństwie do niektórych państw regionu Afryki Północnej, gdzie „arabska wiosna” skutkowałą obaleniem autorytarnych reżimów, co notabene wcale nie oznaczało osiągnięcia politycznej stabilizacji, w Syrii nie tylko nie udało się odsunąć od władzy prezydenta Asada, ale masowe demonstracje i protesty przerodziły się w zbrojne powstanie.

Wkrótce kraj ogarnęła wojna domowa okupiona coraz większą liczbą zabitych, głównie wśród cywilów. Wojska Asada atakowały rebeliantów, nie przebierając w środkach i nie licząc się z ofiarami. Zresztą także powstańcy uciekali się do doraźnych egzekucji i tortur wobec jeńców i innych osób podejrzewanych o sprzyjanie reżimowi Asada. Syria stała się więc areną najbardziej krwawych, rozprzestrzeniających się na ogromną skalę walk. Mimo że ostrożne szacunki z połowy 2013 r. wskazywały już na ponad 100 tys. zabitych, to Stany Zjednoczone, podobnie zresztą jak większość społeczności międzynarodowej, wydawały się oswojone z tą tragiczną, trwającą już ponad 2 lata sytuacją w Syrii. Udzielano wprawdzie pomocy humanitarnej, kierowanej przede wszystkim do setek tysięcy uciekinierów, szukających schronienia w sąsiednich krajach – w 2012 r. prezydent Obama oszacował tę ame-

rykańską pomoc na ponad 82 mln USD²³², ale odmawiano wsparcia militarnego, nawet dostarczenia powstańcom sprzętu wojskowego.

Należało jednak przypuszczać, że momentem przełomowym w konflikcie syryjskim, zmuszającym Stany Zjednoczone do interwencji, będzie użycie przez reżim Asada w walce z powstańcami broni chemicznej. Już bowiem wcześniej, 20 sierpnia 2012 r., a więc w gorącym okresie kampanii wyborczej, prezydent Obama zapowiadał, że atak bronią masowego rażenia w konflikcie syryjskim będzie traktowany jako przekroczenie „czerwonej linii” i spotka się z ostrą reakcją Ameryki²³³. Kiedy więc rok później, 21 sierpnia 2013 r. wojska Asada najprawdopodobniej użyły na przedmieściach Damaszku, kontrolowanych przez rebeliantów, broni chemicznej – pocisków z sarinem, co spowodowało śmierć ponad 1400 Syryjczyków, wielu komentatorów oczekiwało szybkiego działania Stanów Zjednoczonych²³⁴. Reakcja Białego Domu była jednak zaskakująca, zwłaszcza dla tych, którzy nadal postrzegali Amerykę jako zdeterminowanego i skutecznego przywódcę. Administracja Obamy przyjęła taktykę, która takie wyobrażenie zdecydowanie u jednych podważała, a innych umacniała w przekonaniu, że Stany Zjednoczone rejerują z roli światowego lidera.

Po pewnym bowiem okresie wahania i zapowiedzi ataku, 11 września 2013 r. prezydent Obama wystąpił ze specjalnym orędziem, w którym starał się przekonać Amerykanów do akcji zbrojnej przeciwko reżimowi w Syrii. Rysując tragiczny obraz zagazowanych na śmierć cywilów, w tym dzieci, prezydent pytał: „Czy chcemy takiego świata, w którym Stany Zjednoczone patrzą w inną stronę, by takich rzeczy nie widzieć? Wiem, że nie naprawimy całego zła na świecie. Nie będziemy mieszać się w cudze wojny domowe. Nie będziemy światowym policjantem. Ale jeśli niewielkim wysiłkiem i prawie bez ryzyka możemy zapobiec dalszemu gazowaniu tych dzieci i w dalszej perspek-

²³² Remarks by the President to the White House Press Corps, www.whitehouse.gov/the-press-office/2012/08/20remarks-president-white-house-press-corps; zob. też J. B a l l, *Obama issues Syria a „red line” warning on chemical weapons*, „The Washington Post” 20 VIII 2012.

²³³ Remarks by the President to the White House Press Corps ...

²³⁴ Należy zwrócić uwagę, że raport ONZ z września 2013 r. nie dał jasnej odpowiedzi, kto dokonał tego ataku bronią chemiczną.

tywie zabezpieczyć również nasze dzieci, to uważam, że powinniśmy działać”²³⁵. Takie słowa wpisywały się w charakterystyczną dla Obamy piękną retorykę. Zaś zapowiadana akcja „bez ryzyka” oznaczać mogła na przykład zbombardowanie syryjskich instalacji wojskowych przy pomocy pocisków Tomahawk, odpalonych z amerykańskich okrętów pływających po Morzu Śródziemnym. W każdym razie nie byłaby to zbyt groźna dla samej Ameryki operacja.

Ale nawet tak ograniczona interwencja zbrojna została uzależniona od warunku, który – jak można było założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa – nie zostanie spełniony. Otóż prezydent Obama poinformował, że zwrócił się do Kongresu z prośbą o wyrażenie zgody na podjęcie akcji zbrojnej, a przecież w myśl prawa nie musiał tego czynić. Przypomnijmy, prezydent jako wódz naczelny może inicjować akcje zbrojne na własną odpowiedzialność, a do Kongresu o zgodę musi się zwrócić wówczas, gdy działania trwają dłużej niż 60 dni. Wysyłając amerykańskie samoloty nad Libię w 2011 r., prezydent Obama nie pytał o zgodę zgromadzonych na Kapitolu deputowanych. Natomiast prosząc już teraz Kongres o zezwolenie na użycie siły, przywódca Ameryki odpowiedzialność za zrealizowanie swojej zapowiedzi lub odstąpienie od niej przerzucał na członków Kongresu. Czyż nie była to wyraźna manifestacja jego kunktatorskiej postawy? Musiał bowiem zdawać sobie sprawę, że opór wobec kolejnej interwencji zbrojnej Stanów Zjednoczonych jest w społeczeństwie amerykańskim bardzo silny i tego oporu nie udało się Obamie swoim orędziem przełamać – ponad 60 proc. Amerykanów było przeciwko. Co do tego komentatorzy byli zgodni – Amerykanie nie dostrzegali własnego interesu w interwencji na terenie Syrii, a ponadto nie chcieli, aby USA znowu musiały grać rolę karzącego, bo ktoś gdzieś przekroczył „czerwoną linię”²³⁶.

Społeczeństwo amerykańskie w swej większości zatraciło entuzjazm dla wszelkich interwencji zbrojnych, także tych z pobudek humanitarnych, jak było to jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, gdy popierano interwencję w Bośni i Hercegowinie oraz Kosowie. O tym pisał jeden

²³⁵ Remarks by the President in Address to the Nation on Syria, www.whitehouse.gov/the-press-office/2013/09/10/remarks-president-address-nation-syria.

²³⁶ Zob. S. T e l h a m i, *President Obama's Confused Logic on Syria*, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/10-president-obama-syria-telha.

z amerykańskich weteranów w liście skierowanym do prezydenta Obamy, zacytowanym w jego orędziu: „Ten naród ma już wojny powyżej uszu” (This nation is sick and tired of war)²³⁷. A ponieważ emanacja tej społeczności, czyli członkowie Kongresu, musiała się liczyć z opinią publiczną, to niemal pewne było głosowanie większości kongresmanów przeciwko uchwale zezwalającej prezydentowi na użycie siły. Gdyby tak się rzeczywiście stało, oznaczałoby to wprawdzie prestiżową porażkę Obamy, ale równocześnie zwalniałoby jego administrację z konieczności podjęcia akcji zbrojnej, co do której – jak można przypuszczać – nie była przekonana i na którą nie była tak naprawdę zdecydowana. Raczej zmuszona wcześniejszą zapowiedzią prezydenta o konsekwencjach przekroczenia „czerwonej linii”²³⁸.

Jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, to na szczęście dla Obamy borykającego się z dylematem – wypełnić swą zapowiedź i narazić się na społeczną krytykę w kraju, czy odstąpić od niej, narażając na szwank autorytet światowego lidera, znalazło się zupełnie inne rozwiązanie. Propozycja złożona przez Rosję, głównego protektora reżimu Asada, aby syryjska broń chemiczna została przekazana międzynarodowym obserwatorom i następnie zniszczona, okazała się zbawczym wyjściem (wcześniej pomysł taki jako „luźną myśl” rzucił amerykański sekretarz stanu John Kerry, nie licząc zresztą na powodzenie tego pomysłu). Dlatego inicjatywa rosyjska spotkała się z natychmiastową niemal reakcją Waszyngtonu, mimo że po aferze Snowdena, a także wobec niechętnego stosunku Putina do propozycji rozbrojeniowych Obamy i różnic w podejściu do Syrii relacje na linii Rosja-USA były wówczas już bardzo chłodne.

Do Genewy na rozmowy z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem już 12 września 2013 r. wyjechał Kerry, zaś Kongres został poproszony o wstrzymanie głosowania nad rezolucją w sprawie interwencji w Syrii, co oznaczało bezterminowe zawieszenie ataku. Ku zaskoczeniu wielu obserwatorów w ciągu zaledwie trzech dni negocjacji szefom dyplomacji amerykańskiej i rosyjskiej

²³⁷ Remarks by the President in Address to the Nation on Syria...

²³⁸ Zob. S. T e l h a m i, *President Obama's Confused Logic on Syria...*; S. S h a i k h, *The Haunting: Why the Syria Crisis Will Torment Obama for the Rest of His Presidency*, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/12-syria-crisis-obama-shikh.

udało się w kwestii syryjskiego arsenału broni chemicznej dojść do porozumienia. W zamian za zgodę władz Syrii na zniszczenie pod nadzorem międzynarodowym wszystkich zapasów broni chemicznej, gwarantowano reżimowi Asada bezkarność za jej użycie i dokonaną masakrę ludności w okolicach Damaszku. Tym samym również przesądzano, że do ataku amerykańskiego na Syrię nie dojdzie. Gdy władze w Damaszku, pod naciskiem Rosji, przystały na porozumienie, a następnie jego zapisy odnoszące się do przejęcia i unicestwienia syryjskiej broni chemicznej, ujęte w formie rezolucji ONZ (przygotowanej z kolei przez Francję), zaczęto realizować, ten etap kryzysu syryjskiego uznano za zakończony.

To zwycięstwo dyplomacji tylko pozornie można było traktować jako wielki sukces. Skala tego sukcesu w odniesieniu do poszczególnych, zaangażowanych w negocjacje stron była bowiem różna. Przejęcie pod nadzór międzynarodowy, a następnie stopniowe niszczenie syryjskich zasobów broni chemicznej było niewątpliwie skutecznym rozwiązaniem w zakresie rozbrojenia. Również uniknięcie amerykańskiej interwencji zbrojnej, która prawdopodobnie pociągnęłaby za sobą kolejne ofiary wśród Syryjczyków i być może spowodowała jeszcze bardziej okrutną reakcję reżimu Asada wobec przeciwników, z różnych względów było słuszne. Zwłaszcza że trudno było przewidzieć, jakie będzie ona miała konsekwencje zarówno dla USA, jak i regionu bliskowschodniego. Ale też dlatego, że w ten sposób rozwiązał się trudny dylemat, przed jakim stanął amerykański prezydent – co zrobić, jeśli Kongres odrzuci uchwałę zezwalającą na użycie siły – mimo to interweniować, czy odstąpić od ataku.

Jednak patrząc z innej strony, Stany Zjednoczone wychodziły z tej fazy konfliktu syryjskiego z osłabionym autorytetem. Uderzał brak determinacji i konsekwencji prezydenta Obamy, który okazał się niezdolny do podjęcia trudnej decyzji. Zwrócenie się do Kongresu o zgodę na zbrojną interwencję w Syrii nie było niczym innym, jak właśnie demonstracją słabości i bezradności amerykańskiego przywódcy, który w obawie o reakcję Amerykanów próbował zrzucić odpowiedzialność na organ ustawodawczy. Nie bez satysfakcji jeden z rosyjskich analityków Fiodor Łukjanow stwierdził wówczas, że „Obama nie ma tej abso-

lutnej pewności siebie, jaką miał George W. Bush²³⁹. I chociaż można znaleźć uzasadnienie dla sposobu postępowania administracji Obamy, wykazującej objawy syndromu niedawnych zgubnych interwencji Ameryki w Afganistanie i Iraku, to jednak trudno nie dostrzec różnych negatywnych i niebezpiecznych tego skutków. Idąc bowiem dalej tym tokiem myślenia, kryzys syryjski i kunktatorstwo prezydenta Obamy uświadomiły też społeczności międzynarodowej skalę niechęci Amerykanów wobec akcji zbrojnych, prowadzonych w ich imieniu w różnych, odległych regionach świata.

Pojawił się więc groźny precedens, gdy Stany Zjednoczone boją się interweniować i to nawet z pobudek humanitarnych, zwykle znajdujących zrozumienie u obywateli, bo nawiązujących do tradycyjnego amerykańskiego posłannictwa. Można zrozumieć przyczyny takiej postawy Amerykanów, wyrażone dosadnie w liście amerykańskiego weterana. Po przykrych doświadczeniach w Afganistanie i Iraku społeczeństwo amerykańskie było przeciwne kolejnym zbrojnym interwencjom. Zwłaszcza że dotychczasowe wojny kosztowały biliony dolarów, podczas gdy Amerykanie w wyniku kryzysu tracili pracę, domy i poczucie bezpieczeństwa. Ale jeśli przywódca państwa uchodzącego – mimo wszystko – za główny czynnik porządku międzynarodowego kieruje się przede wszystkim takimi przesłankami, mogło to mieć groźne konsekwencje nie tylko dla pozycji i rangi tego państwa w świecie, ale przede wszystkim dla układu globalnego. „Jeżeli nie podoba wam się świat, w którym USA regularnie interweniowały, zobaczcie, jak wam się podoba ten, w którym tego nie robią” – pisał Garton Ash²⁴⁰.

Niewątpliwie głównym aktorem i zwycięzcą w tej rozgrywce o Syrię okazała się Rosja. Obok faktu, że inicjując dyplomatyczne rozwiązanie kryzysu, niemalże rzuciła koło ratunkowe administracji Obamy, to jeszcze wyciągnęła z tego najwięcej politycznych i prestiżowych profitów. Nagle Rosja wystąpiła w roli głównego rozgrywającego w tym największym w ostatnich miesiącach konflikcie międzynarodowym. Bo to rosyjski prezydent Putin zyskał najważniejszy głos w decydowaniu

²³⁹ Cyt. w: „Gazeta Wyborcza” 12 IX 2013.

²⁴⁰ T. Garton Ash, *Co kryzys w Syrii mówi nam o Ameryce*, „Gazeta Wyborcza” 14-15 IX 2013.

nie tylko o losach Syrii, ale pośrednio także o ewentualnej interwencji zbrojnej Stanów Zjednoczonych. „Prezydent USA sam, na oczach świata, zrezygnował z części swojego autorytetu. Przyznał, że nie powinien decydować sam. Dopuścił do decyzji Putina, którego akcje na arenie międzynarodowej wzrastają” – mówił w rozmowie z polskim dziennikarzem Hassan Mneimneh, ekspert waszyngtońskiego *think tanku* – *German Marshall Fund*²⁴¹. Rosji udało się zatem uchronić swego protegowanego Asada przed konsekwencjami jego krwawej polityki. Co więcej, jeden z najbardziej despotycznych władców na Bliskim Wschodzie został niemal nobilitowany, bo stał się stroną w międzynarodowym traktacie. Nie bez racji więc syryjskie media państwowe przedstawiały porozumienie z Genewy jako wielki sukces prezydenta Asada.

Natomiast ogromne rozczarowanie odczuwali syryjscy bojownicy, dla których porozumienie genewskie oznaczało przede wszystkim to, że Amerykanie nie podejmą działań zbrojnych. A bardzo liczyli na amerykańskie ataki wymierzone w strategiczne obiekty syryjskiej armii. Wzmocniłoby to ich szanse w tej nierównej walce z reżimem Asada, który przecież otrzymywał dostawy ciężkiej broni z Rosji, a także z Iranu, dysponował samolotami i nieporównywalnie większym potencjałem zbrojnym. Partyzanci zaś mogli liczyć – oprócz żywności i pomocy humanitarnej – ledwie na dostawy z Zachodu karabinów i samochodów terenowych. Ponosili więc coraz większe straty, byli wypierani ze zdobytych wcześniej terenów, tracili przejęte poprzednio miejscowości. Rozwiązanie genewskie nie tylko nic nie zmieniało w ich położeniu, ale nawet wzmacniało reżim Asada, któremu już nie groziła obca interwencja zbrojna. Rosło więc poczucie, że losy walki powstańców z siłami rządowymi nie obchodzą świata zachodniego, że nie mogą już oni liczyć na amerykańską pomoc²⁴². W ten sposób tworzyła się groźna sytuacja – przestrzeń dla islamskich radykałów, a nawet terrorystów.

²⁴¹ Rozmowa Mariusza Zawadzkiego z Hassanem Mneimnehem pt. *To duży błąd Obamy, że o Syrii decyduje Putin*, „Gazeta Wyborcza” 16 IX 2013.

²⁴² Zob. B. M o m a n i, C. S c h a c h t e r, *Obama is Losing the Hearts and Minds of the Arab World*, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/09-obama-arab-world-syria-mo. Pytaniem nierozstrzygniętym pozostanie jednak to, jak wyglądałaby sytuacja w Syrii, gdyby jednak Amerykanie interweniowali lub choćby wsparli ciężką bronią powstańców syryjskich, jak niektórzy podpowiadali. Z pewnością by-

Zresztą już pod koniec 2012 r. na pomoc powstańcom w Syrii zaczęli przybywać islamscy ekstremiści z sąsiednich państw, traktując ten kraj jako kolejne pole dla światowego *dżihadu* i walki z kolejnym bezbożnym reżimem arabskim. Nadało to zupełnie nową, jeszcze groźniejszą dynamikę wydarzeniom w tym regionie, a następnie spowodowało niebezpieczne w skali całego niemal świata skutki. Napływający do Syrii radykalni islamiści byli różnej proweniencji. Najwięcej ich przybywało z Iraku i byli to sunniccy bojownicy z irackiej Al-Kaidy, walczącej wcześniej z Amerykanami i rządzącymi Irakiem po obaleniu Saddama szyitami, ale rosły też szeregi radykalnych islamistów z innych krajów regionu bliskowschodniego, a nawet odległych części świata. Część z nich przyłączała się do powstańców walczących z reżimem Asada, czyli tzw. Syryjskiej Wolnej Armii, inni działali na własną rękę. A zatem ten front walki z syryjskimi siłami rządowymi nie był już nawet w miarę jednorodny, ale skupiał też siły tradycyjnie – z perspektywy świata Zachodu – uważane za groźne: *dżihadystów*.

Problem stał się jeszcze poważniejszy, gdy wzmocnione i skonsolidowane walką w Syrii grupy bojowników Al-Kaidy oraz innych radykalnych islamistów powróciły do Iraku, który wcześniej, bo już w grudniu 2011 r., opuścili żołnierze amerykańscy, pozostawiając kraj w stanie dość dużego chaosu. Sprzyjało to zamiarom *dżihadystów*, którzy bez większych trudności i w stosunkowo krótkim czasie opanowali przygraniczne obszary Iraku i Syrii. W ręce *dżihadystów* wpadł Mosul, drugie po Bagdadzie miasto w Iraku, oraz Tikrit i kilka mniejszych miast irackich. Pod naporem islamskich ekstremistów wojska irackie wręcz pierzchały lub szły w rozsypkę, niemal bez walki oddając większość miejscowości. A przecież była to armia wcześniej wyposażona i wyszkolona przez Amerykanów. Do połowy 2014 r. *dżihadysty* przejęli też kontrolę nad północnymi prowincjami Syrii. Sytuacja stała się jeszcze bardziej groźna, gdy 29 czerwca 2014 r., na ziemiach przez siebie kontrolowanych, czyli w zachodnim Iraku i północnej Syrii, proklamowali oni powstanie kalifatu pod nazwą Państwa Islamskiego. Nazwa – kalifat

łoby więcej ofiar, bo i reżim w Damaszku uzyskałby większe dostawy broni z Iranu i Rosji. Czy odwróciłoby to losy wojny domowej w Syrii, trudno przesądzić.

– nawiązywała do islamskiego królestwa według wzorca z pierwszego tysiąclecia naszej ery, ale teraz była to jego bardziej ekstremalna wersja.

Zagrożenie związane z Państwem Islamskim wynikało w dużej mierze z możliwości eskalacji jego wpływów. Chodziło zresztą nie tylko o zdobywanie kolejnych terytoriów – szacowana wówczas na ponad 30 tys. bojowników armia kalifatu była zdolna do przejmowania następnych miast i podbijania sąsiednich obszarów, a zdobyte przez dżihadystów złoża ropy naftowej i rafinerie gwarantowały im środki na prowadzenie dalszych walk. Trzeba było brać pod uwagę i to, że kalifat nie był tylko pojęciem geograficznym, ale także ideologicznym, którego wpływy nie miały granic. Grupy terrorystyczne, deklarujące związki z Państwem Islamskim, pojawiły się w Libii, Algierii, na Synaju, wkrótce także w Europie.

Z kolei dramatyzm sytuacji związanej z powstaniem Państwa Islamskiego wynikał przede wszystkim z metod stosowanych przez przywódców i bojowników tego samozwańczego tworu. Na obszarach kontrolowanych przez kalifat szalał terror: prowadzono czystki etniczne, w sposób bestialski mordowano przeciwników, dokonywano masowych egzekucji, wreszcie wymagano – pod groźbą śmierci – całkowitego podporządkowania się władzy i woli Państwa Islamskiego. Z czasem Państwo Islamskie stało się też niczym magnes przyciągający ochotników z różnych części świata, w tym z krajów zachodnich – liczono, że przybyło ich ponad 10 tys., w tym ponad 2 tys. z Europy, Australii i USA. Wśród nich było wielu konwertytów na islam. Zasilający szeregi dżihadystów w Syrii lub Iraku ochotnicy z Europy czy Ameryki mogli po jakimś czasie wrócić do swych domów, aby tutaj kontynuować „świętą wojnę”. I to również stanowiło wyzwanie dla świata Zachodu.

Gdyby dochodzić przyczyn powstania kalifatu w tym tak kluczowym dla sytuacji międzynarodowej regionie bliskowschodnim, to nasuwać się dwie okoliczności. Po pierwsze, była nią inwazja amerykańska na Irak w 2003 r. oraz nieudolna próba ustabilizowania tam sytuacji. Gdy Amerykanie opuszczali Irak, to zamiast modelowej demokracji, którą chcieli zbudować, pozostawiali kraj w stanie wyraźnego chaosu, stanowiącego dobrą przestrzeń dla wszelkich ruchów radykalnych, wzmacnianych doświadczeniem amerykańskiej okupacji. Po drugie, także wojna domowa w Syrii stwarzała nowe możliwości dla dżihady-

stów jako sojuszników syryjskich powstańców – przynajmniej tak się początkowo mogło wydawać – w walce z reżimem Asada. Zwłaszcza że liczenie na Amerykę okazało się złudne. Ta bowiem nie chciała się bezpośrednio mieszać w syryjską wojnę domową ani nawet wesprzeć bronią umiarkowanych rebeliantów. Jakkolwiek by na to spojrzeć, to w jakiejś mierze Stany Zjednoczone powinny czuć się odpowiedzialne lub przynajmniej współodpowiedzialne za powstałą sytuację. Nawet pomijając fakt, że pożywką dla rozwoju radykalnego islamu były też represyjne i skorumpowane arabskie reżimy, powszechnie wykorzystujące podziały religijne do utrzymania władzy.

Pytanie zasadnicze dotyczyło zatem tego, czy i jaka będzie reakcja Stanów Zjednoczonych. Czy ekspansja dżihadystów w Iraku i Syrii, grożąca trudnymi do przewidzenia konsekwencjami geopolitycznymi w regionie oraz skutkami sięgającymi nawet do świata zachodniego, będzie powstrzymana? Czy bezprzykładny terror Państwa Islamskiego spotka się z odpowiednim działaniem? A może administracja Obamy uzna, że interesy Stanów Zjednoczonych nie sięgają już tego regionu świata i nie należy podejmować tego wyzwania, gdyż oznaczać to będzie ponowne uwikłanie Ameryki w konglomerat sprzecznych dążeń i celów świata islamu.

Najtrudniejsza wydawała się sytuacja w Iraku – kraj ten pod naporem armii kalifatu praktycznie w połowie 2014 r. zaczął się rozpadać. Tej dezintegracji Iraku nie był w stanie przeciwstawić się premier Nuri al-Maliki, kiedyś wypromowany przez Amerykanów, ale po ośmiu latach urzędowania mocno skompromitowany, gdyż często uciekał się do metod terroru, znanego z okresu Saddama Husajna, zwłaszcza wobec sunnitów. Jego siły bezpieczeństwa, liczące ok. 700 tys. żołnierzy, okazywały się niemal bezradne w starciu z fanatycznymi bojownikami Państwa Islamskiego. W zasadzie dość skuteczną walkę z dżihadystami w Iraku podjęli jedynie Kurdowie, ale i im groziło, że ich autonomiczny Kurdistan na północy Iraku padnie pod naporem islamskich ekstremistów.

W przypadku Syrii problem polegał na tym, że nawet ograniczona do ataków z powietrza walka Ameryki/Zachodu z kalifatem na terytorium tego państwa oznaczałaby w jakiejś mierze wsparcie dla prezydenta Asada. Choćby dlatego, że Państwo Islamskie stanowiło i dla

jego władzy zagrożenie. Tym samym całkiem realnie sytuowało despotycznego przywódcę Syrii po jednej stronie z oponentami samozwańczego kalifatu, w tym Stanami Zjednoczonymi. Dotąd USA, podobnie jak inne państwa europejskie, domagały się odejścia Asada i jakkolwiek bezpośrednio w konflikt syryjski się nie zaangażowały, to jednak w ograniczonej skali popierały powstańców. Teraz nie było już wiadomo, co jest lepsze – walczyć faktycznie we wspólnym froncie z Asadem przeciwko Państwu Islamskiemu i tym samym wspierać reżim w Damaszku, czy pozwolić na kolejne sukcesy dżihadystów, w tym obalenie prezydenta Syrii. Zresztą teoretycznie po tej samej stronie barykady co świat Zachodu znalazł się teraz szyicki Iran, natomiast dotychczasowi bliscy sojusznicy Stanów Zjednoczonych – władcy Arabii Saudyjskiej mogli czuć emocjonalny związek z sunnickim Państwem Islamskim. To jeden aspekt tej zagmatwanej sytuacji.

Drugi jej wymiar polegał na tym, że rząd w Damaszku zyskiwał „wolną rękę” w walce ze swoimi przeciwnikami. Teraz ten bój mógł prowadzić pod hasłem zwalczania terroryzmu. Rzeczywiście, trudno było określić, gdzie przebiega front walki z reżimem Asada, gdyż w tej wojnie główną rolę zaczęli grać bojownicy Państwa Islamskiego. Zresztą prezydent Syrii od początku utrzymywał, że walczy z terrorystami, a nie bojownikami domagającymi się – wzorem innych rebelii „arabskiej wiosny” – ustąpienia autorytarnego reżimu, wolnych wyborów i reform. Jakkolwiek przykro by to brzmiało, to siłą rzeczy wojna domowa w Syrii – w obliczu sukcesów kalifatu i ich krwawego terroru – przestała skupiać uwagę świata. I to bez względu na fakt, że jej ofiary szacowano już na ponad 160 tys. zabitych oraz ponad milion uchodźców.

Na czoło problemów wysunęła się więc kwestia zagrożenia ekspansją Państwa Islamskiego i związany z tym główny dylemat, przed jakim stanęła Ameryka, gdyby zdecydowała się na akcję zbrojną – jak obejść ten nieprawdopodobnie zagmatwany splot różnorodnych czynników i sprzecznych interesów, aby nie pogorszyć sytuacji, a osiągnąć zakładane cele związane z unicestwieniem kalifatu. W jaki sposób uwzględnić okoliczność, że wspólny strach przed dżihadystami ustawił po tej samej stronie barykady niedawnych wrogów i przeciwników? Czy uznać za sojuszników w walce z kalifatem zarówno reżim w Syrii, jak i rządzą-

cych w Iranie ajatollahów, nie irytując równocześnie swojej tradycyjnej sojuszniczki – sunnickiej Arabii Saudyjskiej? Co z umiarkowanymi przeciwnikami reżimu Asada, kontynuującymi swą walkę? Oto dylematy, do których rozwiązania potrzebne były szczególne predyspozycje i strategiczna wizja, co robić dalej.

Decyzja administracji Obamy z początku sierpnia 2014 r. o rozpoczęciu nalotów na pozycje dżihadystów miała w sobie zatem tyle samo determinacji co wstrzeźliwości. Jej podjęcie było na pewno swego rodzaju aktem odważnym. Natomiast jej połowiczność polegała na tym, że zdecydowano się objąć bombardowaniami tylko iracki obszar Państwa Islamskiego. Wprawdzie stanowiło to częściowe rozwiązanie problemu niechcianych sojuszników, zwłaszcza wchodzenia w układy z prezydentem Asadem, który musiałby akceptować naloty na swoje terytorium, ale równocześnie przekreślało możliwość pokonania kalifatu, którego bojownicy bez większych kłopotów mogli przemieścić się na obszar Syrii. Było to w pewnym stopniu potwierdzenie tezy, że administracja Obamy nie ma strategicznego planu, jak unicestwić kalifat, a tylko działa doraźnie, tradycyjnie argumentując względami humanitarnymi w nadziei, że zdołają one – jak to bywało w przeszłości – pozytywnie zawładnąć świadomością większości Amerykanów. Tym razem mówiono o obronie jazydów, spektakularnie mordowanych przez dżihadystów z powodu ich wyznania łączącego chrześcijaństwo, islam i zoroastryzm, a także o konieczności wsparcia Kurdów, którzy od lat byli wiernymi sojusznikami USA, a teraz z największym trudem bronili przez dżihadystami swego terytorium.

O ograniczoności celów działania Stanów Zjednoczonych mówił sam prezydent Obama, podkreślając, że nie chodzi mu o pokonanie kalifatu, a jedynie powstrzymanie jego ekspansji i ochronę grup ludności zagrożonych jego terrorem. W wywiadzie dla „The New York Times” dowodził: „Nie zamierzamy wyręczać Irakijczyków. Tutaj nie wystarczy siła militarna, potrzebne jest rozwiązanie polityczne”²⁴³. Mówiąc tak, miał na myśli konieczność dokonania politycznych zmian w Iraku, oznaczających odsunięcie od władzy powszechnie znienawidzone-

²⁴³ *Obama on the World. President Obama Talks to Thomas L. Freedman About Iraq, Putin and Israel*, „The New York Times” 8 VIII 2014, www.nytimes.com/2014/08/09/opinion/president-obama-thomas-l-friedman-iraq-and-world-affairs.html?_r=0.

go premiera Malikiego. Ale tym razem Stany Zjednoczone zamierzały pozostać w cieniu – działać jedynie przy użyciu w ograniczonej skali lotnictwa i ewentualnym stosowaniu zakulisowych nacisków. Była to taktyka z pewnością bezpieczniejsza, ale czy skuteczniejsza – można mieć wątpliwości.

Zwłaszcza w sytuacji, gdy naloty obejmujące tylko irackie terytorium Państwa Islamskiego nie tylko go nie osłabiły, ale wręcz zaktywizowały dżihadystów do jeszcze większego terroru. Spektakularne egzekucje dokonane najpierw na dwóch amerykańskich dziennikarzach – Jamesie Foleyu i Stevenie Sotloffie w sierpniu 2014 r., a miesiąc później na Brytyjczyku – Davidzie Hainesie dowodziły, że daleko do powstrzymania terrorystycznego kalifatu. Z drugiej strony trzeba było mieć świadomość faktu, że mimo tragicznej śmierci obywateli Zachodu, w barbarzyński sposób i na oczach świata ściętych przez dżihadystów, to jednak Państwo Islamskie stanowiło zagrożenie przede wszystkim dla Bliskiego Wschodu. I to przede wszystkim mieszkańcy/władcy tego regionu musieli sobie z nim poradzić. Wychodząc z tego założenia, prezydent Obama zdecydował się odwołać do sprawdzonej taktyki działania w międzynarodowej koalicji. Wciągnięcie do współpracy, obok krajów zachodnich, ważnych państw regionu bliskowschodniego miało gwarantować nie tylko większą skuteczność, ale przede wszystkim silniej legitymizować zbrojną interwencję przeciwko kalifatowi, aby nie była ona traktowana jako krucjata wymierzona w islam. Tym bardziej że zamiarem amerykańskim stało się jednak w pewnym momencie rozszerzenie ataków lotnictwa i objęcie nimi także terytorium Syrii, dokąd dżihadysty przetrzucili swój sprzęt i gdzie skutecznie chronili się przed atakami amerykańskiego lotnictwa.

Rozpoczynając w trzeciej dekadzie września 2014 r. zbrojną operację przeciw Państwu Islamskiemu także w Syrii, administracja Obamy działała tak, jak oczekiwaliby tego zwolennicy silnego amerykańskiego przywództwa – zdecydowanie i ostro, czyli podważając dominujące dotąd wyobrażenie o wahającym się i zbyt umiarkowanym prezydencie. Być może na decyzję Obamy wpłynął fakt, że opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych była do głębi poruszona egzekucją amerykańskich reporterów i oczekiwała ostrej reakcji. Zdecydowano zatem o eskalacji nalotów na syryjski obszar kalifatu, nie starając się nawet

o zgodę władz w Damaszku, a więc – z formalnego punktu widzenia – naruszając suwerenność Syrii. Ostrzegając przed takim działaniem Rosja, twierdząc, że bombardowanie Syrii bez zgody jej rządu byłoby „poważnym pogwałceniem prawa międzynarodowego”. Amerykanie ograniczyli się jednak tylko do poinformowania o swoich planach syryjskiego ambasadora przy ONZ, dowodząc tym samym tezy, że światowy lider ma prawo do działania w sytuacjach wyjątkowych w sposób szczególny. Ale też pośrednio sugerując, że w tym starciu z kalifatem prezydent Asad nie jest ich sojusznikiem, a nawet że po zwycięstwie nad dżihadystami doprowadzi się do zmiany reżimu w Damaszku²⁴⁴.

Operacja prowadzona była na początku z wielkim impetem i – jak twierdzono – z poparciem lub udziałem takich państw regionu bliskowschodniego, jak: Bahrajn, Jordania, Katar, Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie, a także z politycznym wsparciem ponad 30 państw z różnych części świata. Bombardowano m.in. przy pomocy najnowszych myśliwców F-22 (był to ich chrzest bojowy), bombowców, dronów oraz rakiet Tomahawk, odpalanych z amerykańskich okrętów. Natomiast wkład innych państw regionu w operację był realnie niewielki – udział brało kilka myśliwców F-15 i F-16 oraz Mirage 2000 z krajów bliskowschodnich.

Celem ataków były sztaby dowodzenia Państwa Islamskiego, ich ośrodki szkolenia, centrum finansowe, magazyny. Zbombardowano także rafinerie na pograniczu Syrii i Iraku, stanowiące dla dżihadystów źródło dochodów. Mimo to trudno było przesądzić, czy eskalacja bombardowań i jej impet spowodują jeśli nie unicestwienie kalifatu, to przynajmniej powstrzymanie jego ofensywy i działań. W każdym razie rozszerzenie nalotów na Syrię i charakter tej operacji dowodziły – jak to pisano – „przebudzenia się Obamy po latach bierności i zaniedbywania Bliskiego Wschodu”²⁴⁵. Można nawet było uznać, że prezydent

²⁴⁴ W tym celu Amerykanie – za zgodą saudyjskiego króla Abdullaha – mieli utworzyć na terytorium Arabii Saudyjskiej obóz treningowy dla umiarkowanych syryjskich rebeliantów, których można by wykorzystać najpierw do zniszczenia Państwa Islamskiego, a następnie obalenia reżimu Asada.

²⁴⁵ R. C o h e n, *Obama Leads on ISIS. He Is Right to Take the Risk*, „The New York Times” 25 IX 2014.

zaprezentował się jako przywódca zdeterminowany i odważny, tak jak przystało na lidera światowego.

Wrażenie to wzmocniło przemówienie Obamy wygłoszone na forum Narodów Zjednoczonych 24 września 2014 r., nazajutrz po rozpoczęciu bombardowań Syrii. Uznano je za dobitne *credo* Obamy, jak widzi on rolę Ameryki w świecie. Rozpoczynając od słów: „Spotykamy się dzisiaj na rozdrożu – między wojną a pokojem, chaosem a wspólnotą, między lękiem a nadzieją”, amerykański przywódca uświadomił ogrom wyzwania, przed jakim stanęła wspólnota międzynarodowa. Zadeklarował też, że w tym niespokojnym świecie Ameryka ma jasny wybór: „Wybieramy nadzieję, a nie strach. Wierzymy, że przyszłość nie leży poza naszą kontrolą, że dzięki współpracy możemy świat zmieniać na lepsze. (...) Dzisiaj stoję przed wami zdecydowany zainwestować amerykańską potęgę we współpracę z innymi narodami, żeby zmierzyć się z problemami XXI wieku”. Za jedno z najważniejszych wyzwań uznał terroryzm islamski i zapowiedział jego bezwzględne zwalczanie: „Stany Zjednoczone będą działać w ramach szerokiej koalicji, by zlikwidować tę sieć śmierci. (...) Użyjemy naszej potęgi militarnej w kampanii nalo-tów, które zniszczą Państwo Islamskie”²⁴⁶.

Jakkolwiek dominowało przekonanie, że było to jedno z najlepszych wystąpień Obamy dotyczące spraw międzynarodowych, to jednak stawiano pytanie, czy nie jest to pusta retoryka. Wszak pięknych przemówień czarnoskóry prezydent wygłosił wiele, retoryka była zawsze jego mocną stroną. Czy tym razem stwierdzenie, że „Stany Zjednoczone Ameryki nie pozwolą się zniechęcić do czynienia tego, co czynić należy”²⁴⁷, nie pozostanie pustą deklaracją, jakich było wiele w wypowiedziach prezydenta Obamy? Czy wystarczy determinacji, odwagi i strategicznej wizji, aby swoje zapowiedzi zrealizować? Nietrudno przecież było przewidzieć, że walka z ekstremizmem to walka na pokolenia. Nawet zniszczenie Państwa Islamskiego wymagać będzie czasu

²⁴⁶ Przemówienie prezydenta Baracka Obamy w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, Nowy Jork, 24 września 2014 r., w: „Gazeta Wyborcza” 27-28 IX 2014. Zob. też Th. Wright, *Why Obama's U.N. Speech is a Major Turning Point*, September 24, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2014/09/24-obama-un-speech-wright.

²⁴⁷ Przemówienie prezydenta Baracka Obamy w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ...

i poświęcenia, tym bardziej że administracja Obamy zakładała jedynie operację powietrzną, wykluczając interwencję amerykańską na lądzie.

Istniały też obawy zupełnie innego charakteru, a wynikające z fatalnych doświadczeń dwóch przegranych ostatnio wojen: w Afganistanie oraz Iraku. Nie brakowało więc komentarzy, że oto ten roztropny i chłodno myślący prezydent wszczął właśnie nową wojnę w świecie islamu bez oszacowania kosztów, przewidzenia skutków i przedstawienia rozwiązań.

Faktycznie, po ponad dwóch miesiącach nalotów w Iraku i dwóch tygodniach bombardowania kalifatu w Syrii trudno było mówić o jakichś spektakularnych sukcesach. Mobilność dżihadystów była tak duża, że udawało im się umknąć przed nalotami. Granice ich samozwańczego państwa pozostały niezmienione – utrzymali przejęte wcześniej miasta, w tym tak ważne, jak Mosul i Faludża w Iraku oraz Rakka w Syrii. Udało im się nawet przejść strategicznie położone kurdyjskie Kobane. Po roku tej kierowanej przez Stany Zjednoczone ograniczonej interwencji koalicji przeciwko Państwu Islamskiemu bilans był znacznie gorszy. Wprawdzie jeszcze w kwietniu 2015 r. wydawało się, że samozwańczy kalifat jest w odwrocie, przynajmniej w Iraku, gdzie utracił on kontrolę nad 20-30 proc. wcześniej zajętych terenów. Oznaczało to, że uderzenia z powietrza w połączeniu z działaniami sił irackich na lądzie przynoszą efekty. Natomiast w Syrii sytuacja wyglądała zgoła odmiennie. Mimo przeprowadzonych od sierpnia 2014 r. do kwietnia 2015 r. ponad 1,3 tys. nalotów na pozycje dżihadystów w Syrii (80 proc. tych ataków dokonały siły amerykańskie) Państwo Islamskie nie tylko utrzymało posiadane tereny, ale przejęło kolejne obszary, m.in. wokół Damaszku i drugiego dużego syryjskiego miasta – Himsu. W połowie 2015 r. reżim Asada kontrolował jedynie jedną piątą terytorium kraju.

W Syrii problem polegał na tym, że tutaj wszyscy walczyli ze wszystkimi i Stany Zjednoczone nie miały już żadnej sojuszniczej siły, z którą mogłyby współpracować – Syryjska Wolna Armia i związane z nią umiarkowane grupy właściwie się nie liczyły. Dlatego od początku 2015 r. realizowano projekt wyszkolenia ok. 20 tys. bojowników syryjskich, umiarkowanych i lojalnych wobec Amerykanów, którzy prowadząc walkę z siłami Asada, podjęliby też po ich stronie ataki na radykałów z Państwa Islamskiego. Jednak amerykański program szkolenia

bojowników zakończył się zupełnym fiaskiem – w ciągu sześciu miesięcy Amerykanie zdołali wyszkolić zaledwie 60 bojowników (w potyczce z dżihadystami na początku sierpnia 2015 r. pięciu z nich zginęło, 18 zostało rannych, a siedmiu porwano).

Spektakularne niepowodzenia Stanów Zjednoczonych w starciu z Państwem Islamskim otworzyły przed prezydentem Putinem szansę ponownego wkroczenia do rozgrywki międzynarodowej, z której nie tak dawno – jako retorsja za jego działania wobec Ukrainy – został wyeliminowany. W lecie 2015 r. Rosja rozpoczęła przetrzymywanie do Syrii nowoczesnego sprzętu wojskowego, w tym bombowców, samolotów szturmowych i myśliwców, oraz elitarnych jednostek bojowych. Uzbrojenie oraz żołnierzy rosyjskich umieszczano w szybko rozbudowywanej bazie lotniczej pod Latakiją, skąd zamierzano prowadzić operację antyterrorystyczną. Oficjalnie bowiem celem działań Moskwy miało być wsparcie syryjskich wojsk rządowych w walce z Państwem Islamskim, ale trudno było wykluczyć, że Rosjanie nie włączą się do trwającej przecież nadal wojny domowej po stronie reżimu Asada, którego konsekwentnie Putin popierał. Nieuniknioną ceną za zaangażowanie Rosji w konflikt syryjski byłoby więc wzmocnienie/przetrwanie władz w Damaszku.

Paradoksalnie Stany Zjednoczone i ich sojusznicy wydawali się akceptować posunięcia Rosji, jakby uznając, że bez jej pomocy nie uda się pokonać radykałów z samozwańczego kalifatu. Można było nawet odnieść wrażenie, że Amerykanie są z tego zadowoleni – Moskwa zdejmowała z ich barków część ciężaru walki z Państwem Islamskim i niemal dawała im szansę wyplątania się z konfliktu syryjskiego. Pojawiały się nawet głosy dowodzące, że udział Rosji stwarza nowe perspektywy dla rozwiązań dyplomatycznych w Syrii. To niewątpliwie spowodowało, że prezydent Obama zdecydował się spotkać z Putinem w Nowym Jorku przy okazji obrad Zgromadzenia Ogólnego NZ we wrześniu 2015 r. Dla przywódcy Rosji było to spotkanie bardzo ważne, oznaczające być może kres ostracyzmu, którego doświadczał na arenie międzynarodowej od ponad roku.

Dla Waszyngtonu natomiast to przyzwolenie, aby Rosja włączyła się w konflikt syryjski, oraz uznanie jej za partnera w rozwiązaniu problemu Syrii mogły mieć na dłuższą metę zupełnie odwrotną wagę. „Bez-

czynne patrzenie, jak Rosjanie przejmują inicjatywę, to dowód całkowitej abdykacji Ameryki z przywództwa i odpowiedzialności w regionie” – twierdził Christopher Harmer, analityk z waszyngtońskiego *Institute for the Study of War*²⁴⁸. Rzeczywiście, można było odnieść wrażenie, że Stany Zjednoczone godzą się na możliwość zredukowania swych wpływów na Bliskim Wschodzie w zamian za przejęcie przez Moskwę ciężaru walki z terroryzmem w tej części świata.

Kolejnym etapem rozgrywającego się na Bliskim Wschodzie dramatu była bezprecedensowa fala uciekinierów syryjskich, którzy opuszczali obozy uchodźców w Libanie, Jordanii, Turcji – zgromadziło się tam ich łącznie już ponad 4 mln, i próbowali dotrzeć do Europy. Podobną dramatyczną migrację podjęli Afgańczycy, mieszkańcy Libii i innych biednych lub upadłych krajów afrykańskich. W efekcie do państw Unii Europejskiej – tylko od stycznia do sierpnia 2015 r. – przedostało się ponad 400 tys. uchodźców/imigrantów, stawiając Europę przed bardzo trudnym wyzwaniem. Co gorsza, pesymistyczne prognozy wskazywały, że kolejne ponad 800 tys. uciekinierów będzie próbowało w najbliższym czasie przedostać się do krajów unijnych. Nie ulegało wątpliwości, że w jakiejś mierze ta „wędrownica ludów” była konsekwencją nieudanych bądź niedokończonych zbrojnych interwencji Stanów Zjednoczonych w tych regionach świata.

Jaka wobec tego będzie dalsza taktyka Amerykanów wobec dramatycznych wyzwań? Czy administracja amerykańska zdobędzie się na intensyfikację działań w Syrii i Iraku, czy może poprzestanie na interwencji z powietrza lub wręcz zdecyduje się na zakończenie operacji przeciwko terrorystom z kalifatu jako i tak nieskutecznej? Jaką cenę będzie musiała Ameryka zapłacić za zaangażowanie Rosji w walkę z Państwem Islamskim? A może Stany Zjednoczone zechcą pomóc Unii Europejskiej w uporaniu się z kryzysem emigracyjnym? Innymi słowy, jakim liderem okaże się ostatecznie prezydent Obama?

²⁴⁸ Cyt. w: N.A. Y o u s s e f, S. H a r r i s, *Russia to Start Bombing in Syria ASAP*, 21 IX 2015, www.thedailybeast.com/articles/2015/09/21/russia-to-start-bombing-in-syria-asap.html.

Pytanie o konsekwencję i determinację amerykańskiej administracji stawiano nie tylko w odniesieniu do walki z terroryzmem i jego najbardziej radykalną w ostatnich czasach emanacją – Państwem Islamskim. Podobne wątpliwości rodziła kwestia stosunków z Rosją po jej agresji na Ukrainę. Temat ten – z oczywistych względów – znalazł się zresztą również w przemówieniu prezydenta Obamy na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ we wrześniu 2014 r. Wszak gdy trwało posiedzenie w Nowym Jorku, na wschodzie Ukrainy po raz kolejny eskalował konflikt wywołany polityką Kremla: „To, co Rosja robi dziś na Ukrainie, podważa powojenny ład. (...) Rosjanie prezentują wizję świata, wedle której siła jest prawem, granice jednego państwa może wytyczać od nowa inne państwo” – mówił Obama. I zapowiadał: „Ukarzemy Rosję za agresję, kłamstwom przeciwstawimy prawdę. Wzywamy inne kraje, aby przyłączyły się do nas i stanęły po właściwej stronie historii”²⁴⁹.

Pomimo tych ostrych słów, wątpliwości co do amerykańskiej determinacji pozostały. Zastanawiano się, czy administracja Obamy będzie w stanie przeciwstawić się awanturniczej polityce prezydenta Putina, podważającej porządek europejski. Czy Stany Zjednoczone, w reakcji na eskalację imperialnych ambicji Moskwy, utrzymają wobec niej ostry kurs? Czy w obliczu nowych zagrożeń USA powrócą do zimnowojennej roli gwaranta bezpieczeństwa europejskiego? Wreszcie, czy zostanie odbudowana w odniesieniu do Rosji pełna harmonia działań Stanów Zjednoczonych i ich europejskich sojuszników?

²⁴⁹ Przemówienie prezydenta Baracka Obamy w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ...

W każdym razie nie ulegało kwestii, że właśnie Rosja stała się kolejnym, trudnym wyzwaniem dla administracji Obamy. Tym bardziej zaskakującym, że przecież „resetowaniu” stosunków z Rosją prezydent poświęcił wiele zachodu w czasie swej pierwszej kadencji w Białym Domu. Wydawało się nawet, że administracja Obamy odniosła na tym polu sukcesy, choćby dzięki podpisaniu nowego traktatu *START*, poważnie ograniczającego liczbę amerykańskich i rosyjskich głowic nuklearnych, czy możliwości wykorzystania poradzieckiej przestrzeni dla amerykańskich transportów kierowanych do Afganistanu. Także pośrednie przyzwolenie Rosji na zbrojną interwencję sił NATO w Libii podczas „arabskiej wiosny” w 2011 r. – Rosja, podobnie jak Chiny, nie zastosowała weta w Radzie Bezpieczeństwa – zdawało się sugerować, że *reset* się opłacił. Z kolei Rosja, dzięki wsparciu Amerykanów, weszła do Światowej Organizacji Handlu. „Wierzyliśmy, że wciągając ją w orbitę światowego handlu, skłonimy do przestrzegania powszechnie przyjętych reguł” – twierdził Michael McFaul, były doradca Obamy i były ambasador USA w Moskwie²⁵⁰.

Tymczasem już początek drugiej kadencji Obamy obfitował w wydarzenia, które zachwiały relacjami amerykańsko-rosyjskimi. Zaczęło się – jak wiadomo – od irytacji Amerykanów wywołanej faktem, że E. Snowden, oskarżony przez władze amerykańskie o zdradę, właśnie w Rosji – po ponad miesiącu nielegalnego tam przebywania – uzyskał azyl polityczny. Administracja Obamy uznała to za niemal wrogi wobec Ameryki posunięcie i zdecydowała się na bezprecedensowy w ostatnich latach gest – w sierpniu 2013 r. odwołano spotkanie na szczycie prezydenta Obamy z rosyjskim przywódcą Putinem, planowane na wrzesień w Moskwie. A przecież z amerykańskiej perspektywy był to szczyt niezwykle ważny, bo przedmiotem rozmów miała być ewentualna dalsza redukcja zbrojeń nuklearnych, stanowiąca przedmiot specjalnej troski prezydenta Obamy. Reakcja komentatorów i analityków była dość jednoznaczna – oceniono, że stanowi to potwierdzenie głębokiego załamania w stosunkach amerykańsko-rosyjskich²⁵¹.

²⁵⁰ Wywiad z M. McFaul'em pt. *Święta wojna majora Putina*, „Gazeta Wyborcza” 28-29 III 2015.

²⁵¹ S. P i f e r, *U.S.-Russian Arms Control in the Absence of a Summit*, September 4, 2013, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/04-us-russian-arms-control-in-a.

Doszukując się głębszych tego przyczyn, bo przecież sprawy udzielenia azylu byłemu pracownikowi amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego nie można było traktować jako powodu wyłącznego i jedyne, zwracano uwagę także na inne czynniki. W analizach uwzględniano fakt, że z różnych względów, psychologicznych nie wykluczając, źle układały się osobiste relacje amerykańskiego przywódcy z Putinem, który w maju 2012 r. ponownie został wybrany prezydentem Rosji. Zabrakło owej więzi emocjonalnej, która istniała między Obamą a poprzednim rosyjskim prezydentem Miedwiediewem i która legła u podstaw niewątpliwych sukcesów polityki „resetowania” wzajemnych stosunków.

Podczas gdy Miedwiediew przynajmniej starał się zachować pozory polityka nowoczesnego i elastycznego, zainteresowanego współpracą z Zachodem, to Putin okazał się znacznie trudniejszym partnerem²⁵². Choćby dlatego, że utrzymanie na arenie wewnętrznej wizerunku silnego i nieustępliwego gracza w relacjach międzynarodowych było priorytetowym celem jego działań. To miało stanowić fundament rangi i znaczenia Putina w kraju, na tym chciał budować swoją silną pozycję w świadomości Rosjan, instynktownie wyczuwając, że nadal noszą oni w sobie mentalność imperialną, a potęgą Związku Radzieckiego pozostaje żywa w ich wspomnieniach. W budowaniu obrazu mocnego lidera prezydent Putin dostrzegał gwarancję utrzymania swej autorytarnej władzy, zwłaszcza w sytuacji, gdy na przykład w Afryce Północnej upadły rządy dyktatorów, a na Bliskim Wschodzie chwiały się reżim Asada. Jego zaś wybór w 2012 r. spotkał się z masowymi – jak na warunki rosyjskie – protestami Rosjan, którzy zarzucali władzom sfałszowanie wyników wyborów. Trzeba było zatem pokazać siłę władzy i jej skuteczność na arenie międzynarodowej. Temu też służył zabieg kreowania nowego wroga, zmuszał on bowiem rodaków do konsolidacji wokół przywódcy. Takim wrogiem stała się ponownie Ameryka²⁵³.

Równocześnie prezydent Rosji dostrzegał niewątpliwą deprecjację roli i rangi Stanów Zjednoczonych w świecie. A przede wszystkim

²⁵² Zob. wywiad z M. McFaul'em pt. *Święta wojna majora Putina...*

²⁵³ Zob. M. M c F a u l, *Moscow's Choice*, „Foreign Affairs” November/December 2014, s. 168-170; także F. H i l l, C. G. G a d d y, *Mr. Putin. Operative in the Kremlin*, Brookings Institution, Washington D.C. 2015, s. 260-263, s. 309-311.

kim miał świadomość różnych niedostatków prezydenta Obamy jako światowego lidera, gdyż wielokrotnie wykazał się on brakiem determinacji i odwagi nie tylko w działaniu, ale nawet w podejmowaniu decyzji. Efektem były porażki dyplomacji amerykańskiej, choćby w rozwiązywaniu konfliktu izraelsko-palestyńskiego czy przewyciężaniu chaosu w różnych państwach, będących obiektem szczególnego zainteresowania Waszyngtonu, jak w Iraku czy Afganistanie. Mógł obserwować, jak Ameryka czasów Obamy dokonuje zwrotu ku Pacyfikowi, gdyż region dalekowschodni stał się jej nowym wyzwaniem – i to zarówno w sensie gospodarczym, jak i politycznym. Następował natomiast odwrót od Europy, gdyż ta – oprócz tego, że wydawała się już bezpieczna i stabilna – nie spełniła amerykańskich oczekiwań, że będzie „partnerem w przywództwie” i przejmie od Ameryki część obowiązków w zakresie bezpieczeństwa i ładu międzynarodowego. Putin widział, że na różnych polach podważane jest zaufanie do skuteczności i wiarygodności Stanów Zjednoczonych i że tracą one sympatię nawet w krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Wreszcie, prezydent Rosji dostrzegł kłopoty NATO spowodowane nie tylko trudną misją w Afganistanie, ale też procesem dezintegracji tego najważniejszego sojuszu polityczno-wojskowego. Sojusz miał już tzw. ewentualnościowe plany obronne, przyjęte w 2010 r., podczas szczytu NATO w Lizbonie, obejmujące jego członków z Europy Środkowo-Wschodniej, ale tak naprawdę trudno było przesądzić o ich wadze i skuteczności²⁵⁴. Co więcej, w przeciwieństwie do Rosji, gdzie rosły nakłady na obronę (blisko 5 proc. PKB – ok. 100 mld USD rocznie), w wielu państwach członkowskich NATO, a nawet w Stanach Zjedno-

²⁵⁴ Planu ewentualnościowe to jeden z najbardziej chronionych sekretów NATO. Jedynie, co wiemy, pochodzi z materiałów opublikowanych przez WikiLeaks. Według tych informacji polską armię wspomagałoby pięć dodatkowych dywizji, lądujących na polskich lub niemieckich lotniskach. Ciężki sprzęt dotarłby drogą morską przez Świnoujście. Transport jednak trwałby trochę czasu i w pierwszej fazie konfliktu wspierałyby nas tylko sojusznicze samoloty i ewentualnie wojska specjalne, I. T r a y n o r, *WikiLeaks cables reveal secret NATO plans to defend Baltic from Russia*, „The Guardian” 6 XII 2010.

zonych, budżety obronne redukowano (w zdecydowanej większości państw europejskich nakłady te były znacznie poniżej 2 proc. PKB)²⁵⁵.

Wprawdzie biorąc pod uwagę wielkość dochodu narodowego w USA i Rosji, to Stany Zjednoczone wydawały na obronność nadal osiem/siedem razy więcej niż Rosja, a nieco tylko lepiej wyglądała relacja wydatków rosyjskich w stosunku do głównych państw europejskich. Jednak rosnące wydatki Moskwy na zbrojenia były faktem o psychologicznym znaczeniu, podczas gdy USA – jak wiadomo – w ciągu dziesięciu lat musiały zaoszczędzić na zbrojeniach aż pół biliona dolarów. Oznaczało to m.in. redukcję wojsk lądowych z 520 tys. do 420 tys. żołnierzy w 2017 r., co skutkowałoby dla armii amerykańskiej spadkiem liczby żołnierzy do poziomu z 1940 r., czyli sprzed ataku Japończyków na Pearl Harbor. Warto jednak podkreślić, że łącznie w siłach zbrojnych USA służyło w 2015 r. ok. 1,35 mln żołnierzy. Taki sam efekt psychologiczny miała redukcja amerykańskiej obecności wojskowej w Europie, sugerująca obniżenie bezpieczeństwa Starego Kontynentu. Przecież z ponad 200 tys. amerykańskich żołnierzy w Europie pod koniec 1989 r. stacjonowało ich na początku 2014 r. już tylko ok. 65 tys. Zapowiadano też zamknięcie lub – jak to eufemistycznie określano – przegrupowanie w ciągu najbliższych 5 lat aż piętnastu baz amerykańskich w Europie, w tym o tak zasadniczym znaczeniu, jak w Mildenhall pod Londynem, gdzie stacjonowały siły specjalne lotnictwa i latające cysterny z paliwem, a także na Azorach, w Niemczech, Belgii i Holandii (dla pełnej oceny sytuacji warto dodać, że w 2015 r. Stany Zjednoczone miały nadal około 600 baz wojskowych za granicą)²⁵⁶.

Wszystko to, dowodząc redukcji amerykańskiego potencjału, służyło zamiarom prezydenta Putina. A jego celem było pokazać, że Rosja stała się ponownie równie ważnym jak Stany Zjednoczone graczem na

²⁵⁵ Przypomnijmy, tylko trzy europejskie kraje – Wielka Brytania, Estonia i Grecja – wydawały na obronność co najmniej 2 proc. dochodu narodowego. Polska (1,8 proc.) oraz Litwa i Łotwa (obie poniżej 1 proc.) planowały osiągnąć 2 proc. w najbliższym czasie. Ale np. Hiszpania przeznaczała na obronę tylko 0,9 proc. PKB, Włochy – 1,2 proc., Holandia i Niemcy – po 1,3 proc. Amerykanie wydawali jednak nadal blisko 5 proc. PKB.

²⁵⁶ M.E. O'Hanlon, *Don't close U.S. base overseas*, July 28, 2015, www.brookings.edu/blogs/order-from-chaos/posts/2015/07/28-closing-us-bases-overseas-ohanlon.

arenie międzynarodowej, z którym należy się liczyć i który egoistycznie waży swoje interesy bez względu na to, czy wpłynie to na poczucie bezpieczeństwa innych i jaka będzie reakcja otoczenia. Z tych między innymi przyczyn brał się brak postępu w rozmowach z Amerykanami o dalszym zmniejszeniu arsenałów nuklearnych, a nawet negatywna reakcja Putina na propozycję amerykańskiego prezydenta z czerwca 2013 r. odnoszącą się do redukcji o 1/3 liczby głowic nuklearnych²⁵⁷.

To było też powodem nieustępliwości Rosji w kwestii Syrii – konsekwentnego popierania prezydenta Asada i blokowania wszelkich prób potępienia jego reżimu w Radzie Bezpieczeństwa NZ. Zresztą dynamika wydarzeń toczących się wokół Syrii – z jednej strony oraz dość wstrzemięźliwa i kunktatorska postawa Stanów Zjednoczonych – z drugiej, okazały się korzystne dla planów Putina. To Rosja najczęściej zyskała, angażując się w rozmowy o likwidacji syryjskiego arsenału broni chemicznej we wrześniu 2013 r. W ten sposób Putin zdemontował, że Rosja pozostaje mocarstwem, bez którego nie uda się rozwiązać głównych problemów międzynarodowych. Równocześnie mógł się utwierdzić w przekonaniu, że prezydent Obama nie potrafi działać konsekwentnie i stanowczo. Łatwo ulega nastrojom amerykańskiej opinii publicznej, niechętniej militarnemu zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych i pod jej wpływem szybko wycofuje się ze złożonych deklaracji politycznych oraz zobowiązań militarnych. Nawet w Orędziu o stanie państwa, które prezydent Obama wygłosił 28 stycznia 2014 r., znalazły się zapowiedzi ograniczenia wojskowego zaangażowania Stanów Zjednoczonych za granicą, zwłaszcza w konflikty długotrwałe, i skoncentrowania się na procesie *nation-building* w kraju²⁵⁸. Sytuację polityczną prezydenta Obamy osłabiał fakt, że nie był w stanie kontrolować Kongresu, gdzie musiał toczyć spory z silną reprezentacją Partii Republikańskiej. W Rosji natomiast parlament był w pełni posłuszny gospodarzowi Kremla. Prezydent Putin miał więc naprzeciwko siebie przywódcę bardziej z nazwy niż charakteru – tak przynajmniej można było sądzić.

²⁵⁷ S. P i f e r, *U.S.-Russian Arms Control in the Absence of a Summit...*

²⁵⁸ V. F e l b a b - B r o w n, *Obama's State of the Union Speech and the Seductiveness of Limited Intervention*, January 29, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/post/2014/01/29-obama-sotu-speech-seduc.

Wobec tego przywódca Rosji mógł rozszerzać swą listę priorytetów i realizować ambicje imperialne. Wykorzystał to, co się stało w lutym 2014 r. na Ukrainie, gdzie wzburzone społeczeństwo doprowadziło do ucieczki z kraju prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowycza, a władzę w Kijowie przejęła opozycja zdecydowanie domagająca się – zamiast dalszego zacieśniania więzi z Moskwą i przystąpienia do tworzonej pod jej egidą Unii Euroazjatyckiej²⁵⁹ – podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Z perspektywy Rosji oznaczało to, że może utracić Ukrainę ze strefy swoich wpływów i zamiast realizować ambicje imperialne, będzie musiała je redukować. Była to sytuacja dla prezydenta Putina niewyobrażalna, gdyż zagrażająca realizacji jego celów strategicznych²⁶⁰. Zdecydował się więc na działania, które można było wiązać raczej z czasami zimnej wojny lub nawet imperializmem XIX stulecia, a nie Europą XXI w.

Zbrojne opanowanie na przełomie lutego i marca 2014 r. Krymu, będącego częścią terytorium Ukrainy, a następnie jego aneksja, oprócz tego, że stanowiło poważne naruszenie prawa międzynarodowego oraz zasad obowiązujących w świecie państw demokratycznych, było przede wszystkim wyrazem poczucia bezkarności i pewności siebie rosyjskiego przywódcy. Nauczony doświadczeniem bierności Europy Zachodniej i jej kłopotów z wypracowaniem wspólnego stanowiska wobec różnych problemów międzynarodowych oraz wiedząc o kunktatorstwie administracji Obamy, która ma kłopoty z podejmowaniem decyzji, intensyfikował proces odbudowy imperium, nie zważając na to, że gwałci suwerenność oraz integralność terytorialną Ukrainy, które

²⁵⁹ Będąca pomysłem Putina i tworzona pod dominacją rosyjską Euroazjatycka Unia Gospodarcza w założeniu miała być projektem alternatywnym wobec Unii Europejskiej. Pierwszym aktem na drodze jej powstania była unia celna, a następnie, 29 maja 2014 r. Rosja wraz z Białorusią i Kazachstanem utworzyła EUG, gwarantującą – obok unii celnej – także swobodny przepływ kapitału, siły roboczej, towarów i usług. W październiku 2014 r. do Unii Euroazjatyckiej przystąpiła Armenia, a w grudniu – Kirgistan. Jej funkcjonowanie rozpoczęło się 1 stycznia 2015 r.

²⁶⁰ Aby odwieść Ukrainę od planów podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, przywódca Rosji zaferował W. Janukowyczowi na wsparcie będącej w kryzysie gospodarki ukraińskiej kredyt w wysokości 15 mld USD oraz obniżenie o 30 proc. ceny za gaz rosyjski, sprzedawany Ukrainie.

wcześniej Rosja zobowiązała się – wraz z USA i Wielką Brytanią – gwarantować²⁶¹.

Po przejściu Krymu nastąpiły dalsze działania Moskwy, które miały doprowadzić do oderwania od Ukrainy jej wschodnich obszarów. Stanowiło to kolejny akt niemal jawnej agresji Federacji Rosyjskiej na suwerenne państwo sąsiedzkie, bo przecież chodziło nie tylko o to, że Rosja wyposażała i wspierała prorosyjskich separatystów w Donbasie i Ługańsku, ale skierowała tam swoich żołnierzy, ciężki sprzęt i uzbrojenie, a także dowódców wojskowych. Zaś po swojej stronie granicy z tymi obwodami gromadzono dobrze wyposażone siły rosyjskie. Z czasem nasiliło się nielegalne przekraczanie granicy i prowadzenie przez Rosjan operacji wojskowych na terytorium wschodniej Ukrainy. Wszystko to miało na celu przynajmniej trwałe zdestabilizowanie sytuacji w suwerennym państwie, jeśli nie jego rozbicie. Tej zmasowanej akcji Moskwy strona ukraińska mogła niewiele przeciwstawić – słabą armię, wyposażoną najczęściej w stary sprzęt, pochodzący jeszcze z czasów, gdy Ukraina stanowiła republikę radziecką, kiepskie morale własnych żołnierzy oraz podzielone społeczeństwo. Dla Kijowa sytuacja stawała się więc coraz bardziej dramatyczna, żeby nie powiedzieć beznadziejna.

Pytaniem zasadniczym pozostawało zatem to, jak świat zachodni zareaguje nie tylko na działania wojenne, które z coraz większą siłą toczyły się na wschodnich krańcach Europy, ale na *de facto* pogwałcenie ładu europejskiego. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Putin spowodował najpoważniejszy od zakończenia zimnej wojny kryzys bezpieczeństwa europejskiego. Grozę sytuacji potęgował fakt, że nie było wiadomo, jak daleko sięgają aspiracje rosyjskiego przywódcy. Czy stosując taktykę „miękkiej destabilizacji”, czyli wojny psychologicznej i działań propagandowych, nie chce on objąć swoimi imperialnymi ambicjami innych byłych republik radzieckich: Litwy, Łotwy i Estonii? Przecież także wobec tych państw można było zastosować ogłoszoną już swego

²⁶¹ 5 grudnia 1994 r. podpisano w Budapeszcie specjalne porozumienie (Memorandum Budapeszteńskie), na mocy którego Ukraina – w zamian za rezygnację z broni jądrowej, która została na jej terytorium w spadku po ZSRR – zyskała gwarancję swej integralności terytorialnej i suwerenności. Gwarancji tych udzieliły jej mocarstwa nuklearne – Rosja, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania; R. G r o d k i, *Ukraina – pomiędzy Rosją a Zachodem*, „Przegląd Zachodni” nr 2/1998, s. 183-188.

rodzaju nową doktrynę Putina, zakładającą ochronę w sąsiednich krajach interesów etnicznych Rosjan z użyciem wojska, jeśli tylko Rosja uznałaby, że te interesy są albo mogą być zagrożone²⁶². Poczucie bezpieczeństwa uległo zachwianiu także w innych państwach dawnego bloku sowieckiego, choćby w Polsce, gdzie wprawdzie nie było mniejszości rosyjskiej, ale samo położenie w bezpośrednim sąsiedztwie ogarniętego wojną regionu oraz przykre doświadczenia z historii potęgowały atmosferę zagrożenia.

Niewątpliwie konflikt na Ukrainie stał się wielkim wyzwaniem dla Zachodu. Skala tego wyzwania kazała wierzyć, że nie będzie to reakcja podobna do tej z sierpnia 2008 r., gdy to społeczność międzynarodowa, w tym Stany Zjednoczone, raczej z tolerancją odniosły się do agresywnych działań Rosji w Gruzji, a zwłaszcza na jej zachodnim terytorium – w Abchazji. Wprawdzie udało się wówczas – dzięki zaangażowaniu prezydenta N. Sarkozy'ego, występującego w imieniu Unii Europejskiej (sic!) – powstrzymać ofensywę rosyjską i tak naprawdę ocalić Gruzję, to jednak zabrakło wobec Rosji czegoś na kształt sankcji. Teraz zresztą – w nawiązaniu do sytuacji sprzed sześciu laty – pojawiły się komentarze, że właśnie ówczesna stosunkowo słaba reakcja Zachodu, w tym wyjątkowa bierność prezydenta Busha, stanowiły rodzaj impulsu dla obecnych agresywnych poczynań Putina. Mógł on bowiem zakładać, że podobnie jak to było w przypadku Gruzji, także tym razem świat zachodni nie będzie skory do gwałtownych i nieprzyjemnych dla Rosji reakcji.

Jednak waga Ukrainy w konstrukcji porządku europejskiego zdawała się czymś znacznie większym niż Gruzji, niewielkiego kraju, pozostającego trochę na peryferiach Europy. Zresztą inaczej niż w przypadku wojny rosyjsko-gruzińskiej, gdzie jakoś można było dopatrzeć się też racji Rosji, aneksja Krymu i inspirowane przez Moskwę zbrojne działania we wschodniej Ukrainie były aktami agresji na suwerenne państwo, sprzecznymi z międzynarodowymi standardami. Należało zatem sądzić, że tym razem społeczność międzynarodowa zareaguje

²⁶² M. M e n k i s z a k, *Doktryna Putina: tworzenie koncepcyjnych podstaw rosyjskiej dominacji na obszarze postradzieckim*, Komentarze OSW nr 131, 28 III 2014, www.osw.waw.pl/sites/default/files/komentarze_131.pdf.

zdecydowanie i ostro. Instynktownie też czuło się, że w momencie tak kluczowym i dramatycznym, jak wydarzenia na Ukrainie, grożące eskalacją zagrożenia i podważające bezpieczeństwo europejskie, jedynym mocarstwem, które jest w stanie zmierzyć się z ambicjami Rosji i próbować skutecznie ją powstrzymać, pozostaje Ameryka. Spoglądano w stronę Waszyngtonu, oczekując jego reakcji. Tak więc kryzys ukraiński miał być ważnym testem wiarygodności amerykańskiego przywództwa w świecie²⁶³.

Tym większym, że sama akcja Putina była ogromnym zaskoczeniem dla Białego Domu. Nawet część amerykańskich ekspertów nie spodziewała się takich zdecydowanych i agresywnych posunięć Moskwy. Jeszcze w ostatnich dniach lutego 2014 r., tuż przed rozpoczęciem rosyjskiej operacji wojskowej na Krymie, czołowa amerykańska ekspertka Fiona Hill z *Brookings Institution*, specjalizująca się w sprawach Rosji i Eurazji, dowodziła, że akcja opanowania i zdobycia Krymu byłaby nieopłacalna dla Moskwy. Jej zdaniem, nawet ludność rosyjskojęzyczna, dominująca w wieloetnicznej społeczności Krymu, niekoniecznie identyfikuje się z Rosją. Zarzucała też części polityków amerykańskich mentalność zimnowojenną. Przekonywała, że „nie można potępiać ani krytykować Rosji za coś, czego nie zrobiła. Na razie mówimy o hipotetycznej sytuacji, więc lepiej zachować wstrzemięźliwość”²⁶⁴.

Nawet Z. Brzeziński w artykule opublikowanym na łamach „Financial Times” 24 lutego 2014 r., choć nie wykluczał, że Moskwa może dokonać aneksji Krymu, a nawet pogrążyć Ukrainę w wojnie domowej, to jednak wydawał się wątpić w tego typu działania Rosji. Podkreślał, że „taka agresja zagwarantuje Rosji trwałą nienawiść większości Ukraińców – niezależnie od krótkofalowych skutków wojny wznieconej z poparciem Moskwy”. Nie wykluczał też konstruktywnej współpracy Rosji

²⁶³ Zob. wypowiedź Iana J. Brzezinskiego, syna Zbigniewa Brzezińskiego, w przeciwieństwie do ojca związanego z Partią Republikańską, analityka renomowanego *think tanku Atlantic Council* przed senacką komisją spraw zagranicznych 10 kwietnia 2014 r.: Testimony of Ian J. Brzezinski, U.S. Senate Committee on Foreign Relations. Subcommittee on European Affairs, 10 IV 2014, www.foreign.senate.gov/imo/media/doc/Brzezinski_Testimony.pdf.

²⁶⁴ Wywiad z F. Hill pt. *Ukraina to nie Gruzja, powtórki nie będzie*, „Gazeta Wyborcza” 28 II 2014.

z USA i Unią Europejską w procesie stabilizowania sytuacji na Ukrainie. Zwłaszcza rola UE, dysponującej szczególną siłą nacisku na Rosję, była – w jego przekonaniu – ważna²⁶⁵.

W podobnym duchu utrzymana była analiza Stevena Pifera, przygotowana także na krótko przed rosyjską operacją na Krymie, w której ten były ambasador Stanów Zjednoczonych na Ukrainie, a teraz ekspert w *Brookings Institution*, opowiadał się zdecydowanie za tym, aby w kwestii Ukrainy „pierwsze skrzypce” grała Unia Europejska. Waszyngton natomiast winien trzymać się z boku, aby nie stwarzać sobie kolejnych punktów zapalnych w relacjach z Moskwą²⁶⁶. Trudno odmówić logiki takiemu myśleniu. Z drugiej strony, sugestia o rezygnacji Stanów Zjednoczonych z roli głównego gracza w mocno już zarysowanym na horyzoncie kryzysie niosła w sobie znane z przeszłości zagrożenia – i to nie tylko dla samego przewyciężenia wyzwania ukraińskiego, ale i dla międzynarodowej rangi Ameryki.

Jeśli wykluczyć ewentualną wojskową pomoc amerykańską dla Ukrainy, która od początku – biorąc pod uwagę generalną niechęć administracji Obamy do udzielania wsparcia militarnego, nawet w formie dostaw sprzętu wojskowego, oraz przeciwną kolejnym interwencjom zbrojnym USA postawę społeczeństwa amerykańskiego²⁶⁷ – wydawała się mało realna, to nie ma wątpliwości, że w rozgrywającym się dramacie ukraińskim, Stany Zjednoczone dysponowały stosunkowo słabymi kartami. A przynajmniej słabe były te, które Waszyngton mógł i chciałby wykorzystać. Biorąc pod uwagę fakt, że powiązania gospodarcze między Stanami Zjednoczonymi a Rosją nie miały strategicznego dla Moskwy znaczenia, to na przykład zastosowanie sankcji ekonomicz-

²⁶⁵ Z. Brzezinski, *Russia needs „Finland option” for Ukraine*, „Financial Times” 24 II 2014.

²⁶⁶ S. Pifer, *Geopolitical Fight between Russia and the West for Ukraine*, www.brookings.edu/research/opinions/2014/02/20-geopolitical-fight-between-r.

²⁶⁷ Tylko 18 proc. Amerykanów uważało, że USA powinny bronić Ukrainy przed Rosją, 46 proc. – że nie powinny, a 36 proc. nie miało zdania w tej sprawie – takie były wyniki sondażu przeprowadzonego 2 marca 2014 r. na zlecenie portalu Huffington Post, www.huffingtonpost.com/2014/03/03/ukraine-poll_n_4891224.html. Sytuację tę jednoznacznie skomentowała F. Hill: „Jesteśmy bezradni, nikt nie będzie umierał za Krym”, cyt. w: M. Zawaadzki, *Słabe karty Ameryki*, „Gazeta Wyborcza” 3 III 2015.

nych i handlowych nie musiało być dostateczną formą presji, zmuszającą Kreml do odejścia od awanturniczej, imperialnej polityki. Ale zrobić coś należało.

Trzeba też przyznać, że riposta Stanów Zjednoczonych na działania Moskwy była stosunkowo ostra. Najpierw w słowach. Prezydent Obama, w pierwszej reakcji na zbrojną operację krymską, zapowiadał, że Rosja „zapłaci cenę za agresję przeciwko Ukrainie”, zaś sekretarz stanu Kerry słał komunikat, że „Rosja dokonuje aktu agresji i łamie prawo międzynarodowe”, a potem groził, że „będziemy ją izolować politycznie i ekonomicznie, jeśli nie zaprzestanie inwazji na Ukrainę”²⁶⁸. Jeszcze mocniej brzmiały słowa wypowiedane przez polityków z opozycyjnej Partii Republikańskiej. John Boehner, przewodniczący Izby Reprezentantów, nazywał Putina „bandziorem”, a inni republikańscy przedstawiciele w Kongresie zarzucali gospodarzowi Białego Domu zbyt łagodne dotąd traktowanie rosyjskiego przywódcy. Miał też niewątpliwie wiele racji republikański senator Lindsay Graham, gdy konstatował: „Putin uważa Obamę za człowieka o słabym charakterze”. Sugerował też skierowanie do Rosji następującego komunikatu: „To, co robicie, jest nielegalne i Ameryka podejmie zdecydowane działania, jeśli natychmiast nie wycofacie wojsk z Krymu”²⁶⁹.

Za słowami poszły działania. Odpowiadając na aneksję Krymu, administracja Obamy niemal natychmiast, bo już na początku marca 2014 r., wprowadziła pierwsze sankcje – restrykcjami objęto m.in. kilka finansowych instytucji w Rosji, a zakazem wjazdu do Stanów Zjednoczonych – niektóre osobistości z otoczenia prezydenta Putina, zarówno polityków, jak i biznesmenów. Nie były to restrykcje o znaczeniu egzystencjalnym dla Rosji, jednak miały swój ciężar polityczny²⁷⁰. Pre-

²⁶⁸ *Ukraine crisis: Obama warns Russia against intervention*, March 1, 2014, BBC News, www.bbc.com/news/world-europe-26394846; *Kerry condemns Russia's „incredible act of aggression in Ukraine”*, March 2, 2014, Reuters, www.reuters.com/article/2014/03/02/us-ukraine-crisis-usa-kerry-idUSBREA210DG20140302.

²⁶⁹ Cyt. w: „USA Today” 2 III 2014, www.usatoday.com/story/theoval/2014/03/02/obama-russia-putin-ukraine-crimea/5944265/.

²⁷⁰ O tym, że sankcje nałożone na grupę związanych z Kremlem biznesmenów i polityków to zbyt mało, przekonywał członek senackiej komisji spraw zagranicznych w kwietniu 2014 r. I. Brzezinski. Jego zdaniem: „Rosjanie są dumni z tego, że w historii

stizowe zaś znaczenie miała niewątpliwie decyzja o zawieszeniu przez Stany Zjednoczone przygotowań do planowanego na czerwiec 2014 r. w Soczi szczytu państw najbardziej rozwiniętych gospodarczo – G8. A następnie, po podobnych decyzjach innych krajów członkowskich tego gremium, przeniesienie spotkania do Brukseli, wreszcie wręcz wykluczenie Rosji z grona państw G8, które tym samym powróciło do pierwotnej formuły G7. Zresztą przynależność Federacji Rosyjskiej do tego elitarnego klubu była – biorąc pod uwagę jej potencjał i porównując go z rangą gospodarczą pozostałych państw Grupy, czyli Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Kanady i Japonii – swego rodzaju oksymoronem, jakkolwiek mocno Rosję do wartościującym.

Ta dość zdecydowana reakcja Waszyngtonu jawiła nam się jeszcze wyraźniej na tle pierwszych działań, a bardziej braku konkretnych kroków po stronie sojuszników europejskich. Unia Europejska bowiem – chociaż zaprezentowała pewną stanowczość, a nawet zdobyła się na bardzo krytyczne słowa skierowane wobec Rosji, daleko bardziej wykraczające poza tradycyjną dla niej inercję i wstrzemięźliwość w gestach pod adresem Moskwy – jednak nadal miała kłopoty z wypracowaniem jednoznacznego, ostrego stanowiska. Tymczasem było bardzo ważne, aby właśnie teraz Ameryka i Europa zaprezentowały solidarną wobec wydarzeń na Ukrainie postawę.

Nie chodziło tylko o to, że wspólne działania restrykcyjne wobec Rosji zwiększały ich skuteczność. Należało wziąć pod uwagę także kwestię odbudowy czegoś, co Lee Feinstein, amerykański dyplomata i analityk nazwał „niezłomnością transatlantyckiej wspólnoty”²⁷¹. Byłaby to też adekwatna odpowiedź na oczekiwania administracji Obamy, że jego europejscy sojusznicy okażą się ważnymi graczami na arenie międzynarodowej. Tym bardziej że kryzys toczył się przecież niemalże u ich granic i *de facto* zagrażał bezpieczeństwu w Europie. Gdyby Stanom

potrafiliby przetrwać kryzysy gospodarcze. Sankcje ograniczone do zamkniętej grupy ludzi i kilku banków nie zmuszą autorytarnego reżimu, by przemyślał swoje działania”, Testimony of Ian J. Brzezinski...

²⁷¹ Rozmowa z L. Feinsteinem pt. *Przysyłając samoloty, demonstrujemy stanowczość*, „Gazeta Wyborcza” 17 III 2014.

Zjednoczonym udało się zbudować silną i zdeterminowaną koalicję Zachodu w obronie integralności terytorialnej Ukrainy, zdecydowaną zastosować ostre restrykcje wobec Rosji i tym samym powstrzymać Putina, wzmocniłyby tym swoją pozycję nie tylko w ramach układu transatlantyckiego, ale i w skali globalnej. Stawka była więc wysoka.

Ale w tej rozgrywce z Moskwą to państwa europejskie dysponowały dość silnymi kartami. Przede wszystkim dlatego, że wiele z nich było ważnymi partnerami handlowymi Rosji, nabywając jej surowce energetyczne, stanowiące podstawowy towar eksportowy, bez którego Rosja straciłaby ponad 70 proc. swoich dochodów w handlu zagranicznym. O znaczeniu Europy jako importera świadczył chociażby fakt, że rynek europejski to aż 80 proc. sprzedawanego za granicę rosyjskiego gazu. Z kolei podatki ze sprzedaży ropy naftowej i gazu ziemnego stanowiły około połowy dochodów budżetu Rosji. Trudną do przecenienia wartością dla Rosji była też zachodnia technologia i zachodni kapitał, bez których gospodarka rosyjska miałaby duże kłopoty.

Najważniejszym partnerem Rosji w Europie stały się Niemcy. Ich głównym towarem eksportowym do Rosji były samochody i maszyny, zaś Rosja zapewniała ok. 40 proc. gazu i ropy naftowej zużywanych w Niemczech. Wyjątkowe atuty w ewentualnej rozgrywce gospodarczej z Rosją posiadała Wielka Brytania, która była swego rodzaju przystanią dla rosyjskich oligarchów i mogła te finansowe depozyty bogatych Rosjan wykorzystać jako szczególną formę presji.

Jednak to, co było atutem strony europejskiej, rodziło też obawy o konsekwencje dla gospodarek poszczególnych państw Unii Europejskiej, gdyby nałożono na Rosję sankcje handlowe lub ekonomiczne. Bo przecież miliardowe kontrakty Europy na dostawy ropy naftowej i gazu ziemnego z Rosji – w 2012 r. Rosja sprzedawała do Europy surowce i towary nieprzetworzone o wartości aż 175 mld euro – oznaczały uzależnienie większości państw wspólnoty europejskiej od rosyjskich surowców energetycznych, czego najlepszym przykładem były Niemcy. To kraje europejskie, zwłaszcza z Europy Środkowo-Wschodniej, były zainteresowane rosyjskim rynkiem, na który wysyłały swoje towary o wartości ponad 120 mld euro. W porównaniu z tym eksport rosyjski do Stanów Zjednoczonych wyniósł w 2013 r. jedynie 27 mld USD,

a import jeszcze mniej – 11,2 mld USD. Należało zatem wziąć pod uwagę to, że wprowadzenie sankcji gospodarczych przez Unię Europejską spotka się z rewanżem Moskwy – zastosowaniem własnych restrykcji handlowych, znacznie bardziej dotkliwych dla państw europejskich niż dla gospodarki amerykańskiej.

Tymczasem wspólne działanie Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej miało znaczenie fundamentalne, gdyż tylko takie w odniesieniu do Rosji mogło być skuteczne. Dlatego prezydent Obama nie ustawał w wysiłkach, aby nakłonić Unię Europejską do transatlantyckiej solidarności w kwestii ukraińskiej – zdecydowanego i wzajemnie się uzupełniającego działania wobec Rosji. To był dominujący temat rozmów Obamy podczas jego pierwszej (sic!) w prezydenckiej karierze wizyty w instytucjach unijnych w Brukseli. Uczestnicząc pod koniec marca 2014 r. w szczycie UE-USA, prezydent Obama próbował nakłonić partnerów europejskich, aby nie zważając na wyjątkowo silne uzależnienie od dostaw rosyjskich surowców energetycznych, przeciwstawili się polityce Rosji, nakładając na nią sankcje gospodarcze. „Władze Rosji podważają zasady, które kilka tygodni temu wydawały się oczywiste: nie można siłą zmieniać granic (...). Obojętność wobec takich wydarzeń, jak na Ukrainie byłaby lekceważeniem lekcji z historii zapisanej na cmentarzach Europy” – mówił amerykański przywódca.

Co ciekawe, pragmatyk Obama, apelując o wspólne, transatlantyckie działanie, odwoływał się do tradycyjnych dla amerykańskiego posłannictwa haseł. Na spotkaniu z młodymi Belgami w *Palais des Beaux Arts* mówił o wartościach, które łączą świat zachodni. „Wierzę, że przyszłość należy do narodów wolnych. Nie dlatego, że jestem naiwny. Nie dlatego, że mamy potężne armie i jesteśmy silni gospodarczo. Tylko dlatego, że nasze ideały są uniwersalne”. Równie wzniosłe brzmiało jego przesłanie do Rosji: „Chcemy silnej i odpowiedzialnej Rosji, a nie słabej. Chcemy, żeby Rosjanie żyli bezpiecznie, godnie i dostatnio oraz żeby byli dumni ze swojej historii. Ale to nie oznacza, że Rosja może się rozpychać łokciami wśród swoich sąsiadów” – podkreślał amerykański prezydent²⁷².

²⁷² Remarks by the President in Address to European Youth, March 26, 2014, www.whitehouse.gov/the-press-office/2014/03/26/remarks-president-address-european-youth.

Jednak partnerzy europejscy – przynajmniej na tym etapie konfliktu – nie byli gotowi podjąć zdecydowanych kroków. Odwoływanie się do wspólnoty wartości nie mogło przeważać szali interesów gospodarczych. Wprawdzie Unia Europejska, odpowiadając na aneksję Krymu, przygotowała listę Rosjan, którym zamrożono aktywa oraz zakazano wjazdu na terytorium państw unijnych (lista ta była sukcesywnie rozszerzana), a także zapowiedziano możliwość wprowadzenia sankcji gospodarczych wobec Rosji w sytuacji, gdyby Moskwa dalej działała destabilizująco na Ukrainie. Wszystko to jednak było znacznie mniej ambitne od tego, czego oczekiwały Stany Zjednoczone.

Prezydent Obama apelował do Europy o wspólne z Ameryką działania wobec Rosji, ale tej solidarności nie było lub było jej niewiele choćby dlatego, że brakowało jej w samej Unii Europejskiej. Powodem było zróżnicowane podejście poszczególnych państw członkowskich wspólnoty do Rosji, wynikające nie tylko ze skali ich gospodarczych powiązań z Moskwą, ale też swoistego stosunku do Rosji – w końcu rozległego, bliskiego geograficznie mocarstwa euroazjatyckiego. Wyrażało się to przykładowo w nieustających od wielu lat próbach włączenia Moskwy do europejskiej gry sił. Działania te były w jakiś sposób uzasadnione – budowa trwałego układu bezpieczeństwa w Europie, a także podołanie różnym wyzwaniom globalnym bez współpracy z Rosją, jeśli nie było niemożliwe, to przynajmniej znacznie trudniejsze.

Zresztą Waszyngton zazwyczaj kalkulował w podobny sposób – dobre relacje z Rosją mają znaczenie nie tylko przy rozwiązywaniu doraźnych problemów, ale także wpływają na proces budowy ładu międzynarodowego. Teraz jednak Biały Dom zdawał się prezentować inny punkt widzenia – na obecnym etapie w relacjach z Rosją właśnie czynnik ukraiński powinien być traktowany jako wyznacznik strategiczny – przesądzający o zdecydowanej reakcji na działania Moskwy. Trudno też nie dostrzec, że przy okazji chodziło o odzyskanie przez administrację Obamy niekwestionowanej inicjatywy na arenie międzynarodowej oraz zamanifestowanie swej determinacji i skuteczności w politycznym starciu z przywódcą Rosji.

Tymczasem odnosiło się wrażenie, że czynnik ukraiński takiego wpływu na zachowania państw Unii Europejskiej nie miał lub oddzia-

ływanie to było zależne od interesów poszczególnych państw i skali ich powiązań z Rosją. Trudno o bardziej dosadne opisanie istoty postawy krajów unijnych, niż to zaprezentowane przez brytyjskiego publicystę Edwarda Lucasa podczas jego wystąpienia w lipcu 2014 r. przed komisją spraw zagranicznych Senatu USA. Autor *Nowej zimnej wojny* mówił: „W Brukseli, Londynie i Berlinie wielu wierzy, że Rosję Putina da się oswoić poprzez dyplomację. Że pieniądze nie śmierdzą. Że energia to tylko biznes. Że nie trzeba podejmować radykalnych kroków w odpowiedzi na ukraiński kryzys. Że niebezpieczna jest polityka nie łągoderzenia, tylko zbyt ostra reakcja”²⁷³.

Można zatem uznać argumenty wielu państw wspólnoty europejskiej, zwłaszcza odnoszące się do wagi gospodarczych powiązań z Rosją, ich uzależnienia od dostaw rosyjskich surowców energetycznych. Należy też zgodzić się z opinią, że wypracowanie konsensu przez 28 państw członkowskich Unii Europejskiej nie było sprawą prostą, a na pewno było procesem trudniejszym niż ten, z którym miał do czynienia amerykański prezydent, podejmujący najczęściej decyzje samodzielnie. Wszak prezydent Stanów Zjednoczonych nie musiał ustalać swego stanowiska w żmudnych i gorących dyskusjach, co charakteryzowało gremia unijne, nie musiał też – inaczej niż przywódcy wielu krajów europejskich – obawiać się wysokich kosztów dla gospodarki wskutek wprowadzanych sankcji. Te zaś powodowały, że na przykład w Niemczech przeciwko sankcjom występowały kręgi biznesu, którego przedstawiciele zainwestowali w Rosji miliardy euro. Sytuację kanclerz Merkel, forsującej ostre stanowisko wobec Kremla, komplikował fakt, że jej koalicjant rządowy – SPD, od lat opowiadający się za bliską współpracą z Moskwą, także i teraz nie chciał twardego traktowania Rosji. Zresztą niektórzy prominentni niegdyś politycy niemieckiej lewicy, jak były kanclerz Gerhard Schröder, zasiadali w różnych rosyjsko-niemieckich konsorcjach na bardzo intratnych stanowiskach.

²⁷³ www.foreign.senate.gov/imo/media/doc/Lucas_Testimony1.pdf; we wspomnianej pracy (E. L u c a s, *Nowa zimna wojna. Jak Kreml zagraża Rosji i Zachodowi*, Poznań 2008) autor przedstawił wnikliwą analizę polityki Kremla i ukazał słabość Zachodu w konfrontacji z Rosją.

Argumentem była również tradycyjna skłonność większości państw członkowskich Unii Europejskiej do preferowania rozwiązań łagodnych, dyplomatycznych, a nie forsowania – tak jak zwykli to czynić Amerykanie – działań silnie restrykcyjnych, jakby w nawiązaniu do słynnego stwierdzenia Kagana, że „Amerykanie są z Marsa, zaś Europejczycy z Wenus”. Takimi „gołębiami”, opowiadającymi się za dialogiem z Rosją zamiast „zbyt pochopnych sankcji”, które mogłyby popsuć ich relacje gospodarcze z tym państwem, byli przede wszystkim Włosi, Hiszpanie oraz Węgrzy.

To wszystko jednak wyglądało zupełnie inaczej z perspektywy amerykańskiej. Administracja Obamy miała prawo sądzić, że w obliczu kryzysu na Ukrainie, wywołanego groźną – szczególnie dla Europy – polityką Putina, sojusznicy europejscy wykażą się większą determinacją i będą bardziej skuteczni. W odpowiedzi na apele amerykańskiego prezydenta zastosują stanowcze sankcje wobec Moskwy, a nie ograniczą się tylko do ostrej retoryki i zapowiadanego planu wprowadzania restrykcji. Ale tak się nie stało. W ocenie amerykańskiej konflikt na Ukrainie obnażył więc słabość Unii Europejskiej zarówno w działaniach ekonomicznych, jak i politycznych. Ujawnił podziały we wspólnocie europejskiej, uniemożliwiające szybkie podjęcie decyzji. Unia Europejska okazała się strukturą mało koherentną oraz niezdecydowaną. I wrażenia tego zasadniczo nie zmieniło podpisanie przez Unię Europejską z Ukrainą w czerwcu 2014 r. specjalnej umowy stowarzyszeniowej, najpierw jej części politycznej, a następnie handlowej²⁷⁴.

Nie będzie więc przesady w stwierdzeniu, że Unia Europejska na początku oddała Ameryce przywództwo w sprawie Ukrainy i konfliktu z Moskwą. Można nawet zaryzykować opinię, że była z tego dość zadowolona. A przecież to nie Stany Zjednoczone przede wszystkim powinny zabiegać o utrzymanie pokoju i stabilizacji w Europie. Posia-

²⁷⁴ Należy zaznaczyć, że najważniejsza, handlowa część umowy miała wejść w życie dopiero w styczniu 2016 r., co stanowiło ustępstwo na rzecz Rosji, która była jej przeciwna, gdyż oznaczała ona utratę Ukrainy dla kremlowskiej Unii Celnej. Można było jednak przypuszczać, że Moskwa będzie naciskać na dalszą zwłokę lub wręcz na renegeccję umowy. Zob. opinię amerykańskiego eksperta: S. P i f e r, *Poroshenko Signs EU-Ukraine Association Agreement*, June 27, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2014/06/27-poroshenko-signs-eu-ukraine-association-agreement-pifer.

dając tak znaczącą strukturę, jak Unia Europejska, wyposażoną w odpowiednie narzędzia, to państwa europejskie winny ostro zareagować na działania Moskwy, zagrażające nie tylko suwerenności Ukrainy, ale także porządkowi na ich kontynencie. Ale to właśnie Stany Zjednoczone jako pierwsze i przez pewien czas jedyne zmierzyły się naprawdę z ambicjami Rosji. Próbując je powstrzymać, wprowadzały sukcesywnie i zdecydowanie kolejne sankcje wobec Moskwy, jak na przykład zastopowanie udzielania długoterminowych kredytów dla niektórych rosyjskich koncernów i banków. Można by powiedzieć, że taka jest powinność państwa odbieranego jako światowy lider. Ale nie należy zapominać, że skuteczność działania przywódcy zależy w dużym stopniu od szerokiego wsparcia i solidarnej postawy sojuszników.

Nie będzie też ryzykowną teza, że dopiero tak dramatyczne wydarzenie, jak zestrzelenie 17 lipca 2014 r. pasażerskiego samolotu malezyjskich linii nad wschodnią Ukrainą – najprawdopodobniej przez rosyjskich separatystów – spowodowało zmianę zachowania państw członkowskich UE i ich większą stanowczość w działaniach wobec Moskwy. Tragiczna śmierć 298 pasażerów samolotu, w tym obywateli wielu państw europejskich (wśród ofiar było aż 173 Holendrów), bezpośrednio obciążała prezydenta Putina. To Rosja zbroiła i wyposażała rebeliantów, także w wyrzutnie rakietowe, oraz wysyłała na wschodnią Ukrainę rosyjskich żołnierzy. Trzeba było zatem tak wielkiej zbrodni, aby Unia Europejska zdecydowała się na zastosowanie wobec Rosji sankcji gospodarczych. Co ważne, skala i charakter tych restrykcji zaskoczyły nawet największych sceptyków, wątpiących w możliwość tak silnego uderzenia Unii Europejskiej. Wprowadzone pod koniec lipca 2014 r. sankcje sektorowe, wymierzone w kluczowe działy gospodarki Rosji, obejmowały m.in. rosyjskie banki i przedsiębiorstwa, które odcięto w dużym stopniu od międzynarodowych rynków kapitałowych. Bolesne były też restrykcje związane z sektorem energetycznym – zakazano eksportu do Rosji technologii. Ponadto zablokowano niektóre transakcje na sprzęt zbrojeniowy, a także rozszerzono sankcje personalne.

Trudno przesądzić o skuteczności podjętych wobec Moskwy restrykcji, podobnie jak nie można było precyzyjnie ocenić kosztów wprowadzonych sankcji dla państw europejskich – wszak tego typu

ograniczenia są bronią obosieczną. Tym bardziej że Rosja niemal natychmiast ogłosiła własne restrykcje ekonomiczne, sprowadzające się najczęściej do zablokowania importu towarów rolnych z państw, które zastosowały wobec niej sankcje. W każdym razie po roku obowiązywania sankcji rosyjska gospodarka coraz silniej odczuwała ich skutki, a na pewno były one bardziej dotkliwe dla Rosji niż rosyjskie retorsje dla sytuacji gospodarczej państw członkowskich Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych²⁷⁵.

Najważniejszym jednak aspektem całej sytuacji było to, aby Unia Europejska, która niewątpliwie w swej polityce wobec Rosji „przekroczyła Rubikon”, pozostała konsekwentna – wytrwała w tej solidarnej i dość zdeterminowanej postawie, realizując dalej politykę sankcji i ograniczeń w zależności od działań Moskwy. Chodziło – rzecz jasna – o możliwość osiągnięcia celu, czyli zmuszenie prezydenta Putina do zmiany polityki i odstąpienia od agresywnych działań wobec Ukrainy. Czy to się uda, można było nadal mieć wiele wątpliwości²⁷⁶. Niemniej jednak potwierdzeniem konsekwentnie prowadzonej przez Unię Europejską polityki sankcji wobec Rosji było ich zaostrzenie we wrześniu 2014 r. (pod wpływem eskalacji rosyjskich działań na wschodzie Ukrainy), a następnie podtrzymywanie w kolejnych miesiącach: najpierw w marcu 2015 r., a potem w czerwcu 2015 r. (na mocy tej ostatniej decyzji miały one obowiązywać co najmniej do końca stycznia 2016 r.). Podobnie zresztą działały Stany Zjednoczone – w pierwszym tygodniu marca 2015 r. przedłużono obowiązywanie nałożonych wcześniej restrykcji przynajmniej o rok, do marca 2016 r.

A zatem zachowanie unijnej solidarności stało się na tym etapie konfliktu ukraińskiego niewątpliwie faktem, co mogło tylko cieszyć

²⁷⁵ Należy jednak przyznać, że głównym powodem narastających kłopotów finansowych Rosji były spadające ceny ropy naftowej. Gdy w grudniu 2013 r. baryłka ropy naftowej kosztowała 108 USD, to rok później już tylko 70-80 USD, a w sierpniu 2015 r. cena spadła poniżej 50 USD. Był to efekt m.in. zwiększenia wydobycia ropy naftowej przez głównego jej producenta Arabię Saudyjską, pozostającą w bardzo dobrych relacjach ze Stanami Zjednoczonymi; zob. szerzej: W. G a d o m s k i, *Putin spłyynie z ropą*, „Gazeta Wyborcza” 6-7 XII 2014.

²⁷⁶ C.G. G a d d y, B.W. I c k e s, *Can Sanctions Stop Putin?* June 3, 2014, www.brookings.edu/research/articles/2014/06/03-can-sanctions-stop-putin-gad.

amerykańskiego partnera, a martwić Putina. Wszak jego zamiarem było wbicie klina między Stany Zjednoczone a Unię Europejską. Liczył na antyamerykanizm europejskich elit, zwłaszcza w Niemczech, oraz ich niechęć do eskalowania napięć z Rosją i narażania na straty wzajemnych relacji gospodarczych. Stosunkowo ostry kurs polityki Unii Europejskiej wobec Rosji świadczył jednak o tym, że ta wspólnota – słusznie krytykowana za brak determinacji i pewną inercję – potrafiła się jednak zmobilizować. Unia Europejska pokazała, że jest zdolna, choć niespiesznie i z oporami, podjąć decyzje potwierdzające jej potencjał. Zademonstrowała swe możliwości odgrywania aktywnej roli na arenie międzynarodowej. Co więcej, Unia Europejska zadziałała w taki sposób, jakiego oczekiwał od niej Waszyngton. W odniesieniu do przypadku Rosji politycy po obu stronach Atlantyku, w efekcie utrzymującego się rosyjskiego zaangażowania militarnego we wschodniej Ukrainie, zdawali się podobnie myśleć o euroazjatyckim mocarstwie – jako o państwie, które nie jest siłą racjonalną i konstruktywną, wręcz przeciwnie – stanowi zagrożenie i wyzwanie, które należy wspólnie przezwyciężyć²⁷⁷. Nie ma wątpliwości, że koordynacja i jedność w działaniu Ameryki i Europy stanowiły najbardziej skuteczny sposób oddziaływania na Moskwę, a tym samym pożądanym czynnikiem kształtowania sytuacji międzynarodowej.

W tej determinacji europejscy sojusznicy poszli dalej, detronizując nawet Stany Zjednoczone jako państwo, bez którego udziału – jak się wydawało – nie ma mowy o osłabieniu czy zażegnaniu konfliktu na Ukrainie. Tymczasem „pierwsze skrzypce” w dyplomatycznej batalii o rozwiązanie konfliktu na Ukrainie zaczęły odgrywać Niemcy i Francja. Można było sądzić, że te dwa państwa powracają do tradycyjnej roli liderów w Unii Europejskiej, wszak kiedyś, w czasach Helmuta Kohla i François Mitterranda uważane były za motor integracji europejskiej, współpraca tych dwóch przywódców nadawała ton działaniom Wspólnoty Europejskiej. Teraz to kanclerz Angela Merkel i prezydent François Hollande zaangażowali się w negocjacje z Rosją w tzw. formacie nor-

²⁷⁷ F. Hill, C.G. Gaddy, *Mr. Putin...*, s. 264-265.

mandzkim, czyli uwzględniającym jeszcze Ukrainę, ale już bez udziału Stanów Zjednoczonych²⁷⁸.

Wcześniej, bo tuż po inwazji na Krym, prowadzono rozmowy dyplomatyczne w „formacie genewskim”, czyli z udziałem USA, przedstawiciela Unii Europejskiej, Ukrainy i Rosji. Wprawdzie niewiele one dały, gdyż Moskwa ani nie zamierzała przestrzegać porozumienia podpisanego 17 kwietnia 2014 r., zakładającego m.in. rozbrojenie bojówek prorosyjskich w Donbasie, ani zrezygnować ze swych planów opanowania wschodniej Ukrainy. Ale jednak był to układ rozmówców, w którym Ukraina mogła liczyć na bezpośrednie wsparcie swojego stanowiska przez Amerykanów. Nowa formuła – wymuszona przez Moskwę i zaakceptowana przez stronę ukraińską oraz Merkel i Hollande’a – oznaczała odsunięcie Stanów Zjednoczonych od stołu obrad. I o to Putinowi chodziło – chciał wyeliminować amerykańskiego rywala z dyplomatycznej batalii o Ukrainę i tym samym osłabić jego rangę, a wzmocnić swoją pozycję w rozmowach. Zaskoczenie musiał budzić fakt, że administracja Obamy dziwnie łatwo przystała na nowy kształt negocjacji, jakby było jej to „na rękę”. Czyżby początkowa wyjątkowa aktywność Waszyngtonu w reakcji na działania Rosji zaczęła już ciążyć prezydentowi Obamie? Trudno było oprzeć się takiemu wrażeniu. W każdym razie wyeliminowanie przedstawiciela Stanów Zjednoczonych z rozmów o Ukrainie na życzenie – jak można było się domyślać – Putina, ale też bez sprzeciwu Waszyngtonu, nie mogło pozostać bez znaczenia dla pozycji Ameryki. Czyż można było sobie wyobrazić jeszcze kilka lat wcześniej, że rozmowy w tak kluczowej dla bezpieczeństwa Europy sprawie toczyć się będą bez udziału Stanów Zjednoczonych?

Wrażenia tego nie było w stanie zmienić nawet to, że pierwsze porozumienie, wynegocjowane w „formacie normandzkim” i podpisane 5 września 2014 r. w Mińsku przez Putina oraz Petra Poroszenkę, prezydenta Ukrainy, a także przedstawicieli separatystów, przewidujące m.in. kontrolę granicy na wschodzie Ukrainy przez OBWE, szybko okazało się nic nie warte. Mogło to przecież dowodzić, że obecność

²⁷⁸ „Format normandzki” powstał 6 czerwca 2014 r. podczas spotkania Merkel, Hollande’a, Putina i Petra Poroszenki, prezydenta Ukrainy przy okazji obchodów 70. rocznicy lądowania aliantów w północnej Francji.

Stanów Zjednoczonych jako jedynej skutecznej przeciwwagi dla Rosji w procesie negocjacyjnym jest niezbędna. Ale nie spowodowało jednak zasadniczych zmian – „format normandzki” został utrzymany, a kryzys na Ukrainie przechodził kolejne fazy eskalacji, którą bezskutecznie próbowano powstrzymać.

Do podpisania drugiego porozumienia mińskiego doszło wreszcie 12 lutego 2015 r. Jego głównym punktem było zawieszenie broni na Ukrainie i wycofanie ciężkiego sprzętu z linii walk. I chociaż zapisy porozumienia „Mińsk II” były naruszane, to jednak napięcie i walki na wschodzie Ukrainy nieco osłabły. Bez wątpienia był to polityczny sukces kanclerz Merkel, która wzięła przede wszystkim na siebie ogromny ciężar trudnych negocjacji, mimo że miała u boku prezydenta Francji²⁷⁹. Nie bez racji więc pisano w niemieckiej prasie o szefowej rządu, że jest „kanclerzem świata” (*Weltkanzlerin*)²⁸⁰. Pierwszoplanowej roli Merkel nie podważyło nawet to, że swoje wysiłki dyplomatyczne konsultowała m.in. z prezydentem Obamą, ten zaś próbował telefonicznie wyrzucić nacisk na Putina. Przywódca Ameryki grał tu jednak najwyżej „drugie skrzypce”, co stanowiło deprecjację jego rangi.

Natomiast był też inny aspekt konfliktu na Ukrainie, w którym Stany Zjednoczone grały niewątpliwie rolę pierwszoplanową. Otóż imperialna polityka Putina wobec Ukrainy uzmysłowiła administracji Obamy, że stabilność w Europie nie jest stanem danym naszemu kontynentowi raz na zawsze. Że poczucie bezpieczeństwa Europy może być złudne i ulotne. Rosja znowu staje się zagrożeniem dla ustalonego na kontynencie porządku oraz wyzwaniem dla roli i rangi Stanów Zjednoczonych w świecie. Nie należy wobec tego odsuwać spraw europejskich na dalszy plan – Europa powinna pozostać jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa.

Zagrożenie wywołane ekspansywną polityką Rosji stało się więc czynnikiem umocnienia związków militarnych i politycznych między Stanami Zjednoczonymi a ich europejskimi sojusznikami, w ostatnich

²⁷⁹ Zob. M. K s i ą ż k i e w i c z, *Niechciany partner. Rola Niemiec w rozwiązywaniu konfliktu na Ukrainie*, „Biuletyn Niemiecki” nr 57, 31 III 2015, s. 4-6.

²⁸⁰ *Die Welt-Kanzlerin*, „Bild” 9 II 2015.

latach dość nadwerżonych. Trudno nie dostrzec, że to osłabienie więzi transatlantycznych nastąpiło głównie wskutek działań administracji Obamy, ograniczającej swe zainteresowanie bezpieczeństwem Europy. Wszak Stary Świat wydawał się Amerykanom stabilny i pozbawiony wrogów, zagrażających jego łaadowi. Większym wyzwaniem i dlatego silniej koncentrującym uwagę Waszyngtonu stał się teatr dalekowschodni. Prezydent Putin swoimi działaniami wobec Ukrainy to złudzenie zburzył, stawiając ponownie kontynent europejski w centrum zainteresowania Stanów Zjednoczonych.

Deklaracje administracji Obamy o rozszerzeniu i wzmocnieniu amerykańskiej obecności wojskowej w Europie pojawiły się niemal u początku konfliktu ukraińskiego, gdy tylko ujawniły się rosyjskie aspiracje imperialne wobec Krymu. Zresztą było to zgodne z nastrojami wielu przedstawicieli amerykańskich elit politycznych, zwłaszcza z kręgów republikańskich, którzy od dawna zarzucali administracji Obamy bagatelizowanie zagrożenia rosyjskiego. Wystarczy wspomnieć wypowiedzi Mitta Romneya, walczącego z Obamą o Biały Dom w 2012 r., który podczas kampanii wyborczej przekonywał, że „geopolitycznym wrogiem nr 1 dla Ameryki jest Rosja”. W odpowiedzi słyszał od swego rywala, że „zimna wojna skończyła się 20 lat temu”. Z tego też powodu opozycja krytycznie oceniała „zwrot ku Pacyfikowi” i porzucenie Europy jako mniej już ważnego zobowiązania Ameryki w zakresie bezpieczeństwa. Było to działanie wzmacniające imperialne ambicje Putina – twierdzili politycy republikańscy.

Teraz jeden z czołowych doradców Partii Republikańskiej w zakresie polityki zagranicznej Ian J. Brzezinski, występując w kwietniu 2014 r. przed senacką komisją spraw zagranicznych, dowodził: „Działania Kremla przeciwko Ukrainie to element trwałej, rewanżystowskiej polityki, którą Władimir Putin stosuje, odkąd w 1999 r. został rosyjskim prezydentem. Jej cel to odbudowa hegemonii, jeśli nie pełnej kontroli nad obszarem byłego Związku Radzieckiego”. Dlatego syn byłego doradcy prezydenta Cartera ds. bezpieczeństwa narodowego domagał się w polityce Stanów Zjednoczonych „zwrotu”, ale tym razem ku Europie, i nie tylko zatrzymania procesu wycofywania amerykańskich wojsk ze Starego Kontynentu, ale nawet rozmieszczenia wojsk natowskich

w państwach dotąd tych oddziałów pozbawionych. „Do Polski i Rumunii należy przetrzucić brygadę, do krajów nadbałtyckich oddziały sił specjalnych” – przekonywał Brzezinski jr²⁸¹.

Niewątpliwie administracja Obamy zdawała sobie sprawę, że wprowadzie nie jest to jeszcze czas zimnej wojny, jednak Rosja, łamiąc ustalone zasady i podążając w niewiadomym kierunku, staje się groźna dla bliższych i dalszych sąsiadów. A w konsekwencji dla całej Europy. Jeśli Stany Zjednoczone miały pozostać liderem w świecie pewnych wartości i zasad, utrzymać wiarygodność i zaufanie sojuszników, a przede wszystkim zademonstrować wobec Rosji determinację i swoją siłę, to musiały potwierdzić swe zobowiązania w zakresie bezpieczeństwa Europy. A szczególnie wobec państw Europy Środkowo-Wschodniej, które z racji położenia i doświadczeń historycznych czuły się najbardziej zagrożone imperialną polityką Putina.

Taki cel między innymi przyświecał wizycie prezydenta Stanów Zjednoczonych w Polsce na uroczystościach 25-lecia Wolności, w czerwcu 2014 r. Sam fakt, że prezydent Obama, dotąd niezbyt często odwiedzający Europę, a nawet chętnie się od wizyt europejskich uchylający, zdecydował się – po niespełna trzech miesiącach – przybyć ponownie na Stary Kontynent, wiele znaczył. Podobnie jak znaczące były słowa, które wówczas padły: „Większe narody nie mogą zastraszać mniejszych czy też narzucać swojej woli zbrojnie (...). Pióro nigdy nie może nam posłużyć do kradzieży czyjejś ziemi, więc nie akceptujemy okupacji Krymu czy też naruszenia suwerenności Ukrainy”. Bezpośrednio zaś do Polski amerykański prezydent kierował zapewnienia: „Wiem, że przez całe wasze dzieje Polacy byli porzucani przez przyjaciół w godzinie próby. Więc przybyłem do Warszawy dzisiaj w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki, w imieniu Sojuszu Północnoatlantyckiego, aby potwierdzić nasze ciągłe zaangażowanie w bezpieczeństwo Polski. (...) Jako sojusznicy mamy święty obowiązek bronięcia waszej integralności terytorialnej, co też zrobimy. Stoimy ramię w ramię, teraz i zawsze, za wolność waszą i naszą. Polska już nigdy nie będzie samotna”²⁸².

²⁸¹ Testimony of Ian J. Brzezinski, U.S. Senate Committee on Foreign Relations...

²⁸² Remarks by President Obama at 25th Anniversary of Freedom Day – Warsaw, Poland, April 6, 2014, White House, Office of the Press Secretary, www.whitehouse.

To wówczas też padły ważne, konkretne deklaracje: o wzmocnieniu wschodniej flanki NATO sumą 1 mld USD oraz zwiększeniu liczby żołnierzy i sprzętu amerykańskiego w naszej części kontynentu.

Była to zresztą zapowiedź kontynuacji działań, które Amerykanie podjęli niemal nazajutrz po aneksji Krymu. Do Polski wysłano wówczas dwanaście myśliwców F-16, ta rotacyjna obecność żołnierzy amerykańskich w Polsce miała być kontynuowana, także w formie wspólnych ćwiczeń wojskowych. Dodatkowo siły zbrojne znalazły się w państwach bałtyckich, *Pentagon* podwoił też liczbę samolotów uczestniczących w patrolach przestrzeni powietrznej nad Litwą, Łotwą i Estonią, a na Bałtyk wysłano jednostki NATO.

Deklaracje o pomocy amerykańskiej prezydent Obama powtórzył trzy miesiące później, podczas pobytu w Tallinie. Jednodniowa wizyta w stolicy Estonii była demonstracją poparcia Ameryki dla krajów bałtyckich, traktowanych przez Rosję jako „bliska zagranica”. Amerykański prezydent mówił: „Będziemy bronić naszych sojuszników w NATO, wszystkich sojuszników. (...) Bezpieczeństwo Tallina, Rygi i Wilna jest tak samo ważne, jak bezpieczeństwo Berlina, Paryża i Londynu. (...) Raz już straciliście niepodległość. Z NATO nie utracicie jej już nigdy więcej”²⁸³. Komentując tę wizytę amerykańskiego prezydenta, Ch. Kupchan, były szef doradców Białego Domu ds. Europy mówił: „Rosjanie, nawet o tym nie myślcie, żeby mieszać się w sprawy Estonii czy gdziekolwiek indziej w regionie Bałtyku w taki sposób, w jaki mieszacie się na Ukrainie”²⁸⁴.

Wcześniej takie deklaracje o odpowiedzialności Ameryki za bezpieczeństwo państw Europy Środkowo-Wschodniej z ust prezydenta Obamy czy kogokolwiek z jego administracji nie padały. Raczej można było mieć wątpliwości, czy wobec zaangażowania w „resetowanie” stosun-

gov/the-press-office/2014/06/04/remarks-president-obama-25th-anniversary-freedom-day-warsaw-poland.

²⁸³ Remarks by President Obama to the People of Estonia, September 3, 2014, White House, Office of the Press Secretary, www.whitehouse.gov/the-press-office/2014/09/03/remarks-president-obama-people-estonia.

²⁸⁴ White House Officials on Obama's Trip to Estonia, NATO Summit, The White House Office of the Press Secretary, Washington D.C., August 29, 2014, <http://iipdigital.usembassy.gov/st/english/texttrans/2014/08/20140829307360.html#ixzz3j5cncrGo>.

ków z Rosją interesy naszej części kontynentu są realnie brane w Waszyngtonie pod uwagę. Wystarczy przypomnieć kunktatorską taktykę administracji Obamy w kwestii instalowania w Polsce i Czechach elementów „tarczy antyrakietowej” albo ujawnioną przez media poufną rozmowę Obamy z prezydentem Miedwiediewem w marcu 2012 r., dowodzącą braku lojalności prezydenta USA wobec swych sojuszników z Europy Środkowo-Wschodniej. Teraz wrażenie było zupełnie inne – nastąpiło przewartościowanie amerykańskich priorytetów w zakresie bezpieczeństwa. Z korzyścią dla całego układu transatlantyckiego, ale też rangi Stanów Zjednoczonych w świecie, której silne NATO stanowiło ważny filar.

Chociaż więc zapowiedzi odnoszące się do środkowowschodniej części kontynentu wzmacniały poczucie bezpieczeństwa jej mieszkańców, to jednak znacznie większy wymiar miały konkretne działania podejmowane w ramach Paktu Północnoatlantyckiego. Nie tylko utwierdzały one rangę i znaczenie tego bezprecedensowego sojuszu militarno-politycznego, ale też przywracały mu sens istnienia. Zwłaszcza gdy atuty te wyraźnie nadszarpnęła wątpliwa pod względem skuteczności i niechętnie realizowana przez europejskich sojuszników misja NATO w Afganistanie. Niewątpliwie Pakt Północnoatlantycki przechodził kryzys wiarygodności, rosła liczba sceptyków, szczególnie w państwach Europy Środkowo-Wschodniej, wątpiących w skuteczność Sojuszu i tracących wiarę w to, że w przypadku zagrożenia któregoś z jego członków pozostali pospieszą mu z pomocą. Wrażenia tego nie zatarły nawet „plany ewentualnościowe”, dotyczące obrony naszej części kontynentu przez sojuszników²⁸⁵.

Tym bardziej że pojawiło się zagrożenie nowego typu. Przykładem była „dziwna wojna”, jak nazwano operację wojsk rosyjskich (oficjalnie „wojsk samoobrony”) na Krymie, gdy to właściwie bez jednego wystrzału i oficjalnie bez obecności żołnierzy z Rosji dokonano aneksji półwyspu. Pytaniem było, czy choćby w sensie formalnym Sojusz jest

²⁸⁵ Z sondażu przeprowadzonego przez *German Marshall Fund* pod koniec 2013 r. wynikało, że tylko 47 proc. Polaków uważa NATO za kluczowe dla ich bezpieczeństwa (dziesięć lat wcześniej sądziło tak 64 proc. Polaków), cyt. w: „Gazeta Wyborcza” 19 IX 2013.

przygotowany na takie zagrożenie. Czy art. 5 Paktu Północnoatlantyckiego zadziała w sytuacji, gdy podobne do tych na Krymie „siły samoobrony” pojawią się przykładowo na Łotwie, zaproszone tam przez silną mniejszość rosyjską? Formuła zapisana w traktacie waszyngtońskim w 1949 r. wydawała się nieprzystająca do nowych wyzwań i zbyt krucha w obliczu nowych zagrożeń. Wiele więc zależało od woli Stanów Zjednoczonych jako najsilniejszego państwa członkowskiego NATO, aby te wątpliwości rozwiązać, a przede wszystkim odbudować wiarygodność i skuteczność Sojuszu.

Liczne deklaracje prezydenta Obamy, składane w atmosferze rozgrywającego się dramatu na Ukrainie, nie pozostawiały wątpliwości co do jego intencji. „Będziemy zawsze wierni zobowiązaniom zapisanym w artykule piątym Paktu Północnoatlantyckiego o obronie niepodległości i terytorialnej integralności sojuszników. Tej obietnicy nigdy nie złamiemy. Żaden naród NATO nigdy nie będzie sam” – zapowiadał amerykański przywódca²⁸⁶. Znajdował się on zresztą pod coraz większą presją opiniotwórczych środowisk w Ameryce. Na łamach konserwatywnego „The Wall Street Journal” domagano się „poważnej odpowiedzi na poważne zagrożenie dla europejskiego porządku”, w tym proponowano „wysłać żołnierzy do Polski i krajów bałtyckich, żeby pokazać polityczną wolę wzmocnienia NATO”²⁸⁷. W podobnym tonie utrzymane były wypowiedzi w „The Washington Post”, gdzie apelowano: „Czas wzmocnić zaniedbane NATO. (...) Cały świat liczy na przywództwo Ameryki”²⁸⁸.

Po słowach przyszedł czas na konkretne działania. Agresywna polityka Putina spowodowała, że państwa członkowskie Sojuszu, dostrzegając na horyzoncie realne zagrożenie, zaczęły rzeczywiście „zwierać szeregi” i umacniać swoje zdolności militarne. Kluczowy pod tym względem był szczyt NATO w Newport (Walia), na początku września 2014 r. Przywódcy państw członkowskich podjęli wówczas decyzję

²⁸⁶ Remarks by the President in Address to European Youth...

²⁸⁷ J. Thomas, *How to Put Military Pressure on Russia*, „The Wall Street Journal” 9 III 2014, www.wsj.com/articles/SB10001424052702303824204579421660993452026.

²⁸⁸ S.J. Hadley, D. Wilson, *Putin's Takeover of Crimea Part of Larger Strategy*, „The Washington Post” 3 III 2014.

o utworzeniu tzw. szpicy (*NATO Spearhead Force*), czyli sił natychmiastowego reagowania liczących – jak zakładano – około 5 tys. żołnierzy i gotowych w błyskawicznym tempie, zaledwie 48 godzin, podjąć działania zbrojne. Przesądziło także o konieczności wzmocnienia zdolności obronnych wschodniej flanki Paktu, nawet w formie lokalizacji tam baz wojskowych i struktur dowodzenia – w Szczecinie miałyby się znaleźć główna baza logistyczna „szpicy”, a także – choćby rotacyjnej – obecności amerykańskich żołnierzy w tym regionie, wreszcie zapowiedzieli intensyfikację manewrów wojskowych w państwach środkowowschodniej części Sojuszu²⁸⁹.

Te fundamentalne decyzje na powrót czyniły z NATO skuteczny i najważniejszy filar współpracy transatlantyckiej, odstrasżający potencjalnych wrogów. W Newport bowiem zmanifestowano, że głównym zadaniem Sojuszu pozostaje – jak stwierdził Jens Stoltenberg, nowy sekretarz generalny NATO, wybrany podczas szczytu walijskiego – „wspólna odpowiedzialność za bezpieczeństwo wszystkich sojuszników” i co do tego nikt już nie powinien mieć wątpliwości²⁹⁰. Oznaczało to, że ewentualna eskalacja imperialnych ambicji Putina na któreś z państw członkowskich NATO spotka się z adekwatną reakcją Sojuszu, zgodnie z art. 5 traktatu waszyngtońskiego.

To, co mogło zaskakiwać, obserwując przebieg szczytu w Newport, to niezwykła zgodność postaw i opinii wyrażanych przez państwa członkowskie Sojuszu. Już dawno nie było takiej manifestacji wspólnoty, pod przywództwem Stanów Zjednoczonych, przy natowskim stole obrad. I choć zamierzenia NATO oznaczały większy wysiłek finansowy poszczególnych państw członkowskich, które przecież tradycyjnie opierały się wzrostowi nakładów budżetowych na obronę do wymaganych 2 proc., to jednak sprzeciwu nie było. Zresztą tego oczekiwali Amerykanie. Prezydent Obama, przemawiając na przykład w Warszawie, przypominał: „Każdy członek NATO chroniony jest przez nasz Sojusz i każdy z nich musi wykonać swoje zobowiązania w ramach tego

²⁸⁹ Wales Summit Declaration. Issued by the Heads of State and Government participating in the meeting of the North Atlantic Council in Wales, 05 Sep. 2014, www.nato.int/cps/en/natohq/official_texts_112964.htm.

²⁹⁰ J. S t o l t e n b e r g, *NATO Rosji się nie boi*, „Gazeta Wyborcza” 6 X 2014.

sojuszu. Jest to nasza odpowiedzialność wobec siebie nawzajem”²⁹¹. Poczucie zagrożenia ze strony Rosji miało decydujący wpływ na postawę większości państw członkowskich. Zmuszało też do zachowania solidarności, jakkolwiek wymagało to poniesienia niezbędnych kosztów i nie zawsze przychodziło łatwo²⁹². Tak należy ocenić decyzję Francji wstrzymującej przekazanie Rosji desantowca typu Mistral, co oznaczało ryzyko zapłaty miliardowej kary i utraty miejsc pracy w stocznicach. Paryż jednak taką decyzję podjął i ostatecznie jednostka nie została do Rosji wysłana.

Obok manifestacji wspólnoty postaw szczyt NATO w Newport został odczytany przez komentatorów jako kres pozimnowojennej epoki w historii Sojuszu. Przez ćwierć wieku Stany Zjednoczone/Zachód usiłowały włączyć Rosję do wspólnego systemu bezpieczeństwa i wspólnoty państw demokratycznych, czyniąc wobec niej różne rewercje i uznając ją bardziej za partnera niż rywala. Działania Putina nie tylko zniweczyły te wysiłki, ale dowiodły, jak bardzo Rosja jest nadal groźna. „Stoimy w obliczu dramatycznej zmiany sytuacji w dziedzinie bezpieczeństwa” – ogłosił ustępujący sekretarz generalny NATO A.F. Rasmussen, otwierając walijskie spotkanie przywódców państw członkowskich Sojuszu²⁹³. W Newport określono więc strategię Paktu Północnoatlantyckiego na nową zimną wojnę – jak już zaczęto nazywać etap wyznaczony rosyjską agresją na Ukrainę.

Można powiedzieć, bez większej przesady, że historia zatoczyła koło i nastąpił powrót do sytuacji znanej z okresu sprzed runięcia „muru berlińskiego”, zdominowanej rywalizacją Stanów Zjednoczonych ze Związkiem Radzieckim. Przeciwnik był niemal ten sam, co ćwierć wieku wcześniej, choć pod inną nazwą i innym przywództwem. Była też jednak zasadnicza różnica: Stany Zjednoczone miały dalej po swojej stronie sojuszników zintegrowanych w NATO, natomiast Rosja Putina była sama. Co więcej, okazało się, że jedynie Sojusz pod silnym przy-

²⁹¹ Remarks by President Obama at 25th Anniversary of Freedom Day – Warsaw...

²⁹² Por. I. K r a s t e v, M. L e o n a r d, *Europe's Shattered Dream of Order*, „Foreign Affairs” May/June 2015, s. 50-52.

²⁹³ Secretary General: Summit will forge a stronger NATO for a more complex world, 04 September 2014, www.nato.int/cps/en/natohq/news_112457.htm.

wództwem Ameryki może być wiarygodnym gwarantem bezpieczeństwa państw europejskich.

Tendencja wzmocnienia NATO znalazła potwierdzenie w zapisach nowej amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, opublikowanej w lutym 2015 r. Dobitniej niż było to w poprzednim dokumencie z 2010 r., podkreślono w nim rolę Europy i NATO jako najważniejszych sojuszników USA w utrzymywaniu bezpieczeństwa. Autorzy Strategii zapewniali, że gwarancje obronne Stanów Zjednoczonych dla Europy w ramach NATO są niezłomne. Ale też wyraźnie sformułowano oczekiwania, że także pozostałe państwa Sojuszu będą działały na rzecz wzmocnienia jego spójności i siły. W dokumencie zapewniano, że Stany Zjednoczone są gotowe reagować stanowczo na agresywne działania Rosji, nakładając na nią kolejne restrykcje. Niezwykle ważna była deklaracja o wzmocnieniu rotacyjnej obecności sił amerykańskich na naszym kontynencie oraz wspieraniu bezpieczeństwa energetycznego w Europie, co – osłabiając zależność państw europejskich od surowców z Rosji – miałyby znaczenie strategiczne²⁹⁴.

Nasuwała się zatem konstatacja, chociaż co prawda nieco paradoksalna, biorąc pod uwagę skalę i konsekwencje konfliktu rozgrywanego się za naszą wschodnią granicą – że jednak w dramacie Ukrainy można byłoby dostrzec pozytywne aspekty. Po pierwsze, pod wpływem wydarzeń na Ukrainie nastąpiły konsolidacja i wzmocnienie układu transatlantyckiego na skalę od dawna nie obserwowaną. Wspólnota transatlantycka – jako jedyna siła zdolna przeciwstawić się Rosji – jakby odzyskała sens istnienia. Stało się tak w dużej mierze dlatego, że Ameryka powróciła do roli lidera na arenie europejskiej.

A po drugie, agresywna polityka prezydenta Putina spowodowała „wzmocnienie” polityczne Stanów Zjednoczonych i ich „zwrot” ku Europie. Nasz kontynent stał się ponownie bardzo ważnym zobowiązaniem Ameryki w zakresie bezpieczeństwa. Prezydent Obama, deklarując w imieniu Stanów Zjednoczonych, silniej niż kiedykolwiek dotąd, że

²⁹⁴ National Security Strategy, February 2015, www.whitehouse.gov/sites/default/files/docs/2015_national_security_strategy.pdf; zob. też W. Lorenz, M.A. Piotrowski, *Miejsce Europy i NATO w nowej strategii bezpieczeństwa USA*, „Biuletyn PISM” nr 31, 24 III 2015.

jest gotowy to zobowiązanie wypełnić, zachował się jak zdeterminowany i silny przywódca. Oczekiwał jednak od sojuszników mobilizacji i solidarności. I na razie je uzyskał.

Pytaniem pozostawało, czy oba te trendy utrzymają się i jak długo? Czy sojusznicy europejscy okażą się solidarni i wiarygodni, choćby w wypełnianiu zobowiązań podjętych w Newport? Z kolei czy Stany Zjednoczone pozostaną konsekwentne i skuteczne w reagowaniu na politykę Kremla, której kierunek, charakter i skalę trudno było nadal przewidzieć? Nawet jeśli Rosja – w zamian za pomoc w walce z Państwem Islamskim – żądałaby ustępstw w kwestii Ukrainy: przystania na autonomię Donbasu, zniesienia sankcji i wyeliminowania tematu aneksji Krymu. Tylko spełnienie tych dwóch pierwszych warunków razem i uniknięcie trzeciej ewentualności dawało realne szanse powstrzymania Putina przed kolejną agresją czy nawet eskalacją napięcia oraz gwarantowało jako takie bezpieczeństwo w Europie. Dla Ameryki zaś byłoby potwierdzeniem jej rzeczywistego przywództwa na arenie międzynarodowej.

W pamiętnym wystąpieniu prezydenta Obamy na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ we wrześniu 2014 r., uznanym za jedno z najważniejszych w jego karierze prezydenckiej, padły deklaracje: „Dzisiaj stoję przed wami zdecydowany za-inwestować amerykańską potęgę we współpracę z innymi narodami, by zmierzyć się z problemami XXI wieku”. Całe jego przemówienie, stanowiące swego rodzaju wyznanie wiary w rolę Ameryki w niespokojnym świecie, dowodziło, że Stany Zjednoczone chcą dalej przewodzić, wyznaczając nie tylko cele działań na arenie międzynarodowej, ale też sposób i charakter rozwiązywania problemów.

Co do wyzwań, to pozostały one w dużej mierze niezmiennie i znane. Prezydent Obama mówił o terroryzmie islamskim, zagrożeniu ekspansywną polityką Rosji oraz proliferacją broni masowego rażenia – to z jednej strony. Z drugiej zaś przypominał, że społeczność międzynarodowa stoi przed koniecznością walki między innymi z ubóstwem, epidemiami, brakiem nadziei i szans w wielu częściach świata.

To co jednak uderzało w wypowiedzi prezydenta Stanów Zjednoczonych, to jego wyraźne odwołanie się do zasady współdziałania na arenie międzynarodowej. Obama pytał: „Czy będziemy rozwiązywać problemy razem, w duchu wspólnego dobra i wzajemnego szacunku, czy też pogrążymy się w dawnej destrukcyjnej rywalizacji?” I odpowiadając na to pytanie, zapewniał: „Na tym rozdrożu, na którym się znaleźliśmy, mogę wam obiecać, że Stany Zjednoczone Ameryki nie pozwolą się zniechęcić do czynienia tego, co czynić należy. Jesteśmy spadkobiercami dumnego dziedzictwa wolności i je-

steśmy gotowi zrobić wszystko, żeby uchronić to dziedzictwo dla przyszłych pokoleń. Pomóżcie nam w tej wspólnej misji, dla dzieci dnia dzisiejszego i dla dzieci jutra”²⁹⁵.

Były to niewątpliwie piękne słowa, przywodzące na myśl przesłania prezydenta Th. W. Wilsona o posłannictwie dziejowym Ameryki i jej potędze moralnej lub zapamiętane historyczne wypowiedzi F. D. Roosevelta o amerykańskiej sile służącej ostatecznemu dobru czy J. F. Kennedy’ego o poświęceniu się Amerykanów bez względu na koszty – „Pay any price” – jak zwykł mawiać JFK. Pytaniem pozostało jednak to, czy w tym świecie „znajdującym się na rozdrożu” Stany Zjednoczone będą w stanie dalej pełnić rolę lidera. Jak w bliższej i dalszej, ale możliwej do przewidzenia przyszłości będzie to przywództwo wyglądało? A może nastąpi degradacja amerykańskiej potęgi w takim stopniu, że Stany Zjednoczone przestaną być liderem? Kto ich zastąpi i czy w ogóle znajdzie się siła zdolna przejąć rolę Ameryki w świecie? Czy możliwy jest świat „poamerykański” lub świat bez lidera?

Pytania można by mnożyć. Nie ulega wątpliwości, że amerykańskie przywództwo w świecie, trwające ponad 70 lat, *summa summarum* temu światu się opłaciło. Teza ta może wydawać się zbyt ryzykowna, biorąc pod uwagę choćby wiele negatywnych emocji, jakie wywoływała i wywołuje Ameryka w świecie, lub pamiętając o „złych” wojnach prowadzonych przez Amerykanów. Jednak z drugiej strony nie wolno zapominać o roli i wkładzie Stanów Zjednoczonych w rozwiązanie najróżniejszych konfliktów i problemów współczesności – ten udział miał najczęściej wymiar decydujący i rozstrzygający. Wiele też było przykładów tego, że Stany Zjednoczone angażowały się w rozwiązywanie problemów i sporów lub podejmowały zobowiązania, które wymagały poświęcenia, nie licząc specjalnie na profity. Wynikało to raczej z poczucia odpowiedzialności za porządek międzynarodowy i bezpieczeństwo w świecie. Nawet jeśli był to ład typu *Pax Americana*, oparty na sile amerykańskiej.

²⁹⁵ Przemówienie prezydenta Baracka Obamy w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ...

Ale to właśnie potencjał Stanów Zjednoczonych – w wymiarze gospodarczym, militarnym, kulturowym i politycznym – nakładał na Amerykę tę szczególną odpowiedzialność na arenie międzynarodowej. I co najważniejsze, w większości przypadków to świat (nawet jeśli był to tylko świat Zachodu) oczekiwał od Stanów Zjednoczonych zaangażowania, a jeśli tego zainteresowania nie było lub było ono w wymiarze niedostatecznym, świat miał o to pretensje. Z prostej najczęściej przyczyny, Ameryka wykonywała pracę, której inne siły – z racji egoizmu i wąsko pojmowanego własnego interesu lub po prostu ograniczonych możliwości – nie miały ochoty lub nie były w stanie podejmować.

Podobnie jest dzisiaj – od Stanów Zjednoczonych dalej oczekuje się odpowiedzialności za porządek międzynarodowy i utrzymanie bezpieczeństwa. Nadal bowiem dysponują one potencjałem godnym supermocarstwa. Także w wymiarze ekonomicznym. Tym bardziej że w lecie 2015 r. chińska gospodarka, druga pod względem wielkości i powszechnie uważana za głównego konkurenta Ameryki, zaczęła wyraźnie zwalniać, potwierdzając niektóre wcześniejsze przewidywania lub zmuszając do rewizji zbyt optymistycznych dla Chin prognoz²⁹⁶. Oznaczało to lepszą perspektywę utrzymania przez USA w kolejnych latach pozycji niekwestionowanego lidera gospodarczego. Stany Zjednoczone zachowały też status supermocarstwa dysponującego największym potencjałem militarnym. Nadal na obronność wydawały więcej niż dziesięć następnych krajów na liście razem wziętych (Chiny, Rosja, Wielka Brytania, Francja, Japonia, Arabia Saudyjska, Indie, Niemcy, Włochy i Brazylia). Nawet zakładając plany zmniejszania tych nakładów, Ameryka mogła zachować w nadchodzących latach miążdzącą przewagę militarną nad konkurentami.

Równocześnie jednak Ameryka poddawana jest ostremu osądowi. Czasami ta krytyka ma konkretnego adresata: szczególnie ostro krytykowano przywództwo G. W. Busha – za arogancję, nadmierne wy-

²⁹⁶ D. Shambaugh, *The Illusion of Chinese Power*, June 25, 2014, [www.brookings.edu/research/opinions/2014/06/23-chinese-power-shambaugh?](http://www.brookings.edu/research/opinions/2014/06/23-chinese-power-shambaugh)

korzystywanie siły w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych i zatracenie tradycyjnej wartości Ameryki – owego *soft power*. Z kolei prezydentowi Obamie zarzucano brak zdecydowania, niechęć do wykorzystywania siły nawet jako argumentu przetargowego w osiągnięciu celu, nadmierną skłonność do ustępstw i brak konsekwencji. Tymczasem – dowodzą – od Stanów Zjednoczonych, które wprawdzie zatraciły już rangę hegemonu, ale utrzymały atrybuty supermocarstwa, wymagać należy większej skuteczności, determinacji i odwagi w działaniu.

Niewątpliwie przywództwo amerykańskie zatraciło wiele ze swych atutów. Jakby osłabła wola Ameryki przewodzenia. Można było odnieść wrażenie, że „Amerykanie są zmęczeni” (...) i zamiast końca historii mamy koniec Ameryki. Triumfalizm zamienił się w upadek²⁹⁷. W każdym razie zmniejszyła się amerykańska zdolność wpływania na bieg spraw i rozwiązywania konfliktów. Nawet militarne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych nie gwarantowało sukcesu, czego przykładem była wojna w Afganistanie i Iraku, a ostatnio – walka z Państwem Islamskim.

Wprawdzie Stany Zjednoczone czasu Obamy odzyskały pewną zdolność budowania koalicji, pozyskiwania sojuszników i partnerów, którzy jednoczyli się pod amerykańskim przywództwem, czy to w zbrojnym starciu najpierw w Libii, a potem z Państwem Islamskim, czy w konfrontacji z Rosją, to jednak w tym wszystkim zabrakło zapału i pełnej determinacji. Bo tych atrybutów brakowało w działaniach administracji Obamy. W efekcie skutki były dalekie od oczekiwań. Rosja, choć dotknięta sankcjami gospodarczymi, nie tylko inspirowała i wspierała separatystów na wschodzie Ukrainy, ale wysyłała tam nadal swoich żołnierzy i sprzęt. Mieliśmy więc we wschodnich regionach Ukrainy groźny stan zawieszenia. Podobnie daleka od rozstrzygnięcia była wojna z Państwem Islamskim/terroryzmem islamskim. Pomimo trwających ataków amerykańskich z powietrza nadal

²⁹⁷ R. K a g a n, *Superpowers Don't Get to Retire: What our tired country still owes the world...*

radykałowie islamscy kontrolowali duże połacie wschodniej Syrii i zachodniego Iraku, a nawet organizowali zamachy terrorystyczne w Europie. Trwała w najlepsze syryjska wojna domowa i właściwie nie było już wiadomo, które siły Zachód powinien wspierać. Dramatyczną konsekwencją konfliktu syryjskiego była bezprecedensowa „wędrówka ludów”, stawiająca społeczność Zachodu wobec wielkiego wyzwania, jak poradzić sobie z blisko pół milionem, a według niektórych prognoz nawet ponad milionem uchodźców, z Syrii, Afganistanu, Libii i innych krajów.

Ale też w tym samym czasie, 14 lipca 2015 r. podpisano historyczne porozumienie z Iranem – po ponad dwóch latach najpierw tajnych, a potem jawnych negocjacji, w których amerykański sekretarz stanu Kerry odgrywał główną rolę. Zgoda Iranu na znaczne ograniczenie programu atomowego w zamian za zachodnie obietnice zniesienia sankcji gospodarczych i politycznych była zwieńczeniem amerykańskich wysiłków, które zapoczątkował poufny list Obamy, wysłany w 2013 r. do nowo wybranego prezydenta Iranu, umiarkowanego Hassana Rowhani. Wtedy wielu komentatorów uznało ten gest za przejaw naiwności Obamy, a nawet zdrady interesów niektórych sojuszników USA na Bliskim Wschodzie, w tym zwłaszcza Izraela. Podobne opinie pojawiły się po podpisaniu dokumentu w Wiedniu – naiwność i kapitulacja ze strony administracji Obamy²⁹⁸. I jakkolwiek trudno było wówczas przesądzić, czy układ z Iranem to sukces czy porażka, to jednak pozostaje faktem, że Biały Dom podjął odważną decyzję, porównywalną ze składaniem swego czasu podpisów pod układami rozbrojeniowymi ze Związkiem Radzieckim. W przekonaniu administracji Obamy w ten sposób odsunięto groźbę atomowego wyścigu zbrojeń na Bliskim Wschodzie, a nawet wojny z Iranem. Co więcej, uważano, że jest to historyczna szansa, aby otworzyć państwo ajatollahów na świat. Dzięki zniesieniu sankcji i odnowionym relacjom gospodarczym, politycznym i kulturalnym Teheranu ze światem Zachodu możliwe będą

²⁹⁸ L. Wieseltier, *The Iran Deal and the Rut of History*, July 27, 2015, www.theatlantic.com/international/archive/2015/07/iran-deal-history/399644/.

reformatorskie zmiany w Iranie, ale też zmiana jego polityki w regionie bliskowschodnim – twierdzono w Waszyngtonie²⁹⁹.

Podobnym zamknięciem pewnej epoki lub przynajmniej wyznaczeniem nowego rozdziału we wzajemnych relacjach było ponowne nawiązanie w lecie 2015 r. stosunków dyplomatycznych z Kubą, po ponad półwieczu braku kontaktów. Tak jak układ z Iranem wprowadzał nową jakość do uwarunkowań geopolitycznych na Bliskim Wschodzie, tak samo ustanowienie na powrót oficjalnych relacji amerykańsko-kubańskich, oznaczających też wznowienie kontaktów handlowych i kulturalnych, a także odmrożenie wymiany turystycznej, stwarzało nową, znacznie korzystniejszą nie tylko dla interesów amerykańskich sytuację w Ameryce Łacińskiej³⁰⁰.

Stany Zjednoczone pozostały więc państwem, od którego polityki i podejmowanych decyzji lub ich braku zależy w dużym stopniu globalna sytuacja międzynarodowa. Z racji potencjału i doświadczenia, a także niekwestionowanych atutów na Ameryce spoczywa w dalszym ciągu ogromna odpowiedzialność za porządek rzeczy w świecie. W dzisiejszym układzie sił, podobnie zresztą jak było to przez ostatnie dziesięciolecia, USA ze swoją potęgą stanowią najważniejszy element konstelacji geopolitycznej oraz niezbędny czynnik bezpieczeństwa światowego³⁰¹.

Co więcej, Stany Zjednoczone – przy całej długiej liście zastrzeżeń i uwarunkowań – pozostają najważniejszym mocarstwem i jego dalsze osłabienie czy podważanie wiarygodności nie leżałyby w intere-

²⁹⁹ M. S. I n d y k, *The Regional implications of nuclear deal with Iran*, June 5, 2015, www.brookings.edu/blogs/order-from-chaos/posts/2015/06/05-testimony-iran-regional-implications-indyk; R. E i n h o r n, *A rare bipartisan consensus on the Iran nuclear negotiations*, June 26, 2015, www.brookings.edu/blogs/markaz/posts/2015/06/26-iran-nuclear-negotiations-bipartisan-consensus-einhorn.

³⁰⁰ H. T r i n k u n a s, *New U.S.-Cuba Policy Will Revitalize Hemispheric Relations*, December 18, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/post/2014/12/18-cuba-policy-will-revitaliz...

³⁰¹ M.S. I n d y k, B. J o n e s, *Order from chaos: The Reed for U.S. leadership*, March 23, 2015, www.brookings.edu/blogs/order-from-chaos/posts/2015/03/19-need-us-leadership-indyk-jones.

sie szeroko rozumianego Zachodu, czyli świata wyznającego podobne wartości i zasady, kierującego się podobnymi standardami działania i funkcjonującego wedle tych samych prawideł ekonomicznych, społecznych i politycznych. Zwłaszcza że istniejący „porządek” staje się coraz mniej zdolny do zapobiegania konfliktom. Dynamizm sytuacji międzynarodowej może coraz częściej prowadzić do zagrożenia pokoju i to ze strony różnych, nawet tylko regionalnych mocarstw, które chciałyby – na przykład – wyrównać swe rachunki z najbliższymi sąsiadami. „Osłabienie potęgi USA otworzyłyby przestrzeń dla tego rodzaju stosunkowo mało kosztownej dla ich sprawcy demonstracji siły” – twierdził Z. Brzeziński³⁰². Silna Ameryka może być skuteczną przeciwwagą dla takich groźnych tendencji.

Podobnie nie powinniśmy być zainteresowani wpuśdzeniem Stanów Zjednoczonych w rodzaj marazmu, spowodowanego niechęcią do angażowania się w konflikty i problemy spoza ich żywotnych interesów. A to, biorąc pod uwagę ponad stuletnią tradycję amerykańskiego izolacjonizmu, jest zawsze pewną, choć może dzisiaj mało realną, alternatywą. Niemniej jednak przed amerykańską elitą polityczną stoi ważne wyzwanie – niemal narodowy wysiłek przekonania swoich współobywateli Amerykanów do konieczności utrzymania pierwszoplanowej roli Stanów Zjednoczonych w świecie, bez względu na koszty i obciążenia. Stoi też drugie, równie ważne zadanie – nieustanne wzmacnianie, a może nawet odbudowa wewnętrznych atrybutów amerykańskiej potęgi, takich jak: innowacyjność, edukacja, jakość politycznego przywództwa, atrakcyjność instytucji demokratycznych, siła społeczeństwa obywatelskiego *etc.* Te narodowe wartości mogą zadecydować o tym, czy Ameryka utrzyma swą dominującą rolę na scenie międzynarodowej³⁰³.

Trzeba bowiem zadać sobie pytanie, czy świat bez aktywnego w nim udziału Ameryki byłby bardziej bezpieczny, uporządkowany i przewi-

³⁰² Z. B r z e z i ń s k i, *Strategiczna wizja. Ameryka a kryzys globalnej potęgi*, Kraków 2013, s. 140.

³⁰³ B. J o n e s, *Still Ours to Lead. America, Rising Powers, and the Tensions between Rivalry and Restraint*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2014, s. 199-200.

dywalny. A przede wszystkim, czy nie kreowałby on nowych zagrożeń dla bezpieczeństwa samych Stanów Zjednoczonych? Trudno też wyobrazić sobie, że to Chiny wraz z Rosją lub Unia Europejska do spółki z innymi państwami stworzą skuteczną i bezpieczną dla międzynarodowego otoczenia przeciwwagę dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Nonsensem byłoby przypuszczać, że będzie to z pożytkiem dla ładu międzynarodowego i w pełni wiarygodne³⁰⁴.

Pozostaje zatem uznać jako najlepszą alternatywę aktywny, skuteczny i szeroko akceptowany udział Stanów Zjednoczonych w kreowaniu porządku na świecie, rozwiązywaniu jego problemów i podejmowaniu wyzwań. Waszyngton powinien utrzymać głos sprawczy w rozstrzygnięciu najważniejszych kwestii i problemów współczesności. Dzisiaj nie jest to jednak dla wszystkich tak oczywiste i w pełni przez społeczność międzynarodową akceptowane, chociaż wydaje się, że obecnie stopień aprobaty dla przywódczej roli Stanów Zjednoczonych, przynajmniej w świecie wspólnych wartości, jest znacznie wyższy, niż był jeszcze dekadę wcześniej. Częściej też niż w okresie prezydentury G.W. Busha formułowane jest oczekiwanie na skuteczną, wiarygodną i mądrą misję przywódczą Ameryki.

Najważniejsze w tym względzie musi być więc przedstawienie i zdefiniowanie na nowo treści amerykańskiego przywództwa, nawet jeśli założymy, że cel optymalny – powszechne uznanie Ameryki jako ideologicznego i politycznego lidera – nie powiedzie się z racji powstania nowych biegunów porządku międzynarodowego. Trzeba jednak przynajmniej doprowadzić do sytuacji, w której wytworzy się globalna równowaga sił zamiast układu sprzymierzonego przeciwko Ameryce. Aby Stany Zjednoczone były traktowane jako pożądaný lider koalicji, szef bloku państw lub dowódca sprzysiężenia sił, a nie czynnik potęgający wrogie działania, kreujący front przeciwników. Fundamentem przywództwa jest bowiem umiejętność budowania koalicji wokół siebie, a nie przeciwko sobie.

³⁰⁴ B. Jones, *How Does China View the Question of American Leadership, an Perceived American Decline?* July 2, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2014/07/02-china-view-american-leadership-decline-jones.

Ważne, aby Ameryka utrzymywała swój autorytet i odzyskiwała zaufanie oraz wiarygodność, że można na nią liczyć. Na amerykański prestiż składa się w dużym stopniu atrybut *soft power*, czyniący ze Stanów Zjednoczonych wzorzec politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturowego rozwoju. Trudno być przywódcą, opierając się tylko na sile wojskowej, której możliwości okazały się zresztą w ciągu ostatnich lat niekiedy niewystarczające, jakkolwiek pozostał potencjał najsilniejszy w skali globalnej. Rezygnacja z arogancji na rzecz skutecznego przekonywania, odejście od bezkompromisowości i nieliczenia się ze standardami, które innym próbowało się narzucić, na rzecz przestrzegania norm i zasad stanowiły ważne wyznaczniki pierwszych działań Obamy. Dzięki temu udało się stosunkowo szybko poprawić wizerunek Ameryki w świecie, odzyskać wiele z jej moralnej siły.

Z drugiej strony polityka czystej dyplomacji, ukazywanie przede wszystkim łagodniejszej twarzy Stanów Zjednoczonych – co było cechą charakterystyczną dla niektórych działań administracji Obamy – nie zawsze wzmacniały rangę USA w świecie, niekoniecznie oznaczały skuteczność działania i prowadziły do osiągnięcia celu. Nie negując znaczenia pozytywnego wizerunku Ameryki i jej siły moralnej, to jednak supermocarstwo – zwłaszcza w świecie groźnych wyzwań – jest rozliczane przede wszystkim ze skuteczności, decyzyjności i odwagi w działaniu. A to wymaga czasami wykorzystania argumentu siły, choćby jej zademonstrowania. Nie oznacza to konsekwentnego trwania w roli „światowego żandarma”, reagującego w razie potrzeby z użyciem siły militarnej, ale też nie może to być reakcja „zbyt miękka”, jak zdarzało się to Obamie. Choć niewątpliwie miał on wiele racji, gdy mówił: „Mamy najsilniejszą armię na świecie, ale nie możemy wpaść w pułapkę przekonania, że skoro mamy młotek, to wszystkie problemy świata wydają nam się gwoździami”³⁰⁵.

Mają rację również ci komentatorzy, którzy jak np. R. Kagan opowiadali się za utrzymaniem tradycyjnej misji Stanów Zjednoczonych

³⁰⁵ Cyt. z wystąpienia B. Obamy w *West Point: President Obama Speaks to West Point Graduates*, May 28, 2014, www.whitehouse.gov/photos-and-video/video/2014/05/28/president-obama-speaks-west-point-graduates.

– promowaniem w świecie demokracji. Pisze on, że „nacisk na demokrację, liberalizm i prawa człowieka ma znaczenie strategiczne po części dlatego, że pozwala wykorzystać przewagę Ameryki i obnaża słabość państw autokratycznych”³⁰⁶. Zresztą zgodzić się trzeba z tezą, że nie ma bardziej realistycznej alternatywy, którą można by zaproponować jako model oddziaływania na ubogie i źle zarządzane kraje niż wartości demokratyczne. Dlatego nie należy się zastanawiać, czy realizować tę strategię, lecz w jaki sposób.

Rola Ameryki w tym procesie jest więc nie do przecenienia – nie powinna ona zrezygnować ze swego tradycyjnego posłannictwa, owego pierwiastka idealizmu w polityce, który – cokolwiek by powiedzieć – jest elementem amerykańskiej tożsamości politycznej. Jednak musi się to odbywać poprzez aktywną współpracę międzynarodową, „promieniowanie przykładem”, pomoc ekonomiczną, udzielanie wszechstronnego wsparcia. „Demokracja byłaby znacznie bardziej przekonującym modelem niż chiński i rosyjski autorytaryzm, bardziej powabną ideą niż islamski fundamentalizm, gdyby odrzucono pomysł krzewienia jej przy pomocy karabinu” – pisał brytyjski publicysta Ian Buruma³⁰⁷.

Z kolei przywoływany już amerykański politolog P. Khanna przekonywał, że należy zrezygnować z mówienia o krzewieniu amerykańskich wartości. Bo „to, co warto mieć, jest najpierw uniwersalne, a potem dopiero amerykańskie. Dotyczy to również demokracji”³⁰⁸. Kissinger zaś już wcześniej powiadał, że najpoważniejszym wyzwaniem dla Ameryki jest takie wykorzystanie jej potencjału i władzy, aby nastąpiła w świecie zgoda co do wspólnych wartości – nie przez narzucanie ich siłą, ale przez świadomą akceptację, gdyż niezależnie od oporu, krytyki i niechęci, które Ameryka wywołuje, świat potrzebuje jej przywództwa³⁰⁹.

³⁰⁶ R. K a g a n, *Koniec marzeń, powrót historii...*

³⁰⁷ I. B u r u m a, *Za wcześnie na ten pogrzeb*, „Dziennik” 19-20 VII 2008.

³⁰⁸ P. K h a n n a, *Pożegnanie z hegemonią...*

³⁰⁹ H. K i s s i n g e r, *Does America Need a Foreign Policy. Toward a Diplomacy for the 21st Century*, New York 2001, s. 288.

Nie można też wykluczyć sytuacji – i tę ewentualność trzeba bardzo poważnie brać pod uwagę – że to autokracja, a nie system liberalnej demokracji będzie się rozpowszechniać w świecie. Wszak wbrew nadziejom „arabska wiosna” zaowocowała nie demokracją i wolnością obywatelską, ale nowymi dyktaturami, nawet spod znaku fundamentalizmu islamskiego. Autokratyczne reżimy mogą w przyszłości stworzyć silny front konkurentów i przeciwników czy wręcz wrogów Stanów Zjednoczonych/świata Zachodu. Zaoferują one pomoc i wsparcie tym wszystkim, którzy nie dostrzegają w zasadach liberalnych i demokratycznych atrakcyjnych dla siebie wartości. Może więc nastąpić proces odwrotny wobec przemian z lat dziewięćdziesiątych, gdy zdawało się, że to liberalizm i demokracja pozostawały w ofensywie. Będzie to niezwykle trudne wyzwanie nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale całego świata Zachodu. Czy w takiej sytuacji możliwe bowiem będzie autentyczne funkcjonowanie społeczności międzynarodowej – rozumianej jako wspólnota myślenia o sprawach ludzkości, czy pojęcie to nie stanie się wówczas pustym dźwiękiem?

Dlatego jest tak ważne, aby przywództwo Stanów Zjednoczonych opierało się na autorytecie, powszechnie akceptowanych wartościach i zasadach, szerokim konsensie. Próby przyjmowania pozy hegemonia narzucającego swą wolę w dzisiejszym zróżnicowanym i nadzwyczaj rozbudzonym politycznie świecie będą rodziły zrozumiałą opór i niechęć, nawet wśród tradycyjnych amerykańskich sojuszników. Ameryka ma raczej pełnić rolę naczelnego dyplomaty, który w umiejętny i nie nachalny sposób będzie upowszechniał wartości, które są dobre z natury, a nie dlatego, że amerykańskie. Będzie promotorem i gwarantem porządku międzynarodowego i stabilności, nie narzucając siłą swej woli, ale poprzez wiarygodność i budząc zaufanie.

Tych celów nie uda się jednak zrealizować samodzielnie. Stany Zjednoczone przestają bowiem pełnić rolę jedyne i wszechmocnego mocarstwa. Zresztą można by zadać pytanie, czy kiedykolwiek Ameryka była wszechmocna. Raczej nie, najwyżej tak się niektórym amery-

kańskim przywódcom politycznym wydawało³¹⁰. Tym bardziej teraz, choć nadal jest największą potęgą, to jednak jej możliwości działania zostały wyraźnie ograniczone i utrudnione. Bo jak powiadał Brzeziński – „Ameryka jest najważniejsza, ale nie wszechmogąca”. Musi zatem radzić sobie w świecie, w którym nie będzie hegemonem, w którym różne, mniejsze potęgi „uzyskały lub uzyskają znaczący głos”³¹¹. Chodzi też o to, że działanie w pojedynkę, oprócz wywoływania zrozumiałej irytacji i niechęci otoczenia, może doprowadzić do nadmiernego wyczerpania amerykańskich zasobów, a to oznaczać będzie dla Stanów Zjednoczonych utratę pozycji lidera. Powstanie pustka, którą może wypełnić znacznie groźniejsza siła.

Tym większe więc znaczenie działania wspólnego, z uznaniem dla racji i zastrzeżeń innych. Zwłaszcza na etapie przygotowywania strategii, określania celów i formułowania taktyki. Wspólnota działania pozostaje dla Ameryki zadaniem i koniecznością, a nie tylko kwestią swobodnego wyboru. Aby Stany Zjednoczone mogły skutecznie pełnić rolę promotora i gwaranta porządku międzynarodowego oraz bezpieczeństwa światowego, muszą mieć partnerów. Jeśli Stany Zjednoczone chcą realizować w polityce cele globalne, muszą posiadać strategicznych sojuszników. W świecie, w którym następuje rozproszenie ośrodków siły, a wiele z nich jest z założenia wrogich wobec świata Zachodu, takim naturalnym i najważniejszym sojusznikiem Ameryki pozostaje Europa. Jest to bowiem wspólnota tych samych zasad, wartości i standardów. Utrzymanie bliskich związków amerykańsko-europejskich to czynnik imperatywny dla przywództwa Stanów Zjednoczonych. Wielokrotnie w przeszłości czynnik ten pomógł w realizacji celów, natomiast załamanie w relacjach transatlantycznych niczemu nie służyło. Wręcz osłabiało rangę Ameryki, gdyż jednym z filarów amerykańskiej pozycji na arenie międzynarodowej pozostaje układ transatlantyczny.

Nawet jeśli się okaże, że to Azja/Chiny są obiektem priorytetowego zainteresowania Waszyngtonu i że aktywna tam rola USA jest kluczo-

³¹⁰ B. J o n e s, *Still Ours to Lead...*, s. 198.

³¹¹ Z. B r z e z i ń s k i, *Kto jest z nami?* „Rzeczpospolita” 22-23 XI 2003.

wa dla utrzymania stabilności w regionie i powstrzymania aspiracji Państwa Środka, to jednak relacje z Europą/Unią Europejską, wzmacniając możliwości działania USA w świecie, a także podnosząc rangę i skuteczność Ameryki, pozostaną niezwykle ważne³¹². Być może Stany Zjednoczone zakończą negocjacje w sprawie *TTP*, czyli Partnerstwa Transpacyficznego zakładającego zniesienie barier celnych na Pacyfiku, szybciej niż zostanie sfinalizowany *TTIP* – o transatlantyckiej strefie wolnego handlu. Wiele na to wskazuje. Jednak nie powinno to zaważyć na relacjach z Europą. Tendencja marginalizowania kontynentu europejskiego w polityce amerykańskiej, czego wyrazem był słynny *pivot to Asia*, chociaż uzasadniona przekonaniem o przesuwaniu się centrum gospodarczego z Zachodu na Wschód, a także uznaniem, że Europa jest już bezpieczna, jednak miała swoje negatywne konsekwencje. Przede wszystkim dla rangi i wiarygodności Ameryki. W jakimś stopniu stała się też przyczyną zbudzenia „europejskich demonów” – ekspansywnej polityki Rosji. Dlatego tak ważne jest utrzymanie tego bezprecedensowego w dziejach sojuszu, nadanie mu nowych impulsów i wyznaczenie celów działania.

Elementem strategii ożywienia i umocnienia układu transatlantyckiego musi być silna Europa/Unia Europejska. Najwyższy czas, aby Europa zaprezentowała się jako ważny i skuteczny aktor na scenie międzynarodowej. Powinna wziąć większą odpowiedzialność za bieg spraw w świecie, reagować na wyzwania i problemy globalne i to w różnym wymiarze, także militarnym. Jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym testem dla siły i zdolności wspólnego działania Unii Europejskiej stał się kryzys wywołany w 2015 r. bezprecedensową falą setek tysięcy uchodźców z Syrii, Afganistanu, Libii, biednych państw afrykańskich, którzy bądź to już przedostali się w granice Unii Europejskiej, bądź to dobijają się lub dobijając będą do jej bram w nadziei znalezienia tutaj schronienia i godnych warunków do życia. Od tego, jak Europa poradzi sobie z problemem uchodźców/imigrantów, zależeć będzie jej status na arenie międzynarodowej, a może nawet

³¹² Z. Brzeziński, *Strategiczna wizja Ameryki...*, s. 250-251.

sama przyszłość Unii Europejskiej. Zewnętrzna aktywność UE musi wyjść poza kwestie gospodarcze, poza handel i konkurencję. Regułą powinno być wspólne stanowisko Europy wobec kluczowych wyzwań i zagrożeń współczesności. Precedensem wydaje się dość jednolita postawa państw Unii Europejskiej wobec kryzysu na Ukrainie i konsekwentnie utrzymywana – jak na razie – polityka sankcji wobec Rosji. Trudno nie uznać tych wspólnych działań wobec Moskwy za wielki sukces. Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę fakt, że wypracowanie jednolitego stanowiska jest procesem niełatwym, wymagającym konsensu 28 państw członkowskich, z których każde ma własne interesy, cele i priorytety. Stany Zjednoczone oczekują, że takich solidarnych, skutecznych i jednolitych zachowań politycznych Europy będzie więcej. Na to liczą i na tym opierają też swoją globalną rangę. Wszak działanie w osamotnieniu może w konsekwencji doprowadzić do wyczerpania się amerykańskich zasobów.

Najważniejszym „filarem” wspólnoty transatlantyckiej pozostaje NATO. Jego wzmocnienie stanowi warunek *sine qua non* silnego układu transatlantyckiego i mocnego przywództwa Stanów Zjednoczonych. Z kolei dobra kondycja Sojuszu Północnoatlantyckiego i jego skuteczne funkcjonowanie zależą w dużym stopniu od tego, jak bardzo Stany Zjednoczone, najsilniejsze państwo członkowskie Sojuszu, będą zainteresowane jego usprawnieniem, zdynamizowaniem i umocnieniem. Ile w ten proces zainwestują w sensie materialnym, finansowym i osobowym. Cieszy w każdym razie fakt, że w amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego z 2015 r. tak dobitnie i wyraźnie wskazano na rolę Europy i Paktu Północnoatlantyckiego jako najważniejszych sojuszników Stanów Zjednoczonych w działaniach na rzecz bezpieczeństwa, a także zadeklarowano wolę Ameryki rozwijania zdolności obronnych NATO³¹³. Ale to jeszcze bardziej zobowiązuje pozostałe państwa członkowskie Sojuszu, w dobrze pojętym własnym interesie, do wzmocnienia jego spójności i siły.

³¹³ National Security Strategy, February 2015, www.whitehouse.gov/sites/default/files/docs/2015_national_security_strategy.pdf.

Ważnym czynnikiem rewitalizacji NATO była zarówno nowa Koncepcja strategiczna, przyjęta w 2010 r., jak i decyzje podjęte podczas szczytu walijskiego w 2014 r. Podczas gdy ta pierwsza była głównie próbą odpowiedzi na podstawowe dylematy Sojuszu wynikające z napięcia między pierwotnymi zadaniami obrony i odstraszania a globalnym zaangażowaniem militarnym, to druga odpowiadała na wywołane agresywną polityką Kremla poczucie zagrożenia w państwach Europy Środkowo-Wschodniej. W każdym razie ustalenia obu szczytów potwierdzały, że NATO pozostaje najsilniejszym sojuszem wojskowo-politycznym, gotowym podjąć nowe wyzwania i dostosować do nich swoje atrybuty. Od tego, w jakim tempie i w jakiej skali nastąpi implementacja przyjętych postanowień i jak będą one realizowane, zależy wiele. Przede wszystkim – bezpieczeństwo państw członkowskich NATO, w dalszej kolejności zaś – rola i ranga Stanów Zjednoczonych oraz możliwość ich skutecznego działania. Tylko z silnym Sojuszem Północnoatlantyckim, dynamicznym i skutecznym, Stany Zjednoczone będą mogły pełnić swą rolę lidera na arenie międzynarodowej.

Nie jest łatwo przewidzieć przyszłość. Jednak można zaryzykować tezę, że bezpieczeństwo i porządek globalny zależą w dużej mierze od tego, czy Stany Zjednoczone zechcą dalej pełnić rolę przywódcy. Nie ma bowiem na horyzoncie żadnej innej siły, która w sposób odpowiedzialny, wiarygodny i bezpieczny mogłaby przejąć od Ameryki taką powinność. I dobrze. „W swojej historii Stany Zjednoczone udowodniły, że w bardzo różnych sytuacjach potrafią stanąć na wysokości zadania” – pisał Brzeziński³¹⁴. I trudno się z tą opinią nie zgodzić. Szczególnie Europa ma wiele do zawdzięczenia Ameryce jako supermocarstwu pełniącemu przez dziesięciolecia rolę promotora i gwaranta jej bezpieczeństwa.

Wiemy również, że świat XXI w. stawia wyzwania o wyjątkowym charakterze. Mierzymy się na przykład z terroryzmem groźniejszym niż kiedykolwiek, który w stopniu wyjątkowym definiuje i prawdopodobnie dalej określać będzie kwestie bezpieczeństwa oraz porządku

³¹⁴ Z. Brzeziński, *Strategiczna wizja Ameryki...*, s. 259.

międzynarodowego. Żyjemy w świecie zróżnicowanych potęg i ten proces rozpraszania sił globalnych będzie postępował dalej. Ameryka jawi się jako jedyne supermocarstwo zdolne podjąć te i inne wyzwania. Jakkolwiek nie będzie już raczej możliwości zdominowania świata zróżnicowanych potęg przez pojedyncze mocarstwo, nawet tak potężne, jak Stany Zjednoczone, ale Ameryka jako przywódca, współdziałająca z innymi partnerami, wykorzystująca w sposób rozważny i adekwatny dostępne jej środki i metody działania, to jest jedyne sensowne rozwiązanie gwarantujące jako taką stabilność porządku w świecie. „Jesteśmy i musimy być przywódcą świata, bo nikt inny nas nie zastąpi” – mówił amerykański prezydent. Trzeba trzymać go za słowo.

Bibliografia

Dokumenty, wystąpienia oficjalne

A Day of Dedication. The Essential Writings and Speeches of Woodrow Wilson, New York 1965.

Belkin P., *NATO's Chicago Summit*, May 14, 2012, Congressional Research Service" 7-5700, CRS Report for Congress, R42529.

Bush G.W., *State of the Union Address: January 29, 2002*, Washington, The White House, January 2002.

Heffner R. D. (ed.), *A Documentary History of the United States*, New York 1976.

Lisbon Summit Declaration, Issued by the Heads of State and Government participating in the meeting of the North Atlantic Council in Lisbon on 20 November 2010. NATO Press Release/Communiqué de press. Press release PR/CP(2010)0155.

The National Security Strategy of the United States, Washington, The White House, September 2002.

Obama B., *Przemówienie w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ*, Nowy Jork, 24 września 2014 r., w: „Gazeta Wyborcza” 27-28 IX 2014.

Strategic Concept for the Defense and Security of the Members of the North Atlantic Treaty Organization, Adopted by the Heads of State and Government in Lisbon: „Active Engagement, Modern Defense”. NATO Press Release/Communiqué de press. Press release PR/CP(2010)0155.

Opracowania, analizy

Ambrose S.E., *Rise to Globalism. American Foreign Policy since 1938*, New York 1983.

Arui N.H., *Dishonest Broker. The USA Role in Israel and Palestine*, Cambridge 2003.

Asmus R.D., *The Rise – or Fall? – of Multilateralism: America's New Foreign Policy and What it Means for Europe*, w: M. Cornvale (ed.), *European Security and International Institutions after the Cold War*, London 1995.

- Brenner M., Williams P., *The United States and European Security in the 1990s*, w: C. McInnes (ed.), *Strategy in the New Europe*, London 1992.
- Brzezinski Z., *Premature Partnership*, „Foreign Affairs” March/April 1994, No. 2.
- Brzezinski Z., *Strategic Vision. America and the Crisis of Global Power*, New York 2012.
- Brzeziński Z., *Druga szansa. Trzej prezydenci i kryzys amerykańskiego supermocarstwa*, Warszawa 2008.
- Brzeziński Z., *Strategiczna wizja. Ameryka a kryzys globalnej potęgi*, Kraków 2013.
- Brzeziński Z., *Wielka szachownica. Główne cele polityki amerykańskiej*, Warszawa 1998.
- Burchard E.M., Lage W.P., *Neutrality for the United States*, New Haven 1940.
- Bush G.W., *Kluczowe decyzje*, Warszawa 2011.
- Bush G., Scowcroft B., *Świat przekształcony*, Warszawa 2000.
- Carpenter T.G., *Beyond NATO. Staying out of Europe's Wars*, Cato Institute 1994.
- Carpenter T.G., *The New World Disorder*, „Foreign Affairs” Fall 1991, No. 84.
- Christopher W., *America's Leadership, America's Opportunity*, „Foreign Policy” Spring 1995, No. 98.
- Daalder I.H., Lindsay J.M., *The Bush Revolution: The Remaking of America's Foreign Policy*, The Brookings Institution, May 2003.
- Dallek R., *Franklin D. Roosevelt and American Foreign Policy, 1932-1943*, Oxford – New York – Toronto 1979.
- Dallek R., *The Postwar World: Made in the USA*, w: S.J. Ungar (ed.), *Estrangement: America and the World*, New York 1985.
- Divine R.A., *The Illusion of Neutrality*, Chicago 1962.
- Dole R., *Shaping America's Global Future*, „Foreign Affairs” Spring 1995.
- Dulles A.W., Armstrong H.F., *Can We Be Neutral*, New York 1936.
- Fukuyama F., *Ameryka na rozdrożu. Demokracja, władza i dziedzictwo neokonserwatyzmu*, Poznań 2006.
- Fukuyama F., *The End of History*, „The National Interest” Summer 1989, No. 16.
- Fukuyama F., *Koniec historii*, Poznań 1996.
- Golan G., *Israel and Palestine. Peace Plan and Proposals from Oslo to Disengagement*, Princeton 2008.
- Grodzki R., *Ukraina – pomiędzy Rosją a Zachodem*, „Przegląd Zachodni” nr 2/1998.
- Grodzki R., *Wojna gruzińsko-rosyjska 2008*, Zakrzewo 2009.

- G r u d z i ń s k i P., *Przyszłość Europy w koncepcjach Franklina D. Roosevelta (1933-1945)*, Wrocław 1980.
- H a a s s R.N., *The Age of Nonpolarity*, „Foreign Affairs” May/June 2008, No. 3.
- H a m i d S., *Egypt: The Prize*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2011.
- H a m i d S., *Tunisia: Birthplace of the Revolution*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2011.
- H a r l o w R.V., *United States: From Wilderness to World Power*, New York 1949.
- H i l l F., G a d d y C.G., *Mr. Putin. Operative in the Kremlin*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2015.
- H o f f m a n n S., *A New World and Its Troubles*, „Foreign Affairs” Fall 1990, No. 4.
- I n d y k M.S., L i e b e r t h a l K.G., O’H a n l o n M.E., *Bending History. Barack Obama’s Foreign Policy*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2012.
- J o n e s B., *Still Ours to Lead. America, Rising Powers, and the Tensions between Rivalry and Restraint*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2014.
- K a g a n R., „*Of Paradise and Power*”. *America and Europe in the New World Order*, New York 2003.
- K a g a n R., *The World America Made*, New York 2012.
- K a m p K.-H., *The Transatlantic Link after Chicago*, „NDC Research Report” Research Division NATO Defense College, Report, May 2012.
- K e n n e d y P., *Mocarstwa świata. Narodziny, rozkwit, upadek*, Warszawa 1994.
- K i r k p a t r i c k J.J., *Defining a Conservative Foreign Policy*, „The Heritage Lectures” 25 II 1993.
- K h a n n a P., *The Second World: Empires and Influence in the New Global Order*, New York 2008.
- K i s s i n g e r H., *Does America Need a Foreign Policy. Toward a Diplomacy for the 21st Century*, New York 2001.
- K i w e r s k a J., *Gra o Europę. Bezpieczeństwo europejskie w polityce Stanów Zjednoczonych pod koniec XX wieku*, Poznań 2000.
- K i w e r s k a J., *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem. Europa w polityce Stanów Zjednoczonych od Wilsona do Roosevelta*, Poznań 1995.
- K i w e r s k a J., *Niemcy we wspólnocie transatlantyckiej*, w: J. Kiwerska, B. Koszel, M. Tomczak, S. Żerko, *Polityka zagraniczna zjednoczonych Niemiec*, Poznań 2011.
- K i w e r s k a J., *Neokonserwatywna polityka George’a W. Busha. Założenia, realizacja i skutki*, Zeszyty Instytutu Zachodniego nr 38/2005.
- K i w e r s k a J., *Odwrót od rewolucji? Nowe elementy w amerykańskiej polityce zagranicznej*, Zeszyty Instytutu Zachodniego nr 43/2006.

- K i w e r s k a J., *Rozchodzenie się dwóch światów? Stany Zjednoczone i relacje transatlantyckie 1989-2012*, Poznań 2013.
- K i w e r s k a J., *Stany Zjednoczone w świecie zróżnicowanych potęg*, „Przegląd Zachodni” nr 4/2012.
- K i w e r s k a J., *Świat w latach 1989-2009. Wydarzenia – konflikty – procesy*, Poznań 2009.
- K i w e r s k a J., *USA – osamotnione mocarstwo w świecie zagrożeń*, „Przegląd Zachodni” nr 1/2005.
- K i w e r s k a J., *Woodrow Wilson i przegrana batalia o Ligę Narodów*, w: A. Koze-
ra, W. Prażuch, P. Szyja (red.), *Polska, Europa Środkowa, Europa Zjednoczona*,
Kraków 2014.
- K i w e r s k a J., *Wymarzony sojusznik Polski*, „Przegląd Zachodni” nr 3/2009.
- K r a s t e v I., L e o n a r d M., *Europe’s Shattered Dream of Order*, „Foreign Af-
fairs” May/June 2015, No. 3.
- K r a u t h a m m e r Ch., *The Lonely Superpower*, „Foreign Affairs” March/April 1999.
- K r a u t h a m m e r Ch., *The Unipolar Moment*, „Foreign Affairs” Winter 1990/1991.
- K r u p n i c k Ch., *Not What They Wanted: American Policy and the European Secu-
rity and Defense Identity*, w: A. Moens, Ch. Anstis (ed.), *Disconcerted Europe. The
Search for a New Security Architecture*, Boulder – San Francisco – Oxford 1994.
- K s i ą ż k i e w i c z M., *Niechciany partner. Rola Niemiec w rozwiązywaniu konflik-
tu na Ukrainie*, „Biuletyn Niemiecki” nr 57/2015.
- L a n g e r W.S., G l e a s o n S.E., *The Challenge to Isolation, 1937-1940*, New York
1952.
- L o r e n z W., P i o t r o w s k i M.A., *Miejsce Europy i NATO w nowej strategii
bezpieczeństwa USA*, „Biuletyn PISM” nr 31, 24 III 2015.
- L u c a s E., *Nowa zimna wojna. Jak Kreml zagraża Rosji i Zachodowi*, Poznań 2008.
- L u g a r R., *NATO: Out of Area or Out of Business*, U.S. Policy Information and
Texts, July 8, 1993.
- M a l i n o w s k i K., *Sojusz Atlantycki (2010-2012). Stan i perspektywy*, „Przegląd
Zachodni” nr 1/2013.
- M a r t i n L., *The Changing Role of the United States in Global Order*, w: S. Sato,
T. Taylor (eds.), *The Security Challenges for Japan and Europe in a Post-Cold
War Order*, London 1993.
- M c F a u l M., *Moscow’s Choice*, „Foreign Affairs” November/December 2014,
No 6.
- N o t t e r H., *The Origins of the Foreign Policy of Woodrow Wilson*, Baltimore 1937.
- N y e J.S., *Bound to Lead: The Changing Nature of American Power*, New York 1990.

- Nye J.S., *Presidential Leadership and the Creation of the American Era*, Princeton University Press 2013.
- Osgood R.E., *Ideals and Self-Interest in America's Foreign Relations*, Chicago 1953.
- Pacuła P., „Unified Protector” w Libii: wyzwania dla zarządzania kryzysowego, „Bezpieczeństwo Narodowe” II – 2011/18.
- Perkins D., *America and Two Wars*, Boston 1944.
- Pollack K.M., *Introduction: Understanding the Arab Awakening*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2011.
- Rączkiewicz M., *Polityka Stanów Zjednoczonych w okresie prezydentury G.W. Busha w ujęciu regionalnym*, Toruń 2011.
- Rubin J.P., *Building a New Atlantic Alliance*, „Foreign Affairs” July/August 2008, No. 4.
- Schwartz B.C., „Cold War” Continuities: US Economic and Security Strategy Towards Europe, „The Journal of Strategic Studies” December 1994, No 4.
- Woodward B., *Wojna Busha*, Warszawa 2003.
- Zakaria F., *The Future of American Power*, „Foreign Affairs” May/June 2008, No. 3.
- Zakaria F., *The Post-American World*, New York 2008.

Artykuły prasowe

- Albright M., *Rady dla prezydenta*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16 II 2008.
- AshGarton T., *Co kryzys w Syrii mówi nam o Ameryce*, „Gazeta Wyborcza” 14-15 IX 2013.
- AshGarton T., *Raczej nie prezydent świata*, „Gazeta Wyborcza” 24-25 I 2009.
- Ball J., *Obama issues Syria a „red line” warning on chemical weapons*, „The Washington Post” 20 VIII 2012.
- Barber B.R., *Koniec ideologii. Rozpad doktryny neokonserwatywnej*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17 V 2006.
- Bauman Z., *Korzenie amerykańskiego zła*, „Gazeta Wyborcza” 28-29 VI 2008.
- Brzezinski Z., *Russia needs a „Finland option” for Ukraine*, „The Financial Times” 24 II 2014.
- Brzeziński Z., *Bomba jest gdzie indziej*, „Rzeczpospolita” 10-11 IX 2005.
- Brzeziński Z., *Jak się nie porozumiemy, to się pozabijamy*, „Gazeta Wyborcza” 14-15 III 2009.

- Brzeziński Z., *Kto jest z nami?* „Rzeczpospolita” 22-23 XI 2003.
- Brzeziński Z., *Tarcza tak, ale nie taka*, „Polityka” 7 VI 2008.
- Buruma I., *Za wcześniej na ten pogrzeb*, „Dziennik” 19-20 VII 2008.
- Cohen R., *Obama Leads on ISIS. He Is Right to Take the Risk*, „The New York Times” 25 IX 2014.
- Dempsey J., *Germany Would Join Aid Mission to Libya*, „The New York Times” 8 IV 2011.
- Egypt's Unstable Regime*, „The Washington Post” 25 I 2011.
- Espinosa E.L. de, *Nie pozwólmy umrzeć Europie*, „Gazeta Wyborcza” 4-5 VIII 2012.
- Fidler S., Barnes J., *Gates Calls Others to Join Libya Fight*, „The Wall Street Journal” 9 VI 2011.
- Feinstein L., *Przysyłając samoloty, demonstrujemy stanowczość*, „Gazeta Wyborcza” 17 III 2014.
- Fukuyama F., *Epoka słabych państw*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16 VIII 2008.
- Gadomski W., *Putin spłynie z ropą*, „Gazeta Wyborcza” 6-7 XII 2014.
- Hadley S.J., Wilson D., *Putin's Takeover of Crimea Part of Larger Strategy*, „The Washington Post” March 3, 2014.
- Hass R.N., *Świat po Ameryce*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 31 V 2008.
- Hill F., *Ukraina to nie Gruzja, powtórki nie będzie*, „Gazeta Wyborcza” 28 II 2014.
- Kagan R., *Koniec marzeń, powrót historii*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 11 VIII 2007.
- Kagan R., *Not Fade Away: Against the Myth of American Decline*, „The New Republic” 17 I 2012.
- Kagan R., *Obama – cudu nie było*, „Gazeta Wyborcza” 16-17 I 2010.
- Khanna P., *Pożegnanie z hegemonią*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17 V 2008.
- Kissinger H., *At Sea in a New World*, „Newsweek” 6 VI 1994.
- Kissinger H., *Sojusz w ślepej uliczce*, „Rzeczpospolita” 17-18 V 2003.
- Krastew I., *Polityka mocarstwowa spółka z o.o.*, „Gazeta Wyborcza” 23-24 VIII 2008.
- Krauthammer Ch., *The Unilateralism*, „The Washington Post” 8 VI 2001.
- Kupchan Ch.A., *Nowa era Sojuszu*, „Gazeta Wyborcza” 15 IV 2008.
- Lubowski A., *Cegły bez zaprawy*, „Polityka” 18-24 VII 2012.
- McFaul M., *Święta wojna majora Putina*, „Gazeta Wyborcza” 28-29 III 2015.
- Mitchell W., *Ameryka słabnie, Rosja w ofensywie*, „Gazeta Wyborcza” 30-31 VIII 2008.
- Mneimneh H., *To duży błąd Obamy, że o Syrii decyduje Putin*, „Gazeta Wyborcza” 16 IX 2013.

- Myers S.L., *Amid Impasse in Peace Negotiations, America's Chief Middle East Envoy Resigns*, „New York Times” 13 V 2011.
- Nye J.S., *Bush nie zniszczył Ameryki*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 5 V 2007.
- Obama B., *Potrzebujemy siebie nawzajem*, „Polityka” 8-14 VI 2001.
- Portnikow W., *Mocarstwo nad przepaścią*, „Gazeta Wyborcza” 30-31 VIII 2008.
- Rasmussen A.F., *Europa może przestać się liczyć*, „Gazeta Wyborcza” 29 VI 2011.
- Roy O., *Fundamentalisci z ludzką twarzą*, „Gazeta Wyborcza” 19-20 II 2011.
- Smolar A., *Próba ognia i wody*, „Gazeta Wyborcza” 10-11 IV 1999.
- Sorman G., *Nowe amerykańskie stulecie*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 2-3 V 2009.
- Stoltenberg J., *NATO Rosji się nie boi*, „Gazeta Wyborcza” 6 X 2014
- Traynor I., *WikiLeaks cables reveal secret NATO plans to defend Baltic from Russia*, „The Guardian” 6 XII 2010.
- Zakaria F., *Imperium arogancji*, „Newsweek” 23 III 2003.
- Zakaria F., *Pax Americana się skończył*, „Dziennik” 19-20 VII 2008.
- Zakaria F., *Pośrednik zamiast hegemonia*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 7-8 III 2009.
- Zawadzki M., *Słabe karty Ameryki*, „Gazeta Wyborcza” 3 III 2015.

Materiały internetowe

Dokumenty, wystąpienia oficjalne

- Biden J.R., *Speech at the 45th Munich Conference, 07 February 2009*, www.securityconference.de/konferenzen/rede.php?menu_2009=&menu_konfer...
- Bush G.W., *Address to a Joint Session of Congress and the American People, September 20, 2001*, www.whitehouse.gov/news/releases/2001/09/20010920-8.html.
- Defense Secretary Robert Gates, *speech, West Point, February 25, 2011*, www.defense.gov/speeches/speech.aspx?speechid=1539.
- The National Security Strategy, *February 2015*, www.whitehouse.gov/sites/default/files/docs/2015_national_security_strategy.pdf.
- The National Security Strategy, *Washington, White House, March 2006*, www.whitehouse.gov/nsc/nss/2006/print/index.html.
- President Obama and President Calderon of Mexico, *remarks, Joint Press Conference, March 3, 2011*, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/03/03/remarks-president-obama-and-president-calder-n-mexico-joint-press-conference.

- President Obama, opening remarks on Iran, June 23, 2009, www.whitehouse.gov/blog/The-Presidents-Opening-Remarks-on-Iran-with-Persian-Translation.
- President Obama, opening remarks on the situation in Egypt, January 28, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/01/28/remarks-president-situation-egypt.
- President Obama Speaks to West Point Graduates, May 28, 2014, www.whitehouse.gov/photos-and-video/video/2014/05/28/president-obama-speaks-west-point-graduates.
- President Sworn-In Second Term, Inauguration 2005, The White House, 20 January 2005, www.whitehouse.gov/news/releases/2005/01/print/20050120-1.html.
- Remarks by President Barack Obama, Prague, Czech Republic, April 5, 2009, www.whitehouse.gov/the-press-office.
- Remarks by President Obama at 25th Anniversary of Freedom Day – Warsaw, Poland, 06 April 2014, White House, Office of the Press Secretary, www.whitehouse.gov/the-press-office/2014/06/04/remarks-president-obama-25th-anniversary-freedom-day-warsaw-poland.
- Remarks by the President in Address to European Youth, 26 April 2014, www.whitehouse.gov/the-press-office/2014/03/26/remarks-president-address-european-youth.
- Remarks by the President in Address to the Nation on Syria, www.whitehouse.gov/the-press-office/2013/09/10/remarks-president-address-nation-syria.
- Remarks by President Obama to the People of Estonia, 03 September 2014, White House, Office of the Press Secretary, www.whitehouse.gov/the-press-office/2014/09/03/remarks-president-obama-people-estonia.
- Remarks by the President to the White House Press Corps, www.whitehouse.gov/the-press-office/2012/08/20/remarks-president-white-house-press-corps.
- The Second 2000 Gore-Bush Presidential Debate, www.debates.org/pages/trans2000a.html.
- Secretary General: Summit will forge a stronger NATO for a more complex world, 04 September 2014, www.nato.int/cps/en/natohq/news_112457.htm.
- Secretary of State Condoleezza Rice, remarks, American University in Cairo, June 20, 2005, www.offnews.info/downloads/Document-458.pdf.
- Senate Confirmation Hearing: Hillary Clinton (transcript), January 13, 2009, www.nytimes.com/2009/01/13/us/politics/13text-clinton.html?pagewanted=all&_r=0.
- Statement on President Obama's June 19 Address in Berlin on Eliminating Nuclear Weapons Threats, www.armscontrol.org/print/5819.
- Testimony of Ian J. Brzezinski, U.S. Senate Committee on Foreign Relations, Subcommittee on European Affairs, 10 April 2014, www.foreign.senate.gov/imo/media/doc/Brzeziński_Testimony.pdf.

- Testimony of Mr. Edward Lucas Senior Fellow and Contributing Editor Center for European Policy Analysis. Washington, D.C., July 8, 2014, U.S. Senate Foreign Relations Committee, Subcommittee on European Affairs, www.foreign.senate.gov/imo/media/doc/Lucas_Testimony1.pdf.
- Wales Summit Declaration, Issued by the Heads of State and Government participating in the meeting of the North Atlantic Council in Wales, 05 Sep. 2014, www.nato.int/cps/en/natohq/official_texts_112964.htm.
- White House, *National Security Strategy*, May 2010, www.whitehouse.gov/sites/default/files/rss_viewer/national_security_strategy.pdf.
- White House, Office of the Press Secretary, Remarks by the President on a New Beginning, Cairo University, June 4, 2009; www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09.
- White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the Australian Parliament, November 17, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/11/17/remarks-president-obama-australian-parliament.
- White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the United Nations general Assembly, September 23, 2010, www.whitehouse.gov/the-press-office/2010/09/23/remarks-president-united-nations-general-assembly.
- White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the United Nations General Assembly, September 21, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/09/21/remarks-president-obama-address-united-nations-general-assembly.
- White House Officials on Obama's Trip to Estonia, NATO Summit, The White House Office of the Press Secretary, Washington, D.C., August 29, 2014, <http://iipdigital.usembassy.gov/st/english/texttrans/2014/08/20140829307360.html#ixzz3j5cnrGoJ>.

Analizy, artykuły i wystąpienia medialne

- Barack Obama, CNN, October 17, 2013, <http://politicalticker.blogs.cnn.com/2013/10/17/cnns-gut-check-for-october-17-2013>.
- Barne M. N., *What Obama Doesn't Understand about Israel and the Middle East*, May 28, 2012, www.brookings.edu/research/interviews/2012/05/28-middle-east-indyk.
- Bensahel N., *Libya: a make-or-break moment for NATO*, March 25, 2011, www.guardian.co.uk/commentisfree/cifamerica/2011/mar/25/nato-libya/print.
- Burns N., *Berlin's stance on Libya has isolated Germany in NATO*, 13 IV 2011, www.dw-world.de/popups/popup_printcontent/0,,14985036,00.html.

- Byman D.L., *Democracy in Egypt: What Are the Risks to the United States?* February 25, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0209_egypt_democracy_byman.aspx?p=1.
- Chesney R.M., *A Timer on the Libya/War Powers Resolution Compliance Debate*, June 17, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0617_war_powers_chesney.aspx?p=1.
- Demsey J., *Munich Calling: The Seas of South-East Asia*, 2012/01/23, www.securityconference.de/program.425+M548f0d52261.0.html.
- Doran M., *Is Obama like Eisenhower?* October 2013, www.brookings.edu/research/articles/2013/09/obama-middle-east-eisenhower-d.
- Einhorn R., *A rare bipartisan consensus on the Iran nuclear negotiations*, June 26, 2015, www.brookings.edu/blogs/markaz/posts/2015/06/26-iran-nuclear-negotiations-bipartisan-consensus-einhorn.
- Edward Snowden in Moscow: A Case Study in Diplomatic Mismanagement*, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2013/08/09-snowden-moscow-diplom.
- Elgindy K., *In Arab World, Obama Has Fallen from Grace*, September 12, 2012, <http://www.brookings.edu/research/interviews/2012/09/12-arab-world-obama-elgindy>.
- EU-US summit to take place „only when necessary”* 27 III 2010, www.euobserver.com/9/29782?print=1.
- Felbab-Brown V., *Obama's State of the Union Speech and the Seductiveness of Limited Intervention*, January 29, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/post/2014/01/29-obama-sotu-speech-seduc.
- Freedman R., *The Bush Administration and the Arab Israeli Conflict: The Record of its First Four Years*, „The Middle East Review of International Affairs” Vol. 9, No. 1, March 2005, <http://meria.idc.ac.il/journal/2005/issue1/jv9no1a4.html>.
- Gaddy C.G., Ickes B.W., *Can Sanctions Stop Putin?* June 3, 2014, www.brookings.edu/research/articles/2014/06/03-can-sanctions-stop-putin-gad.
- German Politicians Welcome Obama, Call for Closer Ties to US*, 5 XI 2008, www.dw-world.com/popups/popup_printcontent/0,,3767064,00.html
- Hass R.N., *The Real threat to U.S. national security*, October 7, 2013, www.cfr.org/united-states/real-threat-us-national-security/p31579.
- Hass R.N., *Why Europe no longer matters*; www.washingtonpost.com/opinions/why-europe-no-longer-matters/2011/06/15/AG7eCCZH_story_1.html
- Hamid S., *After Tunisia: Obama's Impossible Dilemma in Egypt*, January 25, 2011, www.brookings.edu/research/articles/2011/01/25-egypt-hamid.
- Hamid S., *America's „Islamist Dilemma” and Egypt's Muslim Brotherhood*, February 9, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0202_egypt_us_hamid.aspx?p=1.

- Hamid S., *How Obama Got Egypt Wrong*, January 28, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-obama-hamid.
- Hamid S., *Obama's Middle East Speech Didn't Clarify U.S. Role*, May 20, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0520_middle_east_speech_hamid.aspx?p=1.
- Indyk M.S., *The Regional implications of nuclear deal with Iran*, June 5, 2015, www.brookings.edu/blogs/order-from-chaos/posts/2015/06/05-testimony-iran-regional-implications-indyk.
- Indyk M.S., Byman D.L., Riedel B., Doran M., *Around the Halls: Has the Arab Spring Made the World a More Dangerous Place?*, September 13, 2012, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2012/09/13-around-the-halls-libya?ci.
- Indyk M.S., Jones B., *Order from chaos: The Reed for U.S. leadership*, March 23, 2015, www.brookings.edu/blogs/order-from-chaos/posts/2015/03/19-need-us-leadership-indyk-jones.
- Jones B., *How Does China View the Question of American Leadership, an Perceived American Decline?* July 2, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2014/07/02-china-view-american-leadership-decline-jones.
- Jones B., *The West, the Rest, and the New Middle East: Obama in London*, May 27, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0527_global_order_jones.aspx?p=1.
- Kagan R., *The Ambivalent Superpower. America and the world aren't getting a divorce. But they're thinking about it*, February 27, 2014, www.politico.com/magazine/story2014/02/united-states-ambivalent-superpo.
- Kagan R., *Superpowers Don't Get to Retire: What our tired country still owes the world*, „The New Republic” May 26, 2014, www.newrepublic.com/article/117859/allure-normalcy-what-america-still-owes.
- Kagan R., *Why the World Needs America*, February 11, 2012, www.brookings.edu/articles/2012/0211_us_power_kagan.aspx?p=1.
- Kampeas R., *Democrats Launch Major Pro-Obama Pushback among Jews*, June 7, 2011; www.jta.org/news/article/2011/06/07/3088053/democrats-launch-major-pro-bama-pushback-among-jews.
- Kerry condemns Russia's „incredible act of aggression in Ukraine”, March 2, 2014, Reuters, www.reuters.com/article/2014/03/02/us-ukraine-crisis-usa-kerry-idUSBREA210DG20140302.
- Maloney S., *The Alliance That Dare Not Speak Its Name*, May 20, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/050_obama_middle_east_maloney.aspx?p.
- Meckel M., *Die NATO sollte in Bukarest nicht dem Drängen der USA auf eine schnelle Aufnahme der Ukraine und Georgiens nachgeben*, Deutsche-Aussenpolitik.de, „Foreign Policy in Focus” No. 360, April 2, 2008, www.deutsche-aussenpolitik.de/digest/op-ed_inhalt_47.php.

- M e n k i s z a k M., *Doktryna Putina: tworzenie koncepcyjnych podstaw rosyjskiej dominacji na obszarze postradzieckim*, Komentarze OSW nr 131, 28 III 2014, http://www.osw.waw.pl/sites/default/files/komentarze_131.pdf.
- M o m a n i B., S c h a c h t e r C., *Obama is Losing the Hearts and Minds of the Arab World*, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/09-obama-arab-world-syria-mo.
- N e s s h ö v e r Ch., *Germany, France, America and the Iraqi Conflict: Gerhard in Big Trouble, Jacques in Great Shape, and George W's Interest in a United Europe*, American Institute for Contemporary German Studies, www.aicgs.org/c/nesshoever.shtml.
- Obama on the World. President Obama Talks to Thomas L. Freedman About Iraq, Putin and Israel*, „The New York Times” 8 VIII 2014, www.nytimes.com/2014/08/09/opinion/president-obama-thomas-l-friedman-iraq-and-world-affairs.html?_r=0.
- O’H a n l o n M.E., *Don’t close U.S. base overseas*, July 28, 2015, www.brookings.edu/blogs/order-from-chaos/posts/2015/07/28-closing-us-bases-overseas-ohanlon.
- O’H a n l o n M.E., *Obama’s Iraq Legacy*, July 13, 2012, www.brookings.edu/research/opinion-s/2012/07/13-obama-iraq-ohanlon.
- O’H a n l o n M.E., *Obama’s Solid First Year on Foreign Policy*, www.brookings.edu/opinions/2010/0101_obama_foreign_policy_ohanlon.aspx.
- P i f e r S., *Geopolitical Fight Between Russia and the West for Ukraine*, www.brookings.edu/research/opinions/2014/02/20-geopolitical-fight-between-r.
- P i f e r S., *Poroshenko Signs EU-Ukraine Association Agreement*, June 27, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2014/06/27-poroshenko-signs-eu-ukraine-association-agreement-pifer.
- P i f e r S., *U.S.-Russian Arms Control in the Absence of a Summit*, September 4, 2013, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/04-us-russian-arms-control-in-a.
- P o l l a c k K.M., *Winds of Change in the Middle East*, February 27, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0227_middle_east_pollack.aspx?p=1.
- P ö t t e r i n g H.-G., *Transatlantic fresh start*, „The Guardian” 4 XI 2008, www.guardian.co.uk/commentisfree/2008/nov/04/eu-uselections2008/print.
- German positive about NATO leaders, dislike Afghanistan mission*, „Deutsche Welle” 3 IV 2009, www.dw-world.de.
- R i e d e l B., *Don’t Fear Egypt’s Muslim Brotherhood*, January 28, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-riedel...

- The Rise or Fall of the American Empire*, by D. W. Drezner, G. Rachman, R. Kagan, www.foreignpolicy.com/articles/2012/02/14/the_rise_or_fall_of_the_american...
- S a n t i n i R.H., *The Libyan Crisis Seen from European Capitals*, June 01, 2011, www.brookings.edu/papers/2011/0601_libya_santini.aspx?p=1.
- S h a i k h S., *The Haunting: Why the Syria Crisis Will Torment Obama for the Rest of His Presidency*, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/12-syria-crisis-obama-shikh.
- S h a m b a u g h D., *The Illusion of Chinese Power*, June 25, 2014, www.brookings.edu/research/opinions/2014/06/23-chinese-power-shambaugh?
- S h a r q i e h I., *What Secretary Clinton Does Not Recognize About Egypt's Anti-Regime Protests*, January 27, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/27-egypt-clinton-sharqieh.
- S h e a r M.D., *Government Gets Back to Business, but Effects of the Shutdown Linger*, Oct. 17, 2013, http://www.nytimes.com/2013/10/18/us/politics/government-reopens.html?_r=0.
- Ukraine crisis: Obama warns Russia against intervention*, 1 March 2014, BBC News, www.bbc.com/news/world-europe-26394846;
- Ukraine Poll, Huffington Post, www.huffingtonpost.com/2014/03/03/ukraine-poll_n_4891224.html.
- „USA Today” 2 III 2014, www.usatoday.com/story/theoval/2014/03/02/obama-russia-putin-ukraine-crimea/5944265/.
- T e l h a m i S., *President Obama's Confused Logic on Syria*, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/10-president-obama-syria-telha.
- T h o m a s J., *How to Put Military Pressure on Russia*, „The Wall Street Journal” March 9, 2014, www.wsj.com/articles/SB10001424052702303824204579421660993452026.
- T r i n k u n a s H., *New U.S.-Cuba Policy Will Revitalize Hemispheric Relations*, December 18, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/post/2014/12/18-cuba-policy-will-revitaliz...
- W i e s e l t i e r L., *The Iran Deal and the Rut of History*, July 27, 2015, www.theatlantic.com/international/archive/2015/07/iran-deal-history/399644/.
- W r i g h t Th., *Why Obama's U.N. Speech is a Major Turning Point*, September 24, 2014, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2014/09/24-obama-un-speech-wright.
- W i t t e s T.C., *Supporting Arab Transitions: Four Challenges for the Next U.S. President*, November 6, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/11/06-arab-transitions-us-president.



Prof. dr hab. JADWIGA KIWERSKA jest historykiem i politologiem. Pracuje w Instytucie Zachodnim w Poznaniu, wykłada w tamtejszym Collegium Da Vinci. Zajmuje się stosunkami międzynarodowymi, w tym szczególnie polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych i relacjami amerykańsko-europejskimi. Jest autorką wielu prac, m.in.: *Rozpad Imperium Brytyjskiego w Afryce* (1989); *Między izolacjonizmem a zaangażowaniem. Europa w polityce Stanów Zjednoczonych od Wilsona do Roosevelta* (1995); *Słownik prezydentów amerykańskich* (1999); *Gra o Europę. Bezpieczeństwo europejskie w polityce Stanów Zjednoczonych pod koniec XX wieku* (2000); *Świat w latach 1989-2009. Wydarzenia – konflikty – procesy* (2009); *Rozchodzenie się dwóch światów? Stany Zjednoczone i relacje transatlantyckie 1989-2012* (2013).

Przez ponad siedemdziesiąt lat Stany Zjednoczone były dominującym mocarstwem na arenie międzynarodowej, bez którego woli i zaangażowania niewiele w świecie mogło się wydarzyć. Ich wpływ na rozwiązywanie kluczowych problemów globalnych i regionalnych był ogromny. Dzisiaj, w drugiej dekadzie XXI wieku coraz częściej pojawia się pytanie, czy nie staliśmy się świadkiem kresu amerykańskiej dominacji w świecie. Czy słabnąca zdolność Ameryki kreowania sytuacji międzynarodowej i rozwiązywania problemów globalnych, ale też jej coraz mniejsza gotowość podejmowania wyzwań nie świadczą o bliskim już poamerykańskim świecie? Prezentowana książka, formą przypominająca raczej rozbudowany esej niż hermetyczną rozprawę naukową, jest opisem owej roli USA w świecie na przestrzeni ostatnich lat oraz próbą odpowiedzi na pytanie o perspektywy rozwoju amerykańskiej potęgi. Zakres tematyki, a także sposób jej ujęcia spowodowały, że jest ona równocześnie syntetyczną wykładnią strategii zewnętrznej Stanów Zjednoczonych i zarysowaniem głównych kierunków ich polityki zagranicznej. Dlatego dla wielu czytelników może być zajmującą lekturą.

ISBN 978-83-61736-58-5



9 788361 736585